PIEKARA

JACEK

Ja, inkwizytor

Przeklęte przeznaczenie

fabryka słów
WYDAWNICTWO

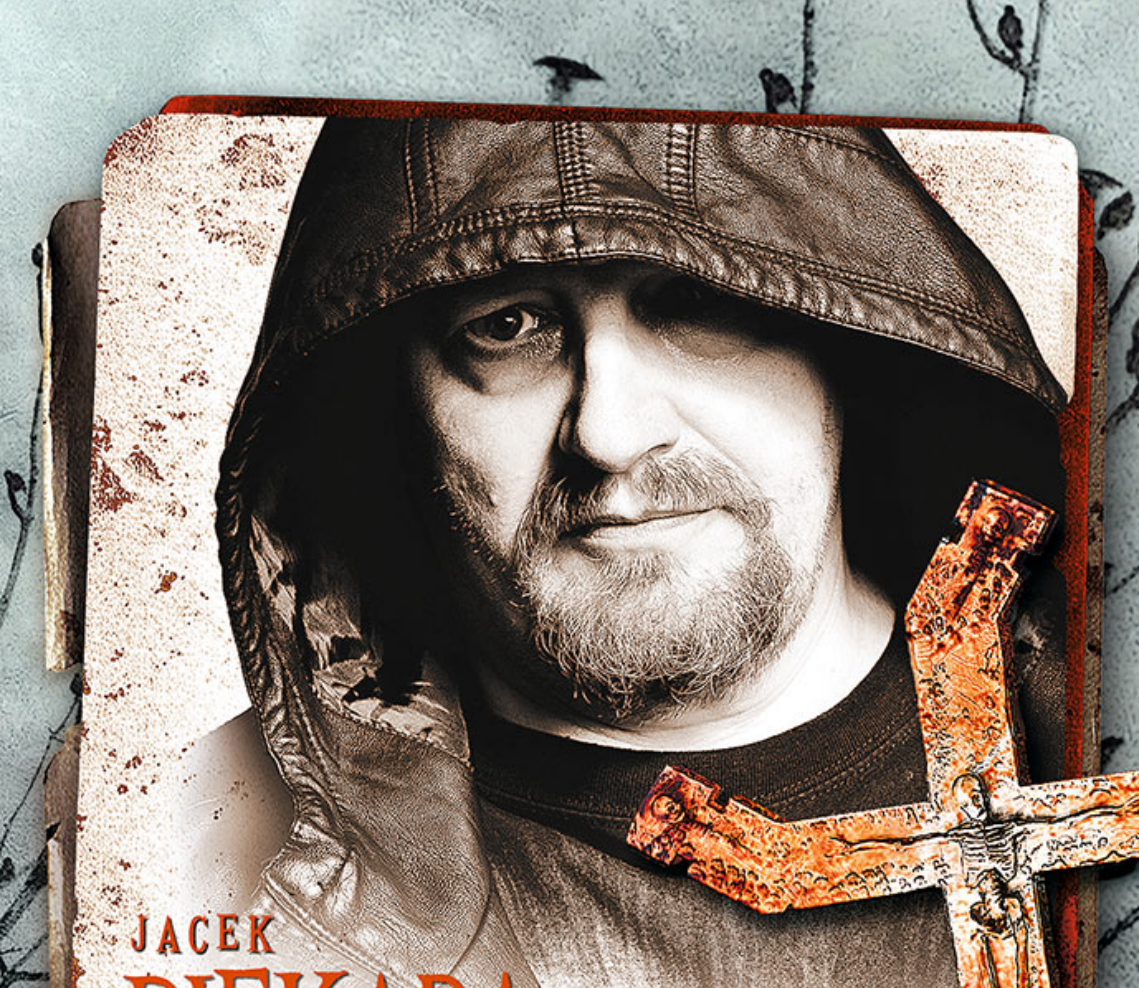

JACEK PIEKARA

Autor niemal 30 książek, w tym cyklu inkwizytorskiego, bestsellerowej historyczno-fantastycznej sagi publikowanej od 2003 roku (cykl doczekał się już 15 tomów!). Jako literat zadebiutował opowiadaniem „Wszystkie twarze szatana" w 1984 roku, potem przez wiele lat pracował jako dziennikarz i redaktor prasowy oraz radiowy, specjalizujący się w tematyce popkultury (szczególnie gier komputerowych). Poza pracą dziennikarską i literacką zajmował się również reżyserią dubbingów oraz tłumaczeniami.

W tej chwili toczą się zaawansowane prace nad wysokobudżetową grą „Ja, inkwizytor" (na wszystkie platformy sprzętowe), opartą na twórczości autora i powstającą we współpracy z nim.

Jest szczęśliwy, że praca pozwoliła mu wyprowadzić się z Warszawy, dzięki czemu mieszka w domu u samego podnóża gór, z partnerką, synkiem, psem, kotem oraz niepoliczalną ilością rybek. Jako odwieczny „homo politicus" interesuje się wydarzeniami na świecie i w Polsce. Czynnie je komentuje, niezależnością oraz ostrością spojrzenia doprowadzając wielu obserwatorów do białej gorączki. W nazywaniu rzeczy po imieniu i w bezkompromisowości wobec moralnej atrofii świata zawsze kieruje się zdaniem Thomasa Manna: „Tolerancja jest przestępstwem, jeśli dotyczy zła".

Spis treści

Karta tytułowa
Cykl Świat inkwizytorów
Cykl Ja, inkwizytor
Cykl Ja, inkwizytor. Ruska trylogia
Wprowadzenie
Rozdział pierwszy Odzyskany dom
Rozdział drugi Dom we krwi
Rozdział trzeci Dom, w którym wszyscy umarli
Rozdział czwarty Śmierć w domu na bagnach
Rozdział piąty Goście z odległego domu
Posłowie

JACEK

PIEKARA

Ja, inkwizytor

Przeklęte przeznaczenie

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Cykl Świat inkwizytorów

1. Płomień i krzyż – tom 1
2. Płomień i krzyż – tom 2
3. Płomień i krzyż – tom 3

Cykl Ja, inkwizytor

1. Ja, inkwizytor. Wieże do nieba
2. Ja, inkwizytor. Dotyk zła
3. Ja, inkwizytor. Bicz Boży
4. Ja, inkwizytor. Głód i pragnienie
5. Ja, inkwizytor. Kościany Galeon
6. Ja, inkwizytor. Sługa Boży
7. Ja, inkwizytor. Młot na czarownice
8. Ja, inkwizytor. Miecz Aniołów
9. Ja, inkwizytor. Łowcy dusz

Cykl Ja, inkwizytor. Ruska trylogia

1. Ja, inkwizytor. Przeklęte krainy
2. Ja, inkwizytor. Przeklęte kobiety
3. **Ja, inkwizytor. Przeklęte przeznaczenie**

Wprowadzenie

Oddaję w Państwa ręce trzeci (i ostatni) tom „Ruskiej trylogii”. Wraz z dwoma poprzednimi tworzy on jedną historię fabularną, więc doradzałbym znajomość „Przeklętych krain” i „Przeklętych kobiet”, zanim podejmiecie lekturę „Przeklętego przeznaczenia”. Starałem się co prawda pisać tak, aby czytelnicy, którzy jeszcze nie przeczytali poprzednich części (lub szczegóły opowieści wyleciały im z głowy), również nie mieli kłopotów ze zrozumieniem fabuły, ale warto pamiętać, że „Ruska trylogia” tworzy narracyjną i koncepcyjną całość. W pierwszych dwóch tomach zostały przedstawione nie tylko konkretne wydarzenia, lecz nakreślono charakterystyki głównych postaci i opisano ich życie czy przyświecające ich działaniom pobudki. Dlatego lektura całości na pewno pozwala lepiej zrozumieć nie tylko samą akcję, ale również motywy kierujące postępowaniem bohaterów oraz zauważyć ewolucję, jaką oni przechodzą.

Pierwszą i najważniejszą kwestią dla mnie jako dla czytelnika zawsze jest to, by książka, którą otrzymałem, mnie zainteresowała. Bym zastanawiał się, co wydarzy się dalej, i żałował, kiedy jestem zmuszony przerwać czytanie. To dla mnie warunek pierwszy i konieczny, bym uznał powieść za spełniającą oczekiwania. Życzę więc Państwu tego samego, czego życzyłbym sobie: aby lektura

okazała się zajmująca. Jeśli poza tym zostanie ona w pamięci, sprowokuje do przemyśleń lub wywoła emocje (im silniejsze, tym lepiej!), oczywiście będę tym bardziej zadowolony...

Wszystkich czytelników zainteresowanych, jak potoczą się dalsze losy inkwizytorskiego świata, zapraszam również do lektury posłowia. A na koniec dedykuję wszystkim Państwu cytat z Pisma Świętego: „Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni”.

Rozdział pierwszy

Odzyskany dom

Ruś była niezmierzona i niezbadana. Tajemnicza niczym mitologiczne krainy położone gdzieś hen za górami, za lasami czy za oceanami, krainy, o których pisał niegdyś Herodot, twierdząc, że żyją w nich ludzie o psich głowach albo o końskich tułowiach. A ziemie te miały być według greckiego historyka otoczone oceanami, w których grasowały morskie węże potrafiące oplątać i zatopić statek. Na Rusi nie natknąłem się na żaden z podobnych dziwów, lecz widziałem wystarczająco dużo monstrów oraz wystarczająco wiele emanacji mrocznej magii, by potworności te zastanowiły nawet inkwizytora, który niejeden już rozpalił stos i o niejednych słyszał bluźnierstwach, nieprawościach oraz świętokradczych profanacjach.

Byłem przecież tak daleko od cywilizowanego świata. Od świata przestronnych bibliotek, marmurowych pałaców i katedr ze spiżowymi dzwonami. Od świata pięknych ludzi i pięknych przedmiotów. Wegetowałem na dalekiej Rusi, pod samymi Kamieniami, jak nazywano ciągnące się tysiącami mil góry dzielące Europę od barbarzyńskich ostępów Azji. Mieszkałem w drewnianej, butwiejącej fortecy, otoczonej fosą wypełnioną gnijącą i śmierdzącą breją. W fortecy położonej wśród niezmierzonych mokradeł, na

których rodziły się nie tylko demony i plugawa magia, ale tysiące, miliony i miliony milionów komarów, od mokrej wiosny po wilgotną jesień unoszących się szarymi tumanami nad każdym żyjącym stworzeniem.

Żyłem teraz naprawdę na końcu świata. Zupełnie jakbym minął bramy Ultima Thule lub wraz z wiatrem pożeglował w sam środek dzikiej Hyperborei. Byłem tak daleko, że zarówno Cesarstwo, jak i chwała oraz potęga Świętego Officjum wydawały się zaledwie majakiem przeszłości, chimerą udręczonego umysłu, pragnącego rzeczywistości lepszej niż ta, w której ma nieszczęście się znajdować. Wrzucono mnie w kocioł intryg pomiędzy możnymi i musiałem w owym kotle tańczyć oraz podrygiwać w rytm wygrywanych przez obcych ludzi fałszywych melodii. A przecież jedynym moim marzeniem było, aby o tym świecie zapomnieć i aby ten świat zapomniał o mnie. Abym wraz z Nataszą, dobrą, zabawną, mądrą i piękną jak Anioł, mógł odnaleźć spokój.

Ludzie łatwo giną, a w niektórych miejscach giną nawet jeszcze łatwiej niż w innych. Tak łatwo, że śmierć staje się wydarzeniem codziennym, zwyczajnym i obojętnym. Na Rusi umierało się nie tylko od chorób i podłego otoczenia, nie tylko od deszczu, mrozu i upałów, nie tylko jeden z ręki drugiego, lecz również z woli tyrańskich władców, za nic mających prawo inne od tego, które ustanowili we własnych głowach. Miałem zapewne szczęście, iż trafiłem do Księstwa Peczorskiego – wasalnej, wysuniętej na najdalszy wschód dzielnicy Wielkiego Księstwa Nowogrodu – potężnego państwa, którego wielki książę władał ziemiami od Bałtyku aż po ciągnące się setkami mil Kamienie, góry przecinające świat na dwie połowy. A dlaczego wspominam o szczęściu? Ano dlatego, że Peczorą rządziła władczyni co prawda bezwzględna i okrutna, niepozbawiona jednak pewnej dozy dobrodusznej życzliwości, przynajmniej dla tych ludzi, których uznawała za użytecznych. A więc póki mnie za takiego uważała, nie musiałem się zastanawiać, czy dożyję kolejnego dnia. Niemniej strzec się powinienem, tak jakbym odgrywał rolę linoskoczka spacerującego na wielkiej wysokości przed oczami tłumu, w dodatku zmuszonego

w trakcie trwania popisu do uchylania się przed kamieniami rzucanymi przez hultajów.

Księżna Ludmiła była silną i bezwzględną kobietą, prawdziwą wilczycą z peczorskich mokradeł. Zamordowała własnego męża, gdyż tak było jej wygodnie, więc byłem pewien, że nie zawaha się ani chwili przed usunięciem mnie, jeśli tylko wydam jej się zagrożeniem lub jeśli nie dość skrupulatnie spełnię jej życzenia. Teraz jednak ostatnie z jej poleceń udało mi się wykonać ze skutkiem więcej niż dobrym. Oto w wojnie Ludmiły z krewniakiem, władyką Izjasławem, pozyskałem obietnicę pomocy od potężnej wiedźmy, która żyła na bagnach wraz ze swymi wychowanicami i uczennicami. Czym za tę pomoc zapłaciłem? Tym, czym zawsze najchętniej płaci mądry kupiec: nie swoją własnością oraz mglistymi zapewnieniami przyszłych korzyści.

Na bagnach straciłem dwóch tropicieli, których spotkały nieszczęśliwe zdarzenia, a z jednym z tych Rusinów miałem okazję konwersować już po jego śmierci. Czy był zaledwie zwodniczym tworem magii, czy też rzeczywistą emanacją istoty niedawno umarłego człowieka, tego nie umiałem powiedzieć. Miałem wrażenie, iż chciał wsączyć w moje serce lęk oraz niepewność, podejrzenia i zwątpienie, lecz zaręczam wam, mili moi, że więcej trzeba niż chwiejący się we mgle martwy Rusin, by zatrwożyć serce prawowiernego inkwizytora.

Kiedy dotarłem bezpiecznie do pozostawionych przez tropicieli koni, kiedy rozprawiłem się z martwym Fiedką i kiedy odbyłem niespodziewaną rozmowę z przyjaciółką mojej Nataszy, rudowłosą Tamarą, wtedy wreszcie, zdyszany i spocony, mogłem spokojnie usiąść w siodle. Oczy męczyły mi się od ciągłego wypatrywania przelatującego jera, który to ptaszek na rozkaz wiedźmy miał wyprowadzić mnie z bagien. Cały czas musiałem łowić go spojrzeniem, ale zauważyłem również, że na szczęście łatwiej mu było dostosować się do szybkości kłusującego konia niż truchtającego człowieka.

Z puszczy wyszedłem jeszcze w nocy, a do rozłożonego pod Peczorą obozowiska wojsk księżnej dotarłem, gdy świt powoli

zamieniał się w poranek. Minąłem patrole zaspanych żołnierzy, niektórzy nawet nie podnosili głów, kiedy przechodziłem obok. Rzeka Peczora toczyła leniwe, stalowe wody, a przy brzegu unosiły się kłęby i opary mgły, rzednące w blasku czerwieniejącego na niebie słońca.

Kiedy doszedłem do budynków przystani, na spotkanie wyszedł mi Andrzej. Cały czas nie mogłem się przyzwyczaić, że ten młody, uprzejmy dworzanin Ludmiły, do niedawna o gładkiej twarzy, skąpo tylko porośniętej jasnym zarostem, teraz wyglądał niczym doświadczony wojownik z przechodzącą przez oblicze szeroką szramą, ciągnącą się od ucha po szczękę, nie zagojoną jeszcze do końca, nabrzmiałą i niemal fioletową.

Andrzej, kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się tylko szeroko, a ów uśmiech, choć serdeczny, nadał niespodziewanie jego twarzy niemal demoniczny wygląd. Dworzanin klepnął mnie w ramię z poufałą serdecznością.

– Trudno zabić inkwizytora – stwierdził.

– Ano trudno – odparłem. – Choć nie powiem, by spodobało mi się podobne nadwyrężanie Bożej łaski. Ale skoro Bóg zechciał, to i jeszcze żyję... A gdy zechce inaczej, to i umrę ze spokojnym sercem.

Andrzej wzdrygnął się.

– Lepiej żyć, niż umierać – powiedział.

– Zazwyczaj tak właśnie się dzieje – odrzekłem poważnie. – Chociaż wielu widziałem ludzi, którzy marzyli już tylko, by umrzeć.

Znowu się wzdrygnął. Przeżegnał się szeroko, z rozmachem, jak to było na Rusi we zwyczaju, potem nakreślił krzyż w powietrzu i wyobrażony ślad po nim zgniótł w pięści.

– Ci szpiedzy, co ich księżna kazała nabić na pale – przypomniał cicho. – Mam nadzieję, że szybko umarli...

– Ach, ci – odparłem obojętnie, bo sam zdążyłem zapomnieć o owych łotrach, czy też nieszczęśnikach, zależy, jak na sprawę spoglądać.

– A te dwa huncwoty, co was prowadziły, gdzie się niby podziały? – zagadnął, zmieniając temat i myśląc o tropicielach towarzyszących mi w wyprawie na bagna.

– Mieli pecha. Wiedźma dobrze strzeże swoich mokradeł. – Nie zamierzałem zagłębiać się w dalsze szczegóły.

Dworzanin Ludmiły wcale zresztą tych szczegółów się nie domagał. Wzruszył tylko ramionami.

– Przynajmniej na nagrodzie oszczędzimy – stwierdził. – Musicie poczekać, póki księżna się nie obudzi – dodał. – Chodźcie, zjecie śniadanie.

– A wiecie, że zjem z przyjemnością – zgodziłem się.

Dopiero teraz poczułem, jak jestem diablo głodny, i byłem wdzięczny za propozycję. No cóż, przygody i niebezpieczeństwa wzmagają apetyt, to rzecz pewna. Zresztą od dawna nic przecież nie jadłem poza owymi sucharami u wiedźmy, diabli zresztą wiedzą z czego i w jaki sposób wyrabianymi.

– Rozumiem, że nic ciekawego nie wydarzyło się, jak mnie nie było? – zapytałem już z pełnymi ustami, kiedy zasiedliśmy przy stole.

– Co miało się niby wydarzyć? – Wzruszył ramionami. – Cisza przed burzą. Oni siedzą spokojnie i my siedzimy spokojnie. A wiecie co... – Nagle pstryknął palcami i uśmiechnął się. – Rzeczywiście coś się zdarzyło. Bo w nocy nasz patrol napotkał ich patrol. No to pogadali chwilę, wypili razem kilka łyków gorzałki i rozeszli się każdy w swoją stronę.

– Ot, wojna – prychnąłem.

– Nikt jej nie chce – pokręcił głową Andrzej. – Bóg mi świadkiem, że nikomu jest niepotrzebna.

Zdążyłem solidnie sobie podjeść, zanim przysłano służącego z wieścią, że księżna raczyła się obudzić i wzywa inkwizytora. Nie zwlekałem, gdyż Ludmiła z całą pewnością była złakniona wieści, a ja miałem przecież tylko dobre informacje do przekazania. Posłańcy w takim wypadku raczej nie wzdragają się przed stanięciem przed obliczem tego, komu przynoszą pomyślne posłanie, a wręcz gotowi są zatańczyć ze szczęścia przed władcą i całym jego dworem.

– No, wreszcie! – krzyknęła księżna, kiedy zobaczyła mnie w progu.

Siedziała na krześle, jeszcze w nocnej koszuli, sięgającej po kostki (niespecjalnie zresztą czystej, jak zdążyłem zauważyć). Służąca stojąca za oparciem splatała jej warkocze w koronę.

– Powiedzieli mi, że wróciłeś sam! Zdradzili? Uciekli?

– Nie, Wasza Książęca Mość. Zabiły ich wiedźmie czary.

Służąca aż jęknęła, a jej ręka zjechała gwałtownie w dół. Przez to dziewczyna szarpnęła swoją panią za włosy. Ludmiła odwróciła się nadspodziewanie szybko i dwakroć ją spoliczkowała. Ani nie lekko, ani nie dla zabawy, a że rękę peczorska władczyni miała ciężką, to służka aż zatoczyła się pod okno i zobaczyłem, że krwawi z rozbitego nosa.

– Wynocha, niedojdo! – warknęła Ludmiła.

Poczekaliśmy, aż chlipiąca i szlochająca służka (która w przerwie między chlipnięciami i szlochnięciami usilnie przepraszała swoją panią i błagała o łaskawe wybaczenie) opuści komnatę, po czym księżna znowu zwróciła na mnie spojrzenie.

– Psom ją rzucę, klnę się na Jezu Boga – zasyczała z zaciętą miną. Potem jej wzrok złagodniał. – Pomoże mi? – zapytała, spoglądając na mnie z nieskrywaną nadzieją.

– Pomoże, Wasza Wysokość – odpowiedziałem.

Ludmiła wciągnęła głęboko powietrze w płuca, potem wypuściła oddech, mrużąc oczy. Na jej twarzy zagościła ulga. Zaraz jednak księżna odemknęła powieki i przyjrzała mi się badawczo.

– Czemu jej nie ma w takim razie? Czego chce w zamian za pomoc?

– Mateczka Olga zażąda przysięgi na życie – wyjaśniłem. – Jeśli wasza mość zgodzi się taką przysięgę złożyć, wtedy z całych sił pomoże. Przysługa i zobowiązanie, obietnica i klątwa – powtórzyłem jeszcze słowa Tamary.

Spochmurniała Ludmiła wydęła usta z niezadowoleniem.

– Takie buty – burknęła. – Właściwie mogłam się tego spodziewać. Czego będzie chciała, starucha przeklęta? Wiesz może?

– Sama to wyjawi, jeśli Wasza Wysokość się zgodzi. Dodam tylko, że nadzwyczaj niechętnie podjęła się rozważyć kwestię pomocy dla waszej miłości.

Ludmiła zmrużyła oczy i milczała długą chwilę.

– Takie buty – powtórzyła wreszcie i znowu się nie odzywała. – Obiecałeś jej czarnoskórą kobietę, prawda? – Jej spojrzenie odzyskało bystrość. – Czy nie tak? Tym właśnie ją skusiłeś? Cesarską czarownicą?

– Wasza Książęca Mość rozumuje z precyzją właściwą geniuszom – odparłem uprzejmie.

Wyciągnęła przed siebie kościsty palec wskazujący, godząc paznokciem wprost w moją pierś.

– Przysięga ma być dla ciebie, czyż nie?

– Służba dla waszej mości jest prawdziwą ucztą dla rozumu – rzekłem.

Roześmiała się i machnęła lekceważąco ręką.

– Wszystko mi jedno, abym tylko odzyskała księstwo – oznajmiła z mocą. Potem znowu zamyśliła się na chwilę. – Niemniej dajesz to, co nie twoje – zauważyła. – Bo czarna kobieta jest moja i tylko ja jestem władna decydować o jej losie. Sama mogę ją oddać tej starej ropusze.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. – Skłoniłem się. – Lecz bez wiedzy, którą tylko ja posiadam, Hildegarda Reizend będzie niebezpieczna niczym żarzący się węgiel rzucony na stóg suchego siana. Wiedźma płaci mi nie tyle za kobietę, ile za wiedzę, jak się z Mauretanką obchodzić i jak się przed nią obronić.

Nic nie mówiłem księżnej o rękopisach i księgach, które zabrałem z namiotu Nontle, gdyż domyśliłem się, że Ludmiła kazałaby mi je natychmiast oddać. A wcale nie miałem na to ochoty, zważywszy, iż były moją kolejną monetą przetargową. Nie wyznałem również, że obiecałem czarownicy opowiedzieć o celu i przebiegu wyprawy inkwizytorów za Kamienie, na dziką Jugrę, gdzie zmierzyliśmy się z istotą, której istnienie zaprzeczało ludzkiemu rozumowi i podważało całą wiedzę zgromadzoną w Świętym Officjum przez pokolenia.

Ludmiła chwilę jeszcze spoglądała na mnie, potem wzruszyła ramionami.

– Wszystko mi jedno, abym tylko odzyskała księstwo – powtórzyła.

Zastanawiałem się, czy naprawdę ma podobnie lekki stosunek do zobowiązań, jakie będzie musiała podjąć wobec mnie i Nataszy, czy też robi dobrą minę do złej gry. Swoją drogą, konieczność opieki nad nami mogła nie wydawać jej się szczególnie trudnym zadaniem. Chociaż jeśli w grę wchodziło zapewnienie nam bezpieczeństwa, za co księżna miała odpowiadać własnym życiem, to trzeba przyznać, iż warunek stawał się jednak nieco bardziej uciążliwy.

– A ty, inkwizytorze, jesteś nie w ciemię bity. – Uśmiechnęła się krzywo. – Ale to dobrze, to dobrze, skoro nasze drogi nie tylko się skrzyżowały, lecz i jak widać, splączą się na dobre. Bo wiesz przecież, że skoro ja przysięgnę ochronę tobie i Nataszy, to tylko ze mną będziecie bezpieczni? – Zachichotała, przyglądając mi się uważnie. – A więc tym silniej musisz o mnie dbać, skoro nikt nie da ci tego, co ja... I już nie ruszysz się na krok z Peczory – dodała. A potem skrzywiła się złośliwie. – Jak sądzę, nawet do końca życia...

Cóż, był to interesujący punkt widzenia. I nie zdziwiłbym się, gdyby okazał się prawdziwy. Teraz Ludmiła mogła tym bardziej być pewna moich usług, skoro wiedziała, że im ona sama będzie potężniejsza, tym Natasza i ja będziemy bezpieczniejsi. Ale nie można też ukrywać, że umowa ograniczała księżnej pole działania. Dawniej mogła nas sprzedać lub zdradzić, gdyby ktoś zaoferował korzystną cenę, teraz ta droga została zamknięta. Bo skoro wiedźma była tak pewna, iż każdy musi dotrzymać zagwarantowanej przez nią przysięgi, to chyba się nie myliła?

– Wasza Wysokość, ośmielę się zadać jedno pytanie, jeśli Wasza Wysokość pozwoli.

– Pytaj.

– Czy Mauretanka, czy czarna kobieta, którą uwięziłem, czy ona może się śniła waszej mości?

Ludmiła drgnęła, jakby ktoś ją dźgnął szpilką.

– Skąd wiesz? – zapytała z nagle pobladłą twarzą. – Mateczka ci powiedziała?

– Nie – zdziwiłem się. – Wiedźma nie ma z tym nic wspólnego. Pytam Waszej Wysokości, bo mnie się śniła...

– Ach tak. – Ludmiła skinęła poważnie głową, a potem westchnęła głęboko. – Nigdy nie chodziłam przez sen, a tu dopiero Andrzej zatrzymał mnie w progu i obudził... – Uśmiechnęła się ciepło, jakby do miłych wspomnień kołaczących w pamięci. – Śniło mi się, że szłam do niej – dodała.

Och, Nontle, pomyślałem, musisz być ogromnie wściekła i zdesperowana, że pozwoliłaś sobie drugi raz na podobną nieostrożność. Niedobrze, naprawdę niedobrze, że zlekceważyłaś moje ostrzeżenia. Że nie potraktowałaś poważnie moich próśb i zdecydowałaś się rzucić kolejny urok.

– Mogło wyniknąć z tego coś złego, prawda? – Z twarzy Ludmiły zniknął uśmiech.

– Dla waszej mości? Dopiero później – odparłem szczerze. – Ale dla mnie zapewne dużo szybciej.

– Miałyśmy się kąpać w wannach wypełnionych mlekiem kokosowym – wyznała księżna z ponownym rozmarzeniem w głosie. – Czekały na nas balsamy z miodu i soku pomarańczy, płonęły cynamonowe kadzidła... Ach, jak mocno czułam ten zapach... – Wciągnęła powietrze nozdrzami. Potem pokręciła głową z jednoczesnym podziwem i niedowierzaniem. – To czary, prawda? Jej czary?

– Coś w rodzaju uroków – odparłem. – Nontle potrafi zsyłać senne wizje na wybranych ludzi i kierować tymi ludźmi poprzez ich własne pragnienia. Wasza Wysokość marzy o pięknie i spokoju. O wypoczynku.

Skinęła głową.

– W jaki sposób zaatakowała ciebie?

– W taki sposób, w jaki najprościej pięknej kobiecie uderzyć w młodego, pełnego zapału mężczyznę – rzekłem na pół żartobliwie, na pół poważnie.

– Czemu jej się nie udało?

– Zasługa inkwizytorskiego szkolenia – wyjaśniłem, gdyż nie zamierzałem wnikać głębiej, a na pewno nie zamierzałem mieszać Nataszy do moich wytłumaczeń.

Ludmiła skinęła z uznaniem głową.

– Dobrze więc, że cię mam – stwierdziła. – A po co były te uroki?

Byłem pewien, że Ludmiła świetnie zna odpowiedź, lecz szuka potwierdzenia. W tym wypadku mogłem zresztą powiedzieć prawdę.

– Wasza mość sama by ją uwolniła przez sen i od tej chwili Hildegarda Reizend, a nie Wasza Wysokość, rządziłaby już Peczorą oraz życiem wszystkich zamieszkujących ją ludzi – odparłem.

Zdałem sobie sprawę, iż tak łatwe pogodzenie się Ludmiły z utratą Nontle zawdzięczam również, jeśli nie w głównej mierze, strachowi i zdumieniu, jakimi zdarzenia ubiegłej nocy napełniły serce księżnej. Kto wie czy gdyby nie próba Nontle wyrwania się z niewoli, to przyszłoby mi tak łatwo przekonać władczynię, że nie dysponując niemal niczym, pragnę zdobyć niemal wszystko.

– Ach, zaraz – zatrzymała mnie w progu. – Jak dasz znać mateczce, że się zgodziłam? Jedna z jej dziewcząt jest z tobą?

Rozłożyłem ręce.

– Nie było mowy na ten temat.

Księżna prychnęła i uderzyła pięścią w otwartą dłoń.

– Starucha wiedziała, że się zgodzę – burknęła niezadowolona. – I nie wykazała nawet tyle grzeczności, by udać, że jest inaczej... Mówiła ci, co zamierza zrobić teraz?

– Jeżeli Wasza Książęca Mość w jakimkolwiek momencie powzięła mniemanie, że wiedźma darzy mnie czymś na kształt konfidencji czy nawet śladowego zaufania, to z całym szacunkiem zapewniam, że jest to mniemanie całkowicie mylne – rzekłem. – O mało nie zginąłem przez nią na tych bagnach – dorzuciłem i usłyszałem we własnym głosie złość.

Ludmiła zapewne mogła się zgniewać na tak długą i pokrętną odpowiedź na proste pytanie, lecz tylko prychnęła.

– Nie, nie przypuszczam, by ci ufała chociaż na tyle. – Powiodła palcem po samej krawędzi paznokcia, by pokazać, jak bardzo mała jest jej wiara w to zaufanie. – Zresztą komu ona ufa? Nikomu. Każda z jej dziewcząt jest niczym ryś. Tylko patrzą, kiedy starucha osłabnie, by skoczyć na plecy i złamać jej kark.

No tak, jak widać, wiedza o wzajemnych stosunkach wiedźmy i jej wychowanic nie była wiedzą hermetyczną.

– Jedna nawet próbowała – rzekłem.

Księżna spojrzała na mnie pytającym wzrokiem. Zwięźle opowiedziałem historię zbuntowanej uczennicy o imieniu Galina, która zapłaciła najwyższą cenę za to, że przeceniła własne siły, a nie doceniła złowrogiej mocy czarownicy. Ludmiła wysłuchała mnie i skinęła ponuro głową.

– Ach, więc to był ten cudak, co nas wtedy prowadził przez bagna. – Wzdrygnęła się. – A ja myślałam, że to jakiś... – Wzruszyła ramionami. – Pokraczny demon czy co innego...

No cóż, ten cudak czy pokraka nie był żadnym demonem, lecz młodą dziewczyną, dziewczyną niegdyś taką jak moja Natasza, a później istotą o ciele wyniszczonym torturami. Dziewczyną taką jak Natasza, tyle że bardziej niecierpliwą. Również dowiedziałem się o tym dopiero po śmierci zbuntowanej uczennicy. A zarówno kalectwo, jak i mękę oraz śmierć owa wychowanica zawdzięczała jędzy z trzęsawisk.

Potem Ludmiła dała mi znać niecierpliwym ruchem dłoni, że mogę wreszcie odejść, a ja skłoniłem się uprzejmie i wyszedłem z pokoju. Za progiem na ławie siedział Andrzej i pogwizdując, czyścił paznokcie ostrzem sztyletu.

– Zostanę tutaj – oznajmił, kiedy tylko mnie zobaczył.

W korytarzu stało jeszcze dwóch strażników, ale bezpieczeństwa nigdy przecież dosyć. Ludmiła moim zdaniem i tak nie pilnowała się, jak powinna, lecz przynajmniej wiedziałem, że od czasu buntu Izjasława kazała jednej ze służących kosztować wcześniej każdej potrawy, którą sama zjadała. Z doświadczenia, opowieści oraz historycznych kronik wiedziałem, że podobna przezorność nie zawsze pomagała, ale przecież lepiej być za bardzo ostrożnym niż nie dość ostrożnym.

Wyobraziłem sobie, jak niezwykłą ochroną musi być otoczony moskiewski wielki książę. Bo nie dość, że naprawdę znajdował się w centrum intryg, to jeszcze, jak mówiono, był tak bardzo podejrzliwy, iż podejrzliwość ta przekraczała granice szaleństwa.

Dla poddanego niebezpiecznie jest żyć na dworze podobnie zachowującego się władcy, więc może i lepiej, że Ludmiła kierowała się w tej mierze powściągliwością. A niewątpliwie przede wszystkim kierowała się wygodą, gdyż życie w ciągłym strachu i ciągle napiętej czujności nie jest przyjemne. Na Rusi co prawda od dziecka uczono się takiej nieufności, lecz księżnej nie nazwałbym typową ruską możnowładczynią. To była wychowana pośrodku głuszy dziewczyna, która najpierw spodobała się księciu, a po kilku latach małżeństwa stanęła na czele spisku przeciwko niemu. I tyle.

Moja kwatera była zamknięta na łańcuch z solidną kłódką i pilnowana przez dwóch żołnierzy. Zresztą „pilnowana" to zapewne zbyt wiele powiedziane, gdyż jeden z wojaków spał oparty o ścianę, a drugi siedział w kucki, łapał mrówki i rozgniatał je na kamieniu. Razem z powiewami wiatru niósł się od nich obu ciężki odór piwa i moczu. W rzymskim legionie zostaliby przepuszczeni przez szpaler towarzyszy uzbrojonych w kije i zatłuczeni na śmierć. W dzisiejszych wojskach cesarskich pewnie czekałaby ich solidna chłosta. Ale Ruś to była Ruś i tutaj rządziły inne zasady. Spokojnie więc odsunąłem nogę śpiącego, która leżała na progu, otworzyłem kłódkę i zdjąłem z drzwi łańcuch. Zabójca mrówek był tak pochłonięty swoim zajęciem, że nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Zresztą, jak zauważyłem, celowanie kamieniem w przebiegające owady nie szło mu najlepiej.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do ciemnego wnętrza. W klitce było duszno i śmierdziało. Trochę butwiejącym drewnem, przede wszystkim zaś odchodami. No cóż, Nontle może i była potężnie uzdolnioną magiczką, lecz jak widać, nie potrafiła wstrzymać wydalania, co czyniło ją przynajmniej pod tym względem istotą na wskroś ludzką. Wyobrażałem sobie, jak bardzo musi być wściekła w swojej trumnie, ale przyznam wam, mili moi, iż ta myśl nie sprawiała mi nawet cienia satysfakcji. Naprawdę chętnie traktowałbym Mauretankę przyzwoicie oraz z szacunkiem i zapewniłbym jej odpowiednie wygody, gdybym tylko nie bał się, iż podobna wielkoduszność obróci się przeciwko mnie. A tego, że tak

właśnie by się stało i że stukrotnie pożałowałbym dobrego serca, byłem więcej niż pewien.

Stanąłem obok skrzyni, w której uwięziłem Nontle.

– Wybacz mi, księżniczko – rzekłem na głos. – To nie złośliwość ani lekceważenie nie pozwoliły mi cię odwiedzić. Księżna wysłała mnie z misją, więc nie było mnie w obozowisku i nie mogłem ci w żaden sposób usłużyć. Pokornie proszę, byś nie miała mi tego za złe.

Podejrzewam, że słysząc te słowa, miała ochotę upiec mnie na wolnym ogniu, ale wypływały one przecież ze szczerego serca. Bo chociaż mogła mi nie wierzyć, to sprawianie jej bólu, przykrości czy niewygody naprawdę nie było moim zamiarem i szczerze ubolewałem, iż musiałem się do podobnego postępowania przekonać. Zawsze jednak lepiej, że to ona leżała w pudle zbitym z sosnowych desek, a nie ja, prawda?

– Niestety, z ogromnym żalem muszę stwierdzić, że nadużyłaś mojego zaufania, nie usłuchałaś moich ostrzeżeń – kontynuowałem. – I próbowałaś omamić księżną.

Od czasu kiedy dowiedziałem się o kolejnej próbie oswobodzenia podjętej przez Hildegardę Reizend, zastanawiałem się, w jaki sposób i czy w ogóle ją ukarać.

– Wierz mi, że ukarałbym cię z prawdziwym bólem serca, jednak w tej chwili na szczęście nie ma takiej potrzeby – kontynuowałem. – Od jutra bowiem będziesz miała szczęście przebywać pod inną opieką niż moja.

Wiedziałem, że zżera ją nawet nie ciekawość, lecz wręcz żądza dowiedzenia się, o co chodzi w moich słowach, nie zamierzałem jednak niczego bliżej tłumaczyć. Zresztą może Hildegarda Reizend miała umysł na tyle bystry, że potrafiła domyślić się, pod czyją opiekę może trafić? Kto ją tam wie... Ciekaw byłem, jakie korzyści z obcowania z nią wyciągnie mateczka Olga i czy Nontle przeżyje ów pobyt w gościnie ruskiej wiedźmy. Chociaż czarownica nie wyglądała na kogoś, kto zabijałby bez potrzeby. A Nontle mogła okazać się, czy ściślej mówiąc: na pewno okaże się skarbcem wiedzy. I mateczka Olga postara się zaczerpnąć z tego skarbca pełnymi

garściami. A jeśli afrykańska księżniczka będzie się temu zaczerpywaniu opierać... no cóż, wtedy sprawy mogą się potoczyć nie tak, jak by sobie życzyła. Przy wszystkich jednak kłopotach, jakie były udziałem Nontle, miałem wrażenie, a właściwie niemal pewność, iż ta doświadczona badaczka, podróżniczka i magiczka jakoś wywinie się z opresji. Tylko miałem nadzieję, że kiedy będzie się z niej właśnie uwalniać, to mnie nie będzie w pobliżu...

No cóż, dość jednak rozważań o przyszłości, należało poświęcić czas temu, co tu i teraz. Zająłem się więc różnymi rzeczami, które nie były przyjemne ani dla niej, ani dla mnie, ale które trzeba było wykonać, choćby w celu pozbycia się smrodu. Potrzebne mi było wiadro z wodą i szmata, więc to, co miałem do zaproponowania Mauretance, na pewno nawet nie zbliżało się do leniwej kąpieli w kokosowym mleku, wśród pachnących świec. No ale przynajmniej udało mi się ją z grubsza oczyścić. W każdej chwili zajmowania się Nontle uważałem tak, jakbym miał do czynienia z krokodylem o niezawiązanym pysku. A może nawet uważałem jeszcze bardziej. Bo wiedziałem, że to jedyny sposób, bym przetrwał konfrontację z ową niebezpieczną kobietą.

Kiedy zrobiłem, co miałem do zrobienia, wyszedłem przed barak. Pierwszy ze strażników pochrapywał z głową opartą o ramię, a drugi znalazł tym razem lepszą zabawę, gdyż wprawdzie nadal łapał mrówki, ale teraz wpuszczał je śpiącemu towarzyszowi za cholewy butów. Przyglądałem się temu przez chwilę, a żaden z nich nie zwrócił na mnie uwagi. Pierwszy ze względów oczywistych, drugi dlatego, iż całą uwagę poświęcał złośliwemu mrówczemu zajęciu. A jak zauważyłem po roku bytności na Rusi, wielu spośród Rusinów potrafiło wykonywać tylko dwie czynności naraz: oddychanie oraz jakąś drugą.

Kiedy odwróciłem wzrok od żołnierzy, dojrzałem przelatującego jera. Śmignął mi kilka stóp od twarzy i byłem ciekaw, czy to ten sam, który wyprowadził mnie z mokradeł. Usiadł na gałęzi. Obok, jak się okazało, kilku innych. Wszystkie tkwiły spokojnie w dość równym rządku, jeden obok drugiego. Zaraz podfrunęło do nich, nie wiem nawet skąd, pięć albo sześć kolejnych ptaszków. Przysiadły konar

wyżej. I już chwilę potem zaszumiały skrzydełka następnych i jeszcze następnych. Teraz malutkie, pobłyskujące w południowym słońcu, kolorowe jery lśniły na wszystkich gałęziach. A potem zobaczyłem je na drzewie obok. A potem na kalenicy najbliższego dachu. Już nie tylko ja jeden obserwowałem to zdumiewające zjawisko. Wraz ze mną spoglądali dworzanie, żołnierze i słudzy Ludmiły. Po ich twarzach poznałem, że są zaniepokojeni i strwożeni, a wielu czyniło w powietrzu znak krzyża i zgniatało potem ślad w pięści. Wielu również odwracało wzrok od ptaszków, jakby były one jakimiś gorgonami, meduzami umiejącymi sparaliżować ofiarę wzrokiem ślepków błyszczących niczym wypolerowane kamyczki.

Nikt jednak nie usiłował jerów przepłoszyć, nie daj Boże, skrzywdzić. Podejrzewałem, że nikomu nawet nie przyszło to do głowy. A ptaszków przybywało coraz więcej i coraz więcej. Co

najmniej kilka setek, może nawet ponad tysiąc. Obsiadły okoliczne drzewa oraz dachy domów.

– Nigdy nie widziałem tylu siedzących ptaków naraz – powiedziałem, widząc, że zbliża się do mnie Andrzej.

Bo pamiętałem przecież, że na Rusi, ale też jeszcze w Cesarstwie zdarzało mi się obserwować wielkie klucze przelatujących wysoko na niebie ptaków. Ale żeby takie ich chmary siedziały spokojnie tuż obok ludzi? Co to, to nie.

Dworzanin Ludmiły uśmiechnął się kącikiem ust. Znowu przez chwilę ten grymas nadał jego poranionej twarzy koszmarny wygląd, ale wrażenie zaraz minęło. Cóż, chyba dobrze będzie, jeśli zapuści brodę, pomyślałem.

– Zobaczycie ich jeszcze więcej – stwierdził.

– To mateczka Olga, co?

Mój towarzysz wzruszył ramionami.

– Któż by inny, skoro przekonaliście ją, by nam pomogła.

– Te wróbelki mają nas wesprzeć? – zapytałem. – A co one niby zrobią? Zaświergoczą żołnierzy Izjasława na śmierć?

– Nie wiem, co te ptaki zrobią, ale cokolwiek by to było, zaręczam wam, że nie spodoba się stryjaszkowi naszej pani.

Czy widziałem kiedyś ptaki atakujące ludzi? Tak, widziałem na przykład wrony szarpiące jeszcze żywego człowieka, próżno się od nich odganiającego. Ale ten mężczyzna był ciężko ranny i leżał na ziemi, a owa ziemia była jeszcze niedawno polem bitwy. Wszędzie unosił się zapach krwi, a ścierwojady wydawały się niczego nie bać. W końcu żołnierz osłabł i wtedy wrony wydziobały mu oczy. Ale tak jak wspomniałem, chodziło wówczas o wielkie, odważne i pewne bezkarności ptaszyska, a nie o malutkie, drobne i płochliwe jery, które dorosły mężczyzna łatwo mógłby zgnieść w garści, jeśli tylko wcześniej dałby radę któregoś złapać. Oczywiście już Rzymianie doskonale wiedzieli, że *nec Hercules contra plures*, lecz nie mogłem sobie wyobrazić, iż nawet tysiące tych małych ptaszków zdołałoby uczynić krzywdę opancerzonym zbrojnym, zamkniętym w warowni. Tyle tylko, że to była magia. Jakaś przeklęta magia ruskiej wiedźmy, która nawet niewinne stworzenia Boże potrafiła wykorzystać do

plugawych celów. Z drugiej jednak strony patrząc, póki ta magia działała na moją korzyść, mogłem spoglądać na nią znacznie życzliwszym okiem pomimo jej niewątpliwego plugastwa...

Księżna opuściła kwaterę, mając po bokach Jewsieja i jeszcze jednego oficera. Wszyscy troje powiedli wzrokiem po zgromadzonych ptakach, a obaj mężczyźni przeżegnali się gwałtownie. Ludmiła tylko skinęła głową, jakby widok owych ptaszków był czymś, czego się spodziewała i czego obecność chętnie akceptowała. Powiedziała coś po cichu do Jewsieja, a ten, z szacunkiem pochylony, wysłuchał jej uważnie. Potem podniósł głowę.

– Kto ukrzywdzi jera, ten zostanie żywcem zakopany w ziemi, by tam skonał! Tak rozkazała wasza księżna. Powtórzcie każdemu, kto słucha! – wykrzyczał tubalnym głosem.

Okrutna groźba, o dziwo, nie tylko nie przestraszyła ani nie zdumiała poddanych Ludmiły, lecz wręcz napełniła ich widoczną ulgą. Widziałem wiele twarzy, które rozpogodziły się i uśmiechnęły, ludzie powoli zaczęli rozchodzić się do własnych zajęć, nikt już nie wpatrywał się w ptaszki skamieniałym z trwogi wzrokiem. Na nowo zaczęły się rozmowy, dobiegły mnie śmiechy i pokrzykiwania. Jery siedziały dalej wszędzie wokół, niemal nieruchome, czasem tylko niektóre z nich przechylały główki lub otrzepywały skrzydła, lecz nikt się już ich obecnością nie przejmował. Po słowach Ludmiły stały się one tak samo zwyczajną częścią rzeczywistości jak drzewa, gałęzie czy pasące się za jednym z domów kozy. Ludzie po prostu zrozumieli, że księżna wie o wszystkim, rozumie wszystko i jest pewna, że jery są jej sojusznikami. I to całkowicie wystarczyło, by wszystkich nie tylko uspokoić, ale wręcz natchnąć pogodą ducha.

Ludmiła rozejrzała się wokół dumnym spojrzeniem gospodyni doglądającej gospodarstwa, po czym jej wzrok padł na mnie. Skinęła palcem.

– Wasza miłość? – zapytałem, spiesznie podchodząc.

– Postawcie ludzi na nogi – rozkazała oficerom. – Sformujcie szyk jak do bitwy.

Jewsiej drgnął, zawahał się. Pochylił głowę, jednak widziałem, że jest zaniepokojony. I wreszcie nie wytrzymał.

– Będziemy się bić, Wasza Wysokość? – spytał uniżonym tonem.

– A czy ja ci mówię, że bić się będziemy? – zirytowała się Ludmiła i obrzuciła stropionego oficera wyjątkowo nieprzyjemnym wzrokiem. – Ruszymy i staniemy jak do bitwy pod murami Peczory. Jeszcze chciałbyś o coś mnie wypytać? – Jej głos z nieprzyjemnego stał się wręcz niebezpiecznie zjadliwy.

Jewsiej pochylił się głębiej i niemal z głową u kolan cofał się w takim właśnie głębokim ukłonie, zapewniając solennie, że co tylko jaśnie pani sobie zażyczy, zostanie przygotowane jak należy.

– Wszystko dobrze? – Spojrzała na mnie żywo.

Zrozumiałem, że pyta o Nontle, i teraz też dotarło do mnie, że gdyby Mauretance coś się stało i mateczka Olga poczułaby się w związku z tym oszukana, to wszyscy mielibyśmy nieliche kłopoty.

– W jak najlepszym porządku, Wasza Wysokość – zapewniłem gorąco. – Oczywiście jeśli można mówić o porządku w przypadku kogoś, kogo związano, zakneblowano, odebrano mu wzrok, a następnie zamknięto w trumnie.

Ludmiła skrzywiła twarz w złośliwym uśmiechu.

– Nasza księżniczka poznaje więc trochę niewygód – rzekła złośliwym tonem. – A pomyśleć, jaka była wymuskana i królewsko szykowna, kiedy przybyła z Moskwiczanami!

Oho, ktoś tu jest zazdrosny, pomyślałem. Zresztą nic dziwnego, gdyż o urodę Nontle mogłaby być zazdrosna każda kobieta. O delikatną twarz, powabną figurę, cerę gładką niczym wypolerowany heban, włosy wijące się gęstymi splotami. Tak, tak, Hildegarda Reizend była prawdziwie piękna, a nie ma gorszej rzeczy dla starzejącej się i mało urodziwej kobiety, niż zobaczyć obok siebie puszącą się rywalkę, młodą i przyciągającą męskie spojrzenia wyjątkowym wdziękiem. Tak właśnie świat jest zbudowany, a przyznam wam z własnego doświadczenia, że nigdy nie spotkałem megier bardziej zjadliwych, bardziej nieprzyjemnych i bardziej nienawidzących całego otoczenia niż starzejące się otyłe kobiety. Wydaje się, iż znajdują one szczególne upodobanie w przyglądaniu

się z wyjątkową złośliwością światu i ludziom tymi swoimi małymi, zatopionymi w tłuszczu oczkami. No cóż, gwoli sprawiedliwości przyznajmy, że oczywiście zdarzają się również sekutnice i szantrapy suche niczym kozi bobek wyschnięty na słońcu, jednak wydaje mi się, że mimo wszystko łatwiej znaleźć z nimi wspólny język i skłonić je do ludzkich zachowań niźli te monstrualnie utuczone kolubryny o słoniowych nogach i świńskich podgardlach.

Tak czy inaczej, Ludmiła na szczęście nie była ani tak stara, ani tak brzydka, by świadomość własnej starości oraz brzydoty wpełzała do jej umysłu niczym jad zatruwający zarówno duszę, jak i rozumienie świata. Była tylko i zaledwie złośliwa. A złośliwość wszak jest niezbywalną cechą ludzkiego gatunku, dla którego przedstawicieli nie ma zabawniejszej przygody, niż śmiać się z niezręczności lub innych upokarzających perypetii bliźniego. Z tym że niektórzy śmieją się, kiedy przechodzień poślizgnie się i wpadnie w błoto, a inni łapią się za brzuchy z wesołości, kiedy ktoś padnie z głową rozbitą uderzeniem kopyta wierzgającego konia. I jedni, mimo że się śmieją, to podadzą unurzanemu w błocie przechodniowi pomocną dłoń, a drudzy tylko podziękują Bogu, że to nie ich spotkało nieszczęście, a może nawet poproszą Go, by częściej sprawiał ich oczom podobnie zabawne teatrum.

Armia została przygotowana do wymarszu dość szybko i dość sprawnie, a kiedy pierwsze oddziały zaczęły wychodzić z obozowiska, ujrzeliśmy, jak jery wzlatują w powietrze. Wszystkie co do jednego. Przez chwilę wydawały się gęstą, długą i szeroką burzową chmurą, wewnątrz której kotłuje się nawałnica. I zaraz potem ta chmura pomknęła w stronę peczorskiej fortecy. Nie lotem prostym jak lot strzały, lecz kołując, zawracając, wznosząc się i opadając, zawsze jednak wyraźnie zbliżając się do grodu. Kiedy chmara przelatywała między naszymi głowami a słońcem, wydawało się przez tę krótką chwilę, że nastał wieczór. Pomyślałem,

że jerów jest jeszcze więcej, niż sądziłem na początku. Niezależnie jednak od ich liczby nadal zastanawiałem się, jakąż to krzywdę małe ptaszki mogą uczynić żołnierzom broniącym fortecy.

Oddziały Ludmiły w wolnym tempie przechodziły pod mury, zatrzymując się jednak w bezpiecznej odległości, tak by strzały wystrzelone przez łuczników nie mogły uczynić krzywdy. Ale z fortecy nikt nie myślał strzelać. Strażnicy baczniejszą uwagę zwracali nie na podchodzące oddziały, lecz na ogromne stado ptaków kołujące nad murami i wieżami. Jery latały, zataczając koło wokół peczorskiego zamku, tak jakby w centrum fortecy ktoś trzymał linę, a one były uczepionym do niej latawcem. Na mury wychodziło coraz więcej żołnierzy Izjasława i łatwo było się przekonać, nawet z tak daleka, że z całą pewnością nie są zachwyceni niezwykłym nalotem.

Armia cały czas rozkładała się wokół zamku, od rzeki przed podegrodzie i aż w stronę początku puszczy. Sama księżna wraz z oficerami oraz mną i Andrzejem u boku stała na środku drogi prowadzącej do głównej bramy. Byliśmy doskonale widoczni z murów oraz wież, i właśnie o to chodziło Ludmile. Aby wszyscy ją widzieli i aby wszyscy wiedzieli, że nadciąga. I aby wszyscy mieli pewność, że plaga jerów jest jej sprawką.

Zaświdrował mi w nosie smród gnijącego mięsa. Niewyraźny, ledwie wyczuwalny, tak jakby ktoś gdzieś daleko zdjął pokrywę z wiadra wypełnionego starą padliną i wiatr powiał odór w moją stronę.

– Wiedźma tu jest – zwróciłem się do Andrzeja.

Drgnął.

– Skąd wiecie?

– Czasami ją wyczuwam – odparłem. – Najczęściej nie, ale teraz tak...

Dworzanin zaczął kręcić się w siodle i niecierpliwie rozglądać wokół. Ja tylko oparłem się mocniej na łęku. W jakimkolwiek celu przybywała starucha, nie sądziłem, by chciała nam zaszkodzić. Chociaż sojusze z wiedźmami są niczym kąpiel w głębokiej, mulistej rzece pełnej wirów. My, inkwizytorzy, wiedzieliśmy o tym aż nadto

dobrze, mając często do czynienia z ludźmi, którzy nieopatrznie zawarli przymierze z ciemnymi mocami. Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by dobrze na tym wyszedł. Jednak przyznać również musiałem, że na Rusi obowiązywały inne reguły niż w naszym chwalebnym Cesarstwie. Zwłaszcza inne reguły obowiązywały mnie, od kiedy zostałem pozbawiony wsparcia potężnej instytucji, której służyłem. Przecież aby przetrwać w tym nienawistnym świecie, musiałem zyskać sojuszników. A że jednym z nich stała się wiedźma... No cóż, trudno, inkwizytorzy nie na takie poświęcenia są gotowi dla niesienia blasku chwały Pańskiej.

Obrzydliwy zapach zelżał, zaraz potem całkowicie ustąpił. Czułem już tylko, co czuć powinienem: woń końskiego potu i odchodów oraz charakterystyczny zapach wody i rosnących w mule nadbrzeżnych trzcin, przywiewany podmuchami wiatru wiejącego znad rzeki. To jednak wcale nie oznaczało, że wiedźma gdzieś zniknęła czy odeszła. Może po prostu wyczuwałem ją wyraźniej, kiedy rzucała uroki, a teraz rzucać je przestała?

Jery cały czas krążyły wokół fortecy. Wydawało mi się, że jest ich więcej i więcej. Złapałem się na myśli, że niedługo przestaną być przesuwającym się na nieboskłonie kluczem, a zamienią się w obręcz, która zamknie się wokół grodu, ściśnie go i zgniecie. Ich zachowanie było na pewno dziwne, może w jakiś sposób niepokojące (a nawet na pewno niepokojące, jeśli ktoś był przesądny), lecz nadal nie mogłem pojąć, jak ptasia inwazja może nam pomóc. Przez chwilę przypomniał mi się los żołnierzy Ludmiły, których czarownica zamieniła w żywe bomby wybuchające piekielnym ogniem, lecz zaraz odrzuciłem myśl, iż może chodzić o coś podobnego. Przecież w takim wypadku nie tylko poginęliby ludzie, ale również zniszczeniu uległby sam zamek. Tymczasem Ludmiła była na tyle mądra, by nie chcieć wracać do władzy za cenę zrujnowanej fortecy pełnej trupów. Bo też nie wiadomo, jak długo taka władza by wtedy przetrwała. I można podejrzewać, że raczej krócej niż dłużej.

– Idzie – wykrzyknął stłumionym głosem Andrzej.

Obróciłem się w stronę, w którą patrzył. Mateczka Olga szła ubrana w szary płaszcz z kapturem zarzuconym na ramiona. Jej siwe włosy upięte były na czubku głowy, a w dłoni trzymała kostur. Kij wyglądał całkowicie zwyczajnie, lecz świetnie przecież pamiętałem, że czasem zaczyna drgać, tak jakby jego czubek składał się z setek maleńkich, ciemnych, szamoczących się robaczków. U boku wiedźmy stąpała Tamara, też ubrana na szaro i też w długim płaszczu, ale ona nie niosła w ręku kostura, lecz bukiecik intensywnie szafirowych irysów. Ogniście rude włosy miała splecione w dwa warkocze. Zahaczyła mnie wzrokiem, uśmiechnęła się i pomachała dłonią wolną od kwiatów.

– Widzę, że całkiem was lubią te wiedźmy – zauważył Andrzej.

– Darujcie sobie – powiedziałem. – Dziewczyna jest miła, a poza tym wychowywała się z Nataszą...

Przypomniałem sobie, jak w nocy oczy przytulonej do mnie Tamary rozbłysnęły czerwienią. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że nie jest to zwykła „miła dziewczyna”, nie widziałem jednak powodów, by opowiadać o tym dworzaninowi Ludmiły. Zresztą on i tak na pewno swoje wiedział.

Dwaj kawalerzyści zeskoczyli z koni i opadli na czworaki, by wiedźmy mogły, jeśli taka ich wola, po ich grzbietach usiąść w siodle. Mateczka Olga udała, że nawet tego nie zauważa, i po prostu przeszła pomiędzy wierzchowcami. Natomiast Tamara zaśmiała się perliście i dała takiego susa, że żołnierz, po którego grzbiecie wskakiwała, aż przygiął się do ziemi i jęknął. Nawet dość zgrabnie utrzymała się w siodle. Wykręciłem w jej stronę i chwyciłem za wodze jej rumaka. Ostatnie, czego teraz ktokolwiek by sobie życzył, to spłoszony koń z wychowanicą wiedźmy na grzbiecie.

– Nie umiesz jeździć konno, prawda? – zapytałem cicho.

– Nie umiem – odrzekła z pogodną szczerością.

Przybliżyłem się jeszcze i poklepałem jej wierzchowca po szyi. Co prawda i tak nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, ale lepiej dmuchać na zimne.

– Oj, żebyś mnie tak poklepał. – Błysnęła uśmiechem.

Odpowiedziałem jej również uśmiechem, lecz bacznie przyglądałem się temu, co robi starucha. Ona jednak wydawała się nie czynić niczego szczególnego. Wyszła kilka kroków przed szereg jeźdźców i oparła się na kosturze. Stała tak nieruchomo i przypatrywała się peczorskiej twierdzy. Na murach nie tylko ją dostrzeżono, ale jak sądziłem, bardzo szybko dowiedziano się, kim jest. W końcu jeśli nawet poddani Izjasława nie znali czarownicy z trzęsawisk, to poddani Ludmiły świetnie zdawali sobie sprawę z tego, kim jest postać w szarym płaszczu, i na pewno dzielili się wiedzą z każdym, kto chciał słuchać. Jak również sądziłem, dzielili się opowieściami nie tylko przerażającymi, lecz też powiększającymi każdy przypisywany wiedźmie uczynek niczym obraz w kapitańskiej lunecie. Tymczasem jery zaczęły kołować coraz niżej i niżej, nadal poruszając się tym samym wirującym kręgiem. Aż wreszcie w ciągu jednej chwili obsiadły wieże, mury i krużganki. Ptaszek przy ptaszku, ciało przy ciele, skrzydło przy skrzydle. Zauważyłem, że żołnierze Izjasława zmykają z murów, jednak nikt nie ośmielił się nie tylko uczynić ptakom krzywdy, ale nawet krzyknąć na nie czy machnąć w ich stronę ręką. Zresztą jery nikomu nie robiły niczego złego. Po prostu siedziały. Nachyliłem się w stronę Tamary.

– Wiesz, co się stanie? – wyszeptałem.

Odwróciła się i mrugnęła do mnie.

– Z tobą i ze mną? Nic. Natasza nie pozwoli.

– A z ptaszkami?

– Przyleciały, to i odlecą. – Wzruszyła ramionami.

Jak widać, wypytywanie jej nie miało sensu, bo albo nie chciała mi nic powiedzieć, gdyż nie było jej wolno, albo z przekory, albo też sama nic nie wiedziała, a wstydziła się do tej niewiedzy przyznać.

I wtedy jery zaczęły, chciałbym powiedzieć, świergotać lub ćwierkać, lecz tak naprawdę wydawane przez nie odgłosy w niczym nie przypominały słodkiego, melodyjnego kląskania. Był to dźwięk przywodzący na myśl pocieranie skrzypiących desek, stukanie kijów jednego o drugi czy też skrzypienie połamanego drzewa. Jery są malutkie, ale ich głos wcale nie jest cichy. Powiedziałbym nawet: jak

na takiego niewielkiego ptaszka, bardzo donośny. A tych jerów siedziały na peczorskich budynkach tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy. I wszystkie wydawały owe denerwujące dźwięki, pozbawione taktu, melodii i sensu, zlewające się w jeden szarpiący, nieprzyjemny huk. Słyszeliśmy rejwach dobiegający z Peczory (pomimo odległości), ale słyszeliśmy też owe dźwięki bardzo dokładnie dzięki temu, że jedno małe stadko zostało na dachu najbliższego domu. I należące do niego jery również odzywały się, przekrzywiając lub zadzierając łebki, trzęsąc skrzydłami i przestępując z nogi na nogę.

– Przyznam, że to denerwujące – powiedziałem po chwili do Tamary. – Jednak wolałbym włożyć sobie woskowe kulki w uszy, niż oddać zamek i przegrać wojnę, dlatego że denerwują mnie ptasie wrzaski. – Potem wzruszyłem ramionami. – Zresztą jak Izjasław wystarczająco się zgniewa, to każe je przepędzić albo wystrzelać z proc czy łuków.

– Zobaczymy – odparła poważnie Tamara.

– Albo spadnie deszcz i ptaki odlecą, żeby im skrzydła nie zmokły – dorzuciłem.

Zwabienie tysięcy ptaków i zmuszenie ich, by usiadły w wyznaczonym miejscu, było niezwykłym wyczynem. Zdumiewającym. Owszem, słyszałem, bo każdy inkwizytor przecież o tym słyszał, że w Mrocznych Wiekach czarownice były wielekroć potężniejsze niż dzisiaj, że potrafiły rozkazywać ludziom i zwierzętom, opętywać ich umysły, że ich biegłość w diabelskiej sztuce była nieporównywalna z niczym, co znamy dzisiaj. Ale sądzę, że nawet na wiedźmach z Mrocznych Wieków popis mateczki Olgi zrobiłby wrażenie. Mój Boże, jakżeż ta starucha przydałaby się w Inkwizytorium, pomyślałem, jakież sekrety można by było z niej wycisnąć! I jakaż byłaby to rozkosz dobrze spełnionej służby dla każdego funkcjonariusza Świętego Officjum, gdyby kobieta taka jak ona płonęła na stosie, szczerze pogodzona z Bogiem i święcie wierząca, iż najlepsze, co jej się w życiu przydarzyło, to spotkanie z inkwizytorami.

– Grosik za twoje myśli – usłyszałem pogodny głos wiewióreczki.

– Myślę o tym, że takich czarów nie zna już nikt w Cesarstwie.

– Że nie słyszałeś, by ktokolwiek je znał – poprawiła mnie spokojnie.

Milczałem chwilę.

– Tak – zgodziłem się i skinąłem głową. – Tak właśnie brzmi precyzyjna odpowiedź.

Potem już nikt się nie odzywał i trwało to bardzo długo. A ja pomyślałem, w jak zdumiewającej znalazłem się sytuacji. Oto stałem u boku barbarzyńskiej księżnej, pośród jej żołnierzy i naprzeciw zbuntowanego zamku. Oto niedaleko stała potężna stara wiedźma, z którą byłem sprzymierzony, a tuż obok mnie siedziała wiedźma młoda, ładna i mi życzliwa. Oto wokół nas dudnił, świdrował, chrzęścił i męczył uszy utysiąckrotniony wrzask jerów wezwanych mocą pogańskich zaklęć. I nic innego się nie działo poza tym, że któryś z koni czasami zarżał, a piesi żołnierze przestępowali z nogi na nogę. Tak dziwna była otaczająca nas atmosfera, że Rusini, zazwyczaj skłonni przecież w każdej chwili odpoczynku sięgać zaraz po jedzenie, piwo lub gorzałkę, tym razem nie tylko stali spokojnie, ale nawet jeśli w ogóle się odzywali, to zaledwie szeptem. Czas mijał, a ja myślałem, że im więcej go upłynie i nic się nie stanie, tym gorzej dla nas. Przecież w końcu nawet jery zmęczą się i albo pozdychają, albo odlecą, nieutrzymywane mocą wiedźmy. Jakiż to będzie wstyd cofnąć teraz armię z powrotem do obozu, jakby nic się nie stało. Co prawda Jerycho było oblegane aż przez siedem dni i siedem dni dudniły trąby pod jego murami, zanim te mury padły, wiedziałem jednak, że armia Ludmiły spodziewa się, iż coś ważnego zdarzy się już teraz, już dziś. A armia Izjasława odwrotnie – obawia się, że właśnie dzisiaj stanie się coś strasznego. I jeśli nie wydarzy się nic, to ci pierwsi będą przygnębieni i upokorzeni, pełni zwątpienia, a w tych drugich obudzą się śmiałość oraz nadzieja.

Myśli Ludmiły zapewne krążyły podobnymi szlakami, gdyż widziałem, jak coraz bardziej niespokojnie popatruje a to na peczorskie mury, a to na wciąż nieruchomo stojącą czarownicę, a to na coraz bardziej ciemniejące niebo.

– Nie martw się – zaszeptała Tamara.

– Widać, że się martwię?

Wiewióreczka zachichotała.

– Trudno, żeby nie było widać – odparła.

I nagle zobaczyliśmy ruch przy murach. Otworzono boczną furtkę, wybiegli z niej ludzie i wyprowadzili konia. Jednocześnie opuszczono most zwodzony. Z całą pewnością zamek się nie poddawał. Gdyby tak było, otworzono by nie furtkę, lecz główną bramę. Najpewniej wysyłano parlamentariusza. Cóż, nie miałem pojęcia, w którą stronę zaprowadzą nas negocjacje, ale przynajmniej coś zaczynało się dziać. A to już był krok naprzód. Za mur wyszła niewysoka postać w ciemnym płaszczu, której twarzy z daleka nie było widać, i zgrabnym ruchem dosiadła wierzchowca.

– O mój Boże – westchnąłem.

Tamara roześmiała się, słysząc moje westchnienie. A dlaczego wzdychałem? Ano dlatego, że po sposobie wskoczenia na siodło rozpoznałem Nataszę. Sam jej pomagałem w opanowaniu trudnej, choć wdzięcznej sztuki zgrabnego, płynnego dosiadania konia i przyznam, że przy swojej zręczności oraz gibkości doprowadziła ją do perfekcji. Nie znałem nikogo, kto potrafiłby – nawet na wysoki koński grzbiet – wskakiwać z takim wdziękiem jak Natasza. Tymczasem dziewczyna wolniutko pokonała opuszczony most (zaraz za nią zaczął się z powrotem podnosić) i wjechała na drogę. I kiedy rumak postawił kopyto na trakcie, właśnie w tym momencie ten paskudny hałas wydawany przez tysiące jerów ucichł w jednej chwili. Ucichł tak raptownie, że cisza, jaka po nim nastała, była wręcz bolesna. Niektórzy żołnierze Ludmiły zaczęli potrząsać głowami, jak ktoś, komu do ucha wpadnie woda. Inni natomiast mówili jeden do drugiego, jakby chcieli sprawdzić, czy to ptaszki naprawdę umilkły, czy też oni stracili słuch. Ja natomiast poczułem ulgę, bo przyznam, że krzyk jerów, chociaż tak od nas odległy, doprowadzał mnie do stanu przypominającego uczucie, że swędzi cię część ciała, której w danym momencie w żaden sposób nie możesz ani podrapać, ani nawet dotknąć. Inna sprawa, że kiedy ptasie odgłosy ustały, cisza zdawała się nie tylko świdrować

w uszach, lecz dźwięczeć w nich niczym długo brzmiący pogłos po uderzonym cymbale.

Natasza jechała niespiesznie, stępa, z kapturem płaszcza odrzuconym na plecy, a jej rozpuszczone włosy rozwiewał wiatr. Wyglądała może nie jak wojowniczka (w końcu nie miała ani zbroi, ani oręża), ale niczym piękna tropicielka, która wyrusza właśnie na leśny zwiad. Wszyscy żołnierze i dworzanie wgapiali się w nadjeżdżającą postać, pewnie nie tyle w hołdzie dla urody dziewczyny, ile po prostu zaciekawieni tym, co jej przyjazd przyniesie nam wszystkim. Zaciekawieni i pełni nadziei. Zresztą widok wysłanej z Peczory Nataszy również w moje serce wlał otuchę. Coś się musiało zdarzyć i zapewne nie było to nic niepomyślnego.

Tymczasem Natasza zbliżyła się na kilkanaście kroków i nie zwracając uwagi ani na księżną, ani na wiedźmę, ani na pozostałych ludzi, przycwałowała do mnie i prosto ze swojego siodła wskoczyła w moje ramiona. Było to tak gwałtowne i tak żywiołowe, że ledwo utrzymałem się na grzbiecie wierzchowca. Zacisnąłem uda na końskich bokach, lewą dłonią chwyciłem grzywę rumaka, a prawym ramieniem mocno przycisnąłem dziewczynę. Wyobraziłem sobie, jak bardzo kompromitujące dla Nataszy i dla mnie byłoby, gdybyśmy oboje na oczach całej armii oraz na oczach księżnej i czarownicy runęli w błocko, i na samą myśl aż dreszcz przebiegł mi po plecach. Na szczęście pokaz wypadł chyba całkiem zgrabnie, bo Natasza pocałowała mnie prosto w usta.

– Ściskasz strasznie mocno – jęknęła cichutko, ale jej oczy się śmiały.

Zwolniłem uścisk i obróciłem się w stronę księżnej.

– Wasza Wysokość, przybyła Natasza, do usług Waszej Książęcej Mości.

Natasza wykonała coś, co przy dużej dozie dobrej woli można byłoby uznać za ukłon.

– Izjasław nie żyje. A ja, Wasza Książęca Mość, przyjechałam, by w imieniu jego ludzi oddać ci fortecę – powiedziała szybko. – Jeśli raczysz darować im życie albo, jak powiedzieli, chociaż niektórym

z nich... – zachichotała – to ślubują ci wierność i ofiarują zarówno siebie, jak i wszystkie włości Izjasława.

– A co oni mają do ofiarowania, jak to i tak teraz moje – nachmurzyła się Ludmiła.

– Ale obsadzone wojskami Izjasława – zauważyła rezolutnie Natasza.

Księżna obrzuciła ją nieprzychylnym spojrzeniem i prychnęła. Potem jednak wzruszyła ramionami.

– Niech spuszczają most i otwierają bramy – rozkazała. Następnie dodała bardzo głośno, tak żeby słyszeli ją wszyscy wokół: – Kto z ludzi Izjasława jest winien krzywdy moich sług, ten za te krzywdy zapłaci. Ale kto nie zrobił nic złego, tylko służył swemu panu, ten może zostać ze mną tak, jak był z nim.

Natasza odwróciła się do człowieczka, który przybiegł za nią, a który stał teraz skurczony i przerażony na skraju drogi.

– Idź i powiedz im, że księżna łaskawa. Niech otwierają bramy.

Człowieczek zajęczał coś i puścił się pędem w stronę fortecy, tylko migając bosymi piętami.

– Czemu wysłano ciebie? – Ludmiła utopiła w Nataszy baczne spojrzenie.

– Bo wszyscy inni się bali.

– Czemu nie przysłano wołcha? Przecież wiedzą, że jego bym nie ruszyła...

– A bo on chory. Jęczy, pomstuje i nie może z łoża wstać...

– A czemuż to? – Usłyszałem w głosie Ludmiły zaniepokojenie. Widocznie przypomniała sobie, w jakich okolicznościach sama straciła swojego wołcha.

Natasza bodnęła końskie boki, tak byśmy zbliżyli się do księżnej na bardzo bliską odległość, po czym nachyliła się poufale w jej stronę. Zaszeptała Ludmile coś do ucha.

– No nie! – zawołała księżna, ale ze zdumieniem i rozbawieniem, a nie gniewem czy strachem.

Natasza znowu coś poszeptała.

– A to ci dopiero... – Ludmiła pokręciła głową. Potem popatrzyła w stronę grodu. – No, ruszyło się – stwierdziła z zadowoleniem.

Można powiedzieć, że ruszyło się o tyle, iż podniesiono główną bramę, opuszczono most nad fosą i zaraz potem zobaczyliśmy kilkanaście sunących na kolanach postaci. Byli to mężczyźni bosi, bez czapek, a ubrani tylko w długie koszule. Przesuwali się na klęczkach, z głowami opuszczonymi niemal do samej ziemi.

– Zanim tu się doczłapią, moglibyśmy zrobić wiele przyjemnych rzeczy, gdyby nie ludzie wokół – zaszeptałem Nataszy do ucha i pocałowałem ją w szyję.

Podchwyciłem rozbawiony wzrok Tamary, która mrugnęła do mnie.

– Może wreszcie wszystko będzie dobrze – westchnęła Natasza też bardzo cicho.

– Natasza, co się stało z moim stryjem? – usłyszeliśmy ostry głos księżnej.

Natasza wyprostowała się i spojrzała w jej stronę.

– Umarł ze strachu, Wasza Wysokość – odrzekła zdecydowanym tonem.

Księżna zmarszczyła brwi, a moja towarzyszka uderzyła się pięścią w pierś.

– Przysięgam, Wasza Wysokość, że tak było! Bardzo się przejął jerami i tym, że mateczka Olga przybyła pod Peczorę. I serce mu zaczęło bić coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie chwycił się za pierś, zajęczał, zakrzyczał, zaczerpnął tchu, upadł na ziemię i skonał. – Natasza rozłożyła ręce. – Wszyscy byli zdumieni, Wasza Wysokość. I w ogóle nie wiedzieli, co mają w takiej chwili robić! No to ja im powiedziałam, że jak się zaraz poddadzą, wtedy księżna im daruje, a może nawet weźmie na służbę. No więc ubłagali mnie, żebym pojechała prosić waszą mość o łaskę. – Natasza zaśmiała się z satysfakcją.

Ludmiła milczała chwilę.

– Dobrze się spisałaś, dziewczyno – rzekła wreszcie. – Bardzo jestem z ciebie zadowolona. – Skinęła życzliwie głową. – Zostaniesz nagrodzona.

– Dziękuję, wasza miłość, ja już mam swoją nagrodę. – Pocałowała mnie szybko w policzek, a księżna, widząc to, parsknęła rozbawiona.

Wiedziałem, że Ludmiła od samego początku odczuwała w stosunku do Nataszy szacunek, jako do wychowanicy wiedźmy, ale wiedziałem również, że niemal od samego początku zaczęła żywić do niej coś w rodzaju pobłażliwej, choć nacechowanej nieudawaną serdecznością sympatii, z jaką stara, doświadczona suka może przyglądać się rozbawionemu szczeniątku. Ciekaw byłem, czy w związku z tym udało jej się zapomnieć, że Natasza nie jest, nie była i nigdy nie będzie rozbrykanym pieskiem. Gdyby nie mateczka Olga, to właśnie Natasza byłaby najgroźniejszą osobą w otoczeniu Ludmiły. A to, że jednocześnie potrafiła być zabawna, pogodna i słodka, nie miało nic do rzeczy. Ba, to właśnie sprawiało, że była groźniejszą bronią, niż mogłoby się komukolwiek wydawać.

Ludzie Izjasława, zamienieni teraz w proszalników czy błagalników, nadal sunęli na kolanach i znajdowali się coraz bliżej nas.

– Moskiewski Iwan kazał takich jak oni rozjechać końmi – przypomniała Ludmiła, wpatrując się zimnym wzrokiem w mężczyzn na drodze. – Było ich tam podobno pięćdziesięciu najprzedniejszych mieszczan z Nowogrodu. Też wyszli błagać o litość dla siebie i miasta. Przejechali po nich bojarzy Iwana na ciężkich koniach i w ciężkich zbrojach. – Księżna machnęła ręką. – Raz wte, raz wewte – zaśmiała się sucho. – A potem wszystkich, czy to martwych, czy rannych, czy żywych, czeladź zawlokła do rzeki i potopiła.

– Nowogrodu, Wasza Wysokość? – zdziwiłem się.

Uznałem, że lepiej poprosić księżną o wyjaśnienia, niż pozwolić, by jej myśli zaczęły niebezpiecznie tańczyć wokół możliwości rozgniecenia błagalników za pomocą kawaleryjskiej szarży. Niespecjalnie obchodzili mnie ci ludzie, lecz pomyślałem, że jeśli księżna zdecydowałaby się na akt tak gwałtowny, to znowu oddaliłaby się wizja mojego powrotu do własnej kwatery. A kto wie czy nie trzeba by było jechać na kolejną wojnę. No... a poza tym Dzikar zostałby sam. I chociaż pewnie nikt nie zrobiłby mu krzywdy (w końcu był psem Nataszy!), to jednak nie wiadomo, czyby o niego zadbano i czy nie cierpiałby z tęsknoty za panią. Muszę też

przyznać, że generalnie zawsze byłem przeciwnikiem znęcania się nad wrogami proszącymi o łaskę. Bo to jest mało praktyczne... Gdyż jeśli ktoś tak postępuje, to w pewnym momencie nikt o litość już go nie prosi, tylko pokonani do końca walczą, z rozpaczliwą wściekłością szczura zapędzonego do kąta.

– Mamy dwa Nowogrody na Rusi – wyjaśniła księżna, nie spoglądając na mnie, tylko na pełznących ludzi Izjasława. – Jeden ogromny, który znasz, w którym rządzi pan mój, wielki książę Włodzimierz. I drugi mniejszy, wiele mil na wschód od Moskwy. Wciąż o niego Moskwiczanie walczą z Księstwem Kazańskim i z Mongołami. To o ten drugi chodzi...

– Pokornie dziękuję waszej mości za objaśnienie – odparłem.

Na szczęście Ludmiła poprzestała jedynie na wspominkach dotyczących Iwana i nie zdecydowała się sama zastosować jego metod. Błagalnicy tymczasem dopełzli do nas i zatrzymali się może dziesięć kroków przed koniem księżnej. Teraz wznieśli lament, w którym powtarzały się zapewnienia o niewinności i prośby o litość. Potem pośród tego lamentu zaczęli uderzać głowami w ziemię. I to nie w sposób ceremonialny czy symboliczny, lecz z prawdziwie niehamowaną siłą, jakby chcieli sobie porozbijać łby na drobne kawałeczki. Mieli szczęście o tyle, że droga była błotnista i rozjechana końskimi kopytami, bo obawiam się, że gdybyśmy stali na brukowanym kamieniami gościńcu, to księżna nie musiałaby robić nic poza czekaniem, aż sami siebie wyślą na lepszy świat. Ale cóż, kiedy uderza się mocno, wielokrotnie i z zapalczywym impetem, to nawet rozmiękła ziemia może stać się po pewnym czasie nieprzyjemna. Ludmiła siedziała w końskim siodle w milczeniu i obojętnym wzrokiem przypatrywała się, jak wysłańcy rozbijają sobie twarze i głowy uderzeniami. Przyznam, że nie robiło to na mnie szczególnego wrażenia (zastanawiałem się tylko, czy wpierw osłabną, czy też wpierw księżna ich uwolni), gdyż niewiele jest ludzkich zachowań skłonnych zadziwić kogoś, kto oglądał pochody biczowników ciągnące ulicami miasta.

O, mili moi, musielibyście zobaczyć to, co ja widziałem, by uwierzyć, że tak z własnej i nieprzymuszonej woli mogą

zachowywać się ludzie podobno rozumni, czy przynajmniej podający się za rozumnych. Przez pewien czas bowiem po drogach i miastach Cesarstwa maszerowały grupy mężczyzn i kobiet, którzy za wielką swoją zasługę na rzecz szerzenia chwały Bożej uważali katowanie własnych cielsk za pomocą batów, korbaczy, kańczugów, rózeg, bizunów, knutów, nahajek czy jakich tam jeszcze innych przedmiotów, jakie podpowiedziała im chora imaginacja. Ciągnęły więc te pochody rozebranych niemal do naga nieszczęśników, stłuczonych, skrwawionych i porozbijanych na miazgę i ochłapy, a w tym wszystkim wyjących w jakiejś opętańczej, bolesnej ekstazie. Święte Officjum przyglądało się owemu ruchowi z zainteresowaniem, ale bez wrogości, a wielkie rozbawienie niektórych inkwizytorów budził fakt, że ci obłąkańcy uznawali w bogobojnym zapale, że dobrze będzie od czasu do czasu wciągnąć do swych szeregów jakiegoś tłustego, bogatego proboszcza, oczywiście wbrew tego proboszcza woli. Kiedy jednak nieroztropnie zabrali się również do biskupów, kanoników lub opatów, uznano, że dość tego dobrego – i całe towarzystwo przegoniono na cztery strony świata, a naśladowców od razu zakuwano w łańcuchy i zsyłano do kopalń czy karczowania lasów. Tak właśnie skończył się w Cesarstwie ruch biczowników, zwanych inaczej flagelantami...

Myślałem o tym wszystkim, obserwując niedawnych poddanych Izjasława, którzy rozbijaniem czerepów o błotnistą drogę udowadniali swoje oddanie księżnej. Musiałem jednak przyznać, że w tym wypadku miało to oczywisty sens. Po pierwsze, było jakimś rodzajem kary czy upokorzenia, po drugie, oglądała je cała armia, a więc podnosiło prestiż Ludmiły w oczach żołnierzy i dworzan. A zważywszy na to, że pozycja Ludmiły jako księżnej nie do końca była ugruntowana, każde takie wydarzenie na pewno jej pomagało.

– Dość! – rozkazała wreszcie księżna stalowym głosem i uniosła wysoko dłoń.

Błagalnicy wznieśli twarze w jej stronę. Jeden, widać jeszcze rozpędzony w pokornym zapale, uderzył dwa razy głową w błoto, ale szarpnięty za brodę przez towarzysza, też się powstrzymał

i przez krwawo-błotnistą maź zalewającą mu oczy spojrzał w naszą stronę.

– Zostanie wam wybaczone – oznajmiła Ludmiła. – Ale tylko zapałem, pokorą i posłuszeństwem możecie zapracować na każdy kolejny dzień życia.

Odpowiedziały jej chóralne wrzaski podziękowań i ręce wznoszone do nieba.

– Możecie odpełznąć z powrotem i czekajcie przy fosie – dodała księżna.

Andrzej zachichotał cichutko. Spojrzałem na niego pytająco.

– Każdy zna historię Iwana i Nowogrodu. Teraz będą klęczeć przy fosie i zastanawiać się, czy Jej Wysokość nie każe ich jednak wszystkich utopić, jak już wejdzie do Peczory.

– Ach tak. Ale tak naprawdę to co? Już koniec? Koniec kary?

Potrząsnął głową.

– Niezupełnie. Księżna obiecała, że ci, którzy skrzywdzili jej poddanych, zostaną ukarani – odszepnął. – Więc jak wjedziemy do Peczory, to pewnie przyjmie skargi i kilku najbardziej winnych rzuci psom na pożarcie. Zresztą – uśmiechnął się krzywo – założę się z wami, o co chcecie, że tych, których widziano, jak krzywdzili naszych ludzi, już zakuto i uwięziono. Pozostali wydadzą ich w ręce naszej pani, by się jej przypodobać.

– Słusznie. – Skinąłem głową.

– Tak więc pewnie będziemy mieli jutro widowisko – rzekł. – Widzieliście już podobny teatr, prawda?

– Teatr – powtórzyłem ironicznie. – Oczywiście widziałem.

Doskonale pamiętałem, że w zeszłym roku skrytobójca, który ośmielił się czyhać na życie księżnej, został rozszarpany przez psy. Może nie tyle wspominałbym samą karę, gdyż wbrew temu, co można pomyśleć, nie była ona szczególnie surowa (skazaniec umierał bardzo szybko, gdyż psy były zarówno silne, jak i diablo zajadłe), lecz to wydarzenie utkwiło w mojej pamięci z ważniejszego powodu: to zamach na księżną był pierwszym kamyczkiem w lawinie wydarzeń, która to lawina zmusiła moich towarzyszy do

porzucenia mnie na Rusi, a mnie do pozostawania tutaj już rok. Bez szczególnej nadziei na wyzwolenie.

– A jak księżna nie kazałaby im przestać, by rozbijali sobie głowy, to co wtedy? – spytałem Andrzeja.

Wzruszył ramionami.

– A co mogliby zrobić? Tłukliby łbami w ziemię, póki nie straciliby przytomności, a jakby ją odzyskali, to znowu by tłukli, póki by nie pomarli. – Zmarszczył brwi. – Taaak, przypomnieliście mi coś. Czytałem, jak książę z Kazania, poprzedni, przed Nestorem jeszcze, kazał tak właśnie postąpić buntownikom. I obiecał, że temu, który przeżyje dłużej niż wszyscy pozostali, zostanie darowane życie.

– I co? Naprawdę zostało darowane?

– Zostało.

– I wcale go nie kazał okaleczyć?

Andrzej roześmiał się z satysfakcją.

– A jednak poznaliście już trochę nasze ruskie obyczaje i wasze przypuszczenia idą w dobrym kierunku! Tak jest, temu ocalałemu wyłupiono oczy i go napiętnowano, by ludzie zawsze już wiedzieli, że mają do czynienia ze zdrajcą.

Pokiwałem głową.

– Niektórzy powiedzieliby, że w takim razie lepiej byłoby umrzeć, inni znowu, że mimo wszystko lepiej żyć, choćby w ślepocie i hańbie.

– Co się z tym człowiekiem stało później, tego w książce już nie napisano – wyjaśnił Andrzej.

Kiedy tak sobie gawędziliśmy o historii ruskich obyczajów, w tym samym czasie błagalnicy wracali do twierdzy, tym razem ciągnęli bokiem drogi i gęsiego, cały czas oczywiście na kolanach. A żołnierze, z księżną na czele, ruszyli w stronę otwartej na oścież peczorskiej bramy. Ludmiła jechała bez hełmu na głowie i bez stalowych rękawic na dłoniach. Rozumiałem, że daje tym samym wyraźny sygnał. Ona wraca do siebie jako prawowita pani i gospodyni tego miejsca. Nie powiem, by mi się to podobało, gdyż Peczora była przecież pełna nieprzyjacielskich żołnierzy, nie mogłem jednak, nikt zresztą nie mógł wyjechać przed Ludmiłę, by osłaniać ją własnym ciałem.

– Nie bój się – zaszeptała mi w ucho Natasza. – Tam nikt nie myśli, jak nas ukrzywdzić, ale jak się nam przypodobać, by ocalić życie.

Z punktu widzenia logiki i zdrowego rozsądku moja towarzyszka miała całkowitą rację. Ale inkwizytorzy byli uczeni również tego, że nie wszyscy ludzie kierują się logiką oraz rozsądkiem. I czasami najgorsze zbrodnie popełniane są nie dlatego, że ich autorów charakteryzują przebiegłość oraz roztropność, lecz dlatego, że są całkowitymi idiotami...

– Czego ten twój pradziadek naprawdę tak się przestraszył? Jerów? Wiedźmy?

– Stary był. – Natasza wzruszyła ramionami. – A starzy ludzie łatwo umierają...

Niewątpliwie wybrzmiało w tym twierdzeniu wiele racji, chociaż trzeba również przyznać, że Natasza nieszczególnie przejęła się śmiercią krewniaka. No ale cóż, tak toczyły się sprawy na tym naszym świecie, że lepiej było żyć, niż umierać. Znaczy, dodajmy gwoli ścisłości: przeważnie tak było lepiej.

Rozdział drugi

Dom we krwi

Poddani Ludmiły witali wracającą panią radosnymi wiwatami, śpiewami i padaniem do stóp. Natomiast żołnierze Izjasława pokornie klęczeli z pochylonymi głowami i wyjękiwali na przemian błagalne prośby oraz wyklinali siebie samych i swego niedawnego władcę. Zgodnie z przewidywaniami Andrzeja ludzie Izjasława sami wyszukali pośród siebie winnych przestępstw, oddzielili ich od reszty gromady i posadzili przykutych łańcuchami do ściany. Więźniów było pięciu, mieli zacięte, ponure twarze, bo wiedzieli, że i tak nic ich nie uratuje.

– Ten i ten. – Natasza z twarzą zmienioną gniewem wskazała dwóch mężczyzn. – To oni zagonili tę dziewczynę na mury i ją zrzucili.

Ach tak, prawda, musiało chodzić o dziewczynę, którą uciekinier wziął za Nataszę i opowiadając o jej śmierci, tak bardzo mnie przeraził.

– Sama spadła! – wrzasnął jeden z nich, słysząc oskarżenie.

Ludmiła, która usłyszała okrzyk Nataszy, odwróciła się i zmierzyła skazańców spojrzeniem.

– Niech ich wytrzebią – rozkazała Jewsiejowi. – Dopilnuj tego. A temu, który podniósł głos na Nataszę, niech dodatkowo oderżną

język. A jutro: do psów...

Oficer posłusznie pochylił głowę.

Ludmiła odetchnęła głęboko, rozglądając się wokół wzrokiem pełnym satysfakcji.

– Ech, stęskniłam się za tą stertą zgniłego drewna – powiedziała z uśmiechem.

Potem zeskoczyła z siodła, zostawiając wierzchowca koniuchom, i weszła w błogosławiący ją tłum, a ludzie klękali u jej stóp i całowali kraj jej płaszcza. Cóż, każdy władca lubi odbierać hołdy, zwłaszcza kiedy są to hołdy, jak w tym wypadku, w dużej mierze szczere oraz radosne.

– Inkwizytorze – usłyszałem głos Tamary – czas zakończyć nasze sprawy.

Odwróciłem się w jej stronę. Siedziała prosto w siodle i przyglądała nam się z nieznacznym uśmieszkiem. Moja towarzyszka spojrzała na nią niemal wrogo.

– Dotykałaś go – stwierdziła lodowatym tonem. – Nie myśl, że od razu tego nie poczułam.

Tamara tylko zachichotała i odgarnęła z oczu kosmyk włosów. Mrugnęła do mnie.

– Nataszka, Tamara siedziała obok mnie na ławie... – zacząłem.

– Nie tylko! – Oczy Nataszy zabłysły gniewem.

– Ach tak, jeszcze mnie objęła przy pożegnaniu na bagnach, ale tylko żeby coś mi zaszeptać do ucha.

– Co mu szeptałaś?

– Że mateczkę okłamał, a ja go nie zdradziłam – odparła spokojnie wiewióreczka.

Wzrok Nataszy złagodniał.

– A mateczka sama nie wyczuła kłamstwa? – spytała z niedowierzaniem.

– Ano nie – uśmiechnęła się Tamara. – Może mateczka nam się starzeje? Może słabnie? Hm?

Natasza wzruszyła ramionami.

– Mnie już to wcale nie obchodzi. – Potem zawahała się. – Ale kiedy przyjdzie co do czego, to tobie pomogę – zapewniła, obniżając

głos.

Tamara wyciągnęła do niej dłoń i uścisnęły się serdecznie.

– Przez pamięć dziewczęcej przyjaźni? – zapytała wiewióreczka z leciutką ironią, odniosłem jednak wrażenie, że również z nadzieją, iż odpowiedź będzie brzmiała „tak”.

– I za Galinę – odparła poważnie Natasza.

Tamara przestała się uśmiechać, skinęła głową i powtórzyła cicho:

– I za Galinę.

A więc nadal obie dobrze pamiętały krzywdę towarzyszki i siostry. Pytanie tylko, czy zemsta za życie Galiny miała być zaledwie wytłumaczeniem tego, co i tak chciały uczynić, czy też naprawdę ta nieszczęśliwa dziewczyna tkwiła nadal w ich sercach. Niezależnie, jakie motywy przyświecały ich postępowaniu, jedno było pewne: starucha będzie musiała się strzec. Miałem wrażenie, że ona sama zresztą doskonale zdaje sobie z tego faktu sprawę.

– Ale teraz jedźmy już – przynagliła nas Tamara. – Bo mateczka czeka w obozie.

Staruchę zobaczyliśmy, jak siedzi na szerokim pieńku i siorbie coś z drewnianej miski. W drugiej dłoni trzymała pajdę czarnego chleba, czy lepiej mówiąc, pajdę czegoś, co najpodlejszy piekarz w Cesarstwie uznałby za śmiertelną obrazę swego rzemiosła.

– No, wreszcie – burknęła nieprzychylnie, kiedy nas zobaczyła.

Zeskoczyłem z konia i pomogłem zejść Nataszy. Była tak zręczna, że oczywiście mogła bezpiecznie i zgrabnie opaść na ziemię sama, ale wolała osunąć się w moje ramiona. Miałem pewność, iż nie był to tylko gest zwyczajnej czułości, lecz przemyślany znak w stosunku do wiedźmy. „On jest mój” – mówiła Natasza całą sobą. Zresztą doskonale pamiętałem, co powiedziała na bagnisku wtedy po walce z demonami, kiedy starucha zdawała się wahać, czy mnie nie zaatakować i nie sprawdzić, jaką skrywam tajemnicę. „On jest mój” –

rzekła wówczas Natasza mocnym, nieswoim głosem. „Spróbuj mi go zabrać, a spalę cię na popiół”. I starucha zrezygnowała.

– Gdzie masz tę pięknotkę? – spytała mateczka Olga.

– Czeka w mojej kwaterze – odparłem.

– Czeka – prychnęła wiedźma. – Czeka, patrzcie go. Czeka i doczekać się pewnie nie może, co?

– Sama zobaczysz, sama ocenisz – rzekłem spokojnie.

Czarownica podniosła się z jękliwym stęknięciem, tak jakby ktokolwiek z obecnych mógł się nabrać, że jest ona tylko leciwą kobietą mającą kłopoty z poruszaniem się i cierpiącą na to wszystko, na co stare próchna takie jak ona zwykły cierpieć i się uskarżać.

Poprowadziłem wszystkie trzy kobiety do domu z drzwiami zamkniętymi na łańcuch. Wartownicy tym razem spali, opierając się głowami o ścianę i o siebie nawzajem.

Westchnąłem tylko, a Tamara zachichotała.

– Ale pilnują, co?

Kiedy otwierałem pokój, jeden z mężczyzn otworzył na chwilę oko, przyjrzał się nam wszystkim wzrokiem zmętniałym, raczej jednak obojętnym niż zaciekawionym, po czym znowu opuścił powieki. Odemknąłem drzwi na oścież i wskazałem ręką wnętrze.

– Zapraszam. – Spojrzałem na staruchę, wymawiając te słowa z ironiczną serdecznością.

– Śmierdzi. – Tamara zmarszczyła nos.

– Tak to już jest, że ludzie śmierdzą, kiedy długo nie wychodzą z miejsca, w którym ich zamknięto.

Wiedźma zdecydowanym krokiem, postukując kosturem, weszła do środka. Obie młode kobiety postąpiły za nią, a ja wsunąłem się również i zawarłem za nami drzwi. Światło sączyło się przez nieszczelne okiennice, lecz w pomieszczeniu i tak niewiele było widać. Skrzesałem więc ogień i podpaliłem knot olejowej lampy.

– No i co? Gdzie ona jest? – zapytała czarownica.

Sądziłem, że wiedźma tak biegła w mrocznej sztuce będzie potrafiła odkryć Mauretankę, tak jak ja odkrywałem wiedźmy (fakt, że nie zawsze), chociażby w ten sposób, że czułem smród gnijącego mięsa, kiedy zaczynały snuć swoje plugawe obrządki.

Nie odezwałem się, ale pokazałem palcem skrzynię leżącą na podłodze.

– Zamknąłeś ją w trumnie? – roześmiała się Tamara.

– To zwykła skrzynia, nie trumna. Coś z nią musiałem zrobić, żeby nie zaczęła mi broić.

– Otwórz – rozkazała wiedźma.

Odemknąłem wieko. Zapewne w jarmarcznej lub karczmianej opowieści w tym momencie bajarz zawiesiłby głos, a potem robiąc straszne miny i podnosząc głos do krzyku, opowiedziałby, jak na otwierającego wyskoczyło coś z ciemnego wnętrza. Coś potwornego, coś nieludzkiego, coś monstrualnego... Ale nie byliśmy ani w opowieści, ani w bajaniu. Bo opowieści są takimi potrawami, które trzeba dosolić i dopieprzyć, żeby nie oberwać twardą łyżką po głowie od niezadowolonego klienta. A my byliśmy w zwykłym życiu. Takim, w którym zdarzają się nie tylko niezwykłe niezwykłości, ale również całkiem zwykłe zwykłości i zwyczajne zwyczajności. Dlatego nie tylko nic na nas nie wyskoczyło, ale nic nawet w środku nie drgnęło. Za to smród niemytego ciała i odchodów stał się mocniejszy, tak jakby otworzyć kloakę, nachylić się nad nią i głęboko wciągnąć powietrze w nozdrza. No dobrze, może ździebko przesadzam, może aż tak źle nie było, gdyż w końcu w miarę skromnych możliwości oczyściłem i Mauretankę, i jej skrzynkę, kiedy przybyłem z Peczory. Niemniej nawet jeśli nie było bardzo źle, to było wystarczająco źle, by moje wrażliwe powonienie odczuło ten smród nader boleśnie.

Mateczka Olga nachyliła się i w żółtym, migotliwym płomieniu lampki przyglądała się leżącej całkowicie nieruchomo, związanej i zakapturzonej postaci.

– Długo już tak ją trzymasz? – zapytała rozbawiona Tamara.

– Kilka dni – odparłem.

– Karmisz ją chociaż?

Spojrzałem na nią z wyrzutem.

– Przecież nie chcę jej zabić. Oczywiście, że ją karmię. Poza tym poję i myję. – Westchnąłem. – Choć tego ostatniego może, niestety, nie widać.

– Czy raczej nie czuć – dopowiedziała wiewióreczka i ostentacyjnie pomachała sobie dłonią przed nosem.

Rozmawiałem z Tamarą, ale cały czas pilnie obserwowałem, co robi wiedźma. A ona nachylała się nad skrzynią i wpatrywała w zakapturzoną postać wzrokiem bazyliszka próbującego sparaliżować ofiarę. Z tym że byłby to tak bardzo brzydki i tak bardzo pomarszczony bazyliszek, że nawet inne bazyliszki zapewne omijałyby go z daleka. Nagle starucha wyprostowała się.

– Kim jest według ciebie ta kobieta?

– To Hildegarda Reizend, badaczka i podróżniczka – odparłem, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. – Służy Świętemu Officjum i posiada wielką moc, dzięki której jej usługi są tak cenne.

– Czuję, jak bije jej serce, słyszę jej oddech, czuję jej gniew i pragnienie zemsty. – Mateczka Olga uśmiechnęła się do mnie krzywo. – Ale nie ma w niej ani krzyny mocy...

Odstawiłem lampę i obróciłem się w stronę staruchy.

– Posłuchaj, wiedźmo – rzekłem złym głosem. – Ta zamknięta w skrzyni kobieta ugotowałaby twój mózg jak jajko i tylko spytała, czy ma być na miękko, czy na twardo. Więc nie zwódź mnie, że nie wyczuwasz jej mocy. – Zbliżyłem się o krok. – Chcesz mnie oszukać? – dodałem tym razem już z zimną wściekłością.

Kostur czarownicy zadrżał i znowu, jak to widziałem już wcześniej, na jego końcu pojawiło się coś, co albo przypominało rozedrgane czarne powietrze, albo tysiące wirujących, maleńkich, niedostrzegalnych wręcz robaczków.

– Ja też niczego nie wyczuwam – przyznała Tamara, a w jej głosie nie było irytacji ani gniewu, lecz zdziwienie.

– Miły mój! – Natasza uchwyciła mnie za dłoń. – Przysięgam ci, ja też niczego nie wyczuwam. – Jej głos był smutny i zaniepokojony.

– Ale inkwizytor zgniewał się szczerze – stwierdziła z zadumą w głosie wiedźma, a kostur w jej dłoni przestał drżeć. – A to znaczy, iż wierzy, że owa kobieta to cesarska magiczka, tylko my nie potrafimy jej rozpoznać.

– Jak ją zwał, tak ją zwał – rzekłem. – Może być magiczka. Wiem jedno: potrafi ukrywać swoją moc, by nikt, żaden z waszych

kapłanów ani wołchów, nie poznał, iż jest kimś innym niż tylko ciekawą świata podróżniczką i badaczką, autorką książek, która dotarła do najdalszych krańców świata i je opisała.

Przez chwilę wszystkie trzy kobiety milczały. Natasza nadal trzymała mnie za rękę, ale uścisk jej palców nieco osłabł.

– Kto wie – rzekła starucha. – Może być i tak. Zdejmij jej kaptur.

Ściągnąłem materiał z głowy Mauretanki i zobaczyliśmy poszarzałą, zmęczoną twarz oraz zlepione potem, skołtunione włosy.

– Ech tam, wcale nie jest taka ładna, jak gadali w Peczorze – powiedziała Natasza trochę z zawodem, trochę z lekceważeniem, a trochę z satysfakcją.

– Jakby cię zapakowali do skrzynki, moje dziecko, i trzymali w niej Bóg wie ile, to też niepięknie byś wyglądała i niepięknie pachniała – stwierdziła mateczka Olga.

Twarz Nontle była spokojna, afrykańska księżniczka wyglądała jak martwa albo pogrążona w głębokim, prawdziwie letargicznym śnie. Byłem jednak pewien, że to tylko pozory i że doskonale nas słyszy.

Wiedźma wyciągnęła dłonie, rozczapierzyła palce (wyglądały teraz, jakby wyrzeźbiono je, wysuszone i pomarszczone, z kawałka starego, splątanego korzenia) i zawiesiła ręce nad czołem Mauretanki. Przymknęła oczy i zaczęła coś cicho pomrukiwać. Zauważyłem, że kostur, który teraz opierał się na jej ramieniu, znowu coraz gęściej oplata drżąca czarna poświata. Trwało to chwilę na tyle długą, że zdołałbym zapewne wychylić przez ten czas duży kufel piwa, i to wcale się nie spiesząc, a raczej delektując smakiem. Wreszcie jednak czarownica cofnęła dłonie i przestała mamrotać.

– Nic. Zupełnie nic – powiedziała z zadumą, a potem pokręciła głową. – Czy ona mówi po rusku? – zwróciła się do mnie.

– Nie mam pojęcia – odrzekłem. – Czort ją wie, może i tak. Niezależnie jednak, w jakim języku potrafi mówić, nie pozwolę, by zdjęto jej knebel.

– Tego nikt robić na razie nie zamierza – odparła spokojnie wiedźma. – Wiesz, kim jestem, Hildegardo Reizend? – przemówiła

po łacinie i nachyliła się nad Nontle.

W twarzy księżniczki nie drgnął ani jeden mięsień.

– Czytałam twój „Traktat o anomaliach” – powiedziała wiedźma. – To była niezwykle zajmująca lektura. A wiesz, że kiedyś, kiedy byłam młodsza i silniejsza, też pragnęłam podróżować? Chciałam poznawać świat. Nowych ludzi. – Uśmiechnęła się do własnych myśli. – No ale potem okazało się, że chatka na bagnisku całkowicie wystarcza mi do szczęścia.

Nontle nadal sprawiała wrażenie, że nie słyszy niczego, co się wokół niej dzieje.

– I może to i lepiej, zważywszy, że dzisiaj to właśnie ty, ciekawa świata podróżniczka, leżysz związana w skrzynce przez inkwizytora, a nie ja. – Starucha zaśmiała się suchym śmieszkiem. – W dodatku ten inkwizytor sprzedał cię mnie. Co ty na to?

Równie dobrze wiedźma mogła mówić do hebanowego posągu.

– Będziesz od teraz moją własnością – kontynuowała. – Nawet nie moją niewolnicą, ale zwyczajną rzeczą, z którą uczynię, co tylko będę chciała.

Jeśli szukała sposobu, by sprowokować Mauretankę, to przemowa ta na pewno nie była skuteczna. Zresztą może nie o to chodziło...

– Nie chcesz ze mną rozmawiać po rusku, nie chcesz po łacinie, może spodoba ci się greka? – płynnie przeszła na grecki, a ja rozumiałem wszystko, gdyż nie tylko jako inkwizytor, ale jeszcze jako dziecko odebrałem wyśmienite klasyczne wykształcenie. I chociaż moja greka zardzewiała, gdyż w pracy inkwizytora niewiele było okazji, by używać mowy wodzów i filozofów, to jednak ze zrozumieniem nie miałem kłopotów.

Przyznam, że dziwnie wyglądała ta scena. Oto barbarzyńska kraina na granicy Azji, oto w tej barbarzyńskiej krainie w drewnianym baraku tkwią: stara ruska wiedźma, prawowierny inkwizytor i zamknięta w skrzyni kobieta służąca niegdyś, a może nawet teraz Świętemu Officjum. I rozmawiają klasyczną greką (no cóż, używając słowa „rozmawiają”, przesadziłem, gdyż na razie był to jedynie monolog). Gdyby ktoś kiedyś pisał książkę o moim życiu (chociaż nie sądzę, by taka rzecz się kiedykolwiek zdarzyła, gdyż

opisując moje przewagi, autor zawstydziłby mnie, a przemilczając je – skłamał), koniecznie powinien w niej umieścić ową scenę ze stosownym komentarzem. Tak dziwaczna ona była. Ale tak właśnie się sprawy toczą, że życie jest pełne dziwactw. Czasem zabawnych lub błazeńskich, a czasem wypruwających flaki i odrywających łeb. To zresztą również bywa niekiedy zabawne. A księżniczka Nontle? Ona niewątpliwie należała do tej drugiej kategorii bycia zabawnym.

Wiedźma postukała w czoło Mauretanki kościstym palcem.

– Hej, jest tam kto? – zapytała żartobliwym tonem, lecz jej oczy, jak zauważyłem, były czujne i ponure.

I nadal nic się nie stało.

– Hm... – Wiedźma odsunęła dłonie.

– Ja ją widzę, mateczko – powiedziała Natasza bardzo cicho, ale z wyraźnym przejęciem.

– Co widzisz, dziecko? – Czarownica zwróciła na nią spojrzenie.

– Widzę, kim ona jest. – Natasza wzdrygnęła się. – Mój mężczyzna miał rację. Ona jest bardzo, bardzo groźna.

Tamara ściągnęła usta w ciup.

– Ja tam nic nie widzę ani nic nie czuję – prychnęła z rozdrażnieniem.

Starucha przyglądała się uważnie Nataszy, a ta odpowiadała jej śmiałym wejrzeniem.

– Ja nie kłamię, mateczko – powiedziała wreszcie.

– Wiem, dziecko, że nie kłamiesz – odrzekła czarownica po chwili. – Zastanawiam się, dlaczego cokolwiek spostrzegłaś, skoro ja i Tamara nie widzimy niczego.

– Może to przez niego. – Natasza wskazała mnie podbródkiem. – Przecież każdy wie, że to była jego kobieta – dodała z nieoczekiwanym rozżaleniem w głosie.

Uniosłem dłonie.

– Nataszka, to nie była żadna moja kobieta – zaprzeczyłem, kładąc ironiczny nacisk na dwa ostatnie słowa. – A poza tym wcale cię jeszcze wtedy nie znałem, więc...

Wiedźma odchrząknęła.

– Później sobie pogawędzicie – przerwała mi opryskliwie. – Tak, to być może jest powód – dodała, odnosząc się już do słów Nataszy.

Wyprostowała się, przymknęła oczy i nagle z jej trzewi wyszedł dźwięk tak dziwny i tak przejmujący, że aż się wzdrygnąłem. Starucha nie poruszała nawet ustami, brzmienie jej słów (czy to były w ogóle słowa?) rozchodziło się niczym posępne echo w zasnutej wieczną nocą jaskini. Natasza ścisnęła mnie mocno za rękę i przysunęła się tak bliziutko, że staliśmy teraz już nawet nie ramię przy ramieniu, ale niczym wrośnięci w siebie nawzajem. Zerknąłem na jej twarz i zobaczyłem, że pobladła. Usta jej drżały, jak gdyby wyszła na zimno wprost z wody. A wiedźma mówiła dalej, czy raczej ciągle wydawała z siebie te dźwięki, które nie mogły być, to wam przysięgam, mili moi, żadną ludzką mową. Bo gdyby wronie i hienie narodziło się potomstwo i gdyby to potomstwo pragnęło stworzyć własną mowę, to tak właśnie mogłaby ona brzmieć.

Nontle szarpnęła się w skrzyni, a jej twarz zmieniła się. Widziałem, że usiłuje wypluć knebel i kręci głową, by ściągnąć opaskę, ale rzecz jasna, wszystko wcześniej tak przygotowałem, by podobnej rzeczy nie mogła uczynić.

– A więc żyjesz, czarna kobieto – stwierdziła wiedźma już po łacinie, a mowa ta nawet w jej ustach zabrzmiała teraz, jak gdyby była dźwięczną melodią wygrywaną delikatnymi paluszkami harfistek na jedwabnych strunach.

– Żyjesz i znasz ten plugawy język – dodała. – A niewielu już na świecie go chyba zna...

Znowu nachyliła się nad Mauretanką, która teraz przestała się szarpać. Tylko jej pierś spod materii unosiła się w wyraźnie przyspieszonym oddechu.

– Będziemy mogły wiele się od siebie nawzajem nauczyć. – Starucha nieoczekiwanie łagodnym gestem pogłaskała Nontle po policzku. Potem obróciła się w moją stronę. – Teraz wierzę ci bez zastrzeżeń – rzekła. – I powiem też, że ta kobieta jest warta każdej przysługi. Dlatego z zadowoleniem wypełnię obietnicę, którą ci... – urwała i zwróciła wzrok na Nataszę – a raczej wam – poprawiła się – dałam.

Skłoniłem głowę.

– Oczywiście, jeśli oddasz mi wszystkie dokumenty, jakie jej zabrałeś – kontynuowała. – Oraz jeśli usłyszę zajmującą opowieść o inkwizytorskiej misji za Kamienie, tak jak mi obiecałeś.

– Rzecz jasna – potwierdziłem. – Słowo inkwizytora nie dym.

Przez chwilę milczałem, wreszcie zdecydowałem się odezwać.

– Nigdy nie słyszałem podobnej mowy – rzekłem. – Jeśli to w ogóle była mowa, te dźwięki...

Poczułem, że Natasza zadrżała. Na pewno nie było tego widać, lecz przecież byłem do niej przytulony, więc wyraźnie poczułem dreszcz, który przebiegł przez jej ciało.

Starucha zaśmiała się skrzekliwie. Widziałem, że z jakiegoś powodu jest bardzo, ale to bardzo zadowolona. Cóż, najwyraźniej rzeczywiście uznała, że zrobiła świetny interes, obiecując mi przysługę w zamian za Nontle.

– I módl się, byś nigdy nie poznał nikogo, kto jej używa – powiedziała. – Bo za wysokie to progi dla ciebie.

– Z nią jednak dałem sobie radę. – Głową wskazałem leżącą w skrzyni kobietę. – A i ciebie posłałbym do piekła z pomocą wszechwiecznego Pana, gdyby przyszła taka konieczność – dodałem.

Wiedźma znowu zachichotała i tym razem brzmiało to jak skrzypienie, nie skrzek. Jak tak dalej pójdzie, to zaraz starucha odprawi nam tu radosny taniec z podskokami, pomyślałem, tak bardzo jest uradowana i zadowolona.

– Ano dałeś jej radę, to prawda. – Mateczka Olga już spoważniała i pokiwała głową. – Chociaż jak ci się to udało, nie mam pojęcia. Niemniej, mój ty butny i zarozumiały inkwizytorze, ja nie miałam na myśli, byś strzegł się tych, co tę mowę znają, ale tych, dla których jest ona rodzima.

– No i tak to jest z wiedźmami. – Wzruszyłem ramionami. – Tajemnice zawijają w sekrety i wkładają do pudełka z zagadką.

Uniosła palec.

– Tak właśnie jest z wiedźmami – przyznała poważnie, potem machnęła ręką. – Teraz dość gadania po próżnicy! – przykazała

ostrym tonem. – Opowiadaj wszystko, co o niej wiesz, i daj mi dokumenty, które jej ukradłeś.

– Na razie nie dam ci niczego – stwierdziłem zimno. – Nawet i przede wszystkim nie dam ci skrzyni z naszą księżniczką. Bo co z przysięgą Ludmiły? Kiedy zamierzasz odprawić rytuał? Jak i gdzie to wszystko się odbędzie?

– Wszystko będzie dobrze, mój miły – odezwała się uspokajająco Natasza. – Nie musisz się już o nic martwić. Uwierz mi. – Ścisnęła mi dłoń, a w jej słowach była taka pewność, że rzeczywiście od razu uwierzyłem, iż wie, co mówi.

– Siądźmy sobie wszyscy. – Starucha ciężko opadła na ławę. – I pogawędźmy.

– Ano pogawędźmy – zgodziłem się.

– Opowiadaj, inkwizytorze – rozkazała wiedźma.

Opowieść zacząłem od tego, jak zostałem zwerbowany przez Arnolda Löwefella, by wziąć udział w wyprawie za Kamienie, gdyż jako jedyny miałem okazję poznać zdumiewające długowieczne istoty, które gdyby brać pod uwagę legendy krążące wśród plebsu, można by nazwać wampirami.

– Słyszałam o człowieku zwanym Aga Batarem, ale nie wiedziałam, że to... – czarownica skrzywiła usta i przez chwilę wyraźnie się zastanawiała – demon.

– Nie sądzę, by nazwa demona pasowała do tego rodzaju kreatur – odparłem ostrożnie. – Wiem jednak, że to, co wiedział, lub to, co posiadał, wzbudziło ogromne zainteresowanie Świętego Officjum. Przysięgam jednak, że nie mam pojęcia, co to mogło być. Ale sam fakt, iż zorganizowano wyprawę inkwizytorów aż za granice Rusi, jest zdumiewający.

Mateczka Olga skinęła głową, najwyraźniej okazując, że wierzy moim zapewnieniom. Opowiedziałem dalej o bitwie z wampirem i jego świtą, a następnie o tym, jak na życzenie Ludmiły musiałem pozostać w Peczorze. Wspomniałem również, że uratowanie księżnej z rąk skrytobójcy nie było moją zasługą, choć właśnie mnie ów triumf został przypisany. Mówiłem także, iż wszyscy członkowie

cesarskiej ekspedycji byli wytrawnymi, doświadczonymi inkwizytorami, nieskończenie bieglejszymi ode mnie.

– Wewnętrzny Krąg – mruknęła zamyślona starucha.

Drgnąłem zaskoczony. Łypnęła na mnie.

– Tak, tak, podejrzewam, że wiem o tych przeklętnikach więcej, niż ty dowiesz się kiedykolwiek. – Zaszeleściła złośliwym śmieszkiem i machnęła ręką. – Co zresztą wyjdzie ci tylko na dobre, bo źle jest wiedzieć o nich zbyt wiele.

– Z tą tezą zgodzę się bez dyskusji – odparłem, w Świętym Officjum bowiem nauczono nas, by nie wtykać nosa w nie swoje sprawy, jeśli nie zostało się do tego upoważnionym.

– Kiedyś wszystko wyglądało inaczej. – Starucha zapatrzyła się gdzieś nad moją głową, ale byłem pewien, że jej źrenice nie oglądają teraz brudnej powały, lecz wpatrują się w zagasłą przeszłość. – Kiedyś wiedźmy latały po niebie niczym wolne ptaki, a ludzie oddawali nam hołdy. I możni, i plebs. I królowie, i książęta. I nawet biskupi Chrystusa kłaniali się przed nami w pas.

Słuchałem pilnie, gdyż to, co mówiła, pokrywało się z tym, czego uczono mnie o Mrocznych Wiekach. Czy możliwe, że na Rusi lub w pobliżu Rusi sprawy miały się podobnie jeszcze niedawno? A może mateczka Olga po prostu z nostalgią wspominała to, co uważała za wiedźmią tradycję przekazywaną z ust do ust: opowieść o wielkich triumfach w Mrocznych Wiekach.

– Inkwizytorzy tkwili zamknięci w swoich twierdzach – mówiła dalej beznamiętnym tonem. – Kogo nie zastraszono lub nie kupiono, tego zabito. – Teraz uśmiechnęła się z wyraźnym rozmarzeniem. – I byłoby tak po kres dni i po kres świata, i po kres ludzkich dni na tym świecie, gdyby nie przyszły te diabelskie pomioty. – Tym razem zgrzytnęła zębami, a ja wiedziałem oczywiście, że mówi o inkwizytorach Wewnętrznego Kręgu.

– Kiedy i gdzie tak było? – zapytałem.

Obróciła na mnie spojrzenie.

– Dawno temu i daleko stąd – odparła po dłuższej chwili zgaszonym głosem. – Przeminęły dni triumfu i chwały...

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza, aż wreszcie starucha odezwała się ostrym tonem:

– Mów dalej.

Opowiedziałem więc o intrydze Nontle i o tym, że chciała mnie nie wiadomo dlaczego uwięzić oraz że zawarła w tym celu pakt z Moskwiczanami.

– Ponieważ zaś dokładnie wypytać kogoś, kto ma zakneblowane usta, nie jest łatwo – dokończyłem ironicznie – niewiele wiem poza tym, że zdradziła nie tylko mnie, lecz postąpiła również samowolnie, bez wiedzy Świętego Officjum.

– Co ty jej takiego zrobiłeś, że tak bardzo jej na tobie zależało? – zapytała wesoło Tamara.

Starucha zgromiła ją spojrzeniem i dziewczyna zaraz spuściła wzrok na własne stopy.

– Co zrobiłeś z księgami i pismami?

– Są w skrzyni, pod jej nogami – odparłem.

Starucha spoglądała na mnie podejrzliwie. O tyle był to dobry znak, że świadczył, iż nadal nie bardzo potrafiła rozpoznać, kiedy mówię prawdę, a kiedy z prawdą się mijam. Albo też udawała, że tego nie potrafi, by pozwolić mi na fałszywą pewność siebie i dopaść mnie wtedy, kiedy będzie to dla niej wygodne oraz korzystne.

– Zawinąłem je tylko dokładnie w skórę, aby się przypadkiem nie zniszczyły.

– Nie czytałeś ich?

Wzruszyłem ramionami.

– Przeglądałem. Księgi napisano chyba w alfabecie aramejskim, tak mi się wydaje, z tego, co sobie przypominam...

Rzeczywiście widziałem kiedyś aramejskie księgi i naprawdę litery użyte w książkach Nontle przypominały mi tamte litery. Ale czy nimi były?

– A notatki? – Rozłożyłem ręce. – Spisane są chyba szyfrem. Nigdy w życiu nie widziałem podobnych znaczków.

– Aramejskie księgi? – Starucha pokręciła głową. – Mało prawdopodobne. To zawsze był język motłochu, nie filozofów, magów czy badaczy. Zresztą sama zobaczę...

– A mateczka naprawdę zna aramejski? – pisnęła Tamara, lecz wiedźma nie zaszczyciła jej nawet spojrzeniem.

Później opowiedziałem dokładnie o tym, jakich sztuczek używała Nontle, by się wyswobodzić z niewoli, a także o tym, jakie potrafiła sugestywne i niezwykłe obrazy odmalowywać w imaginacji swoich ofiar. Krótko mówiąc, zdradziłem, iż potrafiła panować nad fantazjami oraz snami ludzi, których życzyła sobie opętać. Opowiedziałem również o jej niezwykłym głosie i o tym, że ludzie, słysząc prośby Nontle, pragnęli na ogół jak najszybciej je spełnić, aby tylko zobaczyć uśmiech na jej twarzy lub usłyszeć podziękowania z jej ust.

– Takie buty – mruknęła mateczka Olga. – No, ze mną tak łatwo jej nie pójdzie... – Wyciągnęła kostur i zastukała nim mocno w wieko skrzyni. – Słucha nas, wiem o tym – rzekła. – Ale niech sobie słucha, na zdrowie.

Opowiedziałem również, jak napoiłem księżniczkę mocną gorzałką z czarnego żyta, by w ten sposób otępić jej zmysły, ograniczyć zdolności i spowodować, przynajmniej chwilowo, niezręczność oraz tępotę. Mateczka Olga zarechotała chrapliwie, a Natasza i Tamara zawtórowały jej, choć w tym wypadku śmiech był dźwięczny, wesoły i dziewczęcy. Widząc ich reakcję, mogłem śmiało podejrzewać, że mój pomysł spodobał się na tyle, iż Nontle powinna się spodziewać, że jej przygoda z ruską gorzałką nie zakończy się na pojeniu przeze mnie...

Starucha zadała mi potem jeszcze wiele pytań, zarówno dotyczących wyprawy inkwizytorów, jak i stosunków łączących mnie i Nontle. Musiałem również wyjaśnić kwestie, których wolałbym nie wyjaśniać w przytomności Nataszy, gdyż dotyczyły tego, co robiłem z Mauretanką w czasach, kiedy jeszcze nie miałem pojęcia nie tylko o tym, że zwiążę się z Nataszą, lecz nawet o tym, że ktoś taki jak ona w ogóle istnieje. Nie była to sytuacja zręczna ani dla mnie do mówienia, ani dla Nataszy do słuchania. No ale cóż, wiedźma miała prawo wiedzieć wszystko, co chciała, bo w końcu właśnie wiedza była ceną, za jaką kupowałem bezpieczeństwo dla

Nataszy i dla siebie samego. Czy może zaledwie ułudę bezpieczeństwa? Cóż, to już zobaczymy w przyszłości...

– Niewiele o niej wiesz i niewiele potrafisz o niej powiedzieć – stwierdziła wreszcie niezadowolona starucha i stuknęła kosturem w klepisko. – Ale już ja się postaram wycisnąć jej umysł jak dojrzałą żurawinkę... – Uśmiechnęła się i byłem pewien, że to zdanie tak naprawdę zostało skierowane nie do mnie, lecz do słuchającej nas Nontle.

Szczerze mówiąc, zupełnie nie obchodziło mnie, czy i w jaki sposób starucha wydusi z księżniczki wszystko, co chce wiedzieć. Nontle służyła Inkwizytorium – to prawda, lecz zdradziła mnie dla własnej korzyści, a nie z polecenia Świętego Officjum. Dlaczego więc miałem litować się nad nią, słysząc, że ruska wiedźma wyciśnie ją „jak żurawinkę". Zresztą szczerze mówiąc, jak już wcześniej, mili moi, wspominałem, przypuszczałem, że tak doświadczona badaczka jak Hildegarda Reizend prędzej czy później wykaraska się z kłopotów.

– Ona podróżowała przez Persję i była nawet u podnóża Dachu Świata – powiedziałem. – Zawsze wychodziła cało z każdej przygody. Strzeżcie się jej. Nie lekceważcie...

Dlaczego ostrzegałem wiedźmę, której przecież nie życzyłem niczego dobrego? Otóż uczyniłem tak, ponieważ miałem podejrzenia graniczące z pewnością, iż Nontle po ucieczce z domu wiedźmy nie ruszyłaby wcale w stronę Moskwy lub Cesarstwa, lecz wpierw zajęłaby się porachunkami z waszym pokornym i uniżonym sługą. A jak łatwo się domyślić, jako człowiek łagodnego serca, chciałem za wszelką cenę uniknąć podobnie gorszącej konfrontacji.

Wiedźma wymierzyła kościsty palec prosto we mnie.

– Nie musisz się o mnie bać, inkwizytorze, chociaż wiem, że tak naprawdę boisz się o siebie, nie o mnie. – Potem skrzywiła się. – Myślisz, że przeżyłabym tyle lat w zdrowiu, gdybym nie była ostrożna? W jednym domu z tymi moimi małymi kociczkami, które najchętniej skoczyłyby mi na plecy, przetrąciły kark i zagryzły? – Tym razem jej palec przesunął się od Nataszy do Tamary. – I tylko

oczy błyszczą im na czerwono, kiedy o tym myślą... – Zachichotała ochryple.

– Nieprawda – stwierdziła mocnym głosem Natasza.

Starucha pokiwała głową na boki.

– Prawda nie prawda – rzekła, a potem wzruszyła ramionami. – Będzie, co będzie, nie ma co gadać po próżnicy. Idziemy. Trzeba wszystko przygotować.

Wstała z miejsca i wyprostowała się, a potem wzniosła głowę i przymknęła oczy.

– Tamara – powiedziała.

– Tak, mateczko?

– Zostaniesz tutaj.

– Oj, chciałam zobaczyć, jak mateczka przygotuje wszystko. Może Natasza by została, co? Mateczko?

Starucha patrzyła na nią przez chwilę, ale nie karcąco czy wrogo, lecz z zastanowieniem.

– Natasza musi iść ze mną – zdecydowała wreszcie. – A ty pilnuj czarnej kobiety.

Postąpiła ku rudej dziewczynie, stanęła tak blisko, że nawet nie musiałaby wyciągać ręki na całą długość, by jej dotknąć.

– Nie daj się zwieść, Tamara – ostrzegła poważnie. – Nie próbuj z nią rozmawiać.

– Skoro mateczka mi nie ufa, to ja bardzo chętnie mogę iść z mateczką – powiedziała Tamara niemal obrażonym tonem. – Na tyle czasu inkwizytor zostawiał ją samą i nic się nie stało, to i teraz pewnie nic się nie stanie.

Starucha zbliżyła się o kolejny krok i tym razem wydawało mi się, że jej wychowanica jest zaniepokojona. Jednak nie cofnęła się.

– Tamara – rzekła wiedźma dziwnie ciepłym głosem – jesteś jeszcze za słaba, rozumiesz? Jeszcze nie nadszedł czas. – A potem dodała: – Ta czarna kobieta oszukałaby cię i wykorzystała. Nie myśl nawet o tym.

– Dobrze, mateczko – odparła cichutko Tamara i opuściła głowę.

Tak więc zostawiliśmy wiewióreczkę na straży mauretańskiej księżniczki, a ja zastanawiałem się, czy starucha postąpiła

rozsądnie. No ale cóż, była to jej decyzja, niczyja inna, i ja nic nie miałem do gadania, nawet gdybym cokolwiek na ten temat sądził w sposób jednoznaczny i zdecydowany. Miałem tylko nadzieję, że wiedźma jest na wszystko dobrze przygotowana, skoro jej dotychczasowe życie ułożyło się tak, iż za Seneką mogła powiedzieć: *vivere militare est*. I chociaż nie wiem, czy było walką w tym sensie, w jakim opisywał to rzymski filozof, myślę, iż mateczka Olga nabyła wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, jak stąpać po kruchym lodzie, by nie wylądować na wieczność w lodowatej topieli.

Zastanawiałem się, jak będzie wyglądał ów barbarzyński i pogański, czy może lepiej powiedzieć: plugawie heretycki rytuał. Zastanawiałem się również, czy jest on naprawdę magiczny w rozumieniu prawdziwego cudu, czy też magiczny jedynie w tym znaczeniu, że cudownie ogłupia umysły i napawa je strachem. A tych, którzy złożyli przysięgę, trzyma na smyczy nie tyle niewidocznej, co po prostu nieistniejącej. Było mi jednak wszystko jedno, czy będziemy mieli do czynienia z wiedźmimi czarami, czy z wiedźmim oszustwem. Aby tylko księżna Ludmiła święcie uwierzyła, że kiedy złamie złożoną przysięgę, spotka ją wszystko, co najgorsze.

Inna sprawa, że chociaż mogłem powątpiewać w rzeczywistą siłę rytuału, tak jak powątpiewać powinien każdy trzeźwo spoglądający na świat inkwizytor, nie miałem zamiaru odsuwać od siebie myśli, że mateczka Olga jest kimś o wyjątkowej wiedzy i wyjątkowych zdolnościach. Skoro potrafiła wysłać mnie do nie-świata i skoro spowodowała, bym przez to przeklęte uniwersum podróżował bez bólu (a podobne dobrodziejstwo wcześniej nigdy mnie jeszcze nie spotkało, choć jego cena była bardzo wysoka), już chociażby to oznaczało, że jej magia jest nie tylko rzeczywista, ale bardzo, bardzo mocna i mroczna.

– Czy ten rytuał... – zagadnąłem nagle. – Czy ma coś wspólnego z nie-światem?

Starucha uniosła palec, spojrzała jednak nie na mnie, lecz na Nataszę.

– Byliby z niego jeszcze ludzie – stwierdziła z ironicznym uznaniem. – Chociaż za krótko będzie żył, by tego doczekać.

– Wszystko w rękach Boga Wszechmogącego – odparłem obojętnym tonem. – Nie wzdragam się przed spełnieniem woli Pana, jakakolwiek by ona była. Bo nawet jeśli dla mnie samego oznaczałaby zagładę, to zapewne w planach Bożych miałaby przysporzyć chwały Królestwu Światłości... A to wystarczający powód, by umrzeć szczęśliwym.

– Nie mów tak! – syknęła Natasza i była wyraźnie rozzłoszczona. – Niech sobie ten twój Bóg zabierze ciebie, jak będziesz miał sto lat i będziesz stary i siwy. I jak ja już nie będę żyła...

Stara wiedźma tylko machnęła ręką.

– Wydaje mu się, że jego śmierć byłaby po coś – powiedziała szyderczym tonem. – Że byłaby częścią jakiegoś boskiego planu – prychnęła pogardliwie. – Bo jest tak zadufany w sobie, że trudno mu uwierzyć, iż nikogo nie obchodzi. Ani Boga, ani ludzi.

– Mnie obchodzi! – Tym razem Natasza przeniosła i złość, i spojrzenie na czarownicę.

Wiedźma pokręciła głową z niezadowoleniem.

– Wcale tak być nie miało – rzekła.

I z przeszywającą jasnością dotarło do mnie, że czarownica mówi całkowicie szczerze. Bo przecież nie był to już pierwszy raz, kiedy słyszałem, że sprawy pomiędzy mną a Nataszą miały się źle potoczyć. I że wszyscy byli pewni, że źle się potoczą.

– Chcesz wiedzieć, co się wydarzy? – Starucha obróciła na mnie spojrzenie ciemnych, martwych oczu, które teraz sprawiały wrażenie, jakby były wypolerowanymi okruchami szarego granitu. – Wszystko zobaczysz, kiedy przyjdzie pora. I wtedy będziesz już wiedział.

Nie zabrzmiały te przepowiednie ani jasno, ani uprzejmie, ale przecież po wiedźmie spodziewałem się wielu rzeczy, lecz nie tego, że będzie do mnie przemawiała serdecznie i tak, żebym wszystko zrozumiał. Jednak po poprzednich jej słowach mogłem się domyślać, że rytuał będzie miał związek z nie-światem, plugawie demonicznym uniwersum, w którym wszyscy ludzie i wszystkie

rzeczy mają swoje odbicie. Czasami ukazujące prawdę, a niekiedy w zdumiewający sposób wynaturzone, groteskowe i fantasmagoryczne, jakby przywleczone z piekielnych czeluści sennego koszmaru.

Na miecz Pana, pomyślałem, ileż wiedzy dałoby się wycisnąć z tej staruchy w inkwizytorskim więzieniu! I kto wie w jak wielkim stopniu ta wiedza mogłaby wzbogacić to, co wiemy o świecie czarownic, świecie, w którym obmierzłe plugastwo walczy o lepsze z bezecną nikczemnością, ale który musimy poznawać i studiować, by tym sprawniej bronić świata prawych i sprawiedliwych chrześcijan.

Zanim Natasza udała się, by spełniać rozkazy staruchy i uczestniczyć w przygotowaniach do rytuału (czymkolwiek miał on być, bo tego przecież nie wiedziałem), mieliśmy jeszcze chwilę, aby usiąść razem. Aby być tylko we dwoje (czy licząc Dzikara, we troje) i trzymając się za ręce, opierać się jedno o drugie z tą niezwykłą bliskością znaną parom, które wiedzą, że choć fizycznie to niemożliwe, to w duszach tworzą jedną współmyślącą i współodczuwającą istotę. I nawet nasze serca i pulsy w pewnym momencie zaczęły bić tym samym rytmem. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy tak w milczeniu, ciesząc się sobą wzajemnie. I choć przykro było przerywać tę spokojną ciszę, zdecydowałem, że muszę zadać Nataszy pytanie.

– Kiedy wiedźma ostrzegała Tamarę, że jeszcze nie czas, że jest za słaba, to wcale nie chodziło o walkę z Nontle, prawda? A przynajmniej nie tylko o to...

Natasza skinęła głową.

– Chyba nie tylko – zgodziła się ze mną. Potem westchnęła. – Jeśli Tamara by się zbuntowała, mateczka musiałaby ją ukarać. I pozbawić wszystkiego. A Tamara jest bardzo zdolna.

– A jeśli żadna się nie zbuntuje? Co się wtedy dzieje?

– Nic. – Natasza wzruszyła ramionami. – Mateczka wysyła dziewczęta tam, gdzie się ułożyła o ich wysłanie, tak jak mnie przeznaczono dla ciebie na życzenie Ludmiły. – Uśmiechnęła się i stuknęła mnie końcem palca w nos.

– A jeżeli któraś z dziewcząt z nią wygra, wtedy przejmie wszystko, prawda?

– Tak by było. – Natasza skinęła poważnie głową. – Ale mateczka przeżyła przecież już tak wiele szóstek. Nikt nie wie ile, nikt nie wie, jak długo trwa jej władztwo...

Szóstki. Tak: szóstki. Ta liczba oznaczała oczywiście dziewczęta w tym samym wieku wychowywane przez wiedźmę. W tej chwili miała pod swoimi skrzydłami sześć dziewczynek i cztery panny takie jak Natasza. Cztery, bo Natasza odeszła, natomiast Galina zbuntowała się i została ukarana, a potem zabita, co nawiasem mówiąc, było już dla niej tylko wyzwoleniem oraz aktem łaski...

– Sądzisz, że Tamara... spróbuje? – zapytałem ostrożnie.

Przez chwilę milczała, potem skinęła głową.

– Spróbuje. Na pewno spróbuje. Tylko jeszcze nie teraz. Będzie czekać na okazję. – Nagle obróciła na mnie uważne spojrzenie. – Nie próbuj z nią spiskować przeciw mateczce! – ostrzegła ostrym tonem.

– Nataszka, co ci się stało?

Pokręciła głową, ale nie gniewnie, lecz jakby smutno.

– Po prostu nie pozwól, żeby cię wciągnęła w jakąś intrygę. Niech radzi sobie sama, jeśli już chce. Nic, co dzieje się na bagnach, nie jest twoją sprawą. Pamiętaj!

– Sama obiecałaś jej pomóc – zaszeptałem w jej włosy, by mieć pewność, że nawet jeśli ktoś nas podsłuchuje, to akurat tych słów na pewno nie usłyszy.

Ujęła moją twarz w swoje dłonie i zbliżyła do swojej twarzy.

– To moje sprawy, mój miły, i moje rachunki – powiedziała łagodnie, lecz stanowczo. – Nie wiem, co zrobię, kiedy przyjdzie czas, że będę musiała coś zrobić, że będę musiała wybrać. Ale być może ta chwila nigdy nawet nie nadejdzie. – Wzruszyła ramionami. – Przegrana Tamary byłaby niedobra i smutna, ale przegrana mateczki byłaby jeszcze gorsza dla wszystkich wokół. – Westchnęła.

– Nie mówmy o tym, dobrze? – poprosiła głosem, który wydał mi się przygaszony, może nawet żałosny.

– Jak sobie życzysz – odparłem.

Położyła głowę na moich kolanach i wyciągnęła się wygodnie.

– Ludmiła może zacząć zadawać pytania – rzekła.

– Jakie pytania?

– Dlaczego jej inkwizytor i jej wiedźma nie przewidzieli spisku Kamieńskiego? Dlaczego nie ostrzegli przed Izjasławem...

– Może dlatego, że żadna z tych intryg nie zależała od magii – odparłem. – A może dlatego, że ostatnio byliśmy rozłączeni, ja na wojnie, ty w twierdzy...

– A jeśli księżna zacznie się zastanawiać, czy potrzebna jej taka pomoc, skoro nic z niej nie wynika?

Pokręciłem głową.

– Nataszka, wybawiliśmy całą Peczorę od demona i jego hord – stwierdziłem dobitnie. – Bóg jeden wie, jak sprawy by się potoczyły, gdybyśmy nie odkryli drogi do leża Wilka i gdybyśmy go nie pokonali. A przypomnę tylko, że własnoręcznie przedziurawiłem go mieczem. – Uśmiechnąłem się na myśl o tym, gdyż wspomnienie walki z potworem budziło we mnie uzasadnioną przecież dumę i zadowolenie z własnych zdolności. Rzecz jasna, również dziękczynienie dla łaski Pańskiej, z pomocą której zatriumfowaliśmy. – *Aby wiedziano od wschodu słońca aż do zachodu, że bez Boga nie ma niczego* – dodałem.

Natasza uniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Siła jest w tobie samym i w naszej miłości, a nie w Bogu, o którym wymyśliłeś sobie, że ci pomaga – odparła.

Pocałowałem ją.

– Jesteś małą poganką i heretyczką – stwierdziłem, a ona zachichotała, bo nachylając się, połaskotałem ją włosami. – Poza tym komu, jak nie tobie, Ludmiła zawdzięcza przejęcie Peczory bez przelewu krwi? – dodałem. – To ty skłoniłaś żołnierzy Izjasława, by się poddali. Jeśli to nie są dzielność i mądrość, to co miałoby nimi być?

Uśmiechnęła się zadowolona.

– Sama nie wiem, czy bardziej lubię, kiedy mówisz, że jestem piękna i że zawsze cię pociągam, czy kiedy mówisz, że jestem dzielna i mądra.

– Nie same słowa są ważne, lecz to, czy płyną ze szczerego serca – odparłem.

– A płyną?

– A jak myślisz?

– Troszkę chyba płyną. – Uśmiechnęła się. Zaraz potem spoważniała. – Władcy szybko zapominają o oddanych im przysługach – rzekła.

– Z tym zdaniem trudno się nie zgodzić. – Kiwnąłem głową.

– Może więc warto przypomnieć od czasu do czasu, jak bardzo jesteśmy jej potrzebni?

– A jak byś chciała o tym przypomnieć?

Splotła mi dłonie na karku i ściągnęła mnie tak w dół, że niemal zetknęliśmy się ustami.

– Mogę coś wymyślić – zaszeptała. – Mogę sprowadzić coś naprawdę złego, a ty ją przed tym czymś później uratujesz. – Szybko pocałowała mnie w nos i rozplotła palce na moim karku, zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć. – Pomyśl o tym – rzekła już żywszym głosem. – Jesteś mądry, więc na pewno mądrze zdecydujesz.

– *Jak słodka jest twoja mowa dla uszu moich, słodsza niż miód dla mych ust...* – odrzekłem.

I chociaż tego już nie powiedziałem, pomyślałem, że propozycja Nataszy zapewne jest rozsądna i umocniłaby naszą pozycję na dworze Ludmiły. Lecz wcale to nie oznaczało, iż propozycja owa była bezpieczna. A poza tym czyż podobne intrygi są teraz konieczne, zważywszy na to, że księżna i tak miała złożyć przysięgę obiecującą nam opiekę oraz ochronę?

– Chciałabym się trochę przespać – powiedziała Natasza. – Zanim mateczka zawoła. Myślisz, że mogę?

– Możesz wszystko, co tylko zechcesz – odparłem, przytulając ją.

– A opowiesz mi bajkę?

– Oczywiście, że opowiem.

– O czym?

Zastanowiłem się chwilę.

– Opowiem ci historię dzielnego Raghnalla de Corbeau i pięknej Morwenny. Chcesz?

– Yhm – mruknęła. – A kim on był?

– Inkwizytorem.

– A ona?

– Czarownicą.

– Och, to tak jak my. – Przytuliła się mocniej. – No dobrze, opowiadaj... Jaki ma tytuł ta bajeczka?

– Tytuł? – Zastanawiałem się przez krótką chwilę. – Niech nazywa się „Targ w Scarborough”.

– Dobrze – zgodziła się. – A kiedy oni żyli?

– Zobaczysz – odparłem. – A teraz słuchaj: bitewne pola Brytanii zasłane były trupami – zacząłem. – Nad równinami unosiły się chmary kruków i wron, wciąż kraczących, choć tak już nasyconych, że ledwo odrywających się od nasiąkniętej krwią ziemi. A wysoko, wysoko nad nimi, gdzieś hen pod głębokim, ołowianym niebem, szybowały czarownice...

Natasza splotła palce swojej dłoni z moimi.

– Jeśli będziemy mieli dziecko, to jednak ja będę opowiadała mu bajeczki na dobranoc, bo nie chciałabym, żeby śniły mu się potem koszmary – przerwała mi sennym głosem. I zaraz potem dodała: – Mów dalej.

Nie wiem, czy kiedykolwiek wspominałem, iż mam niezwykle czułe powonienie? Bo zazwyczaj, jako człowiek pobłogosławiony wstrzemięźliwą skromnością, staram się nie opiewać własnych zalet i raczej zmilczę, niż powiem słowo za dużo. Chociaż przyznać też wypada, że zapewne wielu starców przez całe życie nie uczyniło tyle dla chwały naszego świętego Kościoła, ile ja w ciągu krótkiej przecież jeszcze inkwizytorskiej służby. Ale nie o tym mowa, lecz

o wyczulonym zmyśle powonienia. Otóż gdyby ludzie dzielili się na rasy tak jak psy, ja niewątpliwie byłbym z tych tropiących. Posokowcem, który nie odpuści, kiedy zaświdruje mu w nozdrzach nawet daleki, daleki, lecz intrygujący zapach. Teraz, w chwili kiedy przede mną i Ludmiłą otworzyły się drzwi, nie trzeba było jednak mieć wyjątkowego węchu, gdyż smród krwi uderzył w nas niczym fala. Na progu stała Natasza, a w pomieszczeniu za jej plecami było ciemno, choć oko wykol. Słyszałem tylko zduszone zawodzenie i jęki, tak jakby ktoś bardzo, ale to bardzo cierpiał, lecz zatkano mu dokładnie usta czy gardło, by nie mógł wydawać z siebie innych dźwięków poza stłumionym wyciem. I obawiałem się, że tak właśnie jest, czyli że ktoś tam w głębi przeżywa katusze.

– Pani. – Natasza pochyliła głowę przed Ludmiłą. – Wejdź, proszę. – Obróciła wzrok na mnie. – Chodź. – Wyciągnęła dłoń.

Ludmiła wyraźnie się zawahała. Nie podobała jej się perspektywa wkroczenia w całkowitą ciemność, z której dochodziły tylko te straszne, pełne bólu, stłumione jęki i cuchnęło świeżą krwią. Bo byłem pewien, że i księżna czuje ten odór. Musiała go czuć. Może nie tak intensywnie jak ja, nie tak boleśnie, lecz czuła na pewno...

– Możecie zabrać lampę – dorzuciła Natasza. – Chyba – dodała, po czym odwróciła się. – Mateczko, mogą wnieść lampę? Przecież oni nic nie widzą...

– Niech wnoszą, co chcą, byle szybko – rozkazała gderliwie starucha gdzieś z ciemności, zupełnie niewidoczna w mroku spowijającym pomieszczenie.

Chyba bardziej te słowa niż zezwolenie na wniesienie światła przekonały Ludmiłę. Księżna postąpiła zdecydowanie naprzód, nie czekając nawet na mnie. No cóż, skoro tak, i ja ruszyłem za nią, z lampą w dłoni. A wtedy wnętrze podziemnej celi zaczęło wyłaniać się powoli z ciemności. Wyglądało to, jakby niezwykły artysta rozjaśniał swój obraz trzymanym w palcach pędzlem, którym nanosiłby poświatę na kontury ścian, mebli i ludzi, by powoli, wpierw zamazanie i drżąco, pojawili się przed jego oczami.

Widziałem kiedyś obrazy słynnego malarza Ericha Schaefera, zwanego „Der Teufel”, który lubował się w przedstawianiu

poruszających zmysły wizji piekła. Pamiętam, jak na jednym z płócien wyobraził nagich więźniów kroczących przez mroczne lochy, gdzie w jednej z cel za żelazną kratą czekał na nich ogromny, demoniczny rzeźnik z toporem w dłoniach. Ta cela, w której krył się demon, pełna była umęczonych torturami ofiar, pali z nabitymi na ostrza ciałami, a jej ściany i podłogę poznaczono demonicznymi symbolami. Pamiętam, jak stałem przed tym płótnem, wpatrzony w groteskowe oblicze potwora, oblicze, na którym rysowały się jednocześnie niezmierzone okrucieństwo i niedający się ukoić głód. Wydawało się, że ten przypatrujący się więźniom demon zakrzyknie zaraz: *Frischfleisch!*, wypadając z cienia na przerażonych ludzi. I pamiętam, że spoglądałem również właśnie na tych nieszczęśników, idących wprost w zastawioną przez Rzeźnika pułapkę... Czyż cały obraz nie stanowił alegorii ludzkiego losu? Bo czyż rzeczywisty świat nie jest więzieniem, które przemierzamy w poszukiwaniu Bożej Światłości, a na drodze nie czyhają demony pragnące pożreć nasze dusze? O tak, zaiste wielki talent miał ów Teufel. I żywiłem nadzieję, że wymalowane przez niego wizje cierpień czekających grzeszników po tamtej stronie wstrzymały choć garstkę ludzi od popełnienia śmiertelnego grzechu, kiedy przyszła taka chwila, że mogli wybierać pomiędzy pokusą a bojaźnią bożą.

Dlaczego wróciłem pamięcią do owych piekielnych fantasmagorii wymalowanych przez Teufla? Otóż dlatego, że kiedy światło lampy rozjaśniło ciemność celi, do której wszedłem, poczułem się, jakbym wkroczył do jednego z jego dzieł. Jakby świat rzeczywisty zamienił się w świat rodem z koszmaru malarza opętanego wizją piekła.

Oto ujrzeliśmy trzech ludzi wiszących na hakach przytrzymywanych linami przewleczonymi pod sufitem. Nieszczęśnicy byli zakrwawieni i poranieni, tak jakby ktoś chłostał żelaznym batem ich ciała miejsce przy miejscu. Usta zaszyto im grubymi nićmi, a oczy wyłupiono i z ich miejsca spozierały na nas tylko krwawiące rany. Haki ci ludzie mieli wbite poprzez odbyty głęboko w trzewia i drgali, rzucali się na tych żelazach niczym ryby, które wypatroszono żywcem, zanim je uśmiercono lub ogłuszono.

Pod nimi na podłodze stała drewniana balia i krew spływająca z ran oprawianych skazańców zbierała się właśnie na dnie owej balii.

Przez twarz Ludmiły przebiegł skurcz i widziałem, że w pierwszej chwili chciała się cofnąć, jednak wstrzymała krok i śmiało obróciła się w stronę wiedźmy.

– Co to za komedia z tymi trzema? – zapytała, wskazując głową strzępy ludzkie szarpiące się na hakach.

Oczywiście, że księżna wiele widziała i wielu ludzi sama skazała na śmierć (aby tylko wymienić trzech szpiegów, których kazała wbić na pal w czasie wyprawy przeciwko buntownikom), lecz tutaj, w tej ciemnej celi, w otoczeniu wiedźmy i jej pomocnic, cała scena nabierała iście demonicznego rysu. Kogokolwiek byście przyprowadzili, mili moi, do tej celi i zapytali, co przedstawia widok przed jego oczami, to nikt nie odpowiedziałby, że spogląda na zwyczajne tortury, jakim poddawani są badani podczas przesłuchań. Jestem pewien, że zakrzyknąłby, albo że widzi przeklęty szatański rytuał, albo że trafił do więzienia prowadzonego przez demonicznego dręczyciela, znajdującego upodobanie w zsyłaniu niezmierzonej męki na bliźnich.

– Właśnie tak wyglądają przygotowania do rytuału, którego byłeś ciekaw, inkwizytorze – rzekła czarownica, niby odpowiadając na pytanie księżnej, lecz jednak patrząc na mnie. – Jeśli kiedykolwiek wrócisz do swoich, będziesz miał wiele rzeczy do opowiadania. – Zachichotała nagle, co w tej celi, pełnej odoru krwi i pełnej ludzkiej męki, sprawiło iście upiorne wrażenie. – I nie jestem pewna, czy ocalisz głowę, jeśli opowieść będzie szczera...

– Co dalej? – spytała wrogim tonem Ludmiła, której najwyraźniej wszystko nie podobało się w tym samym stopniu, co mnie. A kto wie, może nawet bardziej.

– Dalej? – Wiedźma przeniosła spojrzenie na księżną. – Dalej to rozbierajcie się do naga, oboje – rozkazała.

– Jak to do naga? – Twarz Ludmiły stężała, a jej głos, wcześniej po prostu niezadowolony, tym razem nabrał spiżowych tonów.

– A chcesz wyjść stąd w ubraniu broczącym krwią? – zapytała mateczka Olga, ociekając fałszywą słodyczą.

– To tak samo jak wtedy na bagnach – wtrąciła cicho Natasza. – Pamiętasz, że musiałeś być wtedy nagi, prawda?

Oczywiście, że pamiętałem, kiedy w czasie wyprawy przeciwko demonom zostałem poddany pogańskiemu, barbarzyńskiemu i plugawemu rytuałowi. Ale musiałem również przyznać, że ów rytuał miał tak wielką siłę, iż pierwszy raz w życiu mogłem wniknąć do nie-świata bez towarzyszącego mi zawsze przeszywającego, dręczącego i obezwładniającego bólu. Może więc owa ceremonia była obmierzła, jednak trzeba przyznać, że była również nadzwyczajnie skuteczna. Miałem zatem nadzieję, że podobnie stanie się teraz. Nie wstydzę się własnego ciała, choć rzecz jasna, inkwizytorzy nie przepadają za rozbieraniem się w obecności innych ludzi, a jeśli tym innym człowiekiem jest wiedźma, to rozumiecie, mili moi, że tym większy może budzić opór stawanie przed nią całkowicie bezbronnym. Ale cóż robić? „Skoro rano złapałeś czarownicę, wieczorem musisz rozpalić stos", jak mawiał jeden z moich dawnych przełożonych.

– Chodź, Natasza, pomożesz mi. – Ludmiła władczym gestem skinęła na Nataszę.

Ruskie stroje może nie były tak niezwykle ozdobne, skomplikowane i ubogacone dziesiątkami szlufek, haftek, zapięć oraz guziczków jak stroje wielkich dam w Cesarstwie, ale księżną nauczono przecież, że zawsze przy odziewaniu się i rozdziewaniu pomagają jej służące. Ja na szczęście nie miałem podobnych kłopotów, gdyż męskie okrycia przyzwyczajają nas raczej do skromnej prostoty niźli rozpasanego wyrafinowania. Dlatego w momencie kiedy ja stałem już nagi, Natasza i Ludmiła dopiero biedziły się nad zdejmowaniem sukien władczyni.

– Szybciej, niezdary! – zawołała starucha i miała naprawdę wściekły głos. – Tamara, idźże im pomóż! Bo jak ci tutaj mi pozdychają, to trzeba będzie wszystko szykować od nowa.

Spojrzała w stronę jednego z wiszących więźniów i szturchnęła go kilkakrotnie kosturem w brzuch. Uśmiechnęła się z satysfakcją, kiedy zatrzepotał mocniej na haku.

– Szybciej, szybciej! – powtórzyła jednak.

Wreszcie Ludmiła stanęła nago, a ja starałem się nie patrzeć w jej stronę, by nie obrazić jej ciekawością. Księżna zresztą nie wydawała się przejmować nagością. Nie osłaniała ani piersi, ani łona, ręce trzymała opuszczone. Przypomniało mi się, jak w zeszłym roku opowiadała o swoich dawnych wyprawach z okazji letniego przesilenia i o rozpustnych harcach, jakie wyprawiała na tych bezbożnych, pogańskich spędach. Do nagości musiała być więc przyzwyczajona, a w każdym razie brak odzienia jej nie zawstydzał. Obrzuciła mnie oceniającym spojrzeniem od stóp do głów i skrzywiła usta.

– I co, Natasza, zadowolona jesteś z niego? – zapytała. – Bo świętej pamięci księcia mojego i małżonka Dymitra hojniej Bóg obdarzył.

– Mnie wystarczy, Wasza Wysokość – odparła Natasza uprzejmie. – Czasem nawet jakby jest go niemal za dużo.

Widziałem, że chciała się uśmiechnąć, ale wtedy jej wzrok przesunął się na jednego z tych nieszczęśników drgających na hakach, usta jej tylko zadrżały i uciekła ze spojrzeniem na własne stopy.

– Właźcie do balii – rozkazała wiedźma. – I przestańcie gadać!

Ludmiła zacisnęła usta i zbliżyła się do balii, gdzie skapywała krew torturowanych. Podałem jej dłoń, by nie poślizgnęła się na mokrym dnie, lecz nie skorzystała z pomocy. Balia była na tyle długa, że mogliśmy stanąć na przeciwległych jej krańcach, by nie dotykać jedno drugiego. Nad nami, tuż nad naszymi głowami, nawet nie na wyciągnięcie ręki, ale dosłownie na odległość jednego łokcia, szarpali się, jęczeli, wyli i tryskali posoką owi trzej skazańcy. Smród był przejmujący. Nie tylko krwi, lecz również innych wydzielin, jakie wyrzucają z siebie ciała torturowanych ludzi.

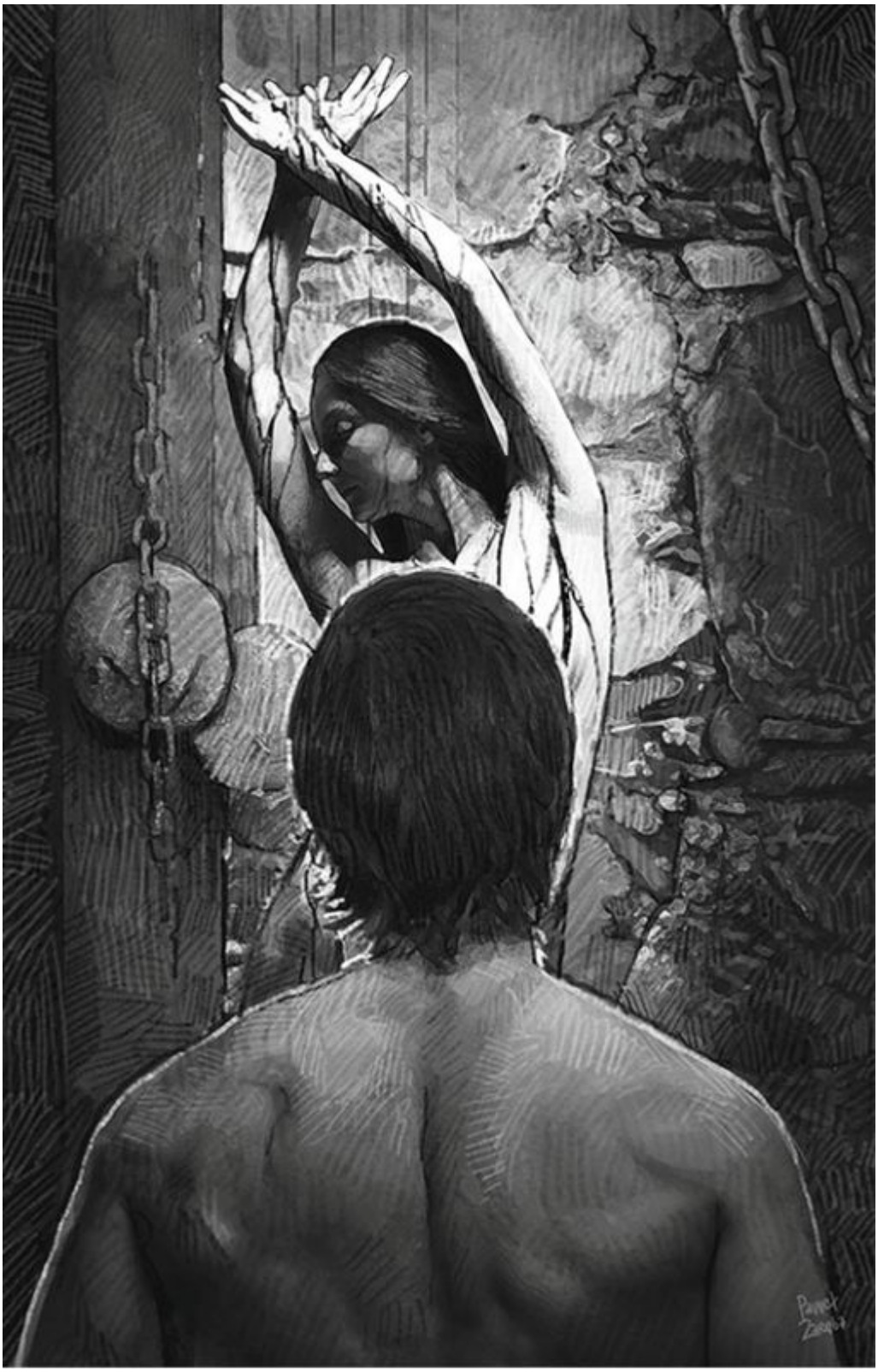

– Zbliżcie się do siebie, podajcie sobie dłonie i zetknijcie się czołami – rozkazała wiedźma, a tym razem głos miała bardziej uroczysty niż nakazujący.

Posłuchaliśmy jej, a ja starałem się tak połączyć z Ludmiłą, by ciałem nie dotknąć jej piersi ani ud. Nie było to wcale takie łatwe, bo piersi księżna miała nad wyraz obfite, brzuch wypukły, a uda, czego pod suknią nie było zazwyczaj widać, niczym solidne kolumny. Nie żeby była po męsku masywna czy odstręczająco tłusta, po prostu była to kobieta mocno zbudowana, taka, o której powiadają, że jak usiądzie na orzechach, to pośladkami rozgniecie je na miazgę.

– Bliżej! – warknęła wiedźma i tak przylała mi kosturem w pośladki, że mimowolnie postąpiłem krok naprzód.

W ten sposób zderzyłem się z nagimi piersiami Ludmiły.

– Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość – powiedziałem, nie patrząc nawet na księżną, bo niby co mogłem innego powiedzieć?

– Rób, co starucha każe – odparła lodowatym tonem. – Cokolwiek by to miało być.

– Słusznie – chrapliwie zachichotała wiedźma.

Leżałem na kamieniach, wycieńczony i unurzany w szybko zasychającej krwi. Moje serce ledwo biło, tak jakby było popchniętym wahadłem zepsutego zegara, które z chwili na chwilę porusza się jednak coraz wolniej i wszyscy, spoglądając na nie, wiedzą, że niedługo zamrze i znieruchomieje.

Natasza kucnęła obok. Nie zważając na to, jak obrzydliwie byłem brudny i jak parszywie śmierdziałem, przytuliła się do mnie z całej siły.

– Już po wszystkim, mój miły, już po wszystkim – zaszeptała. – Stało się, co miało się stać i tak jak miało się stać. Wszystko, co należało zrobić, zostało zrobione...

– Wiedziałaś, Nataszka? Wiedziałaś? – udało mi się dobyć głosu, chociaż czułem się tak, jakby zalepiono mi usta, podniebienie i gardło lepką, cuchnącą mazią. A może tak właśnie było. Może w moich ustach i w moim gardle stygła krew tych zadręczonych na śmierć nieszczęśników?

– Wszystko wiedziałam – powiedziała spokojnie i głaskała mnie po włosach. – Tak było trzeba i nie dało się inaczej.

Tak, to było całkiem możliwe, że inaczej się nie dało. Krew, cierpienie i pożądanie to dla mrocznych wiedźmich zaklęć paliwo tak potężne jak stos najsuchszego igliwia wrzucony do buzującego ognia. Pewnie, że nie ogrzeje ani nie da światła na długo, lecz tutaj chodzi tylko o ten jeden potężny rozbłysk. Znałem to zarówno z ksiąg, jak i z praktyki inkwizytorskiej, chociaż nigdy nie przyszło mi do głowy, iż będę kiedyś uczestniczył w podobnie odrażającym rytuale. Ale cóż, czyż to nie Owidiusz napisał: *exitus acta probat*, w ten sposób nie tylko twierdząc, że cel uświęca środki, ale również w domyśle rozgrzeszając tych, którzy maksymę tę stosowali w praktyce?

Oczywiście owe filozoficzne rozważania przyszły mi do głowy dużo później, gdyż wtedy, kuląc się obok Nataszy, myślałem głównie o tym, jak bardzo jestem słaby i jak bardzo jest mi zimno. Zimno do szpiku kości, przejmująco. Tak zimno, że w człowieku zastygała na lód chęć wypowiedzenia choćby jednego słowa. Natasza okryła mnie futrem, znowu się przytuliła i zaczęła nucić uspokajającą, łagodną melodię bez słów.

Niczym przez brudnosiną mgłę spostrzegłem, że podchodzi do nas mateczka Olga. Miała poszarzałą twarz, zmęczoną i znieruchomiałą, jakby zastygłą w odpychającym grymasie. Przystanęła na chwilę i obrzuciła nas niechętnym spojrzeniem.

– Źle zrobiłaś, Natasza – oznajmiła, a jej głos zabrzmiał dla mnie tak głucho, jakby dobywał się z głębokiej studni.

Zza pleców wiedźmy wyłoniła się rudowłosa Tamara.

– Jezu Boże, Natasza! – Ona miała przynajmniej rozgorączkowany głos i twarz, na której malowały się wielkie emocje. – Jezu Boże, jak ty...

– Cicho! – Starucha syknęła, nie krzyknęła, jednak to wystarczyło, by Tamara natychmiast umilkła. I również natychmiast gdzieś odeszła, w każdym razie zniknęła z mojego pola widzenia. – Natasza, nie ma nic za darmo – powiedziała głucho mateczka Olga. – Nie

wtedy, kiedy się jeszcze nie umie tego zrobić tak, jak trzeba... Zapłacisz za to.

Pomimo mojego oszołomienia i otępienia wiedziałem, że czarownica nie grozi Nataszy, ale ostrzega ją przed niebezpieczeństwem. Niby dlaczego jednak to niebezpieczeństwo miałoby nadejść? Co takiego się wydarzyło, kiedy leżałem nieprzytomny?

– Nataszka, co się dzieje? – zdołałem wydobyć z siebie głos, a sam słyszałem, jak jest ten głos słaby i z jakim trudem przychodzi mi wymówienie każdej sylaby.

– Nic, mój miły, nic – tchnęła mi w ucho Natasza. – Takie tam wiedźmie pogaduszki. – Słyszałem, że stara się nadać słowom żartobliwą intonację. A potem odwróciła się do starej wiedźmy. – Idź sobie – rozkazała po prostu.

I ku mojemu zdziwieniu mateczka Olga tylko pokiwała głową i naprawdę zniknęła gdzieś w mroku, w głębi pomieszczenia.

– Obmyję ci twarz, żeby nie było widać śladów krwi. I włosy, i dłonie – tłumaczyła łagodnie Natasza. – A jak już będziesz gotowy, to wrócimy. Będziesz mógł zasnąć.

Chciałem ją zapytać, czy nie mógłbym zasnąć tutaj, na podłodze celi, bo od kiedy nakryła mnie futrem, zaczynałem powolutku się rozgrzewać, ale wiedziałem, że Natasza ma rację, że powinniśmy wrócić do naszej kwatery. W pomieszczeniu zostaliśmy chyba już tylko we dwoje, gdyż nie słyszałem żadnych głosów. Nie słyszałem również na szczęście tego przejmującego, stłumionego wycia torturowanych ludzi.

– Umarli? – spytałem.

– Tak, umarli. – Domyśliła się od razu, o co mi chodzi.

– To dobrze – westchnąłem.

– Tak, to dobrze – zgodziła się ze mną.

– A Ludmiła? – zagadnąłem po chwili. – Co z nią?

– Ludmiła dobrze się miewa – odparła Natasza. – Dużo lepiej niż ty.

– Dlaczego?

W zasadzie pełne zdanie powinno brzmieć: dlaczego Ludmiła zniosła rytuał lepiej niż wykwalifikowany inkwizytor, taki jak ja? Niż człowiek, który choć z mozołem i bólem, ale jednak podróżował do nie-świata. Dlaczego więc ta zwykła kobieta wyszła z tego wszystkiego bez szwanku, a ja czułem się tak, jakbym umarł i z trudem wracał dopiero do żywych?

– Nie wiem – rzekła. – Coś się stało. Nie wiadomo co.

Nie było to może najjaśniejsze z tłumaczeń, jakie słyszałem, lecz musiało mi wystarczyć. Zresztą będę miał przecież jeszcze czas i sposobność, by wypytać Nataszę, co dokładnie zaszło w czasie rytuału. Co takiego się wydarzyło? Byłaby to zresztą z mojej strony nie tylko przecież ciekawość tego potwornego obrządku (w tym wypadku całkowicie naturalna), ale sądziłem też, że wyjaśnienie okoliczności mogłoby mi pomóc w poznaniu samego siebie i własnych ograniczeń. A to należało do spraw, jakie my, inkwizytorzy, musieliśmy znać, aby stanowić skuteczne narzędzia Pana.

– Ale przysięga... przysięga została złożona? – upewniłem się.

Natasza pokiwała głową.

– Ludmiła jest z tobą związana na śmierć i życie. Twoja krzywda stanie się jej krzywdą – powiedziała poważnie, a potem delikatnie pogłaskała mnie po policzku. – Powinna dbać o ciebie jak ja o Dzikusia – jej głos nabrał ciepłych tonów.

– To dobrze – westchnąłem.

A potem przypomniałem sobie, co robiliśmy ja i Ludmiła, stojąc w tej balii pełnej krwi i pod tymi umierającymi w męczarniach ludźmi, i wzdrygnąłem się.

– Księżna nie będzie zła? – zapytałem, obniżając głos do ledwo słyszalnego szeptu.

– Że ją tak dojechałeś? – Uśmiechnęła się figlarnie i przez chwilę jej twarz była znowu pogodna, ale zaraz potem radość zniknęła. – Nie, mój miły, wydawała się całkiem zadowolona, jak na te dziwne – wykonała ruch ręką, szukając słowa – okoliczności.

– Okoliczności – powtórzyłem cicho i pomyślałem, że jeślibym komuś opowiedział, że ujeżdżałem ruską księżną w dziwnych

okolicznościach, to nikt przy zdrowych zmysłach by nie pomyślał, że było to w ciemnej piwnicy, w balii pełnej krwi i pod ludźmi wiszącymi nad naszymi głowami niczym surowe płaty mięsa w rzeźni. Że było to w obecności wiedźmy snującej inkantacje przepełnione bluźnierczą magią. Tak, zaiste dziwne to były okoliczności...

– A ty, Nataszka? – Ścisnąłem jej dłoń.

– Dla mnie to nieważne. – Przytuliła się policzkiem do mojego policzka. – Przecież wiedziałam, jak wygląda rytuał, wiedziałam, co się stanie... – urwała nagle. – Prawie wszystko wiedziałam, ale to akurat bardzo dobrze wiedziałam, że musi tak być między wami, jak właśnie było. Jakie to ma znaczenie, mój miły? Ważne, że od dzisiaj jesteśmy naprawdę bezpieczni.

Spałem trzy dni i trzy noce, budząc się tylko parokrotnie, za każdym razem jedynie na chwilę i zawsze wtedy widziałem obok Nataszę. Podawała mi wodę i ocierała czoło mokrym ręcznikiem. Raz zamiast ręcznika był to ciepły język Dzikara. Pies lizał mnie po twarzy i po szyi i cichutko skomlał. Poczułem się na tyle silny, że chwyciłem go za grzywę i czule szarpnąłem. Położył się obok, z pyskiem tuż przy mojej głowie.

– To ja już chyba jestem całkiem niepotrzebna – usłyszałem wesoły głos Nataszy.

Wsunęła się z drugiej strony, a wtedy dostrzegłem, jak bladą, przejrzystą ma twarz. Zawsze była delikatna niczym figurynka z najdroższej chińskiej porcelany, lecz teraz zdawała się utkana z powietrza.

– Nic mi nie będzie. – Uśmiechnęła się, widząc moje spojrzenie. – To ze zmartwienia. I z niejedzenia. Zresztą ty wyglądasz jeszcze gorzej – zachichotała i w tym śmiechu znów była taka sama jak dawna, silna i żywiołowa Natasza. – Zobaczysz. – Nachyliła się nade mną i otuliły mnie jej włosy pachnące świeżą trawą. – Wszystko

będzie dobrze. Jeszcze tak się zabawimy, że cała forteca zadrży w posadach!

Objąłem ją i przytuliłem.

– Tak właśnie będzie – rzekłem.

Dzikar wsunął pysk pomiędzy nas.

– I Dzikusiowi trzeba będzie znaleźć jakąś futrzaną panienkę – powiedziała Natasza, szarpiąc psa za grzywę. – Bo każdy potrzebuje miłości, prawda?

– Prawda – odparłem.

Obudziliśmy się w środku nocy, oboje w zasadzie w jednej i tej samej chwili. Natasza powiodła palcami od mojej szyi aż po brzuch i pocałowała mnie w ramię. Instynktownie poczułem, że zbiera się do postawienia jakiegoś pytania, którego zadać się obawia. I rzeczywiście zaraz potem odezwała się cicho:

– Myślisz, że jestem zła?

Przez pierwszą chwilę sądziłem, że z jakiegoś powodu uważa, iż myślę, że jest na mnie zła. Ale nie, nie o to oczywiście chodziło.

– Jesteś najlepszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem – odparłem z żarliwym przekonaniem i objąłem ją mocno.

Wtuliła się we mnie.

– Robiłyśmy straszne rzeczy – przyznała z cichym żalem. – Takie rzeczy, jakich ludzie nie powinni robić innym ludziom, choćby tamci byli źli.

Mówiła oczywiście o przygotowaniach do rytuału i o tych trzech zamęczonych skazańcach, których cierpienie oraz śmierć stanowiły nieodzowny składnik owego rytuału.

– Nataszka, czy to, co im robiłaś, sprawiało ci przyjemność? – spytałem poważnie.

Szarpnęła się w moich ramionach, jednak trzymałem ją silnie.

– Jak możesz? – zapytała gwałtownie i z goryczą. – Oczywiście, że nie! Jak w ogóle...

– W takim razie jesteś nadal dobra – przerwałem jej stanowczo.

Umilkła i znieruchomiała.

– My, inkwizytorzy, doskonale wiemy, że przychodzi chwila, kiedy każdy z nas zadaje sobie pytanie: czy krew na moich rękach, czy

cierpienie oraz śmierć wielu ludzi na moim sumieniu, czy to wszystko czyni ze mnie potwora? – Umilkłem na moment. – I odpowiadamy wtedy: nie. Nie, gdyż czynimy rzeczy, które można by uznać za przerażające i odrażające, ale czynimy je w imię wyższego dobra. W imię triumfu Światła nad Ciemnością. W imię tego, by Boska układanka przybrała taki kształt, jaki wyznaczył jej nasz Pan. – Przechyliłem się nad dziewczyną i niemal przytknąłem twarz do jej twarzy. – Jesteśmy częścią Bożego planu, Nataszka – szepnąłem z czułością. – Ty i ja. I aby ten plan przyoblekł się w materialny kształt, musimy przeżyć. Dlatego wszystko, czego dokonujemy teraz i tutaj w imię przeżycia, jest godne pochwały...

Milczała długo, a ja gładziłem jej włosy.

– Oj, bo zaraz usnę od tego głaskania – powiedziała w końcu, spokojnym już tonem. – Poza tym to byli źli ludzie, prawda? – zapytała jeszcze i wyczytałem w jej głosie, że szuka potwierdzenia.

– Nataszka, oni i tak by umarli – stwierdziłem z przekonaniem, co zresztą przyszło mi bez trudu, gdyż była to przecież najszczersza prawda. – Ludmiła miała ich rzucić psom na pożarcie. Być może tak, jak sprawy się potoczyły, umierali po prostu trochę dłużej i boleśniej, ale tak czy inaczej, dokonaliby żywota w mękach i nic by ich przed śmiercią nie uratowało.

Odetchnęła głęboko.

– Tak – przyznała. – Masz rację.

– Teraz już stoją przed najsurowszym Sądem Bożym i męczeńska śmierć, jaką ponieśli, zostanie położona na przeciwległej szali do szali ich złych uczynków. Można więc powiedzieć, że dla nich sprawy potoczyły się nawet całkiem szczęśliwie – dodałem, by ją pocieszyć.

Wyszedłem z pokoju pierwszy raz od trzech dni i pomimo że objadłem się za dwóch, cały czas czułem słabość w mięśniach i kościach, a przy gwałtowniejszym ruchu kręciło mi się w głowie.

Natasza porządnie odespała wszystkie niepokoje i teraz wyglądała już dużo lepiej, a jej policzki straciły ową przezroczystą bladość i na powrót nieco się zaróżowiły. Widziałem, że zajmie jej jeszcze kilka dni, zanim wróci do pełni sił, lecz widziałem również, że wszystko zmierza w dobrym kierunku. Nie chciała iść ze mną na spacer, wolała dłużej pospać, a potem miała spotkać się z Tamarą, więc wyszedłem sam, obiecując, że w drodze powrotnej zajrzę do kuchni i spróbuję znaleźć dla nas coś smacznego. Przy okazji wyszedłem też, by odetchnąć... no cóż, zbyt szybko myśl podążyła ku słowom: świeżym powietrzem. Nie, nie, w peczorskiej fortecy nie było czegoś takiego jak świeże powietrze. Nawet kiedy wyszło się na mury, to wiatr nawiewał smród od błotnistej fosy cuchnącej gnojówką i padliną. Zdumiewające było zresztą, że nikt nie przykładał wagi do tego odoru. Nawet Natasza, chociaż sama dbała o czystość i zawsze ładnie pachniała, to kiedy zwróciłem jej na ten smród uwagę, powiedziała tylko: „Ojej, rzeczywiście, fe” i zaraz później zapomniała o całej sprawie. No cóż, każdy wie, że wiele, za wiele miejsc w naszym chwalebnym Cesarstwie również nie jest oazą cudownych woni i azylem wybornych aromatów. Jednak stężenie fetoru w Peczorze zdawało mi się większe niż w jakimkolwiek mieście, w którym miałem okazję wcześniej bywać.

I kiedy tak zastanawiałem się, czy nie wziąć ze stajni konia i nie wybrać się na małą przejażdżkę, natknąłem się na Andrzeja.

– Ależ was sponiewierało – rzekł na powitanie i pokręcił głową. – Co się stało? Na co wyście właściwie chorowali?

Wzruszyłem ramionami.

– Bóg jeden wie – odparłem. – Dobrze, że już minęło. A jak wasza rana? Wszystko w porządku?

Machinalnie dotknął rozoranej skóry, pokrytej grubym strupem.

– Goi się, bo swędzi – rzekł.

– Pozwólcie, że się przyjrzę. – Zbliżyłem się do niego.

Obrócił policzek w stronę światła, a ja zbadałem dokładnie, czy rana przypadkiem się nie psuje, czy nie ropieje. Jednak wszystko wyglądało całkiem nieźle, tak samo na pierwszy, jak i na drugi oraz trzeci rzut oka.

– Będzie dobrze – zawyrokowałem. – Blizna pewnie zostanie, bo mocno was przeklętnik poharatał, ale tak jak mówiłem: dla mężczyzny wojenna blizna jest niczym order i tytuł.

– Przypomnę wam o tym, kiedy dorobicie się własnej – zauważył.

– Jakoś Bóg mi oszczędził podobnych przygód – odparłem. – Nie żeby nie było okazji, ale miałem na tyle szczęścia, iż nigdy prawdziwie mocno nie oberwałem. A wydarzyło się coś ciekawego, kiedy chorowałem?

– Księżna była dziwnie łaskawa – odrzekł. – Darowała ludziom Izjasława kary, nawet tym, co mieli dostać baty. Tylko takich trzech, z tej grupki, co, wiecie, zabili dziewczynę podobną do Nataszy, no to gadają ludzie, że ich zawinięte w worki trupy wrzucono do fosy. Mówią też, że krew ciekła z tych worków...

– Ba, co chcecie, skoro księżna im obiecała, to i dotrzymała... – Wzruszyłem ramionami i zaraz potem opuściłem bezradnie ręce. – Na gwoździe i ciernie! Jak to do fosy? Zmiłujcie się, przecież z niej już i tak śmierdzi gorzej niż z najgorszej kloaki.

Dworzanin prychnął pogardliwie.

– Smród jest przyrodzoną cechą człowieka. Nie zmienicie tego, choćby nie wiem co... Zresztą zimą fosa zamarznie, więc i smród ustąpi.

– Ale nie można było ich pogrzebać w ziemi? Albo spalić? Albo chociaż wrzucić do rzeki! To nie: do fosy. Pod samym nosem niech gniją. Pewnie, najlepiej...

– Co wy tak dzisiaj zrzędzicie? – Pokręcił głową. – Chcieliście wyjechać na przejażdżkę?

– Myślałem o tym.

– No to chodźcie do stajni. I ja chętnie rozprostuję kości, jeśli moje towarzystwo nie będzie wam wadzić.

– Ależ skąd – odparłem szczerze, bo pomyślałem, że rzeczywiście chętnie skorzystam z propozycji towarzystwa w wycieczce.

Andrzej miał już przygotowanego wierzchowca, lecz zaczekał, żeby stajenni oporządzili mojego. Wyjechaliśmy za bramę, by zobaczyć gromadkę robotników pogłębiających fosę. Obok nich stał nadzorca z batem w ręku i od czasu do czasu smagał tym batem

któregoś z pracujących. Ani nie uderzał silnie, ani złośliwie, ani w gniewie. Ot, chodziło tylko o przypomnienie, że trzeba pracować, a także o pokazanie wszystkim swojej użyteczności. „Widzicie, ludzie?” – mówił tym smagnięciem. „Oto stoję tutaj i mam na wszystko baczenie. Bo gdyby nie ja, to robota na pewno nie zostałaby wykonana”.

– Miło znaleźć się w domu, co? – uśmiechnął się szeroko mój towarzysz.

Oczywiście nie mówił tego, spoglądając na robotników, bo tak naprawdę nie wiem, czy ich w ogóle zauważał. Jego zadowolenie odnosiło się raczej do całości widoku. Do fortecy, do zwodzonego mostu, którym możemy przejechać, do ludzi kręcących się i pracujących na podegrodziu, do lasu, przez który nie trzeba się przedzierać ani nie trzeba obozować, a do którego można się udać na bezpieczną przejażdżkę.

– Moim domem jest wiara – rzekłem. – A ją nosi się w sercu i ona podąża za mną, gdziekolwiek bym się udał.

– Hu, hu, hu – zadziwił się teatralnie. – Ale żeście spoważnieli po tej chorobie.

Machnąłem ręką.

– Nic nie pamiętam. Trzy dni leżałem niemal bez przytomności. Tyle widziałem, a i to jak przez mgłę, że Natasza dawała mi pić.

– A wiecie, że mamy dobry sposób na każdą chorobę? No ale przy waszej kobiecie nie ośmieliłbym się go zaproponować.

– Cóż to za sposób?

– Na początek trzeba dużo gorzałki...

– Jakżeby inaczej – mruknąłem, gdyż taki początek medycznego zabiegu świetnie wpisywał się w ruskie obyczaje.

– Potrzebna jest, żeby chorego napoić, ale też żeby go tą gorzałką natrzeć – kontynuował. – A potem rozbieramy go do naga, znajdujemy dwie młode kobiety, takie, wiecie – wykonał gest rękoma – rozrośnięte w sobie. Obie też rozbieramy i kładziemy po obu stronach chorego. A potem całą trójkę dobrze owijamy w koce i futra, żeby się biedak wypocił jak należy.

– Wydaje się to nawet całkiem przyjemnym sposobem leczenia – zauważyłem. – Ale rzeczywiście mieliście chyba rację, nie wspominając o nim przy Nataszy.

Jechaliśmy niespiesznie stępa, najpierw w stronę przystani, potem skręciliśmy tak, by kierować się brzegiem rzeki wzdłuż jej nurtu. Na wodzie unosiły się łodzie, środkiem płynęła szeroka i duża barka. Nad nami, tak jak nad każdą żyjącą w pobliżu istotą, unosiły się tumany komarów.

– Setki mil ma ta nasza Peczora – rzekł Andrzej, spoglądając hen daleko, gdzie rzeka niknęła wśród lasów. – I mówiłem wam, że można nią dopłynąć aż do skutego lodem oceanu?

Skinąłem głową.

– Mówiliście – odparłem. – Opowiadaliście mi o tych pustkowiach pokrytych śniegiem. I o włochatych słoniach na wieki zmrożonych w lodzie. – Uśmiechnąłem się półgębkiem, by dać znać, że tej akurat opowieści nie biorę poważnie. Chociaż kto wie jakie cuda i dziwy człowiek znajdzie na krańcach znanego świata? Skoro w Afryce mieszkają żyrafy i hipopotamy, to może przez ruskie lodowe pustynie pędziły niegdyś pokryte futrem słonie? – Jeszcze jakby miały skrzydła – powiedziałem. – Wyobrażacie sobie? Latające po niebie słonie, to musiałby być niezapomniany widok...

– Niezapomniane przeżycie dla ludzi, kiedy by lądowały – zauważył.

Tak sobie gawędziliśmy niespiesznie i w sposób pozbawiony zarówno wagi, jak i powagi. Dobrze było odpędzić na chwilę kłopoty codzienności, chociażby po to, by pobajdurzyć o włochatych latających słoniach.

– Mówią, że nie słoni należy się bać, lecz ich jeźdźców – dodał zamyślony Andrzej. – Nasi zwiadowcy i tropiciele, powiem wam, tak się ich lękają, że gdzie tylko zobaczą takiego zamrożeńca albo go wykopią, czy to umyślnie, czy przez przypadek, zaraz odcinają mu głowę i wrzucają do wody lub palą, jak im tam wygodnie. Żeby tylko upewnić się, że nigdy się nie obudzi, że nigdy nie wstanie.

– Kiedy się obudzi bez głowy, to dopiero będzie pełen życzliwości dla świata – zauważyłem.

Andrzej przeżegnał się szybko.

– Nie gadajcie byle czego – burknął. – Zresztą kto wie ilu tych wojowników leży pod lodem, skoro zmarzłe pustynie ciągną się tysiącami mil na wschód i zachód?

– A nie macie może legendy, że jak Ruś będzie śmiertelnie zagrożona, to obudzi się wielki bohater, gwizdnie na te słonie, one poderwą się ze snu i zaraz u boku herosa stanie cała armia, by ratować kraj i księcia?

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym. – Potem wzruszył ramionami. – Opowieści mówią, że kiedy oni się obudzą i kiedy ruszą, to w tym celu, by cały świat zamienić w zamarzniętą pustynię i by zabić wszystkich ludzi. Więc sądzę, że będzie im wszystko jedno, czy to Ruś, Polska, czy Persja. Czy Bizancjum, Cesarstwo, czy jeszcze coś innego...

– Cóż, skoro tak mają być zawzięci, to pewnie naprawdę wszystko jedno – zgodziłem się z nim.

Najwyraźniej była to jakaś ruska legenda o Armagedonie. O ostatecznej bitwie. Bo skoro pogańscy Normanowie wierzyli, że na końcu świata dwa wilki pożrą słońce i księżyc, to Rusini równie dobrze mogli żywić przekonanie, że wskrzeszone włochate słonie pogalopują przez świat i zamrożą, co tylko napotkają wokół siebie.

– A niby co ma ich wszystkich obudzić? – dopytałem jeszcze. – Te słonie i tych jeźdźców? Czemu mają w ogóle wstać spod lodu?

– Och. – Machnął ręką. – Różnie o tym gadają.

– Kiedy przepełni się czara nieprawości ludzkiego gatunku? – poddałem.

– Też.

– Aby poddać ludzi próbie?

Andrzej westchnął tylko.

– No i sądzę, że nie możemy zapominać o knowaniach wyznawców czarnej magii – dodałem jeszcze. – Dlatego należy ludziom mówić: uważajcie na rodzinę, przyjaciół, sąsiadów, na znajomych i nieznajomych, bo może któryś zapragnie obudzić włochatego słonia...

– Jak ktoś taki jak wy, kpiący z potęgi siły nieczystej, mógł w ogóle zostać inkwizytorem? – obruszył się mój towarzysz.

– Nie, nie, nie. – Pomachałem palcem. – Mylicie wiedzę i logiczne myślenie z wiarą. Ja doskonale wiem, że demony istnieją, tak jak i wy to doskonale wiecie, lecz owa wiedza nie upoważnia mnie, bym wszędzie dostrzegał nadprzyrodzone moce i ufał każdej plebejskiej bajędzie... – Specjalnie zaakcentowałem słowo „plebejskiej", by unaocznić Andrzejowi, że cywilizowany i wykształcony szlachcic, taki jak on, nie powinien wierzyć byle chłopskim gadkom.

Dworzanin nachmurzył się.

– To prawda, że i wy, i ja widzieliśmy demony w ich przebrzydłej fizycznej formie. To prawda, że i wy, i ja widzieliśmy również skutki potężnych zaklęć – dodałem jeszcze. – Ale na przykład to, że mateczka Olga istnieje i dysponuje, przyznam, wielką mocą, nie upoważnia nas, byśmy myśleli, że każda pomylona starowina żyjąca na bagnach czy w lesie także jest czarownicą...

– O, macie rację, że potężna jest mateczka Olga – ożywił się Andrzej i wyrzekł te słowa z wielkim podziwem w głosie. – Ale zobaczcie, jaki to znalazła sposób: jery. – Pokręcił głową. – I nic nie robiły, tylko wrzeszczały... Aż Izjasława na śmierć zawrzeszczały – dodał z satysfakcją i szerokim uśmiechem.

– To oszustwo – prychnąłem.

– Co macie na myśli, mówiąc: oszustwo? – Andrzej zmarszczył brwi.

– Atak pozorowany – wyjaśniłem pobłażliwie. – Wiedźma wysłała te ptaki, Bóg jeden wie za pomocą jakich szatańskich sposobów, przecież nikt, kto tam był i wszystko widział, nie może powątpiewać w samo zdarzenie. Potem jednak po cichu zabiła Izjasława jakimś przeklętym wiedźmim zaklęciem.

Dworzanin Ludmiły spoglądał na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– No i co? – zapytał.

– Jak to co? – zdziwiłem się.

– Po co niby miałaby to robić?

– Aby wina nie spadła na nią.

– Jaka znowu wina? – Andrzej rozłożył ręce. – Gdyby mateczka Olga zabiła Izjasława czarami, to tylko by ją bardziej szanowano i bardziej się jej bano. Dlaczego miałaby to ukrywać?

Pomilczałem chwilę i podumałem nad ruskimi obyczajami.

– Może i tak. – Wzruszyłem ramionami.

Zaśmiał się i machnął ręką.

– Oj, inkwizytorze, mija rok, jak jesteście na naszej pięknej Rusi, i niewiele żeście się jeszcze nauczyli – stwierdził tym razem pobłażliwym tonem.

Cóż, sądzę, że mylił się w tym względzie, bo nauczyłem się wiele. Ale rzeczywiście czasami jeszcze myślałem jak obywatel praworządnego Cesarstwa, a nie tej dzikiej krainy, gdzie można było bezkarnie zabijać ludzi za pomocą czarnej magii.

– Poza tym Izjasława broni wołch. Bronił – poprawił się zaraz, w sumie słusznie, skoro władyka już nie żył. – Mówią, że ten Dziewiatko to wyjątkowa kanalia, ale mocny ponad rozumienie.

– Dziewiatko? – powtórzyłem. – A co to za imię? Czy przydomek może?

– Imię, imię. Był pewnie dziewiątym synem, więc tak go właśnie nazwali, lub może rzeczywiście przezwali. W każdym razie nikt inaczej na niego nie mówi.

– I taki jest potężny, żeby mateczka Olga nie dała mu rady? – zapytałem zdziwiony.

Mogłem sobie bowiem uważać ruską wiedźmę za wroga czy za tymczasowego sprzymierzeńca, z którym prędzej czy później pójdę na wojnę, ale nie zamierzałem przecież odmawiać jej wybitnych zdolności i wielkiej mocy.

Andrzej pomachał palcem w powietrzu.

– Nie, nie, to nie tak. Wołchowie i ich kobiety służą, by strzec, by chronić swoich książąt. Poszedłby na bagna do mateczki, toby go tam zjadła trzy razy i nawet się nie zakrztusiła. – Dworzanin roześmiał się z satysfakcją. – Ale do zamku, gdzie utkał swoje runy, żadnych czarów nie przepuści. Tyle lat ich ćwiczą w klasztorach, od maleńkości przecież, więc wypada, żeby coś umieli, prawda?

– Ano wypada – zgodziłem się z nim.

Pomilczałem chwilę.

– Dziękuję wam za to bardzo zajmujące objaśnienie – powiedziałem wreszcie. – Nie spodziewałem się po wiedźmie takiej finezji. – Pokręciłem głową. – Ale Izjasław nie sprawiał jednak wrażenia człowieka, który mógłby się przestraszyć czegoś na śmierć.

– Czasami mniej człowiek boi się samej śmierci niż myśli o tym, kiedy i w jakiej postaci ta śmierć przyjdzie, chyłkiem i niespodziewanie. I od tego strachu właśnie umiera. Od niczego więcej – rzekł Andrzej.

– Może i tak.

A potem gawędziliśmy sobie jeszcze o różnych sprawach, trochę opowiadałem Andrzejowi o cesarskich teatrach, bo dopytywał mnie o nie, ze smutkiem przyznając, że nigdy teatru nie widział, chociaż słyszał, że w Nowogrodzie i w Moskwie czasami wystawiane są sztuki. Rozstaliśmy się po południu, a kiedy wracałem do swojej kwatery, zobaczyłem na korytarzu Tamarę.

– O, jesteś! – zawołała. – Natasza już marudziła, czemu nie wracasz tak długo.

– Miałem pogawędkę o twojej mistrzyni – objaśniłem, akcentując mocniej ostatnie słowo.

Myślałem, że wiewióreczka się skrzywi, lecz ona tylko uśmiechnęła się kątem ust.

– I co tam sobie o niej pogawędziłeś? – spytała lekkim tonem.

– Wszystko, co dobre – odparłem równie lekko. – Wyraziłem swój głęboki podziw dla zmyślności, dzięki której spowodowała śmierć Izjasława, tak naprawdę w żaden sposób go nie atakując.

– Ach, małe, śmieszne jery. – Tamara uśmiechnęła się już szerzej. – Kocham te ptaszęta.

– Jak widać, nie ma rzeczy, która nie mogłaby się stać bronią w ręku biegłej czarownicy – powiedziałem uprzejmie.

– O, to prawda – odparła tym razem poważnie. – Ale powiedz mi, inkwizytorze, czy to nie was uczą przypadkiem, mateczka tak kiedyś przynajmniej mówiła, by nie brać pozoru za prawdę, a tombaku za złoto? Bo okazać się może, że prawda została skryta gdzieś pod warstwą łudzącego, choć wyraźnie rzucającego się w oczy omamu?

Hm? Nie jest przypadkiem tak właśnie? – Spoglądała na mnie z uwagą.

– Tak właśnie jest – zgodziłem się, nie mówiąc jednak, że przecież pierwsza moja myśl była identyczna.

– Czy chcesz mi coś powiedzieć? – dodałem po chwili ciszy. – Czy zrobiłabyś mi tę łaskę lub przyjemność i objaśniła, co kryło się za twoimi słowami o pozorach i prawdzie?

Teatralnym gestem objęła dłońmi twarz.

– Mówisz tak pięknie, że taka prosta dziewczyna z bagien jak ja nie może się oprzeć twojemu życzeniu – zapewniła ze śmiechem.

Śmiała się naprawdę ładnie. Bo śmiała się wszystkim: ustami, oczami, nawet piegami na buzi. To wielka zdolność potrafić tak szczerze się śmiać! Wielu ludzi można dzięki niej omamić. I wielu można również zabić między jednym wesołym chichotem a drugim. Czy Tamara chciała mnie teraz zwieść, czy też po prostu była w dobrym nastroju i rozbawiona, tego jednak nie wiedziałem. W każdym razie wykręciła się jak fryga na pięcie i szybkim krokiem ruszyła korytarzem w stronę wyjścia.

– Zapytaj Nataszy! – zawołała. – Ona ci wszystko objaśni i może dowiesz się nawet więcej, niżbyś się spodziewał albo sobie życzył.

Westchnąłem tylko, bo wiedziałem, że na nic zdadzą się moje namowy, by wytłumaczyła mi, co miała na myśli. Zresztą i tak już zniknęła za załomem korytarza, a przecież nie miałem zamiaru jej gonić. Przyznam jednak, że byłem bardzo, ale to bardzo ciekaw, jak w ostateczne rozwiązanie sprawy inwazji Izjasława była zamieszana moja ukochana. Bo że jakoś się w tę sprawę wmieszała, teraz już byłem pewien. Nie sądziłem bowiem, by Tamara opowiadała kompletnie wyssane z palca bzdury.

Zajrzałem jeszcze do kuchni, tak jak obiecałem, i zagarnąłem służącego, aby pomógł mi nieść tacę. Do pokoju wszedłem już jednak sam. Zobaczyłem Nataszę leżącą z przymkniętymi oczami na dywanie. Dzikar pochrapywał zwinięty w kłębek obok jej kolan i wyglądał niczym mały lew z czworgiem oczu. Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, zamachał ogonem i wrócił do drzemki.

– Czy łóżko nie byłoby wygodniejsze? – spytałem.

– Nie było cię i nie było – poskarżyła się Natasza zbolałym tonem, ignorując moje pytanie.

– Chciałem dać wam możliwość do swobodnych dziewczyńskich pogawędek – odparłem. – Mężczyźni zazwyczaj nie są mile widziani przy takich okazjach, prawda?

Roześmiała się.

– O, nie! Pewnie, że nie! Chociaż od kiedy znam ciebie, to wiem, że mężczyźni są całkiem pożytecznymi stworzeniami.

– Uprzejmie ci dziękuję za uznanie.

– Ciekawi mnie czasami, jacy są ci inni... – powiedziała w zamyśleniu.

Obróciłem się w jej stronę nieco gwałtowniej, niż zamierzałem. Roześmiała się.

– Zawsze wiem, jak trafić – stwierdziła z głęboką satysfakcją.

– Gratulacje – skwitowałem ironicznie i pokręciłem głową. Przysiadłem obok niej i wziąłem ją za rękę. – Nataszka, pozwól, że spytam: czy to ty dopomogłaś Izjasławowi pożegnać się z naszym padołem pełnym łez? – celowo rzuciłem lekko ironicznym tonem, by nie pomyślała, że chcę ją przesłuchiwać czy ganić. Po prostu byłem ciekawy.

– Oho – jej oczy pociemniały – ktoś tu, widzę, miał bardzo długi język.

– A odpowiedź na moje pytanie jak brzmi?

Natasza ujęła moją rękę w obie swoje dłonie.

– Miły mój, zrobiłam, co trzeba było zrobić dla dobra nas wszystkich.

– Ja cię nie oceniam – odparłem po chwili. – Jestem ciekaw zarówno twoich pobudek, jak i sposobu, dzięki któremu tego dokonałaś – dodałem.

Natasza westchnęła ciężko i oparła głowę o moje ramię.

– W końcu Izjasław to twoja rodzina – mruknąłem, by ją troszkę sprowokować.

Natasza prychnęła.

– Jaka on tam rodzina! Nigdy niepoznany pradziadek z bocznej odnogi. – Objęła mnie. – Ty jesteś moja prawdziwa rodzina, nikt inny

– zapewniła gorąco. A potem oderwała się ode mnie na chwilkę tylko, by szarpnąć za uszy Dzikara. – No i on jest też rodzina – przyznała ze śmiechem. – Ale taka przyszywana, bo wcale do ciebie nie podobny. Ty nie masz takich ładnych futrzanych uszek jak on...

Pies sprawiał wrażenie wniebowziętego jej pieszczotami. Otworzył paszczę, tak jakby się szeroko i radośnie uśmiechał.

– Nataszka, jak mogłaś zabić Izjasława, skoro był strzeżony przez własnego wołcha? I wszyscy mówią, że ten wołch to kreatura co prawda parszywa, ale uzdolniona. Że nawet mateczka Olga miałaby z nim kłopot...

– Wołch Dziewiatko. – Natasza skrzywiła się z obrzydzeniem. – Parszywa kanalia, co racja, to racja.

– No więc jak to było? Albo ten wołch nie taki dobry, albo... – zawahałem się. – Zdradził Izjasława? Spiskowałaś z nim?

– Z tym plugawym wieprzem!? – oburzyła się szczerze i gniewnie. – Nigdy w życiu! Ty wiesz, jak ta świńska padlina na mnie patrzyła? – Oczy dziewczyny pociemniały ze złości.

– Jesteś piękna, więc mężczyźni patrzą na ciebie z pożądaniem.

Jej twarz złagodniała.

– Tu nie tylko o pożądanie chodzi. – Potrząsnęła głową. – On chce mieć rzeczy i ludzi, rozumiesz? Mieć ich na własność, żeby zostać ich władcą i żeby ich nagradzać i karać wedle swojego kaprysu. Głównie karać.

No tak, znałem podobnych ludzi z inkwizytorskiego doświadczenia. Nader często trafiali się wśród możnych, wśród ustosunkowanego, bogatego kleru, niestety, zdarzało się ich spotkać również w Świętym Officjum, chociaż akurat do naszych szeregów na pewno nie powinni trafiać.

– Podejrzewam więc, że jego dziewczyna nie ma lekkiego życia – skwitowałem i w tym samym momencie mnie tknęło. – Jego dziewczyna, prawda? To o nią chodzi? Z nią coś uknułaś?

Natasza puknęła mnie palcem w pierś.

– Ciepło, ciepło – mruknęła z aprobatą.

– Opowiesz mi dokładniej?

– No nie wieeem... – przeciągnęła.

– Nataszka…

– Tyle już minęło czasu, od kiedy wróciłeś na stałe do Peczory, a jeszcze nie poszliśmy nawet do łóżka – powiedziała rozkapryszonym tonem. – Tak się niby za mną stęskniłeś?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo za tobą tęskniłem – odparłem, nie podtrzymując jej żartobliwego tonu. – Jak kazali mi wracać do Nowogrodu i myślałem, że nigdy więcej cię nie zobaczę. I jak ten człowiek zeznał, że zrzucili cię z murów i zginęłaś.

Objęła mnie i przytuliła głowę do mojego ramienia.

– Ale już jesteśmy razem. Udało się. Znowu – powiedziała z uczuciem.

– Dlatego chcę wszystko wiedzieć – rzekłem. – Bo im więcej wiemy, tym lepiej potrafimy się bronić.

– Oj, wiem, że to prawda – przyznała mi rację. – No dobrze, powiem ci wszystko już bez żartów. – Odsunęła się troszkę ode mnie, ale tylko by przytulić usta do mojego ucha. – Od razu wiedziałam, że ta dziewczyna, ona ma na imię Sonia, jest bardzo nieszczęśliwa. Była taka przerażona, jak mały bity piesek – w głosie Nataszy wybrzmiała zarówno złość, jak i rozrzewnienie.

Cóż, znęcanie się silnych, brutalnych mężczyzn nad słabszymi od nich i bezradnymi kobietami lub dziećmi nie było niczym niezwykłym ani na Rusi, ani w Cesarstwie. Świat wszędzie wyglądał tak samo, nieważne, czy chodziło o rubieże pod Kamieniami, czy też o krainy kilka tysięcy mil od Kamieni. Zawsze ustosunkowani i silni pomiatali słabymi i pozbawionymi wpływów. Kiedyś być może zmieni się forma tego dręczenia, ale nigdy nie skończy się sam proceder. Taka już bowiem jest natura ludzka, że każe czerpać rozkosz z cierpienia tych, którym można to cierpienie bezkarnie zadawać…

– Ona jest taka młodziutka – dodała Natasza takim głosem, jakby sama była bardzo stara oraz bardzo doświadczona i sterana życiem. – I słaba, i bezradna.

Oho, zdaje się, że Natasza oprócz chęci wykorzystania owej dziewczyny do własnej intrygi naprawdę poczuła do niej sympatię.

A jeśli nie sympatię, to przynajmniej litość. Zresztą czasami trudno przecież odróżnić jedno od drugiego.

– Dlaczego dziewczyna wychowana podobnie jak ty jest słaba i pozwala na to, by robiono jej złe rzeczy? – zapytałem.

Natasza potrząsnęła głową.

– Ona nie została wychowana tak jak ja. Żadna z dziewczyn, które nie pochodzą od naszej mateczki, nie jest wychowywana tak jak my...

Cóż, tego można się było akurat spodziewać.

– Więc wiedźma daje wam wszystkim, swoim wychowanicom, więcej, niż zazwyczaj mają dziewczyny wołchów. – Zmrużyłem oczy. – Dużo więcej?

– Patrząc na tę biedną Sonię, wiem, że dużo, dużo więcej... – westchnęła Natasza. – Ale powiem ci też, że wołchowie znają sposoby, by sobie radzić z takimi jak my – dodała głosem trochę zawstydzonym, a trochę złym.

Przypomniały mi się słowa Andrzeja mówiącego: „Już wołchowie mają baty na takie klaczki" i powtórzyłem je Nataszy. Dziewczyna prychnęła zezłoszczona sformułowaniem, którego użyłem, ale skinęła głową.

– Nawet z tobą? – dopytałem.

Ściągnęła usta, lecz nie dlatego, że nie spodobało jej się moje pytanie, lecz że była niezadowolona z odpowiedzi, jakiej musiała udzielić.

– Na razie jeszcze tak – odparła. – Chociaż pewnie już niedługo – dodała zamyślona.

– Boją się was.

– Tak właśnie jest – przyznała. – Gdyby nie znali sposobów obrony, nigdy nie byliby bezpieczni. Potrafią sobie radzić z dziewczynami, bo znają różne... sztuczki – dodała z nową niechęcią.

– A ja tych sztuczek nie znam – rzekłem i klasnąłem. – No tak! To dlatego mówili, że nie przeżyję z tobą dłużej niż pół roku.

– Kto tak mówił? – Oczy Nataszy zwęziły się.

– Nataszka, pewnie wszyscy tak mówili i wszyscy tak myśleli...

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie i tak – przyznała mi rację, a potem przytuliła się do mnie mocniej. – Po prostu nie rozumieją...

– Skąd niby mieliby rozumieć – zgodziłem się z nią.

– Ale czekaj, bo miałam ci opowiedzieć o Soni. Tylko co ja mówiłam? – Przygryzła usta.

– Zakończyliśmy na tym, że była nieszczęśliwa, a wołch mógł ją ukarać i karał ją... – poddałem.

– Ano właśnie! Tak więc pomysł, by odpłacić mu pięknym za nadobne, bardzo jej się spodobał. – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Każdemu by się spodobał. – Skinąłem głową. – I jakiż to znalazłyście sposób na potężnego Dziewiatka, wy przebiegłe dziewczęta? – spytałem żartobliwie, ale byłem zaciekawiony całkiem na poważnie. Poza tym, tak jak mówiłem wcześniej Nataszy, wiedza o przeciwnikach jest jedną z najcenniejszych rzeczy, jakie można otrzymać na wojnie.

– Kazałam jej mówić, że jest obolała, ale Dziewiatko oczywiście nie zwracał na jej lamenty uwagi. – Dostrzegłem złość na jej twarzy. – Na trzeci dzień dałam jej maść, by posmarowała się nią tam, od środka. – Natasza wykonała nieokreślony ruch dłonią, a ja oczywiście dobrze rozumiałem, o co jej chodzi.

– Co za maść?

– Wyobraź sobie, że Dziewiatko poczuł się tak, jakby zanurzył ten swój kijaszek w gorącej kaszy. – Zaśmiała się. – Która za nic w świecie nie chce zejść i pali cały czas żywym ogniem.

Skrzywiłem się.

– Musiało być niemiłe.

– Nie mógł chodzić – zachichotała Natasza. – Okładał go sobie ziołami i balsamami, ale to nie działa. – Potrząsnęła głową. – Trzeba znać lekarstwo.

– Ty znasz...

– Oczywiście, że znam. – Uśmiechnęła się. – Władza nie polega tylko na umiejętności zadania bólu. Może nawet bardziej polega na umiejętności odjęcia go.

– To prawda – rzekłem poważnie, gdyż doświadczenie w pracy inkwizytora nauczyło mnie tego samego.

– Jednocześnie nie mógł przecież tak bardzo obwiniać Soni, bo ona wcześniej ostrzegała go i prosiła, i mówiła, że ją wszystko boli. Tak czy inaczej ją obwiniał, ale też dręczony własnym bólem nie bardzo miał czas, by zadawać ból komuś innemu. A Sonia dostała lekarstwo ode mnie, więc jedyne, co musiała, to udawać, że ją też wszystko bardzo boli w środku.

– Rozumiem.

– No i co najlepsze – kontynuowała Natasza. – Dziewiatko był zbyt dumny, żeby powiedzieć Izjasławowi, iż nie może obcować z dziewczyną, więc cały czas zapewniał go, że nie widzi w przyszłości żadnych niebezpieczeństw.

– Kłamstwo i duma – wtrąciłem. – Dwie rzeczy, które wiodą ludzi do zguby.

– Jak to dobrze, że my jesteśmy skromni i prawdomówni – skwitowała ze śmiechem.

– Zabiłaś więc Izjasława czarami, kiedy Dziewiatko był oślepiony przez swoją kobietę, czy tak?

Potrząsnęła głową.

– Nie, mój miły. Nie ośmieliłabym się czarować pod nosem wołcha, nieważne, zdrowego czy schorowanego.

– A więc?

– Wbiłam Izjasławowi w ucho zatrutą igłę. – Wzruszyła ramionami. – To bardzo łatwe, jeśli się wie, jak to zrobić. Trzeba tylko uderzyć szybko i mocno. – Wykonała tak błyskawiczny ruch dłonią, tak szybki, że zapewne gdyby trzymała w niej zatrutą szpilkę, to potrafiłaby wcisnąć mi ją w głąb czaszki.

– Na miecz Pana! – Otworzyłem szeroko oczy.

Oczywiście znałem różne sposoby uśmiercania i sposób z igłą lub szpilką wbijaną w oko czy ucho nie był mi obcy. Pamiętam, że kiedyś wydobyliśmy zeznanie od pewnej kurtyzany, która w taki właśnie sposób zamordowała swojego patrona. Zresztą wypuściliśmy ją, gdyż nie była zamieszana w uprawianie czarnej magii lub herezji, a zwykłe zabójstwa nie interesowały przecież Świętego Officjum.

Poza tym od tej pory, wdzięczna za wypuszczenie z lochów i przekonana, że tylko od naszej łaski zależy, czy szybko do nich nie wróci, właśnie z nami dzieliła się wiedzą uzyskiwaną od klientów. I tak właśnie świat się toczył na chwałę Bożą...

– Jeśli ucho krwawi, to wpychasz głęboko do środka kuleczkę z wosku, żeby nie wzbudzić podejrzeń – wyjaśniła do końca Natasza.

– Pięknie. – Pokręciłem głową.

– Prawie wszyscy myślą, że Izjasław naprawdę tak bardzo się przestraszył, inni sądzą, że to może, kto wie, czary naszej mateczki. Ale nikomu nie przyjdzie do głowy, że to moja sprawka... No widzisz, teraz wiesz już wszystko...

Pokiwałem głową.

– Wiem wszystko poza jednym. Poza tym mianowicie, dlaczego w ogóle to zrobiłaś? Wydawało mi się, że sprzyjasz Izjasławowi.

Przekręciła szyję i spoglądając mi prosto w oczy, potrząsnęła głową.

– Sprzyjam tylko nam dwojgu, mój miły – stwierdziła z serdeczną powagą w głosie. – Tamara wysłała do mnie jera z wiadomością, że dotarłeś do mateczki. A ja wiedziałam, że jeśli mateczka zabierze się do roboty, to Izjasław jest tak czy inaczej zgubiony. Nie było więc po co sprzyjać mu więcej. – Westchnęła bez żalu. – Zresztą i tak by nas zdradził...

– Też tak sądzę – przyznałem. – Ale skąd wiedziałaś, że wiedźma zgodzi się na moją propozycję?

Pocałowała mnie i z ustami na moich ustach wyszeptała:

– Bo wierzę w ciebie – odparła.

Kiedy nadszedł ranek, nadal oboje nie spaliśmy, leżeliśmy wpatrzeni w świt sączący się zza szpar w okiennicach. Nadzy przytulaliśmy się do siebie, zroszeni kropelkami potu, połączeni splecionymi włosami. W tej bliskości oczy Nataszy wydawały się

ogromne niczym oczy sowy. I błyszczały tak bardzo, jakby w ich sowim spojrzeniu odbijało się światło księżyca w pełni.

– Dobrze, że wróciłeś – szepnęła.

– Dobrze, że czekałaś – odparłem, a tak naprawdę chodziło mi o „dobrze, że przeżyłaś", bo przecież była chwila, w której wcale nie byłem pewien, czy nie zginęła.

Splotła palce z moimi i ścisnęła mnie mocno.

– Zawsze będziemy razem – powiedziała.

– Gdyby to tylko od nas zależało – odrzekłem i usłyszałem smutek we własnym głosie.

Bo przecież wiedziałem, że wypowiadając zdanie: „zawsze będziemy razem", Natasza wcale nie udowadniała swojej pewności i wcale nie przedstawiała wizji niechybnie czekającej nas przyszłości. Ona zaledwie szukała potwierdzenia i sądziła, że opowiadając o swej nadziei, powiększy szansę na jej ziszczenie się. Niestety, nie tak działa świat. A może lepiej powiedzieć, że działa w ten sposób jedynie w ludzkich naiwnych wyobrażeniach. Może powinienem przytaknąć Nataszy? Ale czy podtrzymywanie złudy komukolwiek pomogło?

Wysunęła dłoń z mojej dłoni i odsunęła się. Niby tylko o cal, ale wyraźnie. Cóż, teraz już zrozumiałem, że jednak lepiej było przytaknąć.

– Kocham cię tak bardzo, że czasami chciałabym być jednym ciałem z tobą. Jedną duszą i jednym umysłem. Nawet jak jestem tuż obok ciebie, nawet jak jesteś we mnie, to cały czas tak bardzo, tak rozpaczliwie cię pragnę – mówiła, wcale na mnie nie patrząc, monotonnym i raczej smutnym głosem. Może dlatego właśnie zrozumiałem, że mówi prawdę. Cóż, a w każdym razie to, co za prawdę uważa teraz i tutaj.

– Będę walczył o ciebie i o siebie – obiecałem. – Będę walczył o nasz wspólny świat.

– Wiem. – Znowu się przysunęła.

Przez chwilę milczeliśmy, a ja w ciszy gładziłem koniuszkami palców jej ramię, od obojczyka po łokieć.

– Mateczka nas dzisiaj wezwie – odezwała się nagle rzeczowym tonem.

Wiedziałem, że stara wiedźma nadal siedzi w zamku, w gościnie Ludmiły, i rozumiałem, iż najpewniej coś knuje. Wcale mi się to nie podobało, ale też nie miałem w tej mierze nic do gadania.

– W jakim celu? – spytałem ostrożnie.

– Pogadamy sobie wszyscy z Izjasławem – odparła.

Czy zdziwiłem się, mili moi, zapowiedzią, iż będziemy rozmawiać z człowiekiem, który właśnie niedawno zginął? Cóż, niewiele rzeczy pod Bożym niebem jest w stanie wprawić w zdumienie wytrawnego inkwizytora. Sztuka nekromancji była dobrze znana w Cesarstwie i zajmowało się nią wielu czarowników, ale także uczonych, a nawet duchownych. Na temat rytuałów prowadzących do rozmów z umarłymi Inkwizytorium miało bardzo sprecyzowane zdanie. Otóż uważaliśmy, że dusza człowieka po śmierci wędruje przed tron Pana, skąd żadna ludzka moc nie może jej wyrwać. W związku z tym rozmowy z umarłymi były zaledwie kontaktem ze złośliwymi demonami, które się podszywały pod zmarłych. Oczywiście, jak niemal wszędzie i we wszystkim, istniały pewne hermetyczne wyjątki, które dopuszczały myśl, iż naprawdę można czasami przepytać człowieka, który zakończył już swoją ziemską podróż. Lecz jak było w tym wypadku, miałem się dopiero przekonać.

– A więc mateczka umie i takie rzeczy – mruknąłem.

– A ty nie chciałbyś wypytać go o różne sprawy?

– Izjasław nie spędza mi snu z powiek, ale rzeczywiście chętnie dowiedziałbym się, dlaczego zrobił to, co zrobił. Z jakich powodów wystąpił przeciwko Ludmile?

Natasza wzruszyła ramionami.

– A może odpowiedź okaże się prosta? Bo dlaczego ludzie robią to czy tamto? Nienawidził jej i tyle... Zobaczył, że może jej zaszkodzić, to zaszkodził.

– Jak myślisz, jak stary był Izjasław?

Pokręciła głową.

– Bardzo stary.

– Dla kogoś w twoim wieku, Nataszka, bardzo stary to jest nawet czterdziestoletni mężczyzna – zakpiłem. – A Izjasław miał przynajmniej siedemdziesiąt lat. Kiedyś księżna wspominała, że był starszym bratem jej ojca. A jej ojciec urodził się wtedy, kiedy Izjasław pojechał ze swoim ojcem na wojnę... Czyli był przynajmniej piętnaście lat starszy od ojca Ludmiły.

– No dobrze, już wiemy, że Izjasław był bardzo stary. I co z tego?

– Nie miał spadkobierców, prawda?

– No nie miał.

– Ani młodej żony.

– Miał kochanki. – Zachichotała. – W starym piecu diabeł pali. Podobno lubił się zabawiać z dwoma naraz. A wiesz co... – Przytknęła nos do mojego nosa. – Ciekawe, jak by było, gdybyśmy zaprosili drugą dziewczynę na nasze figle.

– Nie byłabyś zazdrosna? – zdziwiłem się.

– No pewnie bym była – przyznała po chwili i zmarszczyła nos. – Ale mogłabym ją zabić po wszystkim, żeby mieć pewność, że nie spodobała ci się bardziej niż ja.

– Oj, Nataszka – mruknąłem, pomimo że wiedziałem, iż żartuje.

– I co z tym Izjasławem?

– Ano właśnie. Powiedz mi, dlaczego stojący nad grobem bogacz, który ma tak wielki majątek, że nigdy go nie zużyje, i w dodatku nie ma komu zostawić dziedzictwa, dlaczego taki bogacz ryzykuje kilka lat życia, jakie mu zostały, by ten majątek jeszcze powiększyć?

– Jesteś za mądry – powiedziała Natasza poważnie. – Większość ludzi nie jest taka jak ty. Nie myślą tak jak ty. Kierują się gniewem, nienawiścią, miłością, głupią chciwością, a nie rozumem... A potem płacą za to wielką cenę.

Natasza miała oczywiście rację. Sam przecież, myśląc o zajeździe Czarnego Daniły i zgromadzonych w nim bogactwach, twierdziłem, że chcąca je zrabować banda nawet nie zastanawiałaby się, jak te dobra przewiezie i komu je odsprzeda. Złodzieje pogrążeni byliby w upajającej dla nich wizji samego rabunku i podniecałaby ich myśl zostania chociaż na chwilę panami tych wszystkich majętności.

– Ale Izjasław nie był głupi. Czy dożyłby siedemdziesięciu lat na Rusi, gdyby był głupi? Czy miałby zamek i bogatą osadę wokół tego zamku? Czy skupiłby tylu stronników?

– Miły mój, co ty mi właściwie chcesz powiedzieć?

– Zadaję sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego Izjasław wywołał tę głupią wojnę? Niebezpieczną, bo wiedział, że w razie klęski mógł skończyć albo w bagnie, albo zamknięty w żelaznej klatce na peczorskiej bramie. A co dałoby mu zwycięstwo? Kilka lat bycia trochę bogatszym niż w tej chwili...

– W tej chwili nie jest bogaty, tylko martwy – zachichotała Natasza, słysząc moje przejęzyczenie.

– Niż jeszcze przed chwilą. Racja – poprawiłem się. – W każdym razie był tak bogaty, że nigdy by tego majątku nie wydał, choćby bardzo się starał...

– Ludzie zawsze chcą więcej i więcej – stwierdziła Natasza, tym razem już poważnie i smutnym tonem.

– Rozumiałbym jeszcze, gdyby miał syna albo młodą kochankę pchającą go do czynu, kochankę, która by drażniła jego ambicje...

– A ja? Jestem młodą kochanką drażniącą twoją ambicję? – spytała i przekręciła się na mnie tak, że jej piersi zafalowały nad moją twarzą.

– Ty, Nataszka? – Zaśmiałem się i objąłem ją mocniej. – Ty jesteś jak powietrze. Bez ciebie udusiłbym się na śmierć w tym kraju.

– Czyli gdybyśmy żyli w innym kraju, to nie udusiłbyś się na śmierć beze mnie? – spytała nieco chłodniejszym tonem.

– Nataszka, bez ciebie udusiłbym się wszędzie – przyznałem z żarem i to wywołało uśmiech na jej ustach. – I muszę ci o czymś powiedzieć – dodałem już poważnym tonem.

– A może już dosyć gadania? – Przekręciła się znów, opierając na mnie całym ciężarem. Wsunęła mi dłoń między uda. – Miły mój, co? Powiedz sam, dosyć gadania, prawda?

Oczywiście propozycja była kusząca, jak zresztą wszystko, co robiła Natasza, kiedy byliśmy sami, ale przecież w końcu musiałem jej powiedzieć o niezwykłym, jak by to ująć, prezencie, jaki jej uszykowałem. Widzicie bowiem, mili moi, mężczyzna mający

w domu młodą, piękną kobietę o żywym temperamencie musi bardzo uważać, kiedy wraca z wojny, przywożąc do tego domu inną młodą i piękną kobietę. I nawet jeśli, tak jak w moim przypadku, nie ma w tym niczego zdrożnego ani niewłaściwego, to warto zrobić wszystko, by nie tylko nie rozbudzić podejrzeń, lecz zgasić je w zarodku.

– Nataszka, koniecznie muszę ci coś powiedzieć. – Położyłem dłoń na jej dłoni.

Prychnęła i cofnęła rękę.

– Żebyś później nie prosił – ostrzegła z przekąsem.

– Kiedy zwyciężyliśmy Kamieńskiego, okazało się, że w zajeździe Czarnego Daniły mieszka jego kochanka z malutkim dzieckiem – rzekłem prosto z mostu, od razu przechodząc do rzeczy.

– I co? Księżna powiesiła ich czy utopiła? – spytała Natasza obojętnie.

– W zasadzie to rzeczywiście chciała ją powiesić, a dziecko nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Jakoś by je kazała zabić, nie wiem, w jaki dokładnie sposób.

– Tak jak mówisz, to słyszę, że nie zrobiła tego. Czemu?

– Przekonałem ją.

– Ty? Po co? Chociaż ciekawsze jest, co takiego powiedziałeś, że dała się przekonać... – usłyszałem zaciekawienie w jej głosie.

Chcąc nie chcąc, opowiedziałem jej całą historię. O tym, iż zmyśliłem, że Natasza miała prorocze sny, które być może oznaczały, że dziewczyna przyda jej się, by mogła lepiej prorokować, a co za tym idzie lepiej czuwać nad bezpieczeństwem władczyni. Wysłuchała mnie uważnie i potem zachichotała.

– I co, Ludmiła od razu ci uwierzyła?

– Sądzę, że wierzy przede wszystkim w twoją moc – odparłem. – I wolała dmuchać na zimne. Nigdy nie usłuchałaby zwykłego człowieka takiego jak ja, ale usłuchanie słów prorokini takiej jak ty to zupełnie inna sprawa. Nie nadszarpuje jej prestiżu.

– Prorokini. – Natasza uśmiechnęła się szeroko, wyprostowała plecy i uniosła głowę. – Ależ to brzmi! Jakbym była stara, opętana i miała na głowie tiarę.

– Dlaczego tiarę?

Zmrużyła oczy, a po chwili wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. I co teraz chcesz zrobić z tą dziewczyną? – Zerknęła na mnie. – A ładna jest chociaż?

– Bardzo ładna – odparłem. – Ale przy tobie wygląda jak mała gwiazdka przy południowym słońcu...

– Nie bój się – przerwała mi pobłażliwym tonem. – Wierzę ci, że nie ściągnąłeś jej do Peczory, żeby używać sobie z nią za moimi plecami. Nie musisz mi aż tak schlebiać, żeby mnie uspokoić.

– Nataszka, ja naprawdę nie zamieniłbym cię na żadną inną – powiedziałem. – A jeśli o tym wiesz, to bardzo dobrze.

Objęła mnie.

– Wiem – przyznała ciepło i skłoniła głowę na moje ramię. – Wierz mi, że gdybym miała podpalić świat, abyś tylko ty ocalał, tobym go bez żalu podpaliła.

Pomyślałem, że takie właśnie słowa chciałby słyszeć każdy mężczyzna od swojej kobiety, zwłaszcza kiedy wie, że nie są spowodowane poetyckim i sentymentalnym patosem, ale wywołane szczerym przekonaniem wynikającym z gorącego uczucia.

Wierzyłem, że Natasza zrobiłaby wiele, by mnie ocalić, gdyż przez to ocaliłaby również nas. A my dwoje, cóż... miałem wrażenie, że życie łączyło nas coraz bardziej.

– I co chcesz zrobić z tą dziewczyną? – zapytała.

– Sam nie wiem. Myślałem, że może ty z nią coś zrobisz...

– Ja? – zdumiała się. – A co ja mogę chcieć od dziewczyny z małym dzieckiem? Niech sobie żyje, skoro już tak ułożyły się sprawy...

Zastanowiłem się chwilę.

– Gdybyś po tym, co powiedziałem, zupełnie się nią nie zainteresowała, to Ludmile mogłoby się to wydać dziwne i podejrzane.

Pokiwała głową.

– Prawda – przyznała mi rację. – A wtedy mogłaby kazać ich zabić, co pewnie by ci się nie spodobało... No cóż, cieszę się, że masz dobre serce – westchnęła. – Chociaż sądzę również, że nie broniłbyś z taką

samą pomysłowością jakiejś starej, brzydkiej kobieciny o siwych włosach i owrzodzonej twarzy... – Wzdrygnęła się teatralnie.

– Myślę, że wcale nie broniłbym też Nadieżdy, gdyby nie jej dziecko – odrzekłem szczerze. – Co komu zawiniło niemowlę?

– Lepiej nie zostawiać przy życiu tych, którzy mogą się kiedyś zemścić – odparła po namyśle.

– „Zemsta jest dla ust najsłodszym kęskiem" – skwitowałem jej słowa cytatem, którego pochodzenia nie pamiętałem, lecz wydawało mi się, że był częścią jakiejś sztuki teatralnej.

– Ano właśnie. My na Rusi nie zapominamy i nie wybaczamy – stwierdziła Natasza poważnie. – Dobrze, mój miły, wymyślę coś dla tej dziewczyny, skoro ma ci to sprawić przyjemność. Niech sobie żyje ona i ten jej bękart...

– Dziękuję, Nataszka, że rozumiesz...

Potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem – przerwała mi. – Robię to dlatego, że cię kocham, a nie dlatego, że cię rozumiem. – Zmierzyła mnie spojrzeniem. – Jesteś inkwizytorem. Wy, inkwizytorzy, więzicie, przesłuchujecie, torturujecie i palicie na stosach tysiące kobiet. Skąd ta nagła litość dla obcej Rusinki? – Przyglądała mi się uważnie.

Rozłożyłem ręce.

– Mówiłem ci, że nie o nią chodzi, ale o jej dziecko.

– Tysiące dzieci giną na całym świecie – odparła. – Umierają w czasie połogu. Albo z głodu i z chorób. Od bicia. Od wypadków. Od wojny. Przecież doskonale o tym wiesz. Dlaczego nie zostawiłeś spraw tak, jak miały się wydarzyć, skoro w śmierci tego dziecka nie byłoby niczego, co kogokolwiek by zdumiało albo zgorszyło? – Przypatrywała mi się uważnie, chyba ze zdziwieniem, może również z pobłażliwością kogoś doświadczonego i bywałego, kto spogląda na żółtodzioba.

Potrząsnąłem głową, bo jej słowa co prawda mnie nie skonfundowały ani nie zaskoczyły, lecz Natasza zadawała takie same lub podobne pytania, jakie wcześniej sam sobie zadawałem.

– Nie wiem, Nataszka – rzekłem szczerze. – To była chwila. Tknięcie palcem Boga. – Uśmiechnąłem się na znak, by nie brać

moich słów całkiem na poważnie i by traktować moją decyzję raczej jako kaprys niż wolę Pana. Chociaż z drugiej strony patrząc, czyż wszystko, co nas otacza, nie jest wypełnione wolą Bożą?

Odsunęła się ode mnie, ale nadal trzymała dłonie na moich ramionach.

– Powiedz mi, chciałbyś, żebym urodziła ci dziecko? – spytała bardzo poważnym tonem.

Nie ma co ukrywać, że mnie zaskoczyła, zwłaszcza iż na pierwszy rzut oka widziałem, że nie traktuje tej sprawy lekko.

– Nie wiem, Nataszka – odparłem dopiero po chwili. – Świat jest tak bardzo niebezpiecznym miejscem. My oboje żyjemy w ciągłym zagrożeniu. Czy mamy prawo ściągać ten strach na głowę niewinnego dziecka?

Wzruszyła ramionami.

– Gdyby wszyscy ludzie myśleli podobnie, dawno nie byłoby na świecie żadnego człowieka.

– Znaliśmy w Cesarstwie podobną herezję – przypomniałem sobie. – Jej wyznawcy kazali nazywać się Doskonałymi i twierdzili, że powinnością ludzkości jest wymrzeć, by szybciej zjednoczyć się z Bogiem. Może nie zwracalibyśmy na nich wielkiej uwagi, gdyby nie fakt, że zaczęli bliźnim w owym wymieraniu usilnie pomagać.

– Ty mi tu nie opowiadaj teraz o cesarskich herezjach. – Pokręciła głową z niezadowoleniem.

Milczeliśmy dłuższą chwilę, a ja czułem, jak Natasza coraz bardziej sztywnieje w moich ramionach.

– Nam nie wolno mieć dzieci – wyznała wreszcie z wysiłkiem.

Zrozumiałem oczywiście natychmiast, że mówiąc „nam”, nie miała na myśli siebie i mnie, lecz kobiety takie jak ona i tak jak ona obdarzone nadzwyczajnymi zdolnościami.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jesteśmy uczone tego, jak nie pozwolić, by pojawiło się w nas nowe życie. Ale jeśli to się zdarzy, płód jest z nas wypruwany. A jeśli którejś by się udało, gdyby chciała urodzić dziecko, to i tak ją wyśledzą, złapią i zabiją zarówno ją, jak i jej dzieciątko... – mówiła martwym, zimnym głosem, który nagle przy

słowie „dzieciątko” nabrał ciepłej, wzruszającej nuty, tak innej od poprzednio wypowiadanych zdań.

– Czemu wydano takie prawo? – zapytałem, chociaż byłem niemal pewien odpowiedzi.

– Boją się – odparła zgodnie z moimi przewidywaniami. – Boją się, że z dziewczyny takiej jak ja i z nasienia potężnego wołcha może narodzić się ktoś, kim nie będą w stanie rządzić, kogo nie będą umieli kontrolować, kto być może sięgnie po władzę nad książętami... Kto stanie się władcą całej Rusi. Takie tam bajania.

Pomyślałem sobie, jakże podobne nadzieje i marzenia opętały owego magicznego Wilka, demoniczną istotę, którą ubiliśmy na mokradłach, a która roiła sobie – w na pół człowieczym, na pół zwierzęcym łbie – iż w wyniku obcowania z kobietą spłodzi potomka, który będzie panował nad ludźmi. I że właśnie Nataszę upatrzył sobie jako oblubienicę. Tyle że jeśli marzenia Wilka były zaledwie rojeniami zdziczałego umysłu opętanego fantazmatami, tak obawy ruskich książąt mogły mieć realne podstawy. Przecież my, inkwizytorzy, dobrze wiedzieliśmy, że z łona potężnej czarownicy może wyjść dziecko, które kiedy dorośnie, będzie umiało korzystać z mocy. A gdyby również ojciec był magicznie uzdolniony, to owo dziecko naprawdę mogłoby dokonać wielkich czynów. Może podłych, może szlachetnych, ale wielkich. Oczywiście tylko wtedy, gdyby odpowiednio zadbano o jego rozwój.

– Nauczeni przykładem Heroda, co? – mruknąłem. – Wolą, żeby drugi raz władcom nie zdarzyła się podobna przykrość.

Pokiwała głową.

– Skoro za urodzenie dziecka groziłaby ci taka kara, tak wielkie niebezpieczeństwo, dlaczego w ogóle o tym myślisz? – spytałem.

Odsunęła się ode mnie, nie dlatego jednak, by pytanie ją uraziło. Wiedziałem zresztą, że Natasza nie obraża się za takie rzeczy. Była młoda, ale przecież na tyle mądra, by wiedzieć, że zrozumieć drugiego człowieka można tylko wtedy, kiedy zadaje mu się pytania, nawet jeśli są one niewygodne. A potem warto uważnie słuchać odpowiedzi, nawet jeśli są one przykre.

Wstała z łóżka i zachwyciła mnie jak zawsze. Piękna, wysmukła, z długimi włosami otulającymi ramiona i spływającymi na plecy. Gdyby przedstawiano Afrodytę jako jasnowłosą kobietę, nie byłoby lepszego dla niej wzorca niż Natasza. Przeszła do stołu, napełniła kubek wodą z dzbanka, a ja cały czas z zachwytem śledziłem jej ruchy. Tak długo byliśmy już ze sobą, z tak wielkim zapałem i intensywnością oddawaliśmy się jedno drugiemu, a sam jej widok nadal mnie zachwycał. Tak jakby była wciąż odradzającym się cudem.

– Lubię, jak na mnie patrzysz. – Uśmiechnęła się i przysiadła obok na łóżku. Podała mi kubek.

– Patrzę na ciebie, bo jesteś idealna – odparłem.

– A nie mam zbyt małych piersi? – Ujęła je w dłonie.

– *Piersi twe jak grona winne* – zacytowałem Pismo.

– To znaczy: za małe – stwierdziła, marszcząc brwi.

Roześmiałem się.

– To znaczy, że mógłbym ciągle ich kosztować i nigdy by mi się nie znudziło.

Zdjęła dłonie z piersi i położyła palce na moich ramionach.

– „Nigdy” to szmat czasu – stwierdziła poważnie.

Przytuliłem twarz do jej brzucha.

– Zawsze kiedy patrzę w przyszłość moich marzeń, widzę w niej ciebie – odparłem.

Przytuliła mnie tak mocno, że niemal straciłem dech, a potem prześlizgnęła się i usiadła z drugiej strony.

– Cały czas mam przeczucie, że znikniemy – odezwała się, kiedy piłem, i tym razem miała przygnębiony głos. – Może nie dla świata, ale jedno dla drugiego. Byliśmy, lecz zaraz nas nie będzie. – Zapatrzyła się nieruchomym wzrokiem w okno. – Gdybym miała dziecko, to przynajmniej coś by mi zostało po tych wszystkich chwilach, coś, co przypominałoby mi ciebie i to, jak bardzo cię kochałam.

Zsunąłem się z łóżka i uklęknąłem, obejmując ją w pasie.

– Ja chcę ci przypominać mnie – powiedziałem.

Starałem się, by mój głos zabrzmiał ciepło, ale też lekko. By wyciągnął Nataszę ze smutnego, rzewnego nastroju, z tego beznadziejnego przygnębienia i z przeświadczenia o zbliżającej się strasznej przyszłości. Nie lekceważyłem tych przeczuć, lecz wiedziałem przecież, że nie możemy się im poddawać. Nie byliśmy bohaterami greckich mitów, którym Parki utkały nić życia i nic ani nikt splotu tego nie może odmienić. Byliśmy stworzeniami chrześcijańskiego Boga, obdarzonymi przez Niego wolną wolą i mogliśmy chociaż próbować walczyć, by nasz los stał się taki, jakim utkaliśmy go w marzeniach.

Nie dano nam cieszyć się wzajemną obecnością, bo niedługo po tej poważnej rozmowie przybiegł służący (przerażony, jak zresztą każdy dworzanin, którego zmuszono, by przekazywał wieści Nataszy), wołając, że mamy udać się za nim.

– Czyli wszystko gotowe! – Natasza zeskoczyła z łóżka i szybko oblekła suknię.

Związała włosy na czubku głowy, co nadało jej poważniejszy wygląd, ale też jeszcze bardziej podkreśliło delikatność rysów i jasność skóry.

– Szybciutko, mój miły, szybciutko! – ponagliła mnie niecierpliwie.

Pospieszyłem, jak tylko mogłem pospieszać, by jednak nie wyjść zupełnie nieprzygotowanemu. Natasza mogła sobie pozwolić na spacer jedynie w sukni, ja musiałem założyć nieco więcej ubrań. A co ważne, musiałem wziąć ze sobą to, bez czego żaden inkwizytor nie powinien opuszczać własnej kwatery: sztylet i shersken. Przynajmniej tyle. Miałem nadzieję, że do niczego mi się to zabezpieczenie nie przyda, lecz wiedziałem również, że lepiej sto razy zabrać broń, która okaże się niepotrzebna, niż jeden jedyny raz nie zabrać broni, która potem okaże się niezbędna...

Zaprowadzono nas do zamkowych podziemi, a ja złapałem się na tym, iż machinalnie węszę, by poczuć odór krwi. Przecież to właśnie

tutaj, w tych lochach, przeprowadzono plugawy rytuał, w czasie którego krew bryzgała niczym w jatce szalonego rzeźnika. Ale nie, nawet przy moim wyczulonym węchu niczego dzisiaj nie poczułem. Tylko jak zwykle: smród butwiejącego drewna, zgnilizny i nieświeżej wody stojącej w kałużach.

Weszliśmy do wskazanego przez służących pomieszczenia. Był to pokój mały i ciemny, co najważniejsze jednak i najbardziej przykre, panował w nim przejmujący chłód. Mimowolnie aż zadrżałem z zimna i objąłem ramionami Nataszę. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do mroku, zobaczyłem, że na stole leżą wielkie bryły wycięte z lodu, a na nich spoczywa nagie ciało władyki Izjasława. No cóż, powiedzmy lepiej: prawie nagie, ponieważ przygotowując się do rytuału, nie zapomniano o dziwnej w podobnej sytuacji skromności i podbrzusze martwego możnowładcy przysłonięto pasem materii oplatającym mu uda i biodra.

Natasza ścisnęła mnie za łokieć.

– Tylko w wielkim zimnie sztuka się powiedzie – wyjaśniła cichutko. – Tylko wtedy będzie można go utrzymać przy... – zawahała się. Byłem pewien, że odruchowo chciała użyć słów „przy życiu”, lecz zaraz potem zrozumiała, jak błędne byłoby w rzeczywistości to określenie. – W przytomności – zakończyła. A potem westchnęła. – Jeśli w ogóle to wszystko się uda... – dodała.

Od samego początku, od kiedy tylko weszliśmy do pokoju, wiedziałem, że czarownica siedzi w najdalszym, zaciemnionym kącie pomieszczenia, w mroku, którego nie mogliśmy przeniknąć wzrokiem. Zresztą byłem pewien, iż Natasza wie to równie dobrze jak ja. Teraz usłyszeliśmy stęknięcie, najwyraźniej starucha wstała z krzesła, potem szuranie butów na posadzce. Wyłoniła się z ciemności z kosturem w dłoni. Znowu nie wyglądała jak wiedźma, ale jak zgarbiona trudami życia, poczciwa starowinka.

– Czemu ma się nie powieść, moje dziecko? – odparła, w przeciwieństwie do nas mówiąc głośno.

– Myślałem, że zabiłaś Izjasława za pomocą magii – rzekłem. – Ale później dowiedziałem się, że zginął całkiem inaczej.

Spojrzała na mnie zmęczonym wzrokiem.

– Czasami najskuteczniejszą magią jest pozwolić rzeczom, by działy się całkiem same – oznajmiła sentencjonalnie.

– Może i tak. – Wzruszyłem ramionami.

Nie podobało mi się, w czym miałem uczestniczyć, ale tutaj, na Rusi, widziałem takie rzeczy i brałem udział w takich sprawach, że w naszym świątobliwym Cesarstwie wszystkich obecnych spalono by już na stosie. Ta miała być więc kolejna. A przyznać też musiałem, że w porównaniu z niedawną odrażającą krwawą ceremonią ten rytuał wyglądał schludnie i niewinnie. Skoro wtedy posunąłem się tak daleko, pomyślałem, to nie ma już granicy, której bałbym się przekroczyć. A potem złapałem się na myśli, że wcale nie wiem, czy ta konstatacja mi się podoba.

– Dlaczego nie odcięto mu głowy jak Dobryniczowi? – spytałem. – Musiałby wtedy wszystko opowiedzieć, czyż nie? Tak jak zrobił Dobrynicz...

Pamiętałem przecież doskonale, jak zręcznie spisała się Natasza, która ucięła głowę wyśmienitemu tropicielowi Modestowi Dobryniczowi, by ta głowa poprowadziła nas tajnymi drogami przez bagna.

– Izjasław jest stary i słaby, nie przetrzymałby – skrzywiła się Natasza. – Dobrynicz był silny jak tur, wszystko by zniósł... Tutaj i z nim tak jak jest teraz, tak właśnie musi być...

Wiedźma wpatrzyła się w leżącą na stole postać i zatarła ręce z zadowoleniem. Sięgnęła do twarzy Izjasława i odgarnęła mu siwe kosmyki spadające na oczy. Potem zaśmiała się.

– Jaki świeżutki – pochwaliła. – Nie będzie problemu, by go obudzić...

Prawowierny inkwizytor nie powinien uczestniczyć w obmierzłych nekromantycznych praktykach – mogłem sobie to powtarzać w nieskończoność. Ale musiałem również zauważyć, że to była jedna strona medalu. Zaledwie powierzchnia, a Słudzy Boży nie powinni prześlizgiwać się jedynie po wierzchu, lecz myślą oraz czynem sięgać w głąb.

Bo myśląc logicznie i trzeźwo, po pierwsze, nie miałem nic do powiedzenia, po drugie, nawet gdybym miał coś do powiedzenia, to

i tak nikt by mnie nie usłuchał, a po trzecie wreszcie, wskrzeszenie Izjasława wydawało mi się niezwykle interesujące z punktu widzenia inkwizytorskiego doświadczenia. Oczywiście obrzydliwe, plugawe i haniebne. Zaprzeczające Boskiemu porządkowi, według którego żywi są żywi, a martwi są martwi i skoro tak się stało, to tak powinno pozostać. Ale mimo wszystko zajmujące. Bo przecież zawsze należy poznawać zdolności wroga w działaniu. No i nie ma co ukrywać, ciekaw byłem kilku odpowiedzi, których mógł udzielić władyka. Oczywiście pod warunkiem, że nie tylko uda się naprawdę go wskrzesić, ale też że skłonimy go do szczerych wyznań. Zważywszy na to, że w czasie wyprawy przeciw demonom bardzo pomogła nam odcięta głowa Modesta Dobrynicza, mogłem przypuszczać, że i w tym wypadku magia mateczki Olgi okaże się skuteczna.

Tymczasem wiedźma położyła obie dłonie na policzkach władyki i pochyliła się nad nim tak głęboko, że gdyby Izjasław żył, to jej włosy załaskotałyby go w nos. Sądziłem, że starucha rozpocznie jakieś nikczemne inkantacje, że otuli nas, przepłynie wokół i zaciśnie się dookoła nas wywołana przez nią potężna fala czarnej magii, jednak nic takiego się nie wydarzyło. Czarownica leciutko dmuchała w nozdrza i usta Izjasława, jakby nie była chcącą go wskrzesić wiedźmą, lecz kobietą żartobliwie drażniącą się ze śpiącym ukochanym. W pewnym momencie dostrzegłem, iż z oddechu mateczki Olgi tworzy się siny dym. Niczym tchnienie człowieka wydane na mroźnym powietrzu.

– Pamiętasz, miły mój, co ci mówiłam o mgle z bagien? – zaszeptała mi do ucha Natasza. – Kto umie korzystać z mocy mgły, ten dzięki niej choć na chwilę przywróci umarłych do żywych. To bardzo, bardzo trudne...

I teraz poczułem odór zgnilizny. Smród butwiejących liści i korzeni, woń bulgoczącego błota, nad którym pękają purchle i unosi się zatykający dech w piersiach fetor.

Siny opar rozchodził się wokół obu twarzy, zarówno wiedźmy, jak i władyki, mgła zdawała się wnikać już nie tylko w usta i nozdrza Izjasława, ale również w jego oczy. Wydawała się nasycać skórę,

nawet znikać pomiędzy siwymi włosami. Trwało to wszystko dość długo. Mgła coraz bardziej gęstniała wokół czarownicy, a sama mateczka Olga zdawała mi się jeżeli nie wyczerpana, to przynajmniej bardzo zmęczona. Czy gdybym ją teraz zaatakował, przeszło mi przez myśl, czy w tym momencie mógłbym uzyskać tak dużą przewagę, iż pokonałbym ją bez narażania siebie i Nataszy? Ale jednocześnie wiedziałem, że to jest jedynie taka sobie przelotna myśl. Owszem: kusząca, lecz jednak niemożliwa do zrealizowania. Napadając na wiedźmę, doprowadziłbym do furii Ludmiłę, co na pewno nie byłoby bezpieczne. A może wcale nie? W mojej głowie znowu pojawiła się pokusa, może księżna byłaby całkiem zadowolona, że nie musi spłacać wielkiego długu zaciągniętego u wiedźmy? Natasza byłaby wolna, Ludmiła nieobarczona zobowiązaniem, ja dokonałbym uczynku godnego prawowiernego chrześcijanina. Otrząsnąłem się. To nie były czas i miejsce, by rozważać konfrontację z mateczką Olgą. Cierpliwość musi być cechą każdego inkwizytora, a uderzenie przeprowadzone z cienia, ciszy i pustki, kiedy wiesz wszystko o przeciwniku, a przeciwnik nie wie nic o tobie, jest najlepszym z ataków. Zresztą Natasza przykazała mi wyraźnie, bym nie mieszał się w sprawy rozgrywek pomiędzy czarownicami, i z całą pewnością wiedziała, co mówi.

Siny opar otaczał już obie postaci, pochyloną wiedźmę i leżącego władykę, tak gęstym całunem, że ledwo widziałem kontury ich ciał. Ścięta wysiłkiem i chyba też bólem twarz czarownicy raz ginęła za strzępami mgły, a raz się z nich wyłaniała, na podobieństwo jakiejś odrażającej maski utworzonej z zesztywniałego szarego pergaminu, zmiętego tak, jakby ktoś ścisnął go w brudnej pięści.

– Co? Gdzie? Kto to? Jak? – zachrypiał nagle władyka, tocząc wokół oszołomionym wzrokiem.

Widziałem, że próbuje się ruszyć, unieść chociaż głowę, ale nie mógł tego w żaden sposób dokonać. Najwyraźniej całe jego ciało od szyi w dół było martwe czy sparaliżowane. Ale nas przecież interesowało tylko, by bez szwanku pracował jego umysł.

– Poznajesz mnie? Jestem mateczka Olga, wiedźma z bagien. – Zachichotała, jakby ją samą bawiło miano, które zostało jej

powszechnie nadane.

Spojrzenie władyki oprzytomniało. Zamrugał powiekami kilkakrotnie.

– Poznaję cię – rzekł wreszcie. – Tak, poznaję cię. Cóżeś zrobiła? – Zamilkł na chwilę, wyraźnie usiłował sobie coś przypomnieć. Zmrużył oczy. – Co się ze mną stało? Pamiętam jery. Ciągle wrzeszczały. Podszedłem do okna i... – zawiesił głos. Zamrugał mocno. – I teraz jestem tutaj – dodał z niezrozumieniem.

Przez chwilę panowała cisza.

– Te jery – odezwał się znowu Izjasław. – Jakżeż one krzyczały. – Jego wzrok na moment się ożywił. – Straciłem przytomność? Osłabłem? Gdzie mój wołch? Gdzie Dziewiatko?

– Osłabłeś – odparła wiedźma. – Upadłeś i wszyscy mieli cię za martwego.

Władyka zagryzł usta ze zniecierpliwieniem.

– Uleczyłaś mnie? Uzdrowiłaś? Jeśli tak, nie minie cię nagroda... Gdzie mój wołch? – dodał rozdrażniony. – Natasza! – Tym razem spojrzenie Izjasława padło na moją towarzyszkę. – Powiedz, gdzie Dziewiatko?

Natasza tylko potrząsnęła głową, za to wiedźma skrzywiła usta w uśmiechu.

– Można powiedzieć, żeś nie tyle uzdrowiony, co wskrzeszony niczym biblijny Łazarz – objaśniła. – Wyciągnęłam cię z otchłani śmierci, byś mógł powrócić do żywych.

Izjasław odetchnął ciężko, boleśnie, z dziwnie jękliwym świstem wydobywającym się z gardła.

– Obłóżcie go lodem! – krzyknęła mateczka Olga rozkazująco i donośnie. – Szybko!

Ponieważ byliśmy jedynymi osobami w celi, do nikogo innego, tylko do nas skierowała to polecenie. Zresztą nawet jakbym się tego sam nie domyślił, to Natasza gwałtownie szarpnęła mnie za dłoń. Podbiegliśmy do wielkich skrzyń stojących pod ścianą, wyładowanych kawałkami pokruszonego lodu. Naczerpnęliśmy go do wiader.

– Sypcie na niego! – rozkazała czarownica.

Posłusznie wyrzuciliśmy lód, a on okrył ciało Izjasława przejrzystą, połyskliwą warstwą. Władyka przyglądał się temu wszystkiemu zdumiony, lecz na jego twarzy pojawiła się ulga.

– Lód koi mój ból – rzekł cicho. – Co mi jest? Na co choruję?

– Chorujesz na to, na co wszyscy kiedyś zachorujemy. Umarłeś, Izjasławie – wyjaśniła spokojnie starucha.

– Umarłem – powtórzył władyka i przymknął oczy. – No cóż, żyłem na tyle długo, by wierzyć, że może to być prawda – dodał.

Potem uchylił powieki i wolno przesunął wzrokiem po mnie i Nataszy.

– Jesteś człowiekiem honoru, inkwizytorze – rzekł. – Więc powiedz mi prawdę, przysięgając na swój honor: czy ja umarłem?

– Wedle wszelkich znanych mi praw, gdy zobaczyłem cię tu leżącego na stole, byłeś martwy, władyko – odparłem. – A teraz powróciłeś do żywych dzięki magii wiedźmy. Tak ja rozumiem całą tę sprawę.

Izjasław przymknął na chwilę oczy, ale zaraz potem spojrzał na swoją prawnuczkę.

– Natasza? A co ty mi powiesz?

– Byłeś martwy, Izjasławie – odrzekła natychmiast i zdecydowanie. Miałem jednak wrażenie, że gdzieś w tym tonie tli się iskierka współczucia. – Mateczka przywróciła cię do świata żywych, ale to długo nie potrwa. A ty nie jesteś teraz ani w pełni żywy, ani w pełni martwy... – Wzięła w dłoń okruch lodu i ścisnęła go w garści. – Jesteś jak ten lód, Izjasławie. Ni kamień, ni woda. – Krople zaczęły Nataszy wyciekać spomiędzy palców.

– A więc tak wszystko się skończyło – westchnął władyka i zrozumiałem, że pogodził się ze świadomością, iż mówimy prawdę. – Czy możesz mnie wskrzesić? – Ponownie spojrzał na wiedźmę. – Tak żebym wstał i wyszedł między ludzi? Żebym znowu żył?

Starucha potrząsnęła głową.

– Tego nie potrafi nikt pod ludzkim niebem – przyznała szczerze. – Są tacy, co umieją wskrzesić człowieka pacierz, może dwa pacierze po jego śmierci i człowiek ten potem żyje długie lata, jak gdyby nigdy

nic złego mu się nie przytrafiło, lecz ja temu zadaniu bym już nie sprostała...

W tym zdaniu uderzyło mnie słówko „już”. Czyżby więc kiedyś umiała czynić podobne cuda?

– A ciebie, Izjasławie, zobaczyłam wiele godzin po tym, jak umarłeś – ciągnęła. – Więc nikt nic dla ciebie nie może zrobić.

Władyka nie odzywał się dłuższą chwilę.

– Więc po co to wszystko? – zapytał wreszcie. – Czemu mówię, myślę i czuję? Czemu zebraliście się wokół mnie? Czego ode mnie chcecie? Dlaczego nie pozwoliliście mi umrzeć raz, do końca i na zawsze? – W jego głosie zabrzmiała gorycz.

– Jesteś nam potrzebny – wyznała bez ogródek wiedźma. – Jest nam potrzebna twoja wiedza.

– Nie mam wam nic do powiedzenia – odparł wyniośle władyka.

– To, że umarłeś, wcale nie znaczy, że nie możesz cierpieć – powiedziała lodowatym tonem starucha. – A ponieważ nie jesteś żywy, to od tego cierpienia nie uciekniesz do krainy śmierci. Utrzymam cię w przytomności na tyle długo, byś powiedział wszystko, co wiesz.

Izjasław milczał długą chwilę.

– Tak – rzekł wreszcie. – Przeczuwam, że mówisz prawdę. Pamiętam ból, który pojawił się, zanim zasypaliście moje ciało lodem.

– Zauważ również, władyko, że tutaj, gdzie teraz leżysz, jest bardzo ciemno. Wszystko dlatego, że w blasku poczułbyś, iż twoja skóra płonie żywym ogniem. Ona nie płonęłaby tak naprawdę, lecz cierpiałbyś tak samo, jakby spalano ją żywym płomieniem.

Izjasław skrzywił usta.

– Doceń, iż staramy się o twoją wygodę – dopowiedziała wiedźma z szerokim uśmiechem. Potem kontynuowała już z poważnym naciskiem: – Nie jesteś teraz naszym wrogiem, nie chcemy ani uczynić ci krzywdy, ani mścić się za krzywdy wyrządzone nam za życia. Chcemy tylko, byś wyjawił prawdę...

– Prawdę – westchnął Izjasław. – Niewielu ludzi rzeczywiście chce poznać najprawdziwszą prawdę. Bo kiedy już by ją usłyszeli,

mogłoby się okazać, że woleliby od niej kłamstwa i że żałują, iż zmusili świat do zdjęcia zasłon z tych kłamstw.

– Masz niewątpliwie rację, władyko – zdecydowałem się wtrącić. – Jednak pozwól sobie powiedzieć, że nie jesteśmy tutaj, by oddawać się filozoficznym rozważaniom o znaczeniu prawdy i kłamstwa. Ani nie przybyliśmy, by porównywać prawdziwy obraz z jego cieniem tańczącym na ścianie jaskini.

Nie wiem, czy zrozumiał moje nawiązanie do Platońskiej „Politei", nie miałem pojęcia, czy w ogóle kiedykolwiek czytał Platona albo chociażby znał to imię, lecz nie było to przecież ważne.

– Powiedz mi, władyko, w jakim celu wywołałeś tę dziwną wojnę? – zapytałem. – Jesteś stary jak mało kto na Rusi, nie masz spadkobierców, nie masz nawet kochanki judzącej cię do gwałtownych czynów... Na niczym ci nie zbywało, byłeś bardziej niż bogaty. Po co więc to wszystko?

Izjasław wyraźnie chciał wzruszyć ramionami, ale że nie mógł władać żadnym mięśniem swojego ciała poza tymi, które rządziły jego twarzą, więc tylko się skrzywił.

– Zawsze chce się więcej – rzekł wreszcie. – Człowiek nie patrzy wtedy na nic poza tym, by zagarnąć więcej i więcej. Może to miało odpędzić ode mnie śmierć? Wojna, gniew, żądza, ryzyko... Taaak, chciałem znowu poczuć się jak człowiek, którym kiedyś byłem. Mówili ci, inkwizytorze? – Spojrzał na mnie. – Że byłem wojownikiem? Sławnym wojownikiem! Walczyłem przeciwko Mongołom, stawałem przeciwko Moskwie, wędrowałem aż nad rzekę Koldy, hen daleko za Kamienie...

Miałem podobne przypuszczenia, kiedy rozważałem motywy postępowania władyki. Ale jednak odnosiłem wrażenie, że w słowach Izjasława kryje się niecała prawda. A może nawet tylko pół prawdy. A może wręcz zwyczajne kłamstwo. Nie zdążyłem jednak nic powiedzieć, gdyż wiedźma zaśmiała się złośliwym, suchym śmieszkiem.

– Dałam ci życie po życiu, Izjasławie – powiedziała. – Więc wiem, kiedy łżesz.

– Nie obchodzi mnie, co myślisz – stwierdził Izjasław wyniośle.

Cóż, kiedy jest się sparaliżowanym, nagim starcem położonym na stole przed ludźmi, którzy nie będą mieć żadnych oporów, by torturami zmusić do wyznania prawdy, wypadałoby się zachowywać w sposób nieco bardziej uprzejmy. Czy Izjasław nie do końca zdawał sobie sprawę z tragizmu własnej sytuacji, czy raczej butnymi słowami próbował podnieść na duchu sam siebie?

– Ach ty, sobacze nasienie. – Wiedźma wysyczała te słowa, pochylając zmienioną gniewem twarz nad obliczem władyki. – Zaraz poznasz, że ból można sprawić nawet komuś, kto już nie żyje.

Jej oczy pałały złością, lecz Izjasław nie cofnął wzroku. Ten bezbronny starzec zachowywał wyjątkowy hart ducha. Wątpiłem jednak, czy owej odwagi starczy mu na długo. Znałem przecież ludzi, którzy na inkwizytorskie przesłuchania przychodzili niczym do karczmy: butni, pewni siebie, pokrzykujący, chwalący się bogactwem i koneksjami. Zazwyczaj zaczynały drżeć im nogi już po okazaniu narzędzi i objaśnieniu, jak one działają. A kiedy rozbierano ich do naga i podwieszano lub rozciągano na stole, to ich głosy z basowych robiły się piskliwe, a ton z rozkazującego i oburzonego zmieniał się na błagalny lub lamentujący. A kiedy wylewano im na jądra płynną siarkę lub choćby tylko podkładano płonące świece pod pachy, to w wykrzykiwanych pospiesznie zeznaniach przeszkadzała im już nie zawziętość, lecz tylko rozpaczliwy płacz. Taka była właśnie natura większości ludzi i wiedziałem, że choćby minęły setki lat, niewiele się zmieni w tym zakresie.

– Nie zmuszaj nas, byśmy cię dręczyli, władyko – odezwałem się łagodnie. – Może nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi, lecz nie jesteśmy przecież twoimi wrogami. Pozwolimy ci spokojnie umrzeć i powędrować przed najsurowszy Sąd Boży, kiedy tylko odpowiesz na pytania z całą szczerością i całą wiedzą, jakie posiadasz...

Nie raczył się odezwać. Nawet nie drgnął, nie parsknął, nie wydął pogardliwie ust, nie splunął w moim kierunku. Nie dał w żaden sposób poznać, iż moje słowa w ogóle dotarły do jego uszu. Udawał, że mnie nie słyszy, ba, zapewne udawał, że w ogóle nie istnieję. Być może chciał również udawać, że my wszyscy, skupieni tu i teraz

wokół niego, po prostu nie istniejemy. No cóż, niedługo w takim razie przekona się namacalnie o naszej obecności.

– Czy to wszystko, co miałeś do powiedzenia, inkwizytorze? – zapytała ironicznym tonem wiedźma.

Bez słowa rozłożyłem ręce gestem oznaczającym bezradność. Mateczka Olga cofnęła się wtedy w mrok, pod same drzwi, usłyszałem skrzypnięcie, kilka słów zamienionych ze stojącym na straży żołnierzem i zaraz potem stłumiony jeszcze blask światła ozłocił pokój. Starucha odwróciła się w naszą stronę, niosąc w dłoni lampę na żelaznym łańcuchu. Izjasław zacisnął usta. Obserwowałem uważnie jego twarz i widziałem, jak władyka coraz silniej zwiera szczęki, aż wreszcie spomiędzy warg zaczęły spływać mu kropelki krwi.

– Oj, nie lubicie wy światła, oj, nie lubicie – odezwała się mateczka Olga takim tonem, jakby zaczynała właśnie snuć opowieść lub baśń. – Czy to światło dnia, czy światło ognia, nieważne, bo i takie, i takie sprawia wam niezwykły ból. Jakby w środek głowy narzucono ci rozpalonych węgli. Czy nie tak to czujesz, Izjasławie?

Spomiędzy zaciśniętych warg starca nie wydobyła się żadna odpowiedź, tylko krew już ubrudziła kąciki jego ust i cały podbródek. Wiedźma przyglądała mu się uważnie, a w pewnym momencie uniosła lampę nieco wyżej i rozhuśtała łańcuch. Lampa rozbujała się i światło oraz cień pomknęły to w górę, to w dół, plącząc się i zamieniając miejscami. I wtedy Izjasław wrzasnął. Wyciem chrapliwym, pełnym boleści, pełnym też rozpaczy i przerażenia. Jego wytrzeszczone oczy zamgliło szaleństwo, a z nosa pociekł strumień krwi. Natasza pochyliła się nad nim i szepcąc coś pod nosem, narysowała krzyżyk w powietrzu nad twarzą krzyczącego. Władyka umilkł. Jego usta nadal były rozwarte tak szeroko, że obnażały nie tylko zęby i dziąsła, lecz nawet gardło, ale nie dobiegał z nich żaden dźwięk. Mateczka Olga pochwaliła Nataszę skinieniem głowy.

– Kiedy nie można krzyczeć, wtedy ból wydaje się jeszcze cięższy do zniesienia – zauważyła obojętnym tonem. – A kiedy nie można zemdleć ani mieć nawet nadziei na omdlenie, wtedy ból i rozpacz są

już tak potężne, że nie wiadomo, które bardziej rozrywa serce... Taaak...

Patrzyła jeszcze chwilę na cierpiącego katusze Izjasława. Z oczu władyki i po jego policzkach spływały łzy i mieszały się z krwią plamiącą podbródek.

– Dość na razie – zdecydowała wiedźma i wycofała się pod drzwi.

Znowu je uchyliła, usłyszałem brzęk, a więc chyba odstawiła lampę na posadzkę, potem przymknęła drzwi i w pokoju znowu zaległ mrok. Tym wydawał się teraz głębszy, im bardziej dominowały jeszcze przed chwilą wirujące złociste błyski lampy. Nawet mnie ta ciemność wydała się teraz kojąca i uspokajająca, więc wyobrażałem sobie, jak wielką ulgę musiał poczuć Izjasław.

Natasza spojrzała pytająco na mateczkę Olgę, a kiedy ta skinęła głową, dziewczyna znowu pochyliła się nad władyką, zaszeptała coś zupełnie dla mnie niezrozumiale i poprowadziła palcem w powietrzu znak krzyża, lecz tym razem zaczynając go rysować od podstawy po wierzchołek. Izjasław otworzył usta i westchnął ciężko, chrapliwie i z bolesną rozpaczą. W niczym nie przypominał teraz tego dumnego starca, jakim go zapamiętałem, ani nawet tego hardego więźnia sprzed chwili. Tak to już jest, że ludzie łamią się na stołach tortur niczym suche gałęzie na wietrze. Zazwyczaj zajmuje to więcej czasu i więcej wysiłku, rozumiałem jednak, że magiczny ból zadany martwemu ciału Izjasława wykraczał zapewne poza zwykłe, człowiecze rozumienie cierpienia. Poza tym władyka musiał doskonale wiedzieć, iż mateczka Olga nie przerwie tortur, musiał zdawać sobie sprawę, że będzie go dręczyć tak długo i bez litości, póki nie zyska satysfakcjonujących odpowiedzi na nurtujące ją pytania. A śmierć, matka-wybawicielka wielu cierpiących, na którą liczą w chwilach największej rozpaczy, tutaj nie nadeszłaby, gdyż bez pozwolenia wiedźmy nadejść nie mogła.

– Boleję, władyko, że musiało do tego dojść – odezwałem się łagodnie. – I szczerze życzyłbym sobie, abyśmy nie musieli sprawiać sobie nawzajem bólu, bo przecież twój niepotrzebny i nierozsądny upór również zsyła na nas udrękę, której wolelibyśmy uniknąć...

– Mnie to aż tak nie męczy – zauważyła pogodnym tonem wiedźma. – Mogę cię torturować znowu, Izjasławie. Tylko tym razem... – wyciągnęła wyschnięty palec, celując nim wprost w twarz starca – nie przerwę tak szybko jak przed chwilą.

Przez twarz władyki przebiegł skurcz. Cóż, jemu poprzednia tortura na pewno nie wydawała się krótka.

– Robię to, co mi nakazuje mój bóg – rzekł wreszcie.

– Bóg nakazał ci napaść na Peczorę? – zapytałem. – A wyjawił to samodzielnie czy z pomocą pośredników? – dodałem ironicznym tonem.

– Mój bóg przemawia do mnie – odparł Izjasław głosem, w którym zabrzmiała duma.

– Jeżeli mówisz do Boga, władyko, oznacza to, iż jesteś człowiekiem pobożnym. Jeśli jednak sądzisz, że Bóg przemawia do ciebie, oznacza to najpewniej, że jesteś człowiekiem szalonym – rzekłem.

– Myślisz o swoim bogu, czyż nie? – Spojrzał na mnie, a w jego wzroku wyczytałem może nie lekceważenie, lecz jakąś naturalną i nieprzywoływaną na siłę wyższość. – Ja myślę o moim...

Natasza ścisnęła mnie za rękę.

– On mówi o Czarnym Bogu! – zawołała. – Mówisz o Czarnym Bogu, czyż nie? O tym, któremu zawdzięczasz szczęście i bogactwo?

– Mówię o Czarnym Bogu – przyznał z uroczystą powagą Izjasław. – Zmierzycie się jeszcze z jego gniewem, mogę wam zaręczyć.

A więc stryj naszej księżnej pani miał konszachty z demonami! Na miecz Pana, jakże głupi są ludzie, którzy sądzą, iż z układów z piekielnymi istotami może w ostatecznym efekcie wyniknąć coś innego niż nieszczęście, zarówno dla nich samych, jak i dla wszystkich wokół. A jakiego rodzaju demonem był ten, który kazał się nazywać lub którego nazywano Czarnym Bogiem? Czy był potężny, czy tylko mógł sprawiać wrażenie potęgi na prostych, niewyćwiczonych umysłach? Byłem pewien, że wiedźma zadaje sobie takie same pytania.

– Zawsze udawały ci się plony czarnego żyta – powiedziałem. – Rzeki były pełne ryb, a lasy pełne zwierzyny. Ludzie chętnie osiedlali

się na takiej szczęśliwej ziemi.

Izjasław uśmiechnął się z satysfakcją.

– Tak właśnie było – rzekł z mocą. – Zapewniłem dobrobyt mojemu ludowi. Nikomu i nigdzie nie żyło się lepiej...

– Ale Czarny Bóg czegoś chciał w zamian, prawda? – spytałem łagodnie. – Takie istoty nie ofiarowują niczego za darmo. Zawsze przychodzi pora zapłaty.

Władyka nie uśmiechał się już. Milczał.

– Zadano ci pytanie, Izjasławie – przypomniała wiedźma. – Nie chciałbyś, abym znowu przyniosła lampę, prawda?

Po twarzy starca przebiegł skurcz.

– Czym jest śmierć garstki wobec szczęścia wielu? – zapytał wyniosłym tonem.

– Ten demon żądał ofiar z ludzi? – Nachyliłem się nad władyką. – Ilu swoich poddanych musiałeś poświęcić? W jaki sposób przeprowadzano rytuał? Kim były ofiary?

– To Czarny Bóg, nie żaden demon – rzekł Izjasław urażonym tonem. – Odwieczny pan tych krain. Spał. Tkwił pogrążony w wielowiekowym letargu, dopóki nie odnalazłem go i nie zacząłem mu pomagać, by odzyskał siły. – W głosie Izjasława zabrzmiała duma.

Cóż, demony zazwyczaj opowiadają o sobie samych niestworzone historie, pełne chwalebnych wyczynów, mających dowodzić ich wyjątkowości. Zarówno wyjątkowej potęgi, jak i wyjątkowego ulokowania na piekielnym dworze. Najczęściej zresztą owe opowieści nie są warte funta kłaków.

– Jakich ofiar żądał twój Czarny Bóg?

– Kobiet i dzieci – odparł Izjasław.

– Dzieci! – powtórzyła Natasza z gniewem i dostrzegłem, jak w ciemności jej oczy błysnęły czerwienią.

– Szszsz, dziecko, szszsz – zaszeptała uspokajającym tonem wiedźma, a mnie się wydawało, że usłyszałem zaniepokojenie w jej głosie. – Jakich kobiet i jakich dzieci? – Starucha obróciła się w stronę władyki. – W jakich porach dnia lub miesiąca czy roku składano ofiary? Ile żądał tych ofiar?

– Coraz więcej. – Po tonie Izjasława wyczułem, że rosnący apetyt demona mu się nie podobał. Przypuszczałem, że niekoniecznie z powodu żalu nad poddanymi, a raczej z obawy, iż plotki o grożącym niebezpieczeństwie staną się silniejsze niż opowieści o panującym dobrobycie. – Brzemienne kobiety. Albo mające dziecko i karmiące. Takie właśnie chciał. – Izjasław przymknął oczy. – Jestem zmęczony tymi pytaniami – rzekł. – Dajcie mi wreszcie umrzeć.

Dłoń Nataszy nagle rozbłysnęła, tak jakby przyklejono do niej tysiąc świetlików, którym kazano zabłyszczeć w jednej i tej samej chwili. Bolesne wycie porażonego jasnością Izjasława niemal rozerwało mi uszy. My, inkwizytorzy, jesteśmy przyzwyczajeni do okrzyków boleści wydawanych przez ludzi, lecz przyznam, że tak silnego i przejmującego krzyku nie spodziewałem się po wątłym starcu. Po chwili dłoń Nataszy powolutku przygasła, jakby zmęczone świetliki jeden po drugim chowały się między liście drzew. Ale władyka jęczał i charczał jeszcze długo po tym, jak w pokoju nastał mrok. Z oczu ciekły mu łzy, a z ust krew. Pogłaskałem dziewczynę po plecach, bo czułem, że drży. Nie wiedziałem, czy ze złości, czy z gniewu, czy ze zmęczenia przywołanym zaklęciem.

– Nie denerwuj się, Nataszka – zaszeptałem.

Dziewczyna skłoniła głowę na moje ramię.

– Natasza jest młoda. Porywcza i niecierpliwa – stwierdziła wiedźma, a jej ton wydawał mi się wręcz rozbawiony. – Nie umie jeszcze hamować gniewu, kiedy ten gniew w niej wybucha. Obawiam się więc, że może ci wyrządzić jeszcze większą krzywdę niż ja. I może też sprawić ci jeszcze więcej bólu niż ja. Ale umrzeć ci jednak nie pozwoli, bo na to jest z kolei zbyt mądra i doświadczona...

– Czego... czego jeszcze chcecie? – zacharczał Izjasław.

– Ile było ofiar? Kiedy je składano? Jak wyglądał rytuał? – dopytywała starucha.

– Raz w roku – odparł władyka. – Tak było na samym początku... Tuż przed siewem czarnego żyta... – urwał i westchnął. – Później już raz na kwartał, aż wreszcie ostatnio chciał co miesiąc.

No i tak właśnie sprawy się miały z życzeniami demonów. Te życzenia, czy raczej żądania zawsze rosły. Zazwyczaj stopniowo.

A człowiek, który już się przyzwyczaił do benefitów osiąganych w wyniku diabelskiego paktu, nie wyobrażał sobie potem, jak mógłby bez tych korzyści żyć. I dlatego przekonywał sam siebie, że cóż zaszkodzi troszkę zwiększyć daninę, troszkę ustąpić. Cały czas taki ktoś łudził się, że zachowuje kontrolę, że wyznacza granice. Tymczasem niczego już nie kontrolował ani nic nie wyznaczał. Znajdował się całkowicie w mocy ciemności, nawet o tym nie wiedząc i codziennie przekonując sam siebie, iż wcale w tej mocy się nie znajduje.

– Jak wyglądał rytuał? – tym razem ja powtórzyłem pytanie wiedźmy.

W przesławnej Akademii Inkwizytorium uczono nas o różnorakich zwyczajach oraz zachciankach tych plugawych pomiotów kłamstwa. Oczywiście nie zawsze można było po zachowaniu demona szybko rozpoznać, kim jest w rzeczywistości i jak wielką siłą dysponuje, ale prędzej czy później wiedza o demonicznych obyczajach ułatwiała wyjaśnienie, z jaką dokładnie kreaturą mamy do czynienia. A właśnie to wiedza o prawdziwej naturze przeciwnika często stanowiła dla inkwizytora różnicę pomiędzy życiem a śmiercią.

– Zamykano je w piwnicy – odparł. – A tam już nie wiem, co się dalej działo...

– Nie uczestniczyłeś w obrzędach? – spytałem. – Demon nie kazał ci niczego robić?

– Ja je tylko zamykałem w piwnicy – powtórzył z uporem Izjasław. – Żadnej krzywdy nikomu nie zrobiłem. – Zauważyłem, że szybko zerknął na Nataszę, jakby te słowa były skierowane właśnie do niej i jakby przed nią się usprawiedliwiał.

– Kłamiesz! – rzuciłem ostro.

– Nie, nie kłamie – powiedziała w zamyśleniu mateczka Olga. – Przyznam, że to dziwne, ale on naprawdę nie kłamie.

– Czy w tej piwnicy demon kazał ci rysować runy? Magiczne znaki? Symbole? Przygotowywać jakieś specjalne narzędzia? – pytałem dalej.

Kiedy wypowiedziałem słowa „specjalne narzędzia”, poczułem, jak Natasza się wzdrygnęła.

– To była tylko pusta piwnica – rzekł Izjasław. – Nic poza tym.

Potrząsnąłem głową, bo jego zeznania wydawały mi się niezwykłe. A raczej, żeby być bliższym prawdy: bardzo niezwykłe.

– Wchodziłeś do piwnicy? Potem? Po wszystkim? Kto wynosił ciała? Jak one wyglądały?

– Nie było żadnych ciał – odparł władyka. – Żadnej krwi. Nic. Gołe ściany. – Westchnął ciężko. – Może dlatego było mi łatwiej uwierzyć...

– W co uwierzyć?

– Że postępuję słusznie – odparł znowu z narastającą dumą w głosie. – Że zapewniam pokój moim poddanym! A te kilkadziesiąt kobiet z dziećmi? Kogóż one obchodziły i obchodzą? Ilu więcej ludzi umarłoby z głodu, gdyby czarne żyto nie obrodziło? Ilu by oszalało, gdyby czarne żyto okazało się zatrute? Kosztem brudu za paznokciami ratowałem całe kończyny!

– Brudu za paznokciami! – zasyczała Natasza. – Więc tak...

Ścisnąłem uspokajająco jej dłoń i urwała w pół zdania.

– Nie interesuje mnie życie twoich poddanych – rzekłem, znów patrząc wprost w twarz Izjasława. – Istotne jest dla mnie jedynie to, że spiskowałeś z demonami, wrogami naszego Pana i naszej najświętszej wiary...

– Dość! – rozkazała starucha. – To nie Święte Officjum, inkwizytorze.

Poczułem, jak dłoń Nataszy sztywnieje w mojej dłoni. Znowu uścisnąłem ją uspokajająco. Nie zamierzałem przecież kłócić się teraz i tutaj z wiedźmą.

– Oczywiście – odparłem spokojnie. – Wybacz mi zawodową zapalczywość – dodałem.

– Opowiedz nam, w jaki sposób spotkałeś swego Czarnego Boga – zagadnęła mateczka Olga tym razem łagodnie.

– Przemawia do mnie w snach – wyjaśnił Izjasław. – Od wielu lat słyszałem jego mądry, spokojny głos. Zawsze udzielający dobrych rad, zawsze dotrzymujący przyrzeczeń – przemawiał tonem, w którym słychać było nie tylko szacunek, lecz wręcz rozmarzenie.

– W snach – powtórzyłem.

No cóż, w czasie edukacji w prześwietnej Akademii Inkwizytorium nauczyłem się, że demony nie muszą objawiać się w świecie rzeczywistym. Mogą przemawiać do ludzi we śnie i w taki sposób zmuszać ich lub nakłaniać, by podejmowali działania, których się od nich oczekuje. Ale władzę nad snami dawały też pewnego rodzaju czarnoksięskie zaklęcia. Czyż ja sam o mało nie stałem się ich ofiarą, kiedy znalazłem się krok od zguby, do której doprowadziłyby mnie pokusy snute przez Nontle, a pojawiające się w moich sennych marzeniach?

– Tak, w snach – powtórzył Izjasław. – W nich mówił mi wszystko, co powinienem zrobić, by nasza przyjaźń trwała. By nasz pakt umacniał się dla dobra wszystkich ludzi...

– O, na pewno na szczęściu ludzi zależało mu szczególnie – wtrąciłem szyderczo.

Demony czasami lubiły stroić się w piórka istot wręcz dobrodusznych, ale to pozorne dobrodziejstwo służyło tylko jednemu: by tym mocniej i tym zręczniej omotać ofiarę. Ludzie i piekielne kreatury mogą bowiem czasami współdziałać, o tak, znamy takie przypadki! Ale tylko wtedy, gdy wprawny inkwizytor panuje nad nimi, niczym nad psami w kagańcu i na smyczy. Wtedy rzeczywiście, mając na uwadze wszelkie niebezpieczeństwo i nie ustając w polecaniu się świętej opiece naszego Pana, można demona zmusić, by czynił, co zapragniemy.

– Nadal jednak nie wiemy, czemu zaatakowałeś Peczorę – powiedziałem. – I byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś zechciał nam to wyjawić.

Władyka przez chwilę milczał. Słyszeliśmy tylko jego ciężki oddech.

– Tak mi nakazał – rzekł wreszcie. – Czy sądzicie, że z własnej woli wszcząłbym wojnę? Po co by mi to było?

– Właśnie to pytanie spędzało mi sen z oczu – odparłem. – I właśnie na nie chciałem uzyskać odpowiedź.

– Obiecał ci coś jeszcze, prawda? – Starucha uważnie wpatrywała się w Izjasława.

– Ano obiecał – rzekł władyka, tym razem z wyraźnym przygnębieniem. – Obiecał mi młodość i długie życie. Nie wieczne, bo w takie bajdy bym nie uwierzył, lecz że będzie ono trwać przynajmniej przez jeszcze jedno pokolenie, może nawet dłużej... I że znowu będę wyglądał i czuł się jak wtedy, kiedy zwyciężałem Mongołów i Moskwiczan – w jego głosie zabrzmiały nadzieja i duma.

Słyszałem o wielu, którzy nade wszystko na świecie pragnęli wiecznego życia i wiecznej młodości. Najczęściej te pragnienia kończyły się wczesną śmiercią zadaną w nieprzyjemnie bolesny sposób. Znałem takich, którzy szukali studni, fontann lub sadzawek z tryskającą z nich wodą życia. Również takich, którzy wcierali sobie żywe srebro w skórę twarzy, by zachowała ona młodzieńczą jędrność i urok. I takich, którzy kąpali się w kadziach wypełnionych oślim mlekiem, ale znałem też takich, którzy woleli w tym celu używać krwi pomordowanych dziewic. Spotkałem również takich, którzy próbowali pertraktować z demonami. Nie poznałem jednak nikogo, kto w ten czy inny sposób, cokolwiek by zastosował, zyskał wieczną młodość oraz nieśmiertelność.

– A wydawałeś się człowiekiem tak twardo stąpającym po ziemi, władyko. – Pokręciłem głową.

Izjasław spojrzał na mnie ze smutkiem.

– Im bliżej końca życia, tym nadzieje na dokonanie się cudu stają się bardziej szalone – rzekł. – Tym bardziej pragniesz życia, im bardziej ono ucieka.

I tu miał rację. Niezgoda na zakończenie ziemskiego istnienia była charakterystyczną cechą większości moich bliźnich. Nie chcieli rozumieć, że śmierć niczego nie zamyka. A wręcz przeciwnie: człowiekowi, który przez całe życie czytał jedną książkę, śmierć otwiera drzwi do bezkresnej biblioteki.

– Powiedział Pan: *Prawi posiądą ziemię i będą przebywać na niej na zawsze* – rzekłem. – Lecz nie sądzę, władyko, by podobna rzecz zdarzyła się czy to za naszego życia, czy nawet za życia wnuków naszych wnuków.

– Gdyby tak łatwo można było stać się piękną i młodą, czy myślisz, że wyglądałabym teraz, jak wyglądam? – prychnęła wiedźma.

Mogła sobie żartować, ale z pierwszego z nią spotkania pamiętałem, jak obie z księżną Ludmiłą rozpaczały z powodu utraconych młodości, piękna i wigoru. W związku z tym mogłem być pewien, że gdyby mateczka Olga znała się na magicznym odmładzaniu i przywracaniu urody, zaczęłaby od siebie...

– Sądzisz, że nie ma mocy poza twoją mocą? – zapytał Izjasław z pogardą, która była wielce odważna, jak na kogoś znajdującego się w jego sytuacji. – Sądzisz, że nie ma takich, dla których jesteś tylko pomyloną jędzą z mokradeł?

Czarownica roześmiała się bez urazy.

– Takich akurat pewnie jest wielu – zgodziła się z nim.

– Dlaczego demon, którego nazywasz Czarnym Bogiem, życzył sobie, byś zaatakował Peczorę? – zapytałem. – Co mogło być ciekawego dla demona w tej niechlujnie ułożonej stercie zgniłego drewna? – Urwałem na moment. – A może lepiej zadać pytanie: kto, a nie co?

– Gdybym nie umarł, być może bym się tego dowiedział – odparł gorzko Izjasław.

– Nie wie? – Obróciłem się w stronę mateczki Olgi. – Naprawdę nie wie, dlaczego jego pan kazał mu zaatakować Peczorę?

– On nie jest moim panem! – krzyknął Izjasław, a jego twarz ściągnęła się gniewem.

– Na twoim miejscu modliłbym się, by go nie spotkać w miejscu, do którego niedługo się udasz – powiedziałem. – Demony bowiem nienawidzą ludzi w ogóle, lecz w szczególności nienawidzą tych, którzy zawiedli ich nadzieje lub pokrzyżowali im plany.

– Naprawdę nie wie – odparła czarownica i nie sprawiała wrażenia zdziwionej. – Ale ja prędzej czy później się dowiem – dodała. A potem splotła dłonie, aż trzasnęły jej kostki. – Idźcie już sobie – rozkazała. – Chyba że chciałbyś jeszcze zadać pytania, inkwizytorze, to zadaj je i odejdź.

Pokręciłem tylko głową. Zdawało mi się, że dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego można było się dowiedzieć, pod warunkiem oczywiście, że Izjasław nie kłamał, a mateczka Olga nie kłamała, iż

on nie kłamie. To były śmiałe założenia, lecz nie miałem na razie żadnych podstaw, by w nie wątpić.

– Ja chcę zadać pytanie – rzekła nagle Natasza i nachyliła się nad leżącym starcem. W jej oczach pełgała czerwień. – I radzę ci, Izjasławie, byś mnie nie okłamał – dodała lodowato. – Czy chodziło również o mnie?

Po twarzy władyki przebiegł skurcz, który w zasadzie wystarczyłby za odpowiedź.

– Nie wiem dlaczego, Natasza, przysięgam, że nie wiem dlaczego – rzekł, a w jego głosie słyszałem strach, iż rozzłoszczona dziewczyna zacznie go znowu torturować.

Ale ognisty blask w oczach Nataszy przygasł.

– Tak sobie właśnie teraz pomyślałam, że twój demon musiał wspominać i o mnie – powiedziała. – Bardzo uprzejmie mnie traktowałeś i ustępowałeś mi we wszystkim. Miałam być zadowolona, prawda?

– Mieliście zostać moimi stronnikami. Ty i twój inkwizytor – rzekł Izjasław.

– A ja niby w jakim celu? – wtrąciłem pytanie.

– Ludźmi łatwiej rządzić, kiedy mają kogoś, kogo kochają – odparł władyka sentencjonalnie. – I kogo można im zabrać, jeśli będą nieposłuszni. Kogo można skrzywdzić, jeśli przestaną cię słuchać. Nie uczono cię tego w twoim rzymskim piekle?

No tak, to było logiczne. Jeżeli demonowi była potrzebna Natasza, to najwyraźniej chciał, aby była zadowolona oraz przewidywalna.

– Do czego demon chciał użyć Nataszy? – spytałem.

– Mówiłem już, że nie wiem – warknął Izjasław. – I ani mnie to nie obchodziło wtedy, ani mnie to nie obchodzi teraz. Chciał, żebyście oboje trafili do Lemtyboża. I tyle.

Lemtybożem nazywano fortecę Izjasława i okalającą ją osadę, która jak się właśnie okazywało, zawdzięczała wielkość konszachtom z demonem i dzięki nim kwitła. Czyli rację mieli ci, którzy, tak jak Andrzej, wielkie powodzenie Izjasława upatrywali w spiskowaniu z siłą nieczystą.

– Naprawdę, Natasza, nie wiem. – Władyka spoglądał na dziewczynę wzrokiem psa, który został strasznie zbity i który uczyni wszystko, by nie zasłużyć znowu na karę.

Dziewczyna przyglądała mu się uważnie dłuższą chwilę, potem wzruszyła ramionami.

– Chodźmy już – rzekła.

Ja jednak jeszcze nie ruszyłem się z miejsca.

– Co z nim zrobisz? – zwróciłem się w stronę staruchy.

– To moja sprawa – odburknęła opryskliwie.

– Nic, co dzieje się w Peczorze, nie jest twoją sprawą – stwierdziłem pogardliwie. – Wracaj na swoje bagna, tam są twoje sprawy.

Ku mojemu zdziwieniu zaśmiała się. Sucho i krótko, ale jednak się zaśmiała.

– Niegrzeczność za niegrzeczność, czyż nie tak, inkwizytorze? – spytała. – Co chcesz wiedzieć? – dodała już znacznie bardziej uprzejmym głosem.

– Chcę wiedzieć, co się z nim stanie. – Podbródkiem wskazałem Izjasława.

– Co zrobiłaś z głową tropiciela, Natasza? – wiedźma zwróciła się do dziewczyny.

– A leży sobie w szafie – odparła Natasza zmieszanym głosem.

– Nie podoba ci się to, prawda? – Czarownica przeniosła wzrok na mnie.

– Wolałbym, żeby Natasza go zabiła, ale skoro nie tylko nie cierpi, lecz nawet nie czuje i nie myśli, kiedy znajduje się w uśpieniu, to nie nalegam.

– Twój inkwizytor nie lubi dręczyć ludzi. – Starucha cały czas wpatrywała się we mnie, trochę uważnie, a trochę kpiąco.

– I bardzo dobrze, że nie lubi dręczyć ludzi – odparowała ostro Natasza, postępując krok, tak jakby chciała mnie zasłonić. Ściskała mocno moją dłoń. – Nie podobałoby mi się, gdyby lubił.

Wiedźma prychnęła i machnęła ręką.

– Idźcie już sobie, moje gołąbeczki, idźcie sobie – nakazała. – Izjasław odejdzie w spokoju. Inkwizytor i tak wierzy, że tam, dokąd

zmierza, spokoju już nigdy nie zazna, prawda?

– Wszystko w rękach Boga – odrzekłem.

Jeszcze przy drzwiach odwróciłem się.

– Jeśli wolno zapytać, co stało się z Nontle?

– To żadna tajemnica – wzruszyła ramionami starucha. – Tamara zabrała ją na bagna. Kiedy wrócę, będę miała czas, by ją dokładnie wybadać.

– Uprzejmie dziękuję – odparłem ze szczerą grzecznością, gdyż byłem zdziwiony, że raczyła mi jasno odpowiedzieć na pytanie dotyczące spraw, które jakkolwiek by patrzeć, nie były już moimi. W końcu sprzedałem ruskiej wiedźmie Hildegardę Reizend, uczoną i magiczkę służącą Świętemu Officjum. Ciekawe, co powiedziałby na to Arnold Löwefell? Zganiłby mnie? Ukarał? Pochwalił za przebiegłość? Uznał zdarzenie za kompletnie nieistotne z punktu widzenia porządku i przyszłości świata?

Potem rzeczywiście zostawiliśmy wiedźmę razem z Izjasławem, a ja zastanawiałem się, czy w czasie naszej nieobecności chciała mu zadać takie pytania, co do których nie życzyła sobie, byśmy je usłyszeli. Zapewne tak, bo z jakiego innego powodu postanowiła zostać z nim sama? Ale nawet wiedząc o tym, nic z tą wiedzą nie mogłem zrobić...

– Zastanawiam się, po co starucha w ogóle nas zaprosiła – powiedziałem, kiedy wychodziliśmy już z piwnic.

– Ludmiła kazała – wzruszyła ramionami Natasza. – Jesteś jej stróżem, psem księżnej. – Zachichotała, jednak nie było w tym śmiechu złośliwości, tylko rozbawienie. – Wie, że o wszystkim jej dokładnie doniesiesz.

– Oczywiście, że doniosę – odrzekłem. – I bardzo jestem ciekaw, co księżna zrobi z wiedzą, którą dzisiaj zyska – dodałem.

– Chciałbyś, żeby cię tam wysłała? – Natasza zatrzymała się. – Chciałbyś zbadać, co działo się w zamku Izjasława?

Milczałem przez chwilę, a potem potrząsnąłem głową.

– Nie, Nataszka – odparłem szczerze. – Nie chciałbym. Powinienem chcieć. Wiem o tym, że powinienem. Jednak tak

naprawdę już mnie to wszystko nic nie obchodzi. Oczywiście uczynię, co mi każą, ale… – Wzruszyłem ramionami.

– A co cię w takim razie obchodzi?

Spojrzałem jej w oczy.

– Nie co, tylko kto – rzekłem. – Chodźmy już, bo księżna się wścieknie. – Pociągnąłem ją za rękę.

Ludmiła z nieznanych mi powodów nie chciała brać udziału w przesłuchaniu martwego Izjasława. Może po prostu jej tolerancja dla czarnomagicznych zabiegów mateczki Olgi właśnie się wyczerpała. Oczywiście życzyła sobie korzystać z fruktów, które owe zabiegi przynosiły, jednak nie zamierzała w nich uczestniczyć. Rozumiała również oraz wymagała, że doniosę jej ściśle o wszystkim, co się wydarzyło. I tak właśnie miało się stać.

Wcześniej jeszcze zastanawiałem się, jak będzie traktować mnie Ludmiła, pamiętając o plugawym rytuale, w którym wzięliśmy razem udział, i pamiętając, że nasze wzajemne stosunki znacznie przekroczyły granicę, jaka powinna dzielić pana i jego sługę. Postanowiłem, że niezależenie od wszystkiego sam zachowam jak najdalej idącą ostrożność i będę się zachowywał tak, jakby wszystko, co zaszło w peczorskich lochach, nigdy się nie zdarzyło… Natasza poszła do naszej kwatery, a ja zostałem sam przed drzwiami pokojów księżnej. Odetchnąłem głęboko, bo nie wiedziałem, czego mogę się spodziewać i jak zostanę potraktowany.

Jednak Ludmiła powitała mnie życzliwie, przegnała dworki i podeszła do mnie. Uszczypnęła mnie w policzek.

– Zmarniałeś – stwierdziła z wyrzutem. – Kto by pomyślał, że tak cię to powali. – Pokręciła głową i jeszcze raz przyjrzała mi się krytycznie. Później usiadła w fotelu. – Mnie tylko cały dzień nogi po tym wszystkim drżały. – Roześmiała się rubasznie.

Nie wiedziałem, jak zareagować na jej bezpośredniość, więc nie zareagowałem w żaden sposób. Po prostu stałem, patrząc gdzieś

w bok, ale starając się nie wyglądać na kogoś, kto Boże broń, lekceważy księżną czy jej zwierzenia. Albo, jeszcze bardziej nie daj Boże, wspomina zaszłości ze wstrętem lub choćby niechęcią! Po prostu udawałem mebel, jeden z przedmiotów z książęcego wyposażenia. A czy tak naprawdę wspominałem owo ujeżdżanie Ludmiły ze wstrętem? Nie, na pewno nie. Sam akt był piekielnie dziki, żarliwy i pochłaniający, jednak również dziwnie ekscytujący. Ten zwierzęcy zapał pośrodku wiedźmich zaśpiewów, w piwnicy zasnutej dymem i ze zdumiewającym uczuciem obecności w dwóch miejscach naraz. Było w tym akcie coś pociągającego, o czym pamięć ściskała lędźwie i serce. Ale jednocześnie nie mogłem przecież zapomnieć, że kąpaliśmy się we krwi torturowanych, że ich męka, ich stłumione, lecz nie mniej przerażające wycie, posoka bluzgająca z ich ran, że to wszystko towarzyszyło nam w czasie cielesnego obcowania. I nie była to rzecz, nad którą może przejść do porządku dziennego prawowierny inkwizytor. Bo oczywiście słyszałem o niegodnych praktykach, o zabijaniu i dręczeniu ludzi dla wzmożenia priapowego zapału, lecz czym innym jest słyszeć o podobnych zbrodniach czy ścigać i karać ich sprawców, a czym innym w tak plugawym obrządku uczestniczyć. Mogłem tylko pocieszać się myślą, iż wszystko, co czyniłem, czyniłem na chwałę Pana naszego oraz Jego Kościoła.

Ludmiła jeszcze raz omiotła mnie spojrzeniem.

– Ale będziesz żył, co?

– Nie ośmieliłbym się umrzeć – odparłem. – I pozostawić Waszej Wysokości bez moich usług.

– Mateczka zapewniała co prawda, że jak umrzesz sam z siebie, bez mojej wiedzy i winy, bez żadnego poduszczenia, to klątwa we mnie nie uderzy... Ale diabli ją tam wiedzą, czarownicę – dodała posępnie.

– Proszę mi wierzyć, wasza miłość, że z całych sił będę starał się nie umrzeć.

Teraz dopiero uniosła usta w nieznacznym uśmiechu.

– No dobrze. Opowiadaj.

Powtórzyłem jej wszystko, co widziałem i co słyszałem, a ponieważ moja pamięć zawsze była wyśmienita, mogłem zacytować niemal słowo w słowo zarówno pytania zadawane Izjasławowi, jak i jego odpowiedzi. Opisałem także dokładnie, jak władyka wyglądał oraz jakim torturom go poddano. Ludmiła słuchała moich wywodów bardzo uważnie, nie przerywała mi i nie zadawała pytań, a tylko od czasu do czasu kiwała głową z powagą i skupieniem malującymi się na twarzy. Kiedy skończyłem, milczała jeszcze dłuższą chwilę.

– Nie kłamał ten mój stryjek? – zapytała wreszcie, marszcząc brwi. – Naprawdę nie wiedział i nie ciekawiło go, co knuje demon?

– Natasza i mateczka Olga twierdzą, że mówił prawdę – odparłem.

– Trzeba go było jeszcze docisnąć. – Uśmiechnęła się z nagłym okrucieństwem. – Dziwne, że można torturować człowieka po tym, jak umarł, nie sądzisz? – Spojrzała na mnie.

– Dziwne, Wasza Wysokość, i przyznam, że w czasie służby w Świętym Officjum nie spotkałem się z podobnymi przypadkami. Chociaż kronikarze opisujący Mroczne Wieki twierdzą, że wiedźmy potrafiły, jak to formułowali, „gadać z umarłymi”. Teraz chyba wiem, co mieli na myśli.

Wysłuchała mnie i pokiwała głową.

– Taki Iwan z Moskwy wiele by pewnie dał, żeby móc swoich wrogów torturować nie dość, że za życia, to jeszcze w nieskończoność po śmierci – rzekła.

– Zważywszy, co o nim słyszałem, podejrzewam, iż domysły Waszej Wysokości są więcej niż prawdopodobne.

Uśmiechnęła się i milczała przez chwilę.

– Cóż, inkwizytorze, wszystko tak się splata, że podejrzewam, iż czeka nas kolejna wojna z demonem.

Pokiwałem głową ponuro, gdyż tego właśnie mogłem się spodziewać. A tak jak wcześniej wspominałem Nataszy, podobna perspektywa nieszczególnie mnie zachwycała. Czyżby wygasały we mnie inkwizytorski zapał oraz ciekawość świata?

– Demon pojawiał się w snach Izjasława – powiedziałem. – Więc wątpię, byśmy mogli go upolować, podróżując po sennych

koszmarach – pozwoliłem sobie na lżejszy ton. – Ale jednak coś zabierało tych ludzi z zamkowej piwnicy – tym razem już mówiłem poważnie. – Coś materialnego, wasza mość. Nie senne majaczenie...

– Dziwne to wszystko – skwitowała z westchnieniem Ludmiła. – Makary pojechał, by przejąć osadę i fortecę, ale tam na miejscu będę potrzebowała inkwizytora. – Wskazała na mnie palcem.

– A ochrona Waszej Wysokości? – zapytałem. – Jak zadbam o życie i zdrowie waszej mości, będąc tak daleko? Jeśli mógłbym coś radzić, to może Wasza Wysokość również udałaby się do Lemtyboża, zabierając mnie i Nataszę. Wasza mość okazałaby w ten sposób łaskę dawnym poddanym Izjasława, a ja mógłbym zbadać fortecę, nie zaniedbując jednocześnie sprawowania pieczy nad waszą mością.

Pokiwała głową.

– Może i masz rację – zgodziła się ze mną. – Sama chciałam obejrzeć, jak wygląda ta jego osada. Byłam tam kiedyś, ale ho, ho, dawno temu. – Zastanawiała się przez chwilę. – Z pięć lat przed ślubem ze świętej pamięci moim małżonkiem księciem Dymitrem. Wtedy jeszcze Izjasław nie nienawidził mnie tak jak później.

– Kiedy mamy być gotowi do drogi?

– O, nie tak szybko. – Pomachała dłonią. – Niech najpierw Makary wróci do Peczory.

Dotarło do mnie, że to wymaganie powrotu Makarego jest najpewniej pokłosiem zajęcia Peczory przez Izjasława. Tym razem Ludmiła nie życzyła sobie żadnych niespodzianek i dlatego chciała zostawić w fortecy najbardziej zaufanego poddanego, jakiego miała, człowieka, który był przecież jej dawnym mentorem i przyjacielem.

Księżna wstała i podeszła do mnie znowu. Ujęła mnie pod brodę.

– Chętnie bym skorzystała jeszcze z twoich zapalczywych usług, które całkiem miło wspominam – powiedziała z życzliwym uśmiechem. – Ale nie chciałabym przy tym rozzłościć tej twojej małej wiedźmy...

Tym razem przemilczałem określenie Nataszy wiedźmą, gdyż wiedziałem, że naprawdę nie jest to dobry moment, by zwracać Ludmile uwagę, jakich słów używa.

– Jako wierny sługa waszej mości jestem całkowicie na waszej mości rozkazy, czy to w aspekcie ducha, czy ciała – zapewniłem.

Przez chwilę krótszą niż mgnienie oka przez umysł przemknął mi obraz nagiej księżnej i jej pośladków drgających w rytm moich uderzeń, i wielkich piersi kołyszących się niczym białe wzgórza i uderzających o siebie nawzajem z plaśnięciami i łoskotem. Przypomniałem sobie też jęki oraz krzyki Ludmiły i to, jak wypinała zadek z całej mocy, abym tylko dojechał ją głębiej, mocniej i szybciej. Uhhh... Odpędziłem ten obraz sprzed oczu, lecz rozumiałem już, że zapewne podobne odczucia musiała mieć Ludmiła. Kto wie zresztą czy nie traktowała wszystkiego lżej niż ja? Bo po pierwsze, nie przeszkadzał jej pogański, bluźnierczy rytuał, a co najwyżej intrygował i zaciekawiał, po drugie, nie miała żadnych zobowiązań wobec żadnego człowieka. Tymczasem ja swoje przywiązanie do Nataszy traktowałem bardzo poważnie (niezwykła sprawa w moim życiu, musiałem to przyznać!) i nie bałem się gniewu dziewczyny, lecz serce ściskało mi się na samą myśl o jej smutku oraz rozczarowaniu. Mogła lekko znieść, że obcuję z Ludmiłą, kiedy jest to konieczne, jednak zapewne byłaby rozżalona, że sprawia mi to przyjemność czy że do tego dążę...

– Wiem, wiem, dobry z ciebie chłopiec. – Księżna poklepała mnie po policzku i odsunęła się. – Ale postaram się znaleźć sobie kogoś mniej... kłopotliwego. – Ucieszyło mnie, że również myśli o Nataszy, aczkolwiek patrzy na nią zupełnie inaczej niż ja. – Chociaż najlepiej równie gorącokrwistego – zaśmiała się. A potem westchnęła ciężko. – Nie jest łatwo samotnej kobiecie, nawet jeśli jest księżną...

Cóż, niewątpliwie była to prawda. Żyliśmy w świecie mężczyzn, w świecie, gdzie kobiety takie jak Ludmiła, władczynie i wojowniczki, stanowiły niezwykle rzadki wyjątek. A właśnie z uwagi na fakt, że owym wyjątkiem były, wszyscy przyglądali im się baczniej i pilniej niż mężczyznom. I wszyscy tylko obserwowali, czy aby gdzieś się nie potkną, co zaraz można byłoby szyderczo nazwać słabością wrodzoną niewieściemu rodowi.

Księżna podeszła do stołu, nalała do kubka wino ze zdobionej, lakowanej butli. Flaszka była chyba z Hiszpanii, jeśli na rozpoznanie

pozwalała moja słaba znajomość wykwintnych trunków, a garnuszek zwykły, gliniany i w dodatku poszczerbiony. Za to obok niego leżał talerz z litego złota, zdobiony herbem Ludmiły. Herbem tym był przewrócony sierp księżyca z wpisanym pomiędzy ramiona złamanym krzyżem.

– Czy mogę zadać pytanie, Wasza Wysokość?

– Pytaj.

– Czy wasza miłość zna może herb przedstawiający sokoła o złotym dziobie?

Spojrzała na mnie i zmarszczyła brwi.

– Nie znam. A po co ci to?

– Natasza śniła zły sen o tym znaku – odparłem szczerze, bo ani nie widziałem powodu, by oszukiwać Ludmiłę, ani nie sądziłem, by wiadomość o tym śnie mogła nam zaszkodzić.

– Zapytaj Makarego – rzekła, a potem wstrząsnęła głową, kiedy przypomniała sobie, że przecież kanclerza nie ma w Peczorze. – Ano tak, prawda – dopowiedziała sama sobie. – Spytaj więc jego kancelisty – zdecydowała. – Bo jednego zabrał ze sobą, drugiego zostawił. To zmyślny chłopak, może będzie wiedział...

– Pokornie dziękuję waszej mości. I jeszcze jakbym mógł wrócić do sprawy władyki Izjasława, jeśli wasza miłość pozwoli.

– A co tam jeszcze? – Spojrzała bystro. – No mów, mów...

– Z tego, co rozumiem, na Rusi wierzy się, podobnie jak w Cesarstwie, że po śmierci człowieka jego dusza wędruje przed Sąd Boży.

Ludmiła wzruszyła niecierpliwie ramionami.

– No jakżeby inaczej, skoro jesteśmy dobrzy chrześcijanie.

Gdybym chciał powiedzieć, co sądzę o chrześcijanach i chrześcijaństwie na Rusi, to Ludmiła zapewne śmiercią by mnie nie ukarała (bo jednak bałaby się klątwy wynikającej z mistycznego powiązania naszych losów), lecz na pewno zasłużyłbym sobie na duże jej niezadowolenie, a może i głęboką niełaskę.

– Od śmierci Izjasława minęły ponad trzy dni – rzekłem. – I zgodnie z zasadami naszej świętej wiary jego dusza dawno już

powinna być osądzona, a on sam powinien pławić się w kadziach z wrzącą smołą. Za przeproszeniem Waszej Wysokości...

Machnęła ręką.

– Zgadzam się. Kąpiel w smole to najmniejsze, na co zasłużył. No i?

– W Świętym Officjum wiemy, że istnieje możliwość związania, zatrzymania ludzkiej duszy na pewien czas, co prawda niedługi. Wiemy również, że najprawdopodobniej takich rzeczy umiały dokonywać wiedźmy w Mrocznych Wiekach.

– Zaczynasz mnie nudzić – mruknęła.

– Wasza Wysokość, chciałem tylko powiedzieć, że nie mam pojęcia i nie dałbym głowy za to, że rozmawialiśmy rzeczywiście z ożywionym na chwilę władyką Izjasławem – rzekłem już szybko i dobitnie.

Nie odzywała się przez chwilę.

– A niby z kim? – zapytała wreszcie.

– Wiedźmie zaklęcia mogły zwabić demona do ciała martwego człowieka. Demona, który z jakichś powodów udawał, że jest Izjasławem, i omamił nas swymi zeznaniami. Nie na darmo nazywamy te stwory plugawymi pomiotami kłamstwa.

– Po cóż miałby to robić?

Rozłożyłem ręce.

– Z nudów. Z wrodzonej złośliwości. Próbując intrygi, która przyszła mu do głowy, kiedy znalazł się już w martwym ciele. Odpowiedzi można by pewnie znaleźć tyle, co demonów.

Ludmiła upiła kilka łyków z kubka, najwyraźniej zastanawiając się nad moimi słowami.

– Co z ciebie za inkwizytor, skoro nie wyczułbyś demona? – spytała wreszcie.

– Wasza miłość, hipotezę, którą przedstawiłem, uważam za mało prawdopodobną, ale chciałbym, aby Wasza Wysokość jednak o niej wiedziała. To prawda, że powinienem wyczuć emanację demonicznej siły, lecz pobyt na Rusi przyzwyczaił mnie do myśli, że sprawy tutaj nie do końca układają się tak, jak mnie uczono...

– O tak, wyobrażam sobie, że twoi kompani byliby zdumieni, że ich towarzysz świata nie widzi za ruską wiedźmą...

– Oj, wasza miłość. – Pokręciłem głową, a ona roześmiała się na głos.

– Istnieje jeszcze jedno wytłumaczenie, za pozwoleniem Waszej Wysokości – odezwałem się już poważnie. – Które co prawda wydaje mi się jeszcze mniej prawdopodobne, ale...

– Mów, mów – przyzwoliła niecierpliwie.

– Że to wszystko nieprawda. Że Izjasław wcale nie został przywrócony do żywych i zupełnie nic nam nie powiedział, bo powiedzieć nie mógł...

– Czyli?

– Czyli że mateczka Olga użyła jego ciała w podobny sposób, jak lalkarze używają kukiełek. Więc tak naprawdę słyszeliśmy nie władykę, ale właśnie mateczkę Olgę.

– Po cóż niby miałaby to robić? – Ludmiła zmarszczyła brwi.

– A po co wiedźmy robią to czy tamto? – odpowiedziałem pytaniem. – Czynią, co czynią, dla własnych mrocznych celów, których natura często ukazuje się naszym oczom dopiero po czasie.

– Uważaj... – Pogroziła mi palcem.

– Wasza Wysokość, nie chciałem, aby wypowiadane przeze mnie zdanie zabrzmiało, Boże broń, lekceważąco. – Przyłożyłem dłoń do piersi.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Uważaj więc na Nataszę – rzekła. – O to mi chodziło.

Przełknąłem ślinę.

– Czy Wasza Wysokość ma jakieś podejrzenia lub przesłanki każące poddać Nataszę szczególnej obserwacji?

Ludmiła przyglądała mi się przez chwilę, potem pokręciła głową z uśmiechem. Zbliżyła się do mnie i ujęła moją twarz w swoje dłonie.

– Natasza to czarownica, inkwizytorze. Czy Pismo nie mówi: *Także przeciwko każdemu, kto się zwróci do wywołujących duchy albo do wróżbitów, aby uprawiać z nimi nierząd, zwrócę oblicze i wyłączę go spośród jego ludu?* – Księżna patrzyła mi prosto w oczy, recytując te słowa.

Wytrzymałem jej wzrok i odparłem równie spokojnie:

– Pismo mówi również: *Jakże niezbadane są Jego wyroki i nie do wyśledzenia Jego drogi! Czyż jest bowiem taki, który poznał myśli Pana?*

Roześmiała się na głos.

– Łatwo użyć tego cytatu jak klucza do wszystkich zamkniętych drzwi – powiedziała. – Zwłaszcza takich, na których zawieszono łańcuchy i kłódki.

– Ośmielę się przypomnieć, za pozwoleniem waszej mości, że idea, bym obcował z Nataszą, nie narodziła się w mojej głowie.

Chwyciła mnie za ucho i szarpnęła. Zbliżyła twarz do mojej i tym razem widziałem, że jest naprawdę rozzłoszczona. Albo przynajmniej stara się okazać gniew.

– Kazałam ci ją dobrze chędożyć, byście dzięki mistycznym wizjom lepiej mnie chronili przed magią wrogów – rzekła lodowatym tonem. – Ale nie kazałam ci oddawać tej dziewce serca i umysłu.

Wytrzymałem jej wzrok oraz ton.

– Zarówno moje serce, jak i umysł są całkowicie i niepodzielnie na usługi Waszej Wysokości – odparłem spokojnie.

Przez chwilę ścisnęła mnie mocniej, potem jednak puściła i parsknęła. Odsunęła się.

– Mówiłam ci kiedyś, że przyjdą jeszcze czasy, iż zamienisz się w grzecznego dworzanina, prawda? – zapytała już spokojnym tonem. – I stwierdzam, że coraz szybciej postępuje ta przemiana. No dobrze, idź już sobie – dodała po chwili. – Przemyślę twoje słowa. Tak czy inaczej, nie sądzę, byśmy uniknęli podróży do Lemtyboża.

W głosie księżnej zabrzmiała niechęć i pomyślałem, że przynajmniej tutaj jesteśmy zgodni: żadne z nas nie chciało wybierać się w podróż, ale oboje sądziliśmy, iż niestety, nie da się tej przykrości uniknąć. Cóż, trzeba stwierdzić w takim razie, że nie byliśmy zręcznymi prorokami. A zważywszy na to, co wydarzyło się później, mogłem tylko żałować, że nawet najbardziej przykra i najbardziej niebezpieczna wyprawa nie doszła jednak do skutku. Gdyż nie wyobrażam sobie, by w Lemtybożu mogło nas spotkać coś

gorszego niż to, co spotkało nas w Peczorze. Nawet gdybyśmy mieli walczyć z demonami czy z samym Czarnym Bogiem.

Tak jak wcześniej prosiłem, Natasza musiała okazać zainteresowanie kochanką buntowniczego księcia Kamieńskiego i jego bękartem, gdyż gdyby tego zainteresowania nie okazała, księżna mogłaby poczuć się najpierw zdziwiona, a potem oszukana. I tak jak to pierwsze niespecjalnie by komukolwiek zagroziło, tak to drugie mogło kosztować życie kobiety i jej dziecka oraz sprowadzić kłopoty na moją głowę. Natasza kazała więc wezwać dziewczynę do naszych komnat i poleciła jej stawić się z maluchem. Usiadła na wysokim krześle, ubrana w białą suknię ściśniętą w pasie haftowaną szarfą. Włosy miała ułożone w koronę. Przedstawiała się teraz niczym jakaś księżniczka krainy śniegu albo dziewicza kapłanka pogańskiego kultu. Jeszcze gdyby wpleść jej białe lilie we włosy, pomyślałem. Dzikar zaległ przy stopach Nataszy, ułożył pysk na własnych łapach i zamknął oczy. Wyglądał niczym wielki kłąb kolorowej wełny lub pofarbowanego futra i mogło się zdawać, że każdy, kto chciałby podejść do Nataszy, po prostu mógłby przesunąć go nogą na bok. Cóż, byłby to zapewne całkiem interesujący sposób na utracenie stopy.

– Co ja mam jej właściwie powiedzieć? – zapytała Natasza po raz nie wiadomo który z rzędu. – W ogóle do niczego nie jest mi potrzebna ta głupia dziewczyna.

– Nataszka, nie musisz jej niczego tłumaczyć. Po prostu każ, żeby była blisko ciebie i zawsze gotowa, by ci usłużyć – odpowiedziałem tak samo, jak odpowiadałem kilka razy wcześniej, tylko może trochę innymi słowami.

– Ech... – westchnęła ciężko Natasza.

Wreszcie rozległo się ciche pukanie (w Peczorze zazwyczaj nie przejmowano się takimi grzecznościami, ale do drzwi naszej

kwatery stukano zawsze, najwyraźniej obawiając się gniewu Nataszy).

W progu stanęła Nadieżda. Była ubrana w prostą szarą suknię, miała włosy zaplecione w warkocze, a na głowie również szary kokosznik podpasany pod brodą. Na pierwszy rzut oka zobaczyłem, że bardzo się stara, by wyglądać skromnie i niepozornie i by w ten sposób przygasić naprawdę nietuzinkową urodę. No cóż, najwyraźniej musiała wiele wiedzieć o kobiecej zazdrości i obawiała się, by Natasza nie poczuła się zagrożona lub roześlona, iż spotkała piękną i młodą dziewczynę. A w dodatku, że tę piękną i młodą dziewczynę przywiózł do Peczory mężczyzna samej Nataszy.

Nadieżda, tak jak jej kazano, wzięła ze sobą dziecko. Maluch był owinięty wzorzystą chustą i spoczywał w ramionach matki. Miał otwarte oczy i rozglądał się dookoła, ale nie sprawiał wrażenia przestraszonego.

– Wzywaliście mnie, jasna pani. – Nadieżda pochyliła się głęboko.

– Lepiej jasna pani niż biała wiedźma, prawda? – Natasza odezwała się do mnie po łacinie, przypominając w ten sposób, iż wie, że w Peczorze wielu dworzan nazywa ją tak niepochlebnym mianem. Chociaż oczywiście nie trafiłby się taki, który nazwałby ją w ten sposób prosto w oczy.

– Szlachetniej – odparłem z uśmiechem.

– Podejdź – rozkazała Natasza, a Nadieżda zbliżyła się z opuszczoną głową, mocno ściskając dziecko w objęciach.

Niemowlę wyciągnęło rączkę do Nataszy i uśmiechnęło się. Coś zamruczało czy zagulgotało, w każdym razie albo spodobała mu się sama Natasza, albo jej jasne włosy, skrzące się w promieniach słońca. Natasza wyciągnęła w jego stronę palec, a dziecko ten palec uchwyciło i tym razem zaśmiało się wyraźnie uszczęśliwione. Zauważyłem, że Nadieżdzie drżą usta, lecz cały czas wbijała wzrok we własne stopy.

– Daj mi go – rozkazała Natasza.

Córka Czarnego Daniły wyraźnie się zawahała, jednak po chwili wyciągnęła ręce i oddała dziecko.

Natasza uchwyciła je zręcznie i z pewnością.

– Mateczka, jak brała nowe dziewczyny, to one były bardziej podrośnięte – stwierdziła. – Miały ze dwa albo i ze trzy lata. No, przynajmniej wszystkie już potrafiły chodzić. A ten tutaj pewnie jeszcze nawet nie potrafi sam usiąść...

Dziecko wyciągnęło rączkę w stronę głowy Nataszy, a kiedy ta zaciekawiona pochyliła się, szarpnęło kosmyk jej włosów, który wysunął się ze starannie uplecionej korony. Natasza uśmiechnęła się.

– Chyba podobają mu się moje włosy.

– Jego matka ma podobny kolor do twoich, choć oczywiście nie tak ładny – rzekłem. – Widocznie dobrze się małemu kojarzy taka barwa.

Niemowlę drugą ręką wodziło po twarzy Nataszy, a potem palcami chwyciło ją za nos.

– Pomyśleć, że i my kiedyś byliśmy tacy jak ten dzieciak – powiedziałem. – Wyobrażasz sobie?

Synek Nadii puścił już nos Nataszy i teraz obiema rączkami chwycił dziewczynę za pierś. Natasza pisnęła, potem roześmiała się na głos.

– Prawdziwy chłopak – stwierdziła z przekonaniem. – Od razu wyczuł, gdzie jest najlepiej.

– Obawiam się, że to raczej poszukiwanie jedzenia, nie uznanie dla twoich uroczych krągłości – odparłem żartobliwie.

– Ach tak. – Natasza zakołysała go. – Rzeczywiście, żeby zrozumieć, że piersi służą nie tylko jako paśnik, trzeba trochę podrosnąć. Ty już to wiesz aż za dobrze. – Pogroziła mi żartobliwie palcem. – Wyciągnęła chłopczyka w stronę Nadii. – Masz, nakarm go, skoro szuka piersi.

Dziecko nagle wykrzywiło buzię i zaczęło płakać. Wyciągnęło rączki w stronę Nataszy.

– On chyba chce zostać u was, jasna pani, jeszcze przez chwilę – powiedziała cichutko Nadia. Miała oczy królika zagonionego pod ścianę przez łowcze psy.

– O, coś takiego. – Natasza podniosła małego tak, że zetknęli się nosami. – Chcesz zrobić ze mną sowę? – zapytała. – Uuu, patrz, jakie

masz wielkie oczy!

Maluch zaśmiewał się, wyraźnie uszczęśliwiony.

– Jak widać, ten mały pokochał cię miłością od pierwszego wejrzenia – stwierdziłem.

– Małe siostrzyczki mnie lubiły – przyznała Natasza, a ja oczywiście domyśliłem się, że „małymi siostrzyczkami" nazywa młodsze wychowanice wiedźmy. – Zawsze mnie wołały, żebym się z nimi bawiła albo żebym im opowiadała bajki na dobranoc. – Roześmiała się. – No ale ten malec to jeszcze pewnie nic nie rozumie z ludzkiej mowy. – Wstała z krzesła, zręcznie trzymając dziecko na przygiętej lewej ręce. – Chciałbyś zobaczyć pieska, maluchu? – zapytała.

Na twarzy Nadii pojawiło się przerażenie. Dziewczyna zbladła niczym upiór, niczym jakaś zmora o trupiej, księżycowej twarzy. Ale nie śmiała się odezwać, tylko widziałem, jak w jej oczach pojawiły się łzy. No cóż, nie było się czemu dziwić. Dzikar był młodym jeszcze zwierzęciem, ale wielkim i groźnym. A przede wszystkim należał do rasy, której księżna Ludmiła używała, kiedy rzucała ludzi psom na pożarcie. Przecież to Zwiezda, matka Dzikara, była jednym z dwóch brytanów, które przeszło rok temu rozerwały na strzępy zamachowca usiłującego zasztyletować Ludmiłę. Każdy w Peczorze wiedział, że te potężne, obrośnięte gęstym futrem bestie, pochodzące hen spoza granic znanego nam świata, są krwiożerczymi mordercami. I każdy również wierzył, że mają drugie oczy, pozwalające im stróżować nawet wtedy, kiedy pierwsze oczy nakryte są powiekami.

Spojrzałem na Nadię i pokręciłem głową z porozumiewawczym uśmiechem na znak, żeby się nie bała, że nic się nie stanie. Nie sądzę jednak, by cokolwiek mogło ją uspokoić.

Tymczasem Natasza kucnęła przy psie, który otworzył oczy i ciekawie przyglądał się, co jego pani trzyma w rękach.

– Patrz, Dzikuś, ładny maluszek, co? – zaszczebiotała Natasza.

Posadziła sobie dziecko na kolanach, tak że znalazło się twarzą tuż przy pysku Dzikara. Zwierzę otworzyło paszczę, a niemowlak

błyskawicznie włożył mu do niej rękę aż po ramię. Usłyszałem jęk i huk walącego się na podłogę ciała.

– Nadieżda zemdlała – westchnąłem.

– Głupia dziewucha! – prychnęła Natasza, nie odwracając nawet głowy. – Dzikuś nigdy nie zrobiłby krzywdy takiemu maluszkowi, prawda, Dzikuś?

Pies wypluł rękę dziecka i niemal po ludzku westchnął.

– Zobacz, czy głowy sobie nie rozbiła – rozkazała Natasza. – Jeszcze tego by mi brakowało.

Podniosłem lejącą się przez ręce Nadieżdę i usadziłem ją na krześle. Najpierw opryskałem jej twarz wodą, potem poklepałem ją po policzku. Pierwszy raz lekko, drugi już całkiem solidnie. I to wreszcie przyniosło skutek.

– Mój synek! Gdzie moje dziecko? – wykrzyknęła i chciała się zerwać, ale ją powstrzymałem.

– Szszsz, patrz – rozkazałem.

– To są uszka Dzikusia, a to jest nosek Dzikusia – tłumaczyła Natasza, wodząc dłonią dziecka po łbie psa. – A to są ząbki Dzikusia.

– Tylko nie mdlej mi znowu – warknąłem i podałem Nadieżdzie kubek słabego jagodowego wina.

Wypiła jednym tchem i ścisnęła mnie za rękę tak mocno, że wiedziałem, iż będę miał ślady od jej paznokci.

– Będziesz większy, to wsadzimy cię na grzbiet Dzikara i będziesz sobie na nim jeździł jak na koniku – obiecała Natasza maluchowi. Potem wstała zgrabnie, cały czas bezpiecznie trzymając dziecko w objęciach. Zacmokała do niego. – Na dzisiaj koniec zabawy z pieskiem – powiedziała. – Poprosisz mamę, to cię przyprowadzi jutro, tak? – Stuknęła go końcem palca w nos, a dziecko zaśmiało się i zagulgotało coś wesoło. – Nadieżda, opiekuj się nim dobrze. – Natasza spojrzała na córkę Czarnego Daniły, która stała już z nisko pochyloną głową. – Będziesz czegoś potrzebowała, to powiedz mi, a wszystko dostaniesz, co chcesz. Tak?

– Dziękuję, jasna pani, bardzo dziękuję.

– Nikt ci tu nie dokucza? – zapytała jeszcze.

– Nie, jasna pani. Bogu dziękuję, że jeszcze żyjemy. – Podniosła oczy pełne łez. – Wiem, jasna pani, że wam zawdzięczam wszystko. Będę wam służyła do samej śmierci, jeśli tylko mnie zechcecie...

Widziałem, że Natasza przez chwilę się zmieszała. Spojrzała na mnie szybko, jednak zaraz z powrotem przeniosła wzrok na Nadieżdę.

– Zajmuj się dobrze dzieckiem, a jutro przyjdźcie do mnie. Pomyślę, co z wami zrobić.

– Andrzej ci pomaga, czyż nie? – wtrąciłem. – Podoba ci się jego przychylność?

– To dobry mężczyzna – odpowiedziała cicho.

– Tak, to rzeczywiście najszczersza prawda – odparłem.

Wiedziałem bowiem, że zapamiętam na zawsze, iż tylko Andrzejowi zawdzięczam ucieczkę od diablo poważnych kłopotów. Takich, które kosztowałyby mnie prawdopodobnie najwyższą cenę, a na pewno spowodowałyby rozstanie z Nataszą. Cóż, co prawda i ja Andrzejowi uratowałem wcześniej życie, więc w zasadzie wyrównaliśmy rachunki, ale wiedziałem, że dla każdego z nas wsparcie tego drugiego może okazać się w przyszłości bardzo pomocne w przeżyciu.

Nadieżda wycofała się głęboko pochylona, a kiedy wyszła już za drzwi, Natasza spojrzała na mnie.

– Zadowolony jesteś ze mnie?

– Bardzo ci dziękuję, Nataszka, że zechciałaś ją przyjąć.

Przywołała mnie gestem i zagarnęła ramionami.

– Wszystko bym dla ciebie zrobiła – powiedziała z tkliwą czułością. – Co byś tylko zechciał. A wiesz czemu?

Chyba znałem odpowiedź, ale poczekałem, aż sama jej udzieli.

– Bo wiem, że nigdy nie zrobisz nic, co mogłoby mnie zranić – odparła.

– To prawda – zgodziłem się z nią.

– A poza tym jaki słodki był ten maluch – zmieniła nagle ton na radosny. – I jaki odważny! Jak wcale nie bał się Dzikara!

– Sądzę, że dzieci nie boją się niczego, dopóki nie nauczymy ich, że są rzeczy, których trzeba się bać – zauważyłem. – A na przykład

Nadieżda doskonale to wiedziała. – Uśmiechnąłem się. – Ciekawe, czy bardzo się potłukła?

– A co, chciałbyś ją dokładnie obejrzeć, zbadać i sprawdzić, ile siniaków sobie nabiła, hm? – Natasza wbiła mi mocno paznokcie w kark, jednak wiedziałem, że tylko żartuje. – Lepiej sprawdź, mój miły, czy ja przypadkiem nie mam gdzieś siniaków – tchnęła mi do ucha.

Chciałem ją podnieść, lecz się zaparła.

– Nie, nie na łóżku! Tutaj! – zaszeptała tym razem już z tak dobrze znaną mi gorączką w głosie.

Rozdział trzeci

Dom, w którym wszyscy umarli

Siedziałem w krześle, spoglądałem przez okno i byłem pogrążony w całkowicie bezmyślnym znieruchomieniu, obserwując ptaki przysiadające na parapecie, nawet nie z ciekawości, ale po prostu dlatego, że nic innego za tym oknem się nie poruszało. Znajdowałem się w stanie, w którym człowiek jest serdecznie zły na siebie samego, że nie robi niczego pożytecznego, a jednocześnie każda myśl o podjęciu jakiegokolwiek działania wywołuje w nim natychmiastowy protest. Natasza drzemała w drugim pokoju, zmęczona po nocnych zabawach, a Dzikar leżał pomiędzy uchylonymi drzwiami a jej łóżkiem. Jako inkwizytor, człowiek, było nie było, szkolony również do walki, podziwiałem instynktowną, wrodzoną zdolność tego zwierzęcia do zajmowania pozycji, w której mógł najłatwiej obserwować otoczenie, a jednocześnie być na tyle blisko swej pani, by nikt nie mógł się do niej zbliżyć, zanim pies zdoła go dopaść.

I nagle Natasza podniosła się gwałtownie, a Dzikar w tej samej chwili poderwał się na równe nogi. I tak jak każdy sprawny drapieżnik, nie potrzebował najkrótszej nawet chwili na przywrócenie przytomności po śnie, gdyż już w tym samym momencie, kiedy się zrywał, był czujny i gotów do ataku.

– Co się stało, Nataszka? – Odwróciłem się w jej stronę.

Nie byłem zaniepokojony, bo drzwi zamknęliśmy na skobel, okiennice w sypialni zostały zawarte, a w drugie okno spoglądałem ja. I nic oprócz nielicznych ptaków w nim nie widziałem.

– Wołch idzie – oznajmiła Natasza lodowato.

– To bydlę? Ten Dziewiatko?

– Nie, ten drugi – odparła.

– Ach, ten drugi – mruknąłem. – Idzie do nas?

– Pewnie do nas...

Natasza zbliżyła się, przysunęła sobie krzesło i usiadła tuż obok mnie.

– Uważaj – ostrzegła.

Była nie tylko zdenerwowana, ale wydawało mi się również, że jest przestraszona. I nie tylko mnie to zdziwiło, lecz przede wszystkim bardzo mi się nie spodobało. Sprawdziłem więc nóż w cholewie i w rękawie, dotknąłem woreczka z sherskenem, by upewnić się, że jest na miejscu. Nie sądziłem, by doszło do fizycznej konfrontacji, jednak w czasie walki tak już jest, że wygrywa ten, kto się do niej przygotował i nie zawierzył bezmyślnie ułudzie pokoju. Pragniesz pokoju, bądź gotowy na wojnę – mówiło dawne przysłowie.

Dzikar podszedł do Nataszy i wpatrzony w drzwi usiadł krok od jej stóp. Czy czuł coś sam z siebie, czy tylko naśladował swoją panią? Nie miałem pojęcia, gdyż ja sam nie słyszałem niczego niepokojącego, dopóki nie szarpnięto klamki. Ach tak, czyli przybył ktoś, kto nie zamierzał trudzić się pukaniem.

Dzikar nie zawarczał ani nie podszedł do drzwi. Siedział nieruchomo, ale widziałem, że jego ciało jest napięte i przygotowane. To, że nigdy nie warczał (chyba że w zabawie, chociaż to było raczej pomrukiwanie), świadczyło tylko o mądrości. Warkot jest ostrzeżeniem. A ten pies nie zamierzał ostrzegać ofiar.

Odsunąłem skobel i otworzyłem drzwi. Za progiem stał wołch, ów młody Kosma, którego poznałem w obozie wojskowym Ludmiły, a który do Peczory został zwabiony pismami sfałszowanymi przez Nontle. Kiedy go poznałem, zrobiły na mnie wrażenie jego siła,

szybkość i spokój. I chociaż oczywiście nie mógłby się mierzyć w żadnej mierze i żadnej dziedzinie z wytrawnym inkwizytorem, to jednak należało na niego uważać.

Wołch miał na sobie białą szatę, przypominającą habit lub nienaturalnie wydłużoną rzymską tunikę, i o dziwo, ta szata była naprawdę biała. Nie wyszarzała, poplamiona czy też pobrudzona albo upstrzona śladami. Po prostu biała. Na nogach nosił sandały i ku mojemu zdumieniu zauważyłem, że ma umyte stopy. Zresztą jego włosy i broda również sprawiały wrażenie czystych i były nawet porządnie, równo przystrzyżone oraz wyczesane. Krótko mówiąc, był to człowiek, który zarówno od pierwszego wołcha, jakiego poznałem (tego, co zginął rok wcześniej w demonicznym zamachu), jak i od paskudnika Dziewiatka różnił się niczym górski strumień od latryny. Tym razem Kosma nie miał ze sobą długiego, rosochatego kostura, z jakim widziałem go w obozie wojennym.

Stał w progu i patrzył na mnie wzrokiem bez wyrazu, ale w tym spojrzeniu nie było chęci konfrontacji, lecz jedynie obojętność. Tak jakby był posągiem, który jakiś figlarz przeniósł na mój próg, szarpnął za klamkę i uciekł.

– Czego chcesz? – zapytałem.

– Wejść – odparł.

No tak, to było nawet logiczne. Nie miałem jednak pewności, czy ja chcę go gościć, zwłaszcza że zaniepokoiło mnie zdenerwowanie Nataszy. Jednocześnie byłem jednak ciekaw, czego może ode mnie chcieć. A może nie ode mnie? Cóż, przekonajmy się.

Odstąpiłem o krok.

– A więc wchodź – zezwoliłem.

Przeszedł przez próg, podszedł do stołu i bez zaproszenia usiadł na krześle. Zauważyłem, że całkowicie zignorował obecność Nataszy, nawet nie spojrzał w jej stronę ani w stronę Dzikara, który przesunął się tak, by zająć miejsce między nim a swoją panią.

– Chcesz napić się wina? – zagadnąłem.

– Piję tylko wodę.

– To może w takim razie łyczek wody?

– Choćbyś był zgłodniały i spragniony, w domu wiedźmy jeść ani pić nie będziesz – rzekł z taką intonacją, iż byłem pewien, że jest to cytat.

Na razie wielkodusznie zdecydowałem się nie poruszać tematu nazwania Nataszy wiedźmą, miałem jednak nadzieję, iż wołch nie poważy się uczynić tego jeszcze raz...

– No cóż, a ja się napiję – rzekłem. Napełniłem kubek winem i chociaż wcale nie miałem ochoty na trunek, to jednak upiłem kilka drobnych łyków. – No dobrze. – Odstawiłem naczynie. – Powtórzę: czego chcesz?

– Każ wyjść wiedźmie – odparł obojętnym tonem, znowu nawet nie patrząc na Nataszę.

– Nazwij ją jeszcze raz wiedźmą, a nakarmię cię twoim własnym językiem – ostrzegłem.

Natasza ścisnęła mnie za ramię.

– Nie szkodzi – odezwała się łagodnie. – On tego nie mówi w złości ani żeby z nas szydzić, on tak naprawdę myśli.

– A może poszedłbyś sobie myśleć w ten sposób gdzie indziej? – zapytałem, patrząc mu w oczy.

Nie wiem, czy dotarł do niego sens mojej żartobliwej uwagi, w każdym razie nie dał po sobie znać, by zrobiła na nim jakiekolwiek wrażenie.

– Nie jestem zainteresowany, by ci szkodzić, inkwizytorze. Nie jestem również zainteresowany twoją wiedźmą – stwierdził.

– Miło mi to słyszeć – odparłem po chwili.

– Wiesz, dlaczego o tym mówię? – zapytał.

– Żeby nie przyszło mi do głowy uznać cię za przeszkodę i usunąć z drogi? – domyśliłem się.

Milczał przez dłuższy czas.

– Każdy chce żyć – odparł wreszcie. – A ja chcę wrócić z tej przeklętej dziczy do mojego Nowogrodu. Do moich ksiąg, do moich studiów i do moich świętych, zacnych i mądrych braci, od których tak wiele mogę się jeszcze nauczyć. Jesteś tutaj obcy, inkwizytorze, ale wyobraź sobie, że ja jestem obcy w niemal równej mierze.

Cóż, nie myślałem o tym w ten sposób, widząc go. I ciekaw byłem, jak zamierza wytłumaczyć swoją rzekomą obcość w kraju, który był przecież jego ojczyzną. Na razie skinąłem tylko głową.

– Jestem w stanie bez trudu zrozumieć pragnienie powrotu do cywilizowanego świata – stwierdziłem.

Zastanawiałem się, czy Kosma mówi prawdę. A jeśli kłamie, to czy celem tego kłamstwa jest atak na mnie, czy na Nataszę. Na razie zakładałem jednak, choć może było to założenie śmiałe, że wołch jest szczery w swoich wyznaniach.

Tymczasem nasz gość nachylił się głęboko nad stołem.

– Ja nie jestem rozmiłowany w towarzystwie kobiet – wyznał stłumionym głosem. – Więc sam rozumiesz, że nie palę się do posługi, jaką musiałbym wypełniać, korzystając z mocy którejkolwiek z tych szalonych dziewek... Dzień po dniu, noc po nocy – dodał i tym razem wydawało mi się, że mówi nawet nie ze zniechęceniem, ale z nieukrywanym obrzydzeniem.

Teraz prawdziwie mnie zdumiał. Wyznanie należało do tych osobistej natury i do tych poruszanych raczej wstydliwie, zwłaszcza kiedy dotyczy młodego mężczyzny, który według ogólnego mniemania powinien uchodzić za jurnego byczka.

– Ach tak – rzekłem po chwili. – No cóż, i w Cesarstwie znamy ludzi, którzy nad fizyczną miłość z kobietami przedkładają inne uroki życia – dodałem delikatnie.

Natasza uniosła się płynnie i lekko z krzesła. Zbliżyła się do wołcha tak wdzięcznie, jakby była płatkiem śnieżyczki płynącym przez powietrze. Ale ja w tym ruchu dostrzegałem nie tylko urok oraz wdzięk, lecz również gracją drapieżnika wychodzącego na polowanie. Kosma cofnął się tylko na siedzeniu, jednak znowu nawet nie spojrzał w jej stronę. Tymczasem dziewczyna wsunęła mu się na kolana i objęła ramionami jego szyję. Nachyliła twarz ku jego głowie. Nie odzywałem się, nie drgnąłem nawet, lecz mięśnie miałem napięte niczym cięciwy gotowych do strzału kusz. Dzikar chyba wyczuł moje zaniepokojenie, gdyż podniósł się i przesunął o krok. Spoglądał bacznie na rozgrywającą się przed naszymi oczami scenę.

Tymczasem Natasza nuciła jakąś cichusieńką melodię bez słów i trzymając wołcha w objęciach, kołysała się to w lewo, to w prawo, spokojnym, monotonnym ruchem. I w tym momencie przypomniała mi się opowiadana na peczorskim dworze historia dziewczyny, która wyrwała oczy mężczyźnie ośmielającemu się do niej zbyt gwałtownie zalecać. Miałem nadzieję, że ani Kosma nie będzie się zalecał, ani Natasza nie wyrwie mu oczu. Bo to skomplikowałoby nam życie, a przecież i bez tego mieliśmy już wystarczająco wiele trudności.

I nagle Natasza zeskoczyła z kolan wołcha szybko i zręcznie, jakby była polującym kotem. Prześlizgnęła się na swoje miejsce.

– Mówisz prawdę, Kosma – przyznała życzliwie. – Nie ulepiono cię tak, by twoje serce rozgrzewało się w obecności kobiet.

– Jeśli trzeba, jestem gotów poświęcić się dla dobra mojej służby i dla dobra władcy, któremu winien jestem cześć oraz posłuszeństwo – rzekł wołch wyniosłym tonem, całkowicie ignorując Nataszę i spoglądając tylko na mnie. – Ale ani do tego nie dążę, ani sobie tego nie życzę, ani nie sprawiałoby mi to żadnej przyjemności.

– Czyli mówisz: biblioteki... – Pokiwałem głową.

– I bibliotekarze – zachichotała Natasza.

Nie wiedziałem, czy powiedziała tak, gdyż podobne inklinacje odczytała w zachowaniu Kosmy, czy też chciała go wyprowadzić z równowagi. Bo mężolubstwo na Rusi, podobnie jak i w naszym szczęśliwym Cesarstwie, karano okrutnie oraz bez wahania. Oczywiście tylko wtedy, jeśli dotyczyło ludzi niemających majątku oraz koneksji. Bo iluż to znaliśmy kardynałów, biskupów, książąt czy hrabiów, którzy nad figle z damami, paniami i dziewczętami przedkładali miłość uprawianą na modłę dawnych Greków. I nikt nie robił im z tego powodu żadnych wyrzutów, a co najwyżej się z nich podśmiewano. Oczywiście świat nie był tak łagodny dla zbrodni sodomii, jeśli popełniali ją prości ludzie. Na nich czekały wyrafinowane tortury i długa, okrutna śmierć. Na Rusi sprawy miały się dokładnie tak samo jak w cywilizowanej Europie, a może tutaj przyzwolenie na podobne swawole było wręcz mniejsze niż w Cesarstwie.

Wołch jednak znowu nie zareagował w żaden sposób na słowa Nataszy.

– Twoja wiedźma nie jest taka sama jak zwyczajne kobiety wołchów – rzekł Kosma. – Nawet nie jest do nich podobna.

– Wiem o tym – odparłem.

Milczał chwilę.

– Nie, nie wiesz – stwierdził. – Ale jeszcze się dowiesz.

Cóż, nie zamierzałem z nim dyskutować o tym, co wiem, a czego nie wiem, zwłaszcza że nie widziałem, dokąd niby podobne konwersacje miałyby nas zaprowadzić.

– Niektórzy mówią, że na świecie istnieją biel i czerń, inni natomiast twierdzą, że cały świat i wszystkie jego sprawy przybierają różne odcienie szarości. Ja jednak uważam, że są to różne odcienie czerni... – dodał Kosma beznamiętnym tonem.

– Z tym również jestem w stanie w dużej mierze się zgodzić – stwierdziłem.

Obrócił na mnie przenikliwe spojrzenie.

– A zastanawiałeś się czasami, gdzie na tej palecie barw znajduje się twoja wiedźma? – zapytał.

– Natasza jest najlepszym, co spotkało mnie w życiu – odparłem z mocą, bo całkowicie świadomie nie zamierzałem przed nim ukrywać swego uczucia. Również dlatego, żeby był absolutnie pewien, że działając przeciw Nataszy lub krzywdząc ją, narazi się na moją zemstę, a co za tym idzie na śmiertelne niebezpieczeństwo. Krótko mówiąc: życzyłem sobie, by nie miał wątpliwości, iż nie będę zważał na wyjątkowy status wołchów na Rusi, kiedy miałoby chodzić o pomszczenie krzywdy Nataszy.

Natasza ujęła moją dłoń w obie swoje dłonie i ścisnęła mocno. Ona też na pewno pojęła, nie tylko że mówię od serca, ale że moja szczerość wobec Kosmy ma jednoznaczny cel. Wołch pokiwał głową, jednak nie był to znak zrozumienia, a raczej potwierdzenie, że usłyszał moje słowa i przyjął je do wiadomości.

– Kiedy wszystko tutaj... – wykonał oszczędny ruch dłonią – źle się już skończy, mam nadzieję być daleko od Peczory.

– Kraczesz jak kruk! – warknęła Natasza i usłyszałem, że teraz nie udaje niczego, lecz jest naprawdę wściekła.

– Twoja wiedźma utopi siebie, ciebie, a jak źle pójdzie, to i wszystkich wokół was – stwierdził.

– Poczekaj no – powiedziałem. – Z jakiegoś powodu przypuszczasz czy prorokujesz, iż sprawy potoczą się paskudnie. Czemu więc nie ostrzeżesz księżnej? Po co mówisz to nam?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli księżna by mi uwierzyła, toby mnie zatrzymała – odparł po prostu. – A ja chcę wracać do Nowogrodu. Skoro listy wielkiego księcia sfałszowano, to oznacza, że nie jestem wołchem Ludmiły. Nic więc jej nie jestem winny. A was ostrzegam, bo mam nadzieję, że będziecie się pilnować. – Westchnął nagle. – Choć nie wiem, czy to cokolwiek da. Pilnujcie się – uniósł palec – przynajmniej dopóty, dopóki nie wyjadę z Peczory. A potem ta kupa zgniłego drewna może się nawet zawalić, czy z wami czy bez was...

Natasza niespodziewanie roześmiała się.

– Podobasz mi się, Kosma – rzekła.

– Jest przynajmniej szczery – przyznałem. – Albo udaje szczerość, by nas zwieść.

Wołch rozłożył ręce teatralnie bezradnym ruchem.

– Zmiłuj się – powiedział. – Myślisz, że interesuje mnie walka o bycie najsilniejszym kogutem na podwórkowej kupie łajna?

Przyglądałem mu się uważnie i nic nie odpowiadałem.

– Byłeś w Nowogrodzie? – spytał.

Skinąłem głową.

– Widziałeś więc złote pałace, szerokie ulice i otoczone parkami kamienne domy możnych – ciągnął. – Widziałeś majestatyczny zamek wielkiego księcia. Widziałeś sklepy i widziałeś, jakie cuda można w nich kupić. A zapewne nie widziałeś ani książęcej, ani katedralnej biblioteki i tysięcy ksiąg, które w nich zgromadzono – jego głos nagle nabrał marzycielskich nut. – Powiedz mi: co człowieka, którego domem jest Nowogród, mogłoby trzymać tutaj, w tej barbarzyńskiej, plugawej dziczy?

– Nie zabijemy cię, Kosma – odezwała się nagle Natasza. – Ja ci wierzę.

– Nie boję się twojej wiedźmy, inkwizytorze – stwierdził. – Nie jest jeszcze tak silna, by wyrządzić mi krzywdę... – zawiesił głos. – Choć niedługo pewnie już będzie dużo, dużo za mocna nawet dla najmocniejszych z nas – dodał cicho, a potem wstrząsnął głową. – Nie tylko dla mnie, ale dla każdego dobrego człowieka na Bożym świecie... – dokończył jeszcze ciszej. Potem znowu chwilę milczał. – Jednak ty, inkwizytorze, jesteś na pewno człowiekiem pomysłowym, który łatwo mógłby wymyślić coś, co by mi się całkiem nie spodobało – ciągnął już zwyczajnym tonem. – Kopnięcie końskim kopytem, nieszczęśliwy upadek ze schodów, poślizgnięcie się na zamkowych murach... Więc chciałbym cię prosić, byś nie rozmyślał nad podobnym rozwiązaniem.

Milczałem przez chwilę.

– Skoro Natasza uważa, że nie jesteś naszym wrogiem, nie zamierzam w żaden sposób spiskować przeciw tobie.

– On jest naszym wrogiem – wtrąciła Natasza rozbawionym tonem, mocno akcentując słowo „jest”. – Po prostu bardziej chce wrócić do Nowogrodu, niż wojować tutaj z nami.

Wołch wstał z krzesła.

– Twoja wiedźma jest mądra – rzekł. – A więc tym bardziej niebezpieczna.

Skierował się w stronę drzwi, a ja poszedłem wraz z nim. Kosma zatrzymał się jeszcze w progu.

– Niech twoja wiedźma uważa na Dziewiatka.

Drgnąłem, a on to musiał zauważyć.

– Czemu? – zapytałem.

– Dowiedział się, że uknuła spisek z jego kobietą. Będzie chciał się zemścić.

Westchnąłem.

– Pomyśleć, że w Peczorze było tak spokojnie, kiedy nie było w niej wołchów. – A potem zdecydowałem się jeszcze odezwać: – Jeśli pozwolisz, chciałbym zadać jedno pytanie – powiedziałem uprzejmym tonem.

Nic nie odrzekł, jednak przystanął.

– Nazywasz Nataszę wiedźmą, a przecież wy, wołchowie, korzystacie z mocy takich dziewcząt, obcujecie z nimi, dzięki nim potraficie chronić ludzi, którzy was wynajmują. Dlaczego więc tak bardzo wadzi ci Natasza?

– Kobiety, z których korzystają wołchowie, są jak pieski na smyczy – odparł. – Twoja wiedźma jest jak krążąca po lesie niedźwiedzica. – Skrzywił usta. – Uważaj, bo kiedy przekona się, jak smakuje ludzkie mięso, będzie po tobie…

Kiedy tylko skończył to zdanie, nie czekał nawet na moją odpowiedź, tylko odwrócił się i odszedł.

– Co za głupi dziad – warknęła Natasza, kiedy tylko zamknąłem drzwi. – Jak on śmiał?!

– Może nie jest jeszcze dziadem, ale na pewno jest bardzo przekonany o słuszności własnych osądów – stwierdziłem.

– Niedźwiedzica! – prychnęła.

– Traktowałbym to raczej jako komplement, nie zniewagę – odparłem. – Docenia twoje zdolności i twoją siłę.

– Mówił to tak, jakbym była… – urwała i wzruszyła ramionami. – Sama nie wiem, jak to nazwać… Potworem?

– Jesteś niebezpieczna, Nataszka. A przynajmniej, może lepiej to ujmę: potrafisz być niebezpieczna. Przecież dobrze być człowiekiem, nad którego zaatakowaniem trzeba się trzy razy zastanowić, prawda? A on jest wołchem, przyzwyczajonym, że kobiety wykonują rozkazy takich jak on. Jesteś dla niego…

– Anomalią – weszła mi w słowo, najwyraźniej celowo używając zwrotu z tytułu książki Hildegardy Reizend.

Skinąłem głową, bo użyła chyba prawidłowego pojęcia.

– O tak – odparłem. – Nasza mądra mauretańska przyjaciółka zapewne chętnie by przebadała i ciebie, i mateczkę Olgę, i resztę dziewcząt, by sprawdzić, jaka moc się w was kryje i w jaki sposób owa moc powstaje.

– I jak ją nam ukraść – dokończyła Natasza.

Cały czas pamiętałem o koszmarze Nataszy i o sokole o złotym dziobie, którego się przestraszyła. A ponieważ podejrzewałem, iż mogła w tej wizji dojrzeć czyjś herb rodowy, to zgodnie z podpowiedzią Ludmiły postanowiłem wypytać jednego z kancelistów Makarego. Mężczyzna ten zajmował kwaterę przy pokojach samego doradcy, a teraz podczas jego nieobecności opiekował się dobytkiem kanclerza oraz wszystkimi pozostawionymi dokumentami. Kiedy wszedłem do kantorka, pił właśnie coś z kubka, a po rozchodzącym się wokół zapachu gorzałki poznałem, że korzystając z wyjazdu zwierzchnika, młody człowiek folguje jak najbardziej plebejskim upodobaniom. Nie był zachwycony moją wizytą. Ale cóż, akurat do tego, że mało kto na peczorskim dworze jest zadowolony, będąc zmuszonym do rozmów ze mną, zdołałem się już przyzwyczaić. Byłem dla nich obmierzłym rzymskim diabłem, symbolem instytucji, której nienawidzili, i cywilizacji, którą pogardzali.

– Księżna kazała mi cię wypytać – wyjaśniłem.

– Pytajcie więc – odpowiedział, patrząc nie na mnie, lecz gdzieś w bok.

– Sokół o złotym dziobie – przeszedłem od razu do sprawy. – Widziałeś kiedyś taki herb? Taki znak, godło, symbol na czyjejś tarczy, na pierścieniu, na pieczęci, gdziekolwiek...

Zachichotał piskliwie, potem ten piskliwy chichot przeszedł w zachrypnięty kaszel. Odplunął gęstą flegmą w kąt pokoju.

– A jeśli widziałem takiego sokoła, to i co z tego? – zapytał.

– Jeśli widziałeś takiego sokoła, to mi opowiesz, gdzie go widziałeś i wszystko, co wiesz o tym znaku. A ja na dowód uprzejmości i w podziękowaniu nie połamię ci wtedy dłoni. Wiesz, jak trudno utrzymać pióro w palcach, które pogruchotano?

Znowu zachichotał, a ja nie wiedziałem, czy jego odwaga wynika z głupoty wywołanej nadmiarem trunku, czy z głupoty wrodzonej.

– Po co grozić, kiedy można dać butelkę i dostać, co się chce, po dobroci? – zapytał wreszcie. – Słyszałem, że Jej Wysokość, niech Bóg czuwa nad jej ciałem i duszą – przeżegnał się uroczyście – obdarowuje was dobrym winem. Dacie mi trzy flaszki, żebym mógł upić się zacnym trunkiem jak jakiś wielki pan, nie gorzałką jak byle mużyk. A ja wtedy wam opowiem wszystko, co wiem.

– Trzy butelki wina za historię jednego herbu? – skrzywiłem się. – Drogo sobie liczysz.

– Skoro jestem jedynym, który ma towar, jakiego wy potrzebujecie, to zrozumiałe, że musi być drogo – odparł całkiem rozsądnie, chociaż znowu okrasił ten wywód głupawym śmiechem.

Pomyślałem, że jeśli będę musiał dłużej słuchać tego rechotu, to w końcu nie wytrzymam i ruskim zwyczajem porządnie mu przyleję. Problem jednak w tym, że naprawdę miał rację. Jedyny kupiec w mieście może dyktować ceny. A dzisiaj i w tej sprawie właśnie on był jedynym kupcem. A jak przyleję mu w łeb, to kto wie czy tego ciosu nie doliczy sobie do rachunku.

– Jeśli historia będzie wiarygodna, znajdą się trzy butelki – zdecydowałem. – Ale jeśli zobaczę, że mnie zwodzisz, to zamiast trzech butelek będą trzy złamane palce.

– Niech i tak będzie. – Zatarł ręce.

Potem przechylił kubek do ust, opróżnił go kilkoma łykami, wstrząsnął się z obrzydzeniem, wykrzywił jak upiór, wciągając powietrze głęboko w płuca i patrząc na mnie wybałuszonymi oczami w tak straszny sposób, jakby za chwilę miał umrzeć. Ale już zaraz potem odetchnął spokojniej, oparł się wygodnie na krześle, odchylił głowę i uśmiechnął się z wyraźną błogością. Odstawił naczynie z trzaskiem na stół.

– Uhhh, pali jak ogień, grzeje jak piec! – westchnął.

– Sokół o złotym dziobie – przypomniałem mu.

– A wiecie, że my na Rusi wymyśliliśmy wszystko, co ważne na całym Bożym świecie? – spytał, wypowiadając słowa z namaszczeniem i dokładnością pijaka, który nie chce być rozpoznany jako pijak.

– Sokół – rzekłem.

– Gorzałkę my wymyśliliśmy. – Wystawił kciuk. – I łaźnie też my wymyśliliśmy. – Wyciągnął palec wskazujący. Spojrzał na mnie maślanym wzrokiem. – A co więcej trzeba człowiekowi, żeby był szczęśliwy, powiedzcie sami, niż napić się mocnej gorzałki w dobrze nagrzanej łaźni? – spytał. – No, dziewkę jeszcze przydałoby się wtedy mieć – dodał. – I dziewek myśmy nie wymyślili. – Pokręcił głową. – Bo dobry Pan Bóg sam je wymyślił. Ale za to, i powiem wam to pod słowem – uderzył się pięścią w wątłą pierś, aż zadudniło – Rusinki są najpiękniejsze na świecie!

Sięgnął po butelkę, jednak zatrzymałem jego dłoń, zanim zdążył objąć szyjkę.

– Zabiorę ci całą gorzałkę, jaką znajdę – rzekłem spokojnie. – A potem doniosę księżnej, że upiłeś się i odmówiłeś odpowiedzi na pytanie, które zadała. I dopilnuję również, żebyś dostał baty i żeby zamknięto cię na dłużej w lochu. – Nachyliłem się nad nim. – Ani kropli gorzałki przez wiele dni – dodałem dobitnie. – Trudno będzie przeżyć takie męki, co?

– Czego wy ode mnie właściwie chcecie? – zapytał żałośnie i przy okazji tak zionął odorem z ust, że aż się odsunąłem.

– Sokół o złotym dziobie – powtórzyłem po raz trzeci i miałem szczerą nadzieję, że nie będę musiał robić tego po raz czwarty.

– Zabawne, że właśnie wy o to pytacie – zauważył z nagłą zadumą.

– Dlaczego to ma być zabawne?

– Bo kiedy badałem dokumenty na rozkaz władyki Izjasława, świeć, Panie, nad jego duszą – przeżegnał się uroczyście i zamaszyście – znalazłem ludzi pieczętujących się tym herbem.

Ha! – wykrzyknąłem w myślach. A więc wreszcie jestem na dobrym tropie. Wreszcie odnalazłem w labiryncie końcówkę nitki. I zaraz zobaczymy, dokąd ona mnie zaprowadzi.

– To bardzo ciekawe, mów dalej – poddałem życzliwie.

– A wino? – Zerknął na mnie podejrzliwie.

Przyłożyłem dłoń do piersi.

– Słowo inkwizytora nie dym. Jak obiecałem, tak się stanie.

– Wy, rzymskie diabły, zawsze kłamiecie. Tak u nas mówią...

– Moja cierpliwość może się zaraz skończyć – stwierdziłem zimno. – A wtedy przekonasz się, że w połamanych palcach trudno utrzymać nie tylko pióro, lecz nawet kubek z gorzałką.

– Nie wiecie, co to negocjacje – stwierdził ponuro.

– Negocjacje już były – odparłem. – Gadaj!

Westchnął głęboko i żałośnie, a ja aż odwróciłem głowę, tyle w tym zionięciu było przemieszanego smrodu, jaki wydobywa się, gdy cuchnącą ruską gorzałkę wlać do paszczy pełnej przegniłych zębisk.

– Władyka Izjasław, niech cieszy się życiem wiecznym obok Gunderyka i Siedmiu Synów, otóż władyka Izjasław miał brata – zaczął kancelista. – A wiecie, jak to było: sam władyka Izjasław, oby przez wieczność pasł się na zielonych polach Raju, pieczętował się krukiem siedzącym na złamanym krzyżu, a w dziobie na lewo skierowanym złoty pierścień trzymającym – wyrecytował z namaszczeniem i półprzymkniętymi oczami. – Jednak z dokumentów nam wiadomo, że syn owego brata miał już inny herb, którym jest czarny sokół o złotym dziobie, z rozpostartymi skrzydłami na czerwonej tarczy siedzący...

Już widziałem, dokąd zmierza opowieść kancelisty, i cała sprawa przestawała mi się podobać.

– A stąd wychodzi, że wasza biała wiedźma – ściszył głos do szeptu i aż schował głowę w ramiona, wymawiając te słowa – która jest wnuczką syna brata władyki Izjasława, oby pławił się przez wieczność w chwale Pana, ma prawo pieczętować się tym właśnie herbem.

– No i pięknie – mruknąłem. – Teraz chciałbym wiedzieć, kto jeszcze żyje z tej rodziny?

Kancelista rozłożył ręce.

– A bo to u nas wiadomo, kto żyje, a kto umarł? – zauważył sentencjonalnie. – Ludzie pojawiają się i znikają, przychodzą i odchodzą. Niekiedy myślimy, że ktoś umarł, a on wraca po latach, czasem stary i zabiedzony, a czasem z wielką fortuną. A czasami... – jego głos nabrał trwożnego brzmienia – wraca taki, że nie wiemy, ani czy to naprawdę on, ten sam, co z domu wyszedł, czy nie on, ani

czy żywy jest, czy martwy. – Wzdrygnął się. – I takie bywają, mówię wam, przypadki. – Potem pomilczał chwilę. – Wielki jest ten nasz kraj – rzekł wreszcie i spojrzał w okno z tęsknotą. – A ludzie niczym wolne ptaki, bywa, że nie pamiętają, nie tylko kto był ich ojcem, ale nawet jakie im samym imię nadano na świętym chrzcie.

To prawda, że tak właśnie wyglądało życie w tym barbarzyńskim państwie, gdzie ludzie pozbawieni byli korzeni. Często wiatr losu ciskał nimi po całej Rusi jak jesiennymi liśćmi. I tak jak jesienne liście gnili potem w kopcach ułożonych to tu, to tam, nie pamiętając nawet, z jakiego drzewa kiedyś opadli.

– Coś jeszcze wiesz? – spytałem. – Potwierdzisz, że to prawda, co słyszałem od Izjasława, że cała jego rodzina wymarła? Że nie ma nikogo bliskiego? Oprócz księżnej Ludmiły, rzecz jasna, no i oprócz Nataszy, tak jak żeś przed chwilą powiedział.

– Mogli wymrzeć. – Pokiwał głową. – Tak już bywa. Jest człowiek i nie ma człowieka. I nawet nikt po nim nie zapłacze, a na drugi dzień nikt nawet o nim nie pamięta.

Oho, kanceliście zbierało się najwyraźniej na użalanie nad światem, a zaraz przejdzie do użalania się nad samym sobą. Takie zachowanie, spowodowane pijaństwem, nie wróżyło najczęściej niczego dobrego, jeśli chodzi o wyciąganie informacji. Bo człowiek zbytnio stawał się zajęty sobą, by jeszcze dodatkowo zajmować się otoczeniem.

– Posłuchaj mnie uważnie – rzekłem, ujmując go mocno pod brodę i spoglądając mu prosto w zamglone trunkiem oczy. – Słuchaj i zapamiętaj. Słuchasz?

– Słucham! – Szarpnął się, lecz trzymałem mocno.

– Jeśli tylko znajdziesz ślad po kimś, kto pieczętuje się sokołem o złotym dziobie, natychmiast mi o tym doniesiesz. A jeśli dowody będą niezbite i jeśli ten ktoś żyje, dostaniesz następne trzy flasze wina. Rozumiesz?

– Rozumiem! – Oczy mu błysnęły. – A te, które mi obiecaliście?

Puściłem go.

– Dam ci jutro – rzekłem. – Bo przecież dzisiaj nawet smaku dobrego wina nie poczujesz, tak jesteś napompowany gorzałką.

Ku mojemu zdziwieniu pokiwał głową.

– Macie rację, macie rację, żal byłoby smaczne winko wlewać teraz we mnie, oj, żal... – zauważył, udowadniając, że pomimo opilstwa żarzy się w jego umyśle jakaś osamotniona iskierka zdrowego rozsądku.

– I dziewkę sobie jakąś sprowadź – poradziłem już z dobrego serca. – Po co pić samemu, kiedy można pijaństwo przepleść z radosnym chędożeniem? Od razu humor ci się poprawi, zobaczysz!

Wyszedłem, zostawiając go uśmiechniętego i najwyraźniej z rozmarzeniem wpatrzonego w wizję niedalekiej przyszłości wypełnionej obrazem „radosnego chędożenia". Miałem również nadzieję, że oprócz tych słów pamiętać będzie także o znalezieniu człowieka z herbem sokoła o złotym dziobie. Zresztą, kiedy przyniosę mu następnego dnia wino (tak jak mówiłem: inkwizytorskie słowo nie dym), na pewno przypomnę, jakie zadanie ma dla mnie wykonać i jaką nagrodę może otrzymać.

Nie zamierzałem opowiadać Nataszy o rezultacie moich poszukiwań, bo po pierwsze, trudno było na razie uznać je za wielki sukces, a po drugie, dziewczyna, która nie pamiętała ani swojej rodziny, ani swojego dzieciństwa, a o tym, skąd pochodziła, opowiedział jej dopiero Izjasław, nie mogła przecież służyć mi żadną pomocą. Zresztą nie chciałem jej niepokoić wieścią, iż istnieje prawdopodobieństwo, że przeżył ktoś z jej rodziny i że właśnie o tym kimś śniła, obawiając się, iż stanowi zagrożenie dla niej samej czy dla nas obojga. W Cesarstwie patrzyliśmy na prorocze senne wizje z podejrzliwością, która pozwalała nam na oddzielenie szalbierzy czy szaleńców od ludzi prawdziwie pobłogosławionych (czy przeklętych, zależy, jak patrzeć) darem jasnowidzenia. Ale w przypadku Nataszy miałem więcej niż przekonujący przykład, iż jej widzenia mogą być drogą do poznania spraw ukrytych. Przecież gdyby nie ona i jej wizje, nigdy nie powstałoby niezwykłe dzieło

malarza Wasyla. Dzieło, które pozwoliło nam dotrzeć do samego jądra ciemności – do ukrytego w dzikich ostępach leża demonicznego Wilka oraz służącej mu zgrai potworów z piekła rodem. Oczywiście nie każdy sen Nataszy musiał być profetyczny, nie każdy musiał się sprawdzić, ale tropy takie jak ten należało badać. Zwłaszcza że pamiętałem, jak bardzo Natasza przeżyła tamtą wieszczbę i jak bardzo ufała przestrodze w niej zawartej.

Natasza obudziła się z krzykiem tak przeraźliwym i tak żałosnym, że wyrwany w jednej chwili ze snu, porwałem ją w objęcia.

– Co się stało? – zawołałem, tuląc ją.

Miała szeroko otwarte oczy i krople potu na pobladłej twarzy. Drżały jej nie tylko dłonie, lecz całe ręce, ramiona i plecy. Trzęsła się tak, jakby wrzucono ją do lodowatej studni, a potem wyciągnięto na mróz. Zanim zdążyłem ją okryć, Dzikar bezszelestnym susem wskoczył na łóżko i przywarł do nagiego ciała dziewczyny. Słyszałem tylko, że pies żałośnie popiskuje, jakby świetnie rozumiał, iż jego pani dzieje się krzywda, na którą on nie może zaradzić ani swoją siłą, ani odwagą, ani potężnymi kłami. Więc tylko tulił się do Nataszy i skomlał.

– Miałaś koszmar? – Głaskałem ją po włosach.

Objęła nas obu ramionami szeroko, mnie i Dzikara.

– Chcę mieć was zawsze – powiedziała cichutko. – Mojego mężczyznę i mojego pieska.

– Dopóki tchu starczy w piersiach – odparłem.

Ścisnęła mnie jeszcze silniej.

– Potem też – rzekła.

A później położyliśmy się wszyscy we trójkę, z tym że ja z Nataszą w ramionach, a Dzikar zwinięty w kłąb obok jej nóg.

– Wielu ludzi śni mi się jako zwierzęta lub przedmioty, a wcale nie pod własną postacią… – zaczęła.

Skinąłem głową, gdyż oczywiście wspominała o tym wcześniej. Zresztą wymyślona przeze mnie opowieść o cielaku i krówce była przecież oparta na prawdziwych sennych wizjach.

– Ludmiła śniła mi się dzisiaj jako wielka maciora – zaszeptała.

– Akurat o tym szczególe snu lepiej będzie nie wspominać – wtrąciłem.

Uśmiechnęła się, lecz zaraz z powrotem spoważniała.

– Maciora chodziła po podwórku. Była tak wielka, tak silna, że inne zwierzęta przed nią ustępowały. Kiedy zbliżała się do koryta, wszystkie cofały się i opuszczały głowy – mówiła Natasza. Potem przez chwilę milczała. – I nagle dostrzegłam skrzydlaty cień. – Przez jej ciało przebiegł dreszcz. – Już na chwilę zanim się pojawił, poczułam strach, a potem taki lęk, taki wielki lęk, że nie mogłabym się nawet poruszyć. Chciałam ją ostrzec, bo wiedziałam, że zbliża się coś bardzo, bardzo złego...

Wpiła dłoń w moje udo, ale nie dałem po sobie niczego znać, bo chciałem, by opowiadała dalej.

– Ten cień rósł i rósł, a maciora wcale go nie widziała! – Usłyszałem rozpacz w głosie Nataszy. – Był tuż przed nią, tuż koło jej nosa. I to był cały czas tylko cień, bo nawet nie widziałam, kto ten cień rzuca.

Przez chwilę oddychała ciężko.

– A ona tak sobie chodziła z podniesioną głową, jakby nigdy nic. A cień gęstniał i rósł. I nagle... – Przymknęła oczy. – I nagle zobaczyłam tylko ostrze z cienia, które cięło po podgardlu świni. Tak głęboko, tak silnie, że krew trysnęła pod samo niebo – tym razem mówiła już nie tonem przestraszonym, ale monotonnym. I przez tę monotonię, przez ten brak uczucia może opowieść brzmiała jeszcze bardziej przerażająco.

– Mów, Nataszka – poddałem łagodnie, kiedy cisza się przedłużała.

– Zobaczyłam też siebie, jak zupełnie sparaliżowana stoję pod ścianą – powiedziała. – I patrzę na tę drgającą w konwulsjach maciorę, i patrzę na krew, która zalewa wszystko, której jest tak dużo, jakby pochodziła nie wiadomo skąd, ale na pewno nie od jednego zwierzęcia. I wtedy maciora obraca ryj w moją stronę

i widzę, jak patrzy na mnie. Z żalem, że jej nie uratowałam. Że byłam cały czas obok, a nie miałam siły nic uczynić. Byłam taka słaba. Zawiodłam!

Pogłaskałem ją po włosach.

– A cień? – spytałem.

– Nie było go już. – Wzruszyła ramionami. – Zniknął zaraz po tym, jak zabił maciorę.

Pokiwałem głową.

– Musimy zobaczyć więcej – rzekłem. – Wiesz o tym, prawda?

– Nie mam ochoty – jęknęła.

Nie do końca wiedziałem, czy te słowa odnoszą się do cielesnego obcowania, za pomocą którego mogliśmy się wznieść ku wizjom, czy też raczej do powrotu na podwórze z leżącą na nim zarżniętą maciorą. Podejrzewałem, iż do obu tych rzeczy naraz. Ale przecież tym razem widzenie mogło przybrać zupełnie inny kształt. I to moją sprawą, kiedy już poprzez Nataszę i jej uniesienie obraz przepłynie do mnie, będzie właściwe jego odczytanie. Albo chociaż próba odczytania.

– Wiem, Nataszka, przecież nie musimy tego robić teraz zaraz. Możemy poczekać, aż lepiej się poczujesz. Może za jakiś czas nabierzesz humoru, co? – Pocałowałem ją w usta.

Uśmiechnęła się blado.

– Pewnie nabiorę – odparła mniej smutnym tonem.

Niezależnie od przyszłego humoru Nataszy i jej ochoty na amory musiałem, rzecz jasna, o wszystkim, co zaszło, powiadomić Ludmiłę. Dlatego kiedy tylko wstał dzień, zostawiłem dziewczynę z Dzikarem i skierowałem się do pokojów władczyni, gdzie jak to zazwyczaj bywało, przyjęto mnie bez zbytecznych ceregieli. Kiedy już zostaliśmy sami, postanowiłem przejść od razu do rzeczy.

– Wasza miłość wie, że w snach Nataszy ludzie i wydarzenia przybierają czasami symboliczne kształty?

Spojrzała na mnie i zmarszczyła brwi.

– Krowa i cielak? – upewniła się.

– Tak jest, Wasza Wysokość. Tym razem Natasza śniła jednak o Waszej Wysokości.

– Hm... – Wzrok Ludmiły stał się ostrzejszy. – Sądząc ze wstępu, widziała mnie w innej postaci niż prawdziwa?

– Tak jest, wasza mość. Widziała Waszą Wysokość jako rozświetloną złotem koronę – kontynuowałem i zauważyłem, że księżna uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Podoba mi się, że ta dziewczyna okazuje mi szacunek nawet w swoich snach – rzekła Ludmiła, a ja musiałem przyznać, iż jej poczucie humoru było czasami urzekające.

– Niestety, muszę zmartwić waszą mość, ale potem było tylko gorzej – rzekłem już poważnie. – Pojawił się cień. Groźny, a Natasza mówi, że wręcz przerażający. I ten cień uniósł widmowy młot i jego obuchem rozbił koronę na drzazgi tak silnie, aż całe jej światło zgasło. Natasza pogrążyła się w ciemności i pustce, gdzie Waszej Książęcej Mości już nie było – kontynuowałem ponuro, a potem zawiesiłem głos. – Obudziła się zlana potem i przerażona.

Ludmiła zacisnęła palce na poręczy fotela tak mocno, że aż pobielała jej dłoń. Rusini w ogóle byli przesądną nacją, a w tym wypadku przecież przemawiał nie byle kto, lecz prorokini, więc księżna miała prawo czuć się przerażona. Lub wściekła. Lub osaczona. Na pewno świetnie jej się przypomniało, jak zginął jej poprzedni wołch i jego kobieta.

– Mówiłeś, że takie sny nie zawsze się sprawdzają?

– Ależ oczywiście, wasza miłość! – rzekłem z mocą. – To zaledwie ostrzeżenie. Ale gdyby posłuchano proroctw Kasandry i nie wpuszczono za mury Troi drewnianego konia, to Troja stałaby do dzisiaj – rzekłem. – Proroków należy słuchać ostrożnie i nie wyciągać pochopnie wniosków z ich przepowiedni, lecz nie wolno ich ignorować.

– Co robić? Niech Natasza śni więcej! Niech dowie się więcej!

– Z całą pewnością, Wasza Wysokość. Zrobimy wszystko, by wyciągnąć, ile się da, z jej wizji. Na razie jednak muszę Waszą Wysokość prosić o powzięcie szczególnych środków ostrożności.

Odetchnęła głęboko i skinęła głową.

– Tak będzie lepiej – przytaknęła.

– Proponuję, by postawić dodatkowe straże – rzekłem. – I aby Wasza Wysokość nie wychodziła nigdzie bez zaufanego oficera przy boku. Nie wiemy, czy niebezpieczeństwo widziane przez Nataszę ma naturę mistyczną, czy materialną, więc zabezpieczyć musimy się przed atakiem z obu tych stron. Jeśli wasza mość zechce, oczywiście ja mogę towarzyszyć waszej mości we dnie i w nocy...

– Nie, nie. – Machnęła ręką. – Ty siedź ze swoją wiedźmą. Chociaż... – zawahała się. – Może twoja straż w nocy to nie jest wcale zły pomysł. – Podrapała się po nosie. – No dobrze, będziesz przed moją sypialnią strażować razem z treserem i jego psami. – Uśmiechnęła się drapieżnym uśmiechem. – Rodzeństwo twojego psiaka już całkiem ładnie wyrosło – dodała. – Niech się bestie na coś przydadzą.

Odszukałem w fortecy Andrzeja, zresztą nie było to zadanie szczególnie trudne, gdyż słusznie domyślałem się, że będzie siedział z kochanką Kamieńskiego i jej dzieckiem. Nadieździe przydzielono własną kwaterę, co było wyjątkowe, jak na osobę, której rodzina okryła się hańbą i która była doświadczona niełaską. Ale to też pokazywało, jak bardzo dbano o Nataszę i jej kaprysy (czy raczej: rzekome kaprysy) i jak uważano, by spełniać jej zachcianki. Kwatera była co prawda malutka, ot, pokoik z niewielkim oknem, siennikiem i skrzynią, jednak własna i osobna, nie trzeba było się gnieść we wspólnej sypialni z innymi służącymi. Kiedy wszedłem do tej komnatki, dziecko spało na sienniku, a Nadieżda i Andrzej stali przy oknie, odwróceni tyłem do drzwi. Usłyszeli szczęk naciskanej klamki, drgnęli i odsunęli się od siebie gwałtownie, chociaż przecież nie robili niczego złego ani niczego nie musieli się wstydzić lub obawiać.

– Wybaczcie, że przeszkadzam – rzekłem.

– Nie, nie, wcale nie przeszkadzacie. – Andrzej odsunął się jeszcze bardziej.

Nadieżda stała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym we własne stopy.

– Chciałem zapytać, czy zechcielibyście poświęcić mi małą chwilę, jeśli łaska? – zwróciłem się do Andrzeja.

Wyraźnie nie był zachwycony propozycją i nie mogłem mu się dziwić. Zamiana towarzystwa młodej, urodziwej kobiety na towarzystwo rzymskiego diabła nie mogła wydać mu się korzystna.

– Chodźcie więc – rzekł jednak tylko.

Wyszliśmy przed drzwi, a ja powiedziałem:

– Nie będę was długo zatrzymywał i zaraz pozwolę wam wrócić do milszych zajęć niż konwersacja ze mną...

Uśmiechnął się zdawkowo, nic jednak nie odrzekł.

– Mam do was pytanie, jeśli zechcielibyście...

– Pytajcie.

– Co się stało z malarzem? Z tym Wasylem, wiecie, który...

Uniósł dłoń.

– Nie musicie mi tłumaczyć – przerwał. – Jak mógłbym zapomnieć ten jego straszny obraz?

Skinąłem głową.

– Niedawno przechodziłem obok komnaty, gdzie zamknięto to dzieło. Cały czas wiszą kłódki na solidnych skoblach...

– Tak, wiem. – Pochylił się w moją stronę. – Księżna oddała klucze Makaremu i zabroniła mu, by je komukolwiek dawał, nawet jej samej, wyobrażacie sobie?

O tym nie wiedziałem i ta wiadomość mnie zdziwiła. Obraz robił rzeczywiście przytłaczające wrażenie, ale mnie samego wcale nie kusiło, by wrócić do tej komnaty i się w niego wpatrywać. I szczerze mówiąc, dziwiło mnie, że ktoś mógłby mieć na to chęć.

– A księżna pani mocno się zastanawiała, czy go nie spalić – dokończył dworzanin.

– Mówiła wam?

– Ano mówiła. – Skinął głową. – Ale trochę przecież żal niszczyć taką osobliwość, bo każdy, kto wie cokolwiek o wielkiej sztuce, ten wie również, że podobnego arcydzieła nie znajdzie na całym świecie!

Można zadać pytanie, cóż o wielkim świecie ma do powiedzenia człowiek wegetujący na samym pograniczu azjatyckiej barbarii, ale naprawdę w tym wypadku mój towarzysz miał świętą rację. Obraz Wasyla był nie tylko arcydziełem sztuki malarskiej, lecz przede wszystkim sięgającym w głąb serca, trzewi i umysłu, przejmującym w swej potędze tworem mistycznym czy magicznym, który zdawał się żyć własnym życiem. Życiem nadanym mu właśnie przez twórcę, który malował pod dyktando opowieści pochodzących z wizji moich oraz Nataszy.

– To prawda, to prawda – zgodziłem się więc ze słowami Andrzeja.

– Czasami tak sobie myślę... – zawiesił głos i westchnął. – Że chciałbym go jeszcze zobaczyć. Wiecie, że nie lubiłem tego... tego...

– Mrocznej magii, która go przepełnia – dokończyłem.

Spojrzał na mnie i pokiwał ponuro głową.

– Tak, chyba właśnie o te słowa chodzi. Mroczna magia – powtórzył i ponownie odetchnął głęboko. – Ale ciągnie i kusi, by zerknąć jeszcze chociaż raz...

– Cóż, może rzeczywiście nie odmówiłbym spojrzenia na niego raz jeszcze – powiedziałem po namyśle. – Bo zastanawiałem się, czy teraz, kiedy już byłem fizycznie i realnie, zresztą przecież razem z wami, w tym diablim miejscu, to ów obraz zrobiłby na mnie znowu wrażenie? A może już nie? Może byłby tylko jak echo przeszłości, którą się chwalebnie przeżyło...

Andrzej zmrużył oczy.

– Tak. Może i macie rację. – Wyprostował się. – Czemu kogokolwiek, kto stawał twarz w twarz z potworem i zwyciężył, miałby przerażać zaledwie wizerunek potwora?

– Ano właśnie: czemu? – przyznałem mu rację. – Ale jeśli pozwolicie, bym wrócił do pytania o Wasyla. Czy wiecie, co się z nim dzieje?

– Pewnie, że wiem – odparł. – Siedzi zamknięty.

– Znowu w lochu? – Przypomniałem sobie pierwsze spotkanie z malarzem, w peczorskich wilgotnych lochach.

– Nie, nie, czemu niby w lochu? Ma taki pokoik na wieży. Żołnierz go pilnuje, żeby nie wychodził... A w ogóle to czemu pytacie

o Wasyla? Chcecie go wynająć do namalowania czyjegoś portretu? – Uśmiechnął się blado.

– Jeśli chciałbym kogoś zabić, zabiłbym go tymi oto rękoma. – Wyciągnąłem dłonie, ale starałem się nie nadawać głosowi patetycznej powagi. – A nie pędzlem i farbami malarza.

– Domyślam się – mruknął dworzanin.

– Na której wieży? – spytałem, bo peczorska forteca miała kilka wież i wieżyczek, licząc jeszcze te będące częścią murów, nie głównego budynku.

– A na pięterku w dużej – odparł.

– Myślicie, że mogę go odwiedzić?

– Strażnik was nie przepuści.

– Dziękuję wam. I już was więcej nie niepokoję, bo rozumiem, że czekają na was przyjemniejsze zajęcia niż konwersacja o szalonym malarzu.

Uśmiechnął się, skinął mi dłonią i rzeczywiście rączo podążył w stronę kwatery Nadieżdy. A ja, cóż, udałem się na dużą wieżę, by zobaczyć, czy strażnik rzeczywiście będzie aż tak nieugięty, by nie pozwolić mi na rozmowę z Wasylem. I wiecie co, mili moi? Wcale nie musiałem tego strażnika przekonywać, przekupywać lub mu grozić. Z bardzo prostego powodu. Gdyż wcale go przy wejściu nie było. Więc wystarczyło tylko, że odsunąłem dwa zewnętrzne skoble i już mogłem swobodnie wejść do niewielkiego pokoiku. Dokładnie zamknąłem za sobą drzwi.

– Inkwizytor! – O dziwo, w głosie malarza usłyszałem radosny ton.

Jego klitka mieściła tylko barłóg, na którym siedział, i okutą żelazem skrzynię, a światło wpadało przez zakratowane wąskie okienko, pozostawiając wnętrze w rozedrganym półmroku. Mimo tego półcienia świetnie spostrzegłem, iż malarz jest wymizerowany, twarz ma bladą i wychudłą, a oczy płonące chorobliwym blaskiem, jakby cierpiał na wysoką gorączkę. Może zbyt daleko posunięta byłaby ocena, iż wyglądał jak uosobienie nędzy i rozpaczy, lecz na pewno przedstawiał się niepokojąco źle. I niedobrze to wróżyło, jeśli mielibyśmy znowu polegać na jego umiejętnościach. Bo myślałem przecież, że może w nieodległej przyszłości mógłby nam pomóc

w znalezieniu owego sokoła o złotym dziobie pochodzącego z koszmarów Nataszy? Tak jak pomógł nam w odnalezieniu leża demonicznego Wilka...

– Witajcie, mistrzu Wasylu – powiedziałem uprzejmie, jako że byłem pewien, iż im będę dla niego grzeczniejszy, tym więcej się dowiem o tym, co go gnębi i co mu się przytrafiło. – Cóż to się z wami dzieje? Postanowiłem was odwiedzić, bo ciekaw byłem, jak sobie radzicie i jak się miewacie. No i czy za rządów Izjasława nie wyrządzono wam jakiejś krzywdy...

– A jak strażnik was wpuścił? – zainteresował się.

– Strażnik? – Zmarszczyłem brwi. – Żywej duszy nie było pod waszymi drzwiami. Tylko skobel przesunąłem i wszedłem.

– A to swołocz – burknął. – Księżna za mało ich batem ćwiczy.

Rozejrzałem się dokładnie po klitce.

– Ani farb, ani sztalug, ani desek... Ciemno i nieprzyjemnie. Nie tworzycie?

Wstrząsnął głową.

– To już nie dla mnie, inkwizytorze. To już nie dla mnie – powtórzył smutno. – Dla mnie jedynie pozostała ciemność i mokra ziemia, i kret, co zimnym nosem trąca truchło człowiecze... Ot, cała moja przyszłość.

– A skąd te ponure myśli? – zapytałem.

Rozejrzał się na boki.

– Mogę wam powiedzieć prawdę? Nie zdradzicie mnie?

– Mówcie.

Poderwał się z barłogu nawet dość zręcznie i żywo, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak nędznie wyglądał. Otworzył skrzynkę, wyrzucił z niej jakieś ubrania, potem wyciągnął kawał wzorzystego materiału i pieczołowicie go odwinął. Spod materii wyłoniła się deska. Odwrócił ją licem w moją stronę.

– Spójrzcie sami, czemu muszę umrzeć i nic pod Bożym niebem tego nie odmieni – rzekł.

Namalowany na desce obraz przedstawiał samego Wasyla. Co prawda nie tak wychudłego i bladego jak mężczyzna, którego

miałem przed sobą, co prawda zdecydowanie bogaciej odzianego i z dumną miną, jednak niewątpliwie był to właśnie Wasyl.

– Namalowaliście własny portret? – zdumiałem się. – Po co?

– Jak to po co? – Wzruszył ramionami. – Żeby umrzeć w spokoju. Skoro klątwa dosięga wszystkich, których sportretuję, to i mnie łatwo dosięgnie. A i grzechu samobójstwa nie będę miał na sumieniu.

– Cóż, domyślam się, że namalowaliście autoportret nie po to, by z zachwytem spoglądać we własne oblicze – odparłem zgryźliwie. – Czemu jednak życzycie sobie umierać?

– Ja już swoje przeżyłem. Stworzyłem dzieło – jego twarz nagle nabrała wyrazu rozmarzenia – jakiego nikt nigdy nie namalował na całym świecie i jakiego nikt nigdy nie namaluje. Co prawda jeśli księżna zniszczy mój obraz, nic zupełnie po mnie nie zostanie, ale przecież nie o to w tym wszystkim chodzi... – westchnął. – Chodzi wszak o to, inkwizytorze, że kto zadusił niedźwiedzia gołymi rękami w gawrze, ten już nie znajdzie radości w łapaniu królików.

W jego głosie brzmiała smutna rezygnacja i byłem pewien, iż decyzja, którą podjął, nie jest chwilowym kaprysem, ale wynikiem solidnych przemyśleń. I pamiętałem przecież, że już przy naszym pierwszym spotkaniu, rok temu, malarz święcie wierzył, iż przynosi śmierć każdemu, kogo sportretuje. To nie była jakaś ulotna fanaberia, lecz mocno ugruntowana wiara w to, iż jest się człowiekiem przeklętym.

– Nigdy nie wiecie na pewno, czy wasze największe dzieło jest za wami, a nie dopiero przed wami – zauważyłem. – Czyż myśliwy, którego podaliście w przykładzie, nie może zapolować na lwa? Na tygrysa? Na... – szukałem w myśli jakiegoś dużego, groźnego zwierzęcia – włochatego słonia?

– Jakiego znowu włochatego słonia?

– Ano tego, co to leżą w wiecznej zmarzlinie, tam gdzie Peczora wpływa do lodowatego oceanu.

– Aaa, te. – Wzruszył ramionami. – Eee, nie. – Pokręcił głową. – Wszystko, co miałem, oddałem obrazowi, który stworzyłem dzięki waszej opowieści. Nigdy nawet się nie zbliżę ani sercem, ani

rozumem, ani zdolnością do tego, co tam czułem, co tam zrobiłem... – Przyłożył złączone dłonie do piersi. Przez chwilę oddychał ciężko, zapatrzony gdzieś poza mnie, jakby cofnął się myślą do dni i nocy, w których żył gorączką tworzenia, gdy przestawał malować dopiero wtedy, kiedy pędzel wypadał mu z osłabłych palców. – Ja to widzę, rozumiecie? – Chwycił mnie nagle za poły kaftana. Jego oczy błyszczały szaleństwem w wychudłej twarzy. – Widzę cały czas ten mój obraz, mam to moje arcydzieło przed oczami. I widziałem też, jak nędzne jest wszystko, co próbuję tworzyć teraz. Jak ułomne, jak kalekie, jak kulawe... – Odskoczył ode mnie i opadł na barłóg. Ukrył twarz w dłoniach, zobaczyłem, że trzęsą mu się ramiona. – Jestem jak pusta butelka po winie – wyznał głucho i z rozpaczą. Potem uniósł głowę i ujrzałem, że płacze. – A nawet nie pusta, lecz rozbita na kawałeczki – mówił przez łzy. – Nigdy, już nigdy i nikt nie wleje wina do tych potłuczonych skorup.

No cóż, współczułem mu artystycznych cierpień, niemniej nie potrafiłem litować się nad nim aż tak bardzo, jak by sobie tego zapewne życzył. Bo kto widział ludzi umierających z głodu, chorób czy ran, kto widział nieszczęśników opętanych przez demony, kto widział więźniów torturowanych dniami i nocami, wyjących z bólu w nieustającej męce, ten będzie miał problem, by czule roztkliwiać się nad twórczą niedolą egzaltowanego artysty.

– Może mógłbym wam jakoś pomóc? – spytałem ze współczuciem w głosie.

Podniósł na mnie wzrok.

– Dziękuję, że pytacie. Już sama wasza obecność, powiem wam, że... – zawiesił głos – niby boli, bo przypomina, ale wy widzieliście... wy wiecie...

Pokiwałem głową. To prawda, że Wasyl stworzył dzieło monumentalne. Stworzył obraz oszałamiający nie tylko pięknem i wyrazistością, lecz również magicznym oddziaływaniem na każdego, kto mu się przyglądał. To było arcydzieło, które mogłoby zdobić ściany w pałacu najpotężniejszego z władców świata i budziłoby tam powszechny podziw. A wisiało sobie w gnijącej peczorskiej fortecy, w komnacie ściśle zamkniętej na kłódki, zamki

i skoble, by nikt nigdy nie mógł go oglądać. Tak, to na pewno mogło również powodować smutek Wasyla. Czy możliwe, by zdarzały się podobne wypadki w innych stronach świata? Czy możliwe, że gdzieś na dworach, w zamkach czy pałacach europejskich władców ukryto podobne magiczne skarby, które są przechowywane tak, by nie dojrzało ich ludzkie oko? Jako inkwizytor i człowiek wiedzący, iż rzeczywistość jest spowita tajemnicami, mogłem jedynie ze smutkiem przypuszczać, że moje podejrzenia zapewne są prawdziwe.

– Widziałem to arcydzieło i dlatego sądzę, że wasze życie jest darem od Boga dla świata, więc choćby dlatego nie powinniście umierać – stwierdziłem dobitnie.

Uśmiechnął się z nagłą radością. Ale spojrzał na mnie co prawda życzliwie, lecz z pobłażliwością.

– Dobry z was człowiek, chociaż inkwizytor – przyznał. – Jednak zbyt prosty, by zrozumieć huragan, który spustoszył moją duszę. Umrę, bo takie jest moje życzenie. I tyle.

– Księżna pozwala wam umrzeć? – zainteresowałem się.

– Boże broń, księżna nic nie wie! Nie powiecie jej, co?

Pokręciłem głową.

– Nie, nie powiem.

– Jakby wiedziała, kazałaby mnie na siłę karmić.

– Jak to karmić?

– A bo wyrzucam tu przez okienko całe jedzenie, jakie mi dają. – Wskazał palcem ten niewielki otwór w ścianie, z którego sączyło się światło dnia. – Dłoń łatwo przechodzi przez kratę, a akurat pode mną jest wybieg dla świń, to nikt nawet nie zauważa.

– Długo już tak nic nie jecie?

– Będzie ze dwie niedziele. – Pokiwał głową. – Tak, jutro miną dwie niedziele – dodał posępnie.

– Ale umrzeć macie z powodu namalowania autoportretu, czyż nie?

– Ano tak. – Wzdrygnął się. – Może i trochę żal, ale co robić. Tak musi być i koniec. A skoro musi, to i będzie.

– Logiczny wywód – rzekłem, nawet nie siląc się na ironię w głosie, lecz sądząc, że wystarczająco przemawia ona z samych słów.

Jednak malarz gorliwie potaknął. Potem przyglądał mi się przez chwilę z przymrużonymi oczami i przechyloną głową, jakby oceniał mnie jako modela, który miałby mu pozować.

No cóż, mogłem sobie nie wierzyć (i oczywiście nie wierzyłem!) w brednie, iż malunki Wasyla sprowadzają śmierć na portretowanych, lecz na pewno nie zamierzałem stawać przed jego sztalugami. Chociażby po to, żeby nie kusić licha. Ani żeby u nikogo nie wywołać myśli: „skoro inkwizytor nie chce jakoś umrzeć od samego obrazu, to może mu pomożemy, by klątwa się zgodnie z Boską wolą wypełniła". Znałem podobny rodzaj rozumowania z pracy inkwizytorskiej i nie chciałem stać się jego ofiarą. Poza tym wiedziałem, że Natasza takowy pomysł przyjęłaby bardzo, bardzo źle. Z drugiej strony oczywiście szkoda, iż kogoś obdarzonego tak niezwykłym talentem i tak biegłego w oddawaniu nie tylko szczegółów świata, lecz również ducha obrazowanych ludzi i przedmiotów nie mogłem zatrudnić, by sportretował Nataszę. Wyobraziłem sobie, jak pięknie wyglądałby jej obraz. Biała suknia, rozpuszczone włosy, nagie stopy i wianuszek z kwiatów na głowie. Niczym grecka nimfa wyłaniająca się z dzikich ostępów na spotkanie z ukochanym. A Natasza w negliżu? Ach, cóż to byłby za upojny obraz! Mogłaby leżeć w białej pościeli, z rękoma podłożonymi pod głowę i spoglądająca na świat wzrokiem piękności pewnej swej siły i swych wdzięków. A naga Natasza na koniu? Jakżeż oszałamiająco by wyglądała na grzbiecie karego rumaka unoszącego się w dzikim szale na tylnych nogach. Ogier niósłby dziewczynę, której olśniewająca jasność skóry tak kontrastowałaby ze smolistą czernią jego umaszczenia, której rozpuszczone włosy otaczałyby głowę niczym księżycowa poświata i splatały się z grzywą pędzącego rumaka. O tak, gdybym był malarzem, mógłbym zostać osobistym portrecistą Nataszy i nie malować nikogo oprócz niej, a i tak przeszedłbym do panteonu najznamienitszych artystów w dziejach ludzkiej cywilizacji. Tak, tak... Tak by właśnie było...

– Zamyśliliście się – wyrwał mnie z zadumy głos Wasyla.

– Wybaczcie. – Oderwałem się od marzeń o nagiej Nataszy. – Wznosiłem modlitwy do Boga o wasze uzdrowienie.

Malarzowi łzy stanęły w oczach.

– Mówiłem, że dobry z was człowiek, a ja prawdziwie mam oko do ludzi. – Złapał mnie za rękę i serdecznie nią potrząsnął.

Nie przepadam za dotykiem bliźnich (jeśli nie są pięknymi kobietami), ale czasami trzeba tę niedogodność nie tylko wytrzymywać, lecz wręcz odwzajemniać życzliwość, więc ująłem dłoń Wasyla w obie swoje i również kordialnie ją ścisnąłem, uśmiechając się i starając być ujmującym. I co ciekawe, a nie zawsze tak na świecie bywa, owa uprzejmość szybko mi się opłaciła.

– Zdradzę wam pewien sekret, bo leżę już na łożu śmierci i za niedługo nadejdzie dzień, kiedy nagi i drżący stanę przed Bożym Sądem. – Chlipnął przez nos.

– Cóż, tak właśnie dzieje się z ludźmi, którzy umierają – przyznałem mu rację i byłem ciekaw, dokąd zmierza jego opowieść.

Wstrząsnął głową z bolesnym wyrazem twarzy, jednak zaraz potem nagle się ożywił.

– Ale przyznajcie sami – obrócił obraz do światła – piękny jest, co?

Z całą pewnością Wasyl miał wielki talent i rzeczywiście jego portret, czy raczej autoportret prezentował się wprost bajecznie.

Człowiek na obrazie wyglądał niczym żywy i zdawał się nawet spoglądać na nas z tą naturalną wyższością, z jaką każdy artysta, wybranek Muz, patrzy na hałastrę kłębiącą się pod kopytami Pegaza niosącego go na Olimp sztuki.

– Zgadzam się, że wasze zdolności oraz wasz talent są prawdziwym skarbem rodzaju ludzkiego – odparłem. – I dlatego tak bardzo dziwi mnie, że chcecie pozbawić ludzkość tego skarbu.

– Jakiż artysta we mnie ginie! – Wzniósł oczy, z zamysłem zapewne ku niebu, a tak naprawdę ku okopconej, niskiej powale.

– Dlatego zdumiewa mnie, że zarówno ludzkość, jak i siebie samego chcecie tak bezwzględnie surowo potraktować – rzekłem.

– Ech! – Machnął ręką ze zbolałą miną. – Już niedługo na niebiańskim dworze naszego Pana będę malował szeregi

cherubinów. – Znowu wzniósł oczy. – Taka już moja dola widać...

Pomilczałem uprzejmie przez chwilę, dając mu możliwość napawania się w wyobraźni widokiem sztalug rozłożonych przed karnie pozującym szeregiem Aniołów, po czym odchrząknąłem lekko.

– Wybaczcie, że dopytuję, lecz chwilę temu wspomnieliście o pewnym sekrecie...

– Ano tak – przyznał. – Ha, czy wiecie, że księżna zagroziła, że jak pisnę choć słówko, to każe mnie wytrzebić? – burknął, obniżając głos, jakby spodziewał się, że Ludmiła może go usłyszeć i zaraz przybiegnie z nożem w dłoni i furią w oczach. – I to dopiero na początek – dodał. Pokręcił głową i dorzucił, tym razem zupełnie cichusieńko: – Nie tak należy traktować człowieka, który tyle dla kogoś uczynił, co ja dla Jej Wysokości.

– Groźbę kastracji rzeczywiście trudno uznać za rodzaj przyjacielskiej perswazji – zauważyłem coraz bardziej zaciekawiony, co Wasyl pragnie mi powiedzieć.

On tymczasem pieczołowicie zawinął obraz w materię, ułożył odzienie w skrzyni, a skrzynię zamknął, po czym znowu poczłapał w stronę swojego barłogu i zwalił się na niego. Usiadł, podwijając nogi pod siebie, i wbił wzrok we własne buty. Albo miał coś naprawdę istotnego do powiedzenia, albo artystyczna natura kazała mu wyolbrzymiać sekretne drobnostki, zamieniając je w ciężkie do wysłowienia tajemnice. Postanowiłem mu nie przeszkadzać i nie ponaglać, tylko spokojnie przysiadłem na krawędzi wieka.

– Księżna kazała mi malować wasz portret – wyznał wreszcie zduszonym głosem.

– Mój? – upewniłem się machinalnie.

Bo przyznam wam, mili moi, że chociaż jestem człowiekiem doświadczonym i niemającym złudzeń co do ludzi oraz ich zamiarów i postępków, to jednak zdziwiła mnie decyzja Ludmiły. Dlaczego umyśliła sobie, by mnie zabić?

– Kiedy? – zadałem dodatkowe pytanie.

– A zaraz przedtem, nim żeście na tę głupią wojnę pojechali – wyjaśnił.

– Przyszła do was i powiedziała: „namaluj mi portret inkwizytora”?

– Powiedziała, że chce wam sprawić niespodziankę i ofiarować wam wasz własny portret, byście dobrze kiedyś wspominali naszą piękną Ruś.

Pokiwałem głową.

– Namalowaliście go?

– A co miałem niby uczynić? – zapytał jękliwie, załamując ręce. – Księżnej się nie odmawia! Choćby kazała mi odgryźć jaja własnemu bratu, tobym je odgryzł. – Siąpnął nosem żałośnie. – Gdybym miał brata, oczywiście – dodał.

– Oczywiście – odparłem. – Ale wiecie co? – kontynuowałem. – Nie martwcie się i nie miejcie wyrzutów sumienia, jeśli je macie, bo ja i tak nie wierzę w podobne hokus-pokus, więc jak dla mnie możecie sobie moimi portretami obwiesić cały pokój.

Oczywiście nie o to chodziło, czy wierzyłem w ten rodzaj czarnej magii lub uroku. Zależało mi tylko i wyłącznie na zrozumieniu oraz wyjaśnieniu intencji Ludmiły. Przecież wydawało się, że jestem użytecznym narzędziem w jej ręku. Czemu w takim razie chciała się mnie pozbyć?

– Dziwne, że ktoś taki jak wy, niewierzący w przebiegłe podstępy Szatana, mógł zostać inkwizytorem – odparł niechętnie.

– A jeśli przebiegłym podstępem Szatana było tak was przestraszyć, byście swoim geniuszem nie mogli opiewać chwały Bożego świata? – zapytałem.

Spojrzał na mnie i przyglądał mi się długo, kiwając głową.

– Tak też może być, któż to teraz pozna – odezwał się wreszcie. – Tak czy inaczej, ze mnie już człowiek stracony – rzekł żywszym głosem. – A teraz, proszę, ostawcie mnie samego w mojej niedoli i pozwólcie spokojnie umrzeć. Wyjawiłem wam sekret, który dusiłem w sobie, więc kiedy umrę, wspomnijcie mnie czasem w modlitwie.

– Jak sobie życzycie. – Rozłożyłem ręce. – Gdybyście jednak kiedyś zmienili zdanie w sprawie owego umierania, to wstąpcie do mnie na kolację i butelkę wina.

– Dalej mieszkacie z waszą wiedźmą, co? – zagadnął, kiedy już otwierałem drzwi.

Postanowiłem zignorować fakt, że wyraża się o Nataszy w sposób, jaki mi się nie podoba. No cóż, dla tych Rusinów dziewczyna, którą wychowała czarownica, również sama musiała być czarownicą. Wiedziałem, że nie zwalczę tego pojmowania spraw, choćby nie wiem co.

– Dalej mieszkam z Nataszą – odparłem spokojnie.

– No i patrzcie, jak to się sprawy dziwnie układają, że nadal żyjecie. – Pokręcił głową z wyraźną konsternacją na twarzy.

Wyjrzałem na pusty korytarz, co świadczyło, że strażnik, którego pozostawiono, by pilnował malarza, nadal nie raczył jeszcze wrócić. No cóż, mogłem się zżymać na tę niesubordynację jako człowiek wychowany w poszanowaniu odmiennych reguł, ale akurat teraz ta właśnie niesubordynacja była mi bardzo na rękę.

– Zamknę was – oznajmiłem. – Tak jak to uczyniono wcześniej, na oba skoble, żeby nikt nie wiedział, iż się widzieliśmy.

Wzruszył tylko ramionami, a zanim zamknąłem drzwi, zobaczyłem, jak znowu rozkłada się na barłogu ze wzrokiem utkwionym tępo w powale. No cóż, jeśli nie będzie jadł, naprawdę niebawem umrze, chociaż zastanawiałem się, czy rzeczywiście starczy mu silnej woli, by całkowicie pościć i by ten post doprowadzić do tak opłakanego i nieodwracalnego skutku. Bo śmierć głodowa, mili moi, jest śmiercią naprawdę paskudną. Oczywiście my, inkwizytorzy, znamy sposoby przenoszenia na tamten świat bardziej bolesne, choć również długo trwające, jednak nie zmienia to postaci rzeczy, iż umieranie z wygłodzenia nie przychodzi lekko. Poznałem kiedyś pewnego majętnego szlachcica, który więził w lochach ludzi, nie karmiąc ich, i bardzo go bawiło, kiedy zaczęli zjadać jeden drugiego. Na marginesie wspomnę, że mniej był rozbawiony, kiedy paliliśmy go na stosie. Oczywiście nie za owo znęcanie się nad poddanymi, bo co nas to niby obchodziło, lecz za zbyt żywe zainteresowanie demonologią oraz nekromancją.

Przesunąłem skoble w drzwiach i odszedłem korytarzem w stronę schodów. Już na stopniach minąłem strażnika, który o tyle zwrócił

jednak na mnie uwagę, by przylgnąć do ściany, kiedy przechodziłem. Straszliwie, powtórzę to dobitnie oraz z obrzydzeniem: straszliwie cuchnęło od niego moczem oraz gorzałką. Ciekaw byłem, czy w ogóle będzie jutro pamiętał, iż spotkał mnie na swojej drodze.

Rozmowa z Wasylem nie zgniewała mnie, lecz raczej zasmuciła i zaciekawiła. Teraz zresztą kwestia czyhania na moją śmierć przez Ludmiłę nie była istotna, gdyż przyjęcie przysięgi przez wiedźmę zmieniło relacje pomiędzy mną a władczynią. Niemniej byłem ciekaw, dlaczego księżna chciała się mnie pozbyć i jak zamierzała rozwiązać problem Nataszy oraz jak chciała zapewnić sobie ochronę. Dlaczego aż tak jej wadziłem, by usuwała mnie bez żadnego zysku i bez żadnego nakazu? Oczywiście mogłem, a nawet musiałem przyjąć jako jedną z hipotez założenie, że Wasyl kłamał albo że rzeczywistość nazbyt mieszała mu się z fantasmagoriami. Przyznam jednak, że domniemanie to wydało mi się mało prawdopodobne. Bo nie widziałem powodów, by malarz miał mnie oszukiwać, i to jeszcze w takiej sprawie, która gdyby się wydała, wywołałaby bezbrzeżną wręcz wściekłość Ludmiły. Zresztą chociaż nigdy nie pochlebiałem sobie, iż umiem czytać w ludzkich sercach i umysłach niczym w otwartej księdze, to jednak inkwizytorska praktyka nauczyła mnie, mili moi, z grubsza odróżniać prawdę od fałszu. No i miałem wrażenie, iż w tym wypadku możemy mówić właśnie o prawdzie.

Postanowiłem, że wspomnę Nataszy, iż odwiedziłem Wasyla, ale nie opowiem jej nic o zleceniu złożonym przez księżną na mój portret. Nie chciałem, by Natasza się martwiła, nie chciałem również, by nabrała podejrzeń w stosunku do księżnej. I tak Izjasław rozbudził w niej niechęć do Ludmiły, a ja nie życzyłem sobie, by ta niechęć rosła. Bo teraz, po ceremonii krwawej przysięgi, wszystko, co w przeszłości miało miejsce między nami a księżną, zupełnie się nie liczyło. Naszym wspólnym zadaniem było napisać nowy rozdział życia, które jak się wydawało, na dłuższy czas połączy całą trójkę bardzo silnymi więzami. I niedobrze by się stało, by w tym połączeniu przeszkadzała pamięć zaległych krzywd.

Kolejne dni mijały nam spokojnie, a ja zdecydowałem się szepnąć Andrzejowi słówko o nieodwołalnej decyzji malarza, iż zamierza przestać żyć. Zgodnie z moimi oczekiwaniami dworzanin natychmiast poinformował o tym księżną, co skończyło się tym, że Wasyla zaczęto karmić na siłę. Był przecież własnością księżnej, a księżna mogła należące do niej przedmioty czy ludzi niszczyć lub wyrzucać, jeśli jej się tak spodobało, lecz nie zamierzała pozwolić, by postępował w ten sposób ktokolwiek inny. Szczerze mówiąc, cały czas zastanawiałem się, czy spowiedź malarza nie była tak naprawdę prośbą o pomoc i czy przypadkiem nie miał nadziei, iż właśnie uczynię to, co uczyniłem, czyli doniosę władczyni o jego nieposłuszeństwie. Wiadomość, iż księżna wydała wcześniej artyście rozkaz, by przygotował mój portret, nie spędzała mi snu z powiek, gdyż wystarczająco znałem świat i ludzi, by wiedzieć, że po nikim nie mogę spodziewać się niczego dobrego i każdy sprzeda mnie, jeśli tylko zwietrzy w tym handlu korzyści. Zresztą może Ludmiła wcale nie chciała mnie zabić? Może po prostu korciło ją, by rzekomą magiczną moc Wasyla wypróbować na kimś, kto wydawał jej się silny wiarą w Boga i kto jednocześnie nie wierzył w byle przesądy czy zabobony? Zastanawiałem się, czy kiedyś zdarzy się, iż spytam Ludmiłę, jakie przyświecały jej pobudki, kiedy wydawała rozkaz malarzowi. Tak jak mówiłem wcześniej, nie czułem do niej żalu ani niechęci, ale po prostu ciekawiło mnie to, gdyż zawsze uważałem się za człowieka złaknionego wiedzy o innych ludziach, o motywach ich postępowania, o czynach, do jakich są zdolni, o granicach, jakie sobie wyznaczyli, i w jaki sposób na nich oddziaływać, by owe granice przesunęli. No cóż, może kiedyś porozmawiam o tym z księżną...

Nadieżda odwiedzała Nataszę ze swoim dzieckiem i z przyjemnością patrzyłem, jak moja kochanka zajmuje się maluchem, opowiada mu bajki (których na pewno jeszcze nie rozumiał), śpiewa piosenki i bawi się z nim na takie sposoby, na

jakie kobieta może bawić się z niemowlęciem. Niemowlęciem, które co trzeba dodać, było Nataszą nieustająco zachwycone. Nadieżda pozbyła się tego paraliżującego lęku, który towarzyszył jej podczas pierwszej wizyty, chociaż jej twarz nadal tężała, a oczy stawały się wielkie z przerażenia, kiedy Dzikar zbliżał się do dziecka. Sądziłem jednak, że córka Czarnego Daniły prędzej czy później przyzwyczai się również do obecności naszego psa, gdyż to potężne zwierzę zdawało się w kontaktach z chłopczykiem wykazywać jeszcze większą mądrość i łagodność niż zwykle. I tak właśnie zazwyczaj wyglądały sprawy w czasie odwiedzin Nadieżdy, że Natasza bawiła się z maluchem, Nadieżda siedziała gdzieś cichutko w kąciku, haftując lub szyjąc, a ja z zachwytem przyglądałem się Nataszy, która w czasie wizyt dziecka zdawała się jaśnieć wdziękiem i radością.

I często też się zdarzało, że kiedy wieczorem Nadieżda i jej synek już nas opuszczali, to Natasza była nawet więcej niż zwykle skłonna do amorowych zmagań, ale gdzieś znikała wtedy jej drapieżna, dzika gwałtowność i z tygrysicy zamieniała się w rozleniwioną, tkliwą koteczkę, mruczącą z zadowolenia i spoglądającą czule w moje oczy. Taka Natasza również smakowała wybornie.

– Wiesz, Nataszka, chyba ci piersi urosły – powiedziałem jej pewnej nocy.

– To od tego twojego ciągłego masowania – zachichotała. – A jeśli naprawdę urosły, to raczej dobrze czy raczej źle? – zapytała po chwili.

– Och, na pewno bardzo dobrze – odparłem natychmiast, zarówno szczerze, jak i dlatego, że niemądrze byłoby odpowiedzieć inaczej.

– To znaczy, że wcześniej było gorzej, niż jest teraz? – spytała chłodniejszym tonem.

A więc okazało się, że poprzednia odpowiedź nie była tak mądra, jak sądziłem.

– Nataszka, jesteś jak diament, który można szlifować na wiele sposobów i niezależnie od szlifu zawsze pozostaje arcydziełem i budzi zachwyt.

Zaśmiała się zadowolona i położyła rękę na moim brzuchu.

– No już ty, mój miły, szlifujesz mnie tak, że czasami myślę, że niewiele ze mnie zostanie – odparła.

Pocałowałem ją prosto w usta.

– To dobrze czy źle?

– Jakby było mi z tobą źle, to wcześniej dawno bym cię zabiła – powiedziała żartobliwym tonem i jej dłoń zjechała w dół. Ścisnęła mnie mocno. – Ale teraz, nawet jakby mi było źle, to i tak będzie najlepiej, bo z tobą – dokończyła już poważnie. – Rozumiesz?

– Nie bardzo, ale...

Westchnęła, a potem wskoczyła na mnie z impetem i usiadła tak wprawnie i tak zręcznie, że żaden rumak nie mógłby sobie wymarzyć zręczniejszej amazonki.

– Auć – syknęła zaraz potem i złapała się za pierś z grymasem bólu. Później szybko uniosła ręce za głowę, wyciągnęła się niczym struna i rozkazała: – A teraz dość gadania!

My, inkwizytorzy, dysponujemy nadnaturalną mocą (niektórzy silniejszą, inni słabszą), umożliwiającą nam przeciwstawianie się demonom oraz innym istotom z piekła rodem. Umiemy niweczyć moc czarnoksięskich zaklęć lub wykrywać, obserwować i badać erupcje mrocznej magii. Ale nasze zdolności nie służą, bo nie mają służyć, przeciwko zwykłym ludziom, choćby byli podli i działający przeciw naszej wierze, jeżeli tylko nie posługują się oni środkami nadnaturalnymi. Wtedy musimy radzić sobie za pomocą broni (w której władaniu każdy z nas jest wyćwiczony niemal tak dobrze jak w modlitwie), a więc za pomocą miecza, noża czy łuku. Wasz uniżony sługa nie mógłby może stanąć w szranki przeciw najbieglejszym fechtmistrzom Cesarstwa, lecz poznałem sztukę walki na tyle, żeby żaden przeciwnik nie był mi straszny. Jednak teraz i w tej sytuacji, w jakiej się znalazłem, wszystkie moje umiejętności mogły zdać się psu na buty.

Oto stałem w progu własnego pokoju, a na przeciwległym jego końcu stał wołch Dziewiatko, trzymając nóż na gardle Nataszy. Dzikar, jej ukochany piesek, leżał w kałuży krwi, z językiem wysuniętym z paszczy. Zauważyłem, że jego oczy poruszyły się w ślad za mną, więc na szczęście jeszcze żył. Chociaż nie miał nawet siły, by poruszyć głową czy zaskomlić. Natasza żyła również, co więcej, zdawała się niezraniona, tyle że była całkowicie znieruchomiała, tak jak człowiek, który został sparaliżowany jadem. Widziałem również podobnych ludzi w domu dla obłąkanych. Potrafili stać całymi godzinami w jednym i tym samym miejscu, nie ruszając ani ręką, ani nogą, nie przesuwając się ani o cal, nawet nie zmieniając wyrazu twarzy, wpatrzeni nieustająco w jeden i ten sam punkt gdzieś przed sobą... Tak właśnie wyglądała teraz Natasza. W kącie leżała Nadieżda i wydawało mi się, że raczej jest nieprzytomna, a nie martwa, gdyż nie widziałem na jej ciele żadnych śladów przemocy.

Miałem przy sobie woreczek z sherskenem, lecz wołch stał zbyt daleko, bym mógł mu zaszkodzić, rzucając w powietrze ten diabelski pył. Zresztą obłok sherskenu objąłby również Nataszę, a nigdy bym nie pozwolił ryzykować jej zdrowia. Nóż tkwiący jak zawsze w cholewie mojego buta też na niewiele mi się w tej chwili mógł przydać.

– Dziewiatko – powiedziałem bez gniewu – czyś ty zgłupiał, człowieku? Opiłeś się szaleju? Nażarłeś się zatrutego miodu? Co ty wyprawiasz?

Wołch łypnął na mnie i zarechotał złośliwie.

– Stoisz tam, gdzie stoisz, i będziesz tam stał – rzekł skrzypliwym głosem. – I nic nie możesz z tym zrobić. A ja na twoich oczach tak dojadę twoją klacz, że niedługo będzie mi cukier jadła z ręki. – Zaśmiał się śmiechem przypominającym kaszel. – A jak nie będzie chciała po dobremu, to wychowam ją batem. Zobaczysz jeszcze: sama się będzie prosiła.

Moja biedna Natasza cały czas stała nieruchomo, z opuszczoną głową i tylko widziałem, że oczy ma pełne łez.

– Stuknij się, człowieku, w ten durny łeb – rzekłem nadal bez gniewu. – Natasza jest ulubienicą księżnej, a ja mam zaszczyt od roku bronić Jej Książęcej Wysokości. Myślisz, że księżna będzie tym zachwycona? Myślisz, że powie: o, jakiż mądry ten wołch mojego stryja Izjasława! Czy raczej stwierdzi... – teraz zaostrzyłem ton głosu: – skoro pozbyłam się stryjka, to czas najwyższy pozbyć się jego wołcha, durnia i kanalii.

Dziewiatko zawył wściekle, a potem z całej siły uderzył Nataszę pięścią pod żebra. Niestety, drugą rękę, tę z nożem, nadal trzymał tuż przy jej szyi. Aż mną szarpnęło, lecz doskonale wiedziałem, że wołch zdąży dźgnąć lub ciąć Nataszę, zanim do nich doskoczę. Ku mojemu zdziwieniu na twarzy dziewczyny nie pojawił się nawet najmniejszy grymas bólu pod wpływem ciosu. A więc aż tak mocno była sparaliżowana. Niedobrze.

– Uważaj na słowa, diable! – warknął wołch. – Jeśli mnie znowu obrazisz, potnę twarz tej suce! – Włożył ostrze noża w kącik ust Nataszy.

– Szszsz... – Uniosłem dłoń pojednawczym gestem. – Po co się kłócić? Dlaczego nie przyszedłeś do mnie i nie powiedziałeś, że chcesz tę dziewczynę? Dogadalibyśmy się jakoś. Przecież my, mężczyźni, musimy się trzymać razem.

Dziewiatko przyglądał mi się w milczeniu i z nieruchomą twarzą, więc nie miałem pojęcia, czy moje słowa w ogóle robią na nim jakiekolwiek wrażenie.

– Jak nie mam być zagniewany, skoro wszedłeś do mojego domu, zabiłeś mojego psa i trzymasz nóż przy gardle kobiety, która ma zaszczyt być przeze mnie ujeżdżana? – Skrzywiłem usta w porozumiewawczym uśmiechu. – Powiedz mi – ciągnąłem z żalem w głosie – dlaczego mnie tak nie szanujesz? Gdybyś przyszedł do mnie jako przyjaciel, oddałbym ci tę kobietę jeszcze dziś...

Charknął wściekle i wycelował we mnie palec wskazujący.

– Nie ogłupisz mnie swoimi kłamstwami! – zawarczał. – Czuję twój gniew. Wiem, że marzysz, żeby mnie dopaść, ale nic z tego nie będzie.

– Może zawrzemy więc inny układ – odparłem spokojnie. – Dostaniesz inną dziewczynę. Równie utalentowaną. Daj mi tylko czas, a przyprowadzę ci od mateczki Olgi jedną z sióstr Nataszy. A może dwie? Co ty na to?

Wołch wydął usta.

– Mnie wystarczy ta, która jest teraz – rzekł. – Zwłaszcza że słyszałem, jak bardzo jest we wszystkim uzdolniona. – Znowu obnażył zęby aż po sine dziąsła.

– Po co masz robić sobie ze mnie wroga? – zapytałem, cały czas nie podnosząc głosu ani nie okazując złości. – Jeśli skrzywdzisz Nataszę, ja skrzywdzę ciebie. My, inkwizytorzy, jesteśmy do tego, jak by nie patrzeć, szkoleni: właśnie do robienia krzywdy. Więc powtórzę: po co ci to?

Jego twarz ściągnęła się złością. Prawa dłoń z nożem osunęła się na ramię Nataszy, ale to nadal było zbyt blisko szyi.

– Nienawidzę was, rzymskich diabłów – wysyczał z autentyczną nienawiścią w głosie. – Z radością wywrę pomstę na tobie, tak jakbym wywierał ją na całej twojej szatańskiej kompanii.

– Ale potem trzeba jeszcze żyć – zauważyłem łagodnie. – Wywrzesz pomstę? Dobrze. A pomyślałeś, co stanie się dalej? Czy pomyślałeś, w jaki niby sposób unikniesz z kolei mojej zemsty? – zaakcentowałem słowo „mojej”. – Czy krótkie zadowolenie jest warte tego, by umrzeć? Zawrzyjmy umowę, zawrzyjmy zgodę. W trzy dni dostaniesz nową dziewczynę, jeśli tylko zostawisz tę, która należy do mnie...

Prychnął tylko czy to z pogardą, czy z rozbawieniem i silnie oparł ostrze na szyi Nataszy.

– Nie chcę innej. Chcę tę. – Przejechał palcami po jej twarzy i piersiach.

A ona nie mogła zrobić nic. Tylko łzy płynęły jej po policzkach.

– Już jesteś niepotrzebny w Peczorze – rzekł. – Wyślą cię więc do Nowogrodu albo wrzucą w bagno, co tam jaśnie pani postanowi – prychnął. – I nie groź mi, bo ja swoją siłę mam, ròwnie dobrą jak ty. A poza tym za krzywdę mi uczynioną na całej Rusi nie znajdziesz

spokojnego miejsca. Zemsta wszystkich będzie cię ścigać, od chłopów przez bojarów po wołchów i książąt.

– Mam w dupie zemstę twoich bojarów i książąt – rzekłem wyraźnie i twardo. – A nawet jeśli ta zemsta kiedyś nadejdzie, to przecież ty jej na pewno nie zobaczysz, bo będziesz od dawna martwy.

Dziewiatko sięgnął lewą ręką do głowy Nataszy i okręcił sobie włosy dziewczyny na pięści.

– Słyszałem, że nie jesteś głupi, diable. Że potrafisz ustąpić, kiedy opór nie miałby żadnego sensu i celu. A ona jest już moja. – Szarpnął mocno Nataszą. – I nic z tym nie zrobisz. – Znowu uśmiechnął się szeroko. – A co to? Co, do cholery? – wrzasnął nagle. Jego policzki poczerwieniały, a twarz ściągnęła się gniewem. – Co to za sztuczki, diable? – krzyknął, patrząc na mnie z nienawiścią.

Wyplątał dłoń z włosów Nataszy i przesunął się. Jednak ostrze noża cały czas było tak blisko dziewczyny, że nie mógłbym nawet marzyć, by przyprowadzić skuteczny atak.

– Jak to zrobiłeś, kanalio? – warknął i objął prawą dłoń palcami lewej, tak jak obejmuje się ciało w miejscu, w którym zostało ono uderzone, zbite, skaleczone lub podrażnione w inny nieprzyjemny sposób.

Problem tkwił w tym, że niczego nie uczyniłem, gdyż tak jak wyjawiłem wam przed chwilą, mili moi, z całą szczerością i pokorą, niczego zrobić nie mogłem. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co się właśnie stało i dlaczego wołch z grymasem bólu i wściekłością trzymał się za rękę. Czyżby moja dziewczyna zachowała jeszcze na tyle siły, by mu się przeciwstawić? Czy to była jakaś wiedźmia sztuczka wyuczona przez mateczkę Olgę? A może Nataszę chronił urok? Zaklęcie? Runy? Może były to podobne znaki jak te, które sama Natasza wyrysowała na moim ciele? Ale czy wołch, biegły przecież w radzeniu sobie z kobietami takimi jak Natasza, nie przejrzałby aury otaczającej ją magii? Tak czy inaczej, nieprzyjemność, która go dotknęła, wyraźnie go zdumiała i przestraszyła. Coś działo się nie po jego myśli, coś powiedziało mu i pokazało, że nawet trzymając unieruchomioną Nataszę, nie jest

całkowicie bezpieczny. Była to dla niego myśl nowa i całkowicie niespodziewana. I od razu widziałem, że w przeciwieństwie do inkwizytorów, którym wyjście z opresji zazwyczaj zajmuje chwilę nie dłuższą niż mgnienie oka, ten człowiek poczuł się zagubiony. I to jest właśnie pierwszy krok do triumfu: skonfundować przeciwnika, napełnić jego serce strachem oraz niepewnością co do tego, w jaki sposób potoczą się dalsze wypadki. Niestety, w tym wzmiankowanym pierwszym kroku nie miałem żadnego udziału, ale rzecz jasna, nie zamierzałem tego okazywać.

– Być może moc rzymskich diabłów jest mocniejsza, niż chciałeś to wiedzieć – powiedziałem twardo, patrząc mu wprost w twarz. – Ale powiem ci też, że nie do końca wiem, jak tę falę poskramiać – dodałem. – A rzeczywiście uważam, że kiedy wymknie się ona spod kontroli, to może cię zabić, przez co będę miał kłopoty...

Wahał się. Wyraźnie się wahał, cały czas obejmując jedną dłonią drugą dłoń. Ból, który został mu zesłany przez nie wiadomo co lub nie wiadomo kogo, musiał być naprawdę znaczny, skoro wołch tak wyraźnie się obawiał, że cierpienie powróci. A byłem też pewien, że jeszcze bardziej obawiał się, iż powróci ono z większą mocą niż dotychczas.

Wtem za moimi plecami szczęknęły drzwi. Odwróciłem się błyskawicznie. W progu stał młody Kosma, jak zwykle w białej szacie, tyle że tym razem przybył ze swoim rosochatym kosturem w dłoni. Obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem, potem przeniósł równie obojętny wzrok na Nataszę, Dzikara, Nadieżdę i Dziewiatka. Ruszył w ich stronę tak szybko, że nawet gdybym się uparł, nie zdołałbym go chyba zatrzymać. Poza tym nie wiedziałem przecież, czego tutaj chce i dlaczego się zjawił, więc wdawanie się z nim w spór czy w bójkę pogorszyłoby jeszcze naszą i tak złą sytuację.

– Bardzo dobrze, że jesteś, bracie, pomożesz mi – usłyszałem zadowolony głos Dziewiatka.

Kosma wymierzył uderzenie kosturem tak szybkie, tak celne i tak niespodziewane, że ja sam, przysięgam na wszystkie świętości, nie dałbym rady uczynić tego lepiej! A prawdopodobnie nie odważyłbym się tego uczynić w ogóle, gdyż bałbym się o Nataszę

i o to, że Dziewiatko zdoła ją skrzywdzić, zanim cios dojdzie celu. Ale nie zdołał. Kij trafił go prosto w przegub dłoni, w której trzymał nóż, i sprawił, że broń wypadła z uderzonej ręki. A potem Kosma wypuścił tak piekielnie szybki i mocny sztych (czy może raczej pchnięcie) prosto pod mostek starego wołcha, że ten tylko wytrzeszczył oczy niczym rozdeptywana ropucha i zwalił się na podłogę, spazmatycznie usiłując wciągnąć powietrze w płuca.

Natasza otrząsnęła się, z całej siły, z rozmachem kopnęła leżącego między nogi i splunęła na niego, kiedy skurczył się w zawodzący z bólu kłąb. Potem odwróciła się w stronę Kosmy, który zastygł ze swoim kosturem niczym jakiś biały posąg młodego greckiego filozofa i przyglądał się charczącemu i zwijającemu się na podłodze Dziewiatkowi.

– Dziękuję ci, Kosma – powiedziała lodowato spokojnym głosem. – Będę pamiętała, że jestem ci coś dłużna.

Młody wołch nie zwrócił na nią uwagi, natomiast zbliżył się do mnie.

– Nie wiem, co zrobicie teraz, i nie obchodzi mnie to – rzekł. – Nie życzę sobie tylko, aby ktokolwiek wiedział, że w ogóle tutaj byłem.

– Oczywiście – odparłem. Ale kiedy był już na progu, nie mogłem się powstrzymać, by nie spytać: – Czemu nam pomogłeś?

– Dziewiatko skrzywdziłby wiedźmę, ty skrzywdziłbyś jego i koniec końców to ja musiałbym zostać w tej gnijącej ruderze na nie wiadomo jak długo – odrzekł. Potem spojrzał na mnie wyblakłymi oczyma. – A mówiłem ci, że nie chcę być tu ani dnia dłużej, niż to konieczne. Jeśli pragniesz odwdzięczyć się za moją pomoc, trzymaj język za zębami – dodał. – I powtórz to samo swojej wiedźmie.

– A on będzie milczał? – Wskazałem zwiniętego w kłębek Dziewiatka.

– On? – Młody wołch wzruszył ramionami i skrzywił usta pogardliwie. – Przecież on jest już martwy. Tyle czasu jesteś z wiedźmą i nawet tego jeszcze nie rozumiesz?

Nic nie odpowiedziałem, a on też nie odezwał się więcej, tylko zdecydowanym ruchem otworzył drzwi.

– A poza wszystkim innym my, wołchowie, zostaliśmy stworzeni, by walczyć z potworami, a nie stawać się jednymi z nich – rzekł jeszcze. – Dziewiatko zatłukł dzisiaj swoją dziewczynę. A nie tak powinniśmy postępować.

Potem już wyszedł, a ja pomyślałem z żalem o tej młodej kobiecie, nad którą wcześniej litowała się Natasza. Za chwilę byłaby wolna, a przynajmniej uwolniona od Dziewiatka, bo pewnie przydzielono by ją jakiemuś innemu wołchowi. No cóż, zabrakło jej jednego dnia i trochę szczęścia. Tymczasem Natasza odetchnęła głęboko i obróciła się w moją stronę.

– Przytrzymaj mi go – nakazała zimno.

Podszedłem do wciąż zwiniętego w kłąb wołcha i pomyślałem sobie, że albo cios Kosmy był naprawdę wyjątkowo celny oraz silny (trzeba też pamiętać, że wzmocniło go wyjątkowo udane kopnięcie Nataszy), albo Dziewiatko udaje słabość. Czy żeby nas wziąć na litość, czy żeby nas zaatakować, kiedy nie będziemy się spodziewać, tego nie wiedziałem. Byłem jednak przekonany, że jeśli nawet coś knuje, to ani jedno, ani drugie mu nie pomoże.

Ukucnąłem, chwyciłem go pod ramiona i szarpnąłem, by klęknął. Twarz wołcha była blada, a on sam sprawiał wrażenie jeszcze ledwo przytomnego. No, no, Kosma, przemknęło mi przez głowę, dzielny z ciebie chłopak. Kto by pomyślał, że tak zręcznie potrafi obchodzić się z kijem ktoś, kto marzy, by spędzać czas na studiowaniu ksiąg w bibliotece.

Zakleszczyłem Dziewiatka w bolesnym uścisku, tak że każdy gwałtowny ruch groził mu tym, iż będzie miał wyłamane ramiona. Może nigdy nie byłem tak zręczny w posługiwaniu się kijem jak Kosma, może nawet nigdy tak zręczny nie będę, ale unieruchomić wroga potrafiłem naprawdę dobrze.

Natasza stanęła naprzeciw wołcha.

– Sądziłeś, że jestem zwykłą dziewką przygotowywaną do tego tylko, żeby obrzydliwe, sprośne i stare capy takie jak ty mogły mnie chędożyć? – zapytała z pogardą.

W jej głosie pobrzmiewała zimna, nieskalana nienawiść. Zrozumiałem, że Kosma naprawdę miał rację, oceniając zamiary

Nataszy. Zrozumiałem, że wołch będzie za chwilę martwy, i wyznam wam, mili moi, iż bynajmniej nie gnębił mnie smutek z tego powodu, chociaż odczuwałem pewien niepokój na myśl o zamieszaniu, jakie ta śmierć może wywołać. Czy mogłem powstrzymać Nataszę przed gwałtownymi czynami? Może i tak. A może nie. Później mogłem się obwiniać, że nawet nie spróbowałem.

– *Ścieżka sprawiedliwych wiedzie przez nieprawości samolubnych i tyranię złych ludzi* – wyrecytowała Natasza głośno. Sięgnęła do cholewy mojego buta, tam gdzie wiedziała, że zawsze noszę nóż. Wyszarpnęła go naprawdę szybko i błysnęła ostrzem przed oczami wołcha. – *Błogosławiony ten, co w imię miłosierdzia i dobrej woli prowadzi słabych doliną ciemności...*

– Nie ośmielisz się – rzekł Dziewiatko zduszonym głosem, lecz bez strachu, a za to z pogardą. – Jeśli mnie zabijecie, oboje jesteście zgubieni. Dobrze o tym wiesz. Nie darują wam mojej śmierci, choćbyście nie wiadomo co mówili... Zaciąży wam ten czyn.

– Mnie nie zaciąży – przerwałem mu spokojnie. – W końcu jestem rzymskim diabłem. – Uśmiechnąłem się. – Wezmę ten grzech na swoje sumienie.

– Nie trzeba – stwierdziła Natasza i przesunęła ostrzem po szyi Dziewiatka. Od ucha, pod brodą i aż do drugiego ucha.

Na skórze wołcha wykwitła krwawa rysa, z której zaczęła sączyć się krew. Posoka kapała na kołnierz jego koszuli i zabarwiła go czerwienią.

– *Ja jestem stróżem wiary i pocieszycielem zagubionych dziatek* – wyrzekła tak spokojnie, jakby siedziała przy partii szachów, a nie podrzynała gardło człowiekowi.

– Ty głupia suko – rzekł Dziewiatko, nawet bez wściekłości, lecz z ogromnym zdziwieniem.

Chciał się szarpnąć, jednak trzymałem go mocno, więc tylko jęknął, kiedy chrupnęło wyłamywane ramię.

– Nie ujdzie ci to płazem – dodał i oblizał się, jakby chciał językiem sięgnąć do skapującej krwi, co oczywiście byłoby niemożliwe dla żadnego człowieka.

– *I dokonam na tobie srogiej pomsty w zapalczywym gniewie* – dokończyła Natasza.

A potem wbiła mu ostrze sztyletu pod uchem i pociągnęła po szyi raz jeszcze. Tym razem niżej od poprzedniej krechy, ale za to głębiej. Ależ ta dziewczyna miała pewną rękę! Dziewiatko wrzasnął. I tym razem uczynił to już z bólem oraz ze strachem. Znowu chciał się szarpnąć, lecz inkwizytorów uczy się przecież, by potrafili obezwładniać nawet ludzi, którzy zostali opętani przez demony, lub takich, którzy wielką siłę i odporność na ból czerpią z trunków lub ziół. Toteż i teraz poradziłem sobie bez kłopotu. Natasza przygryzła usta i tym razem wbiła sztylet głęboko pod lewe ucho wołcha. Nachyliła się nad nim tak, by ich spojrzenia się spotkały.

– Patrz mi prosto w oczy – rozkazała zimno. – Powiesz diabłom w piekle, że Natasza pozdrawia.

I tym razem cięła wolniutko oraz głęboko, a krew wołcha bluzgała na jej dłonie i ramiona szeroką strugą. Trzymałem go mocno, bo w tej chwili szarpał się już z ogromną siłą, nie tylko z bólu i przerażenia, lecz również z przepotężnej pasji, jaką czasami nadaje ludzkiemu ciału pukająca do serca śmierć. Dziewiatko nie krzyczał, tylko charczał i bulgotał, jakby topiono go w bagnie. Wreszcie Natasza, tnąc głęboko, dojechała nożem pod drugie ucho i wtedy dopiero odsunęła się od mężczyzny. A ja mogłem go puścić, by osunął się na posadzkę. Natasza wolno i starannie wytarła ostrze o jego koszulę, później oddała mi nóż na otwartej dłoni.

– Biedna moja, cała się pobrudziłaś – westchnąłem. – No nic, zaraz posprzątamy ten bałagan...

Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko, jakby z ulgą, że pozbyła się wielkiego ciężaru, który do tej pory musiała dźwigać na ramionach.

– Nie mogę się przyznać, że zabiłam wołcha – wyznała zmęczonym głosem. – Ta kanalia miała rację: będą mnie ścigać, choćby nie wiem co...

– Nie martw się. – Wzruszyłem ramionami. – Ja mu poderżnąłem gardło. Wszyscy uwierzą.

Pokręciła głową.

– Nie, mój miły. To nie byłoby dobre ani dla ciebie, ani dla nas, ani później nawet dla mnie. Tak postąpić nie możemy.

No cóż, z całą pewnością Natasza znała się lepiej na ruskich stosunkach i na tym, co komu wolno, a co nie oraz kogo będzie ścigała zemsta rządzących i za jaki postępek. Mogłem być specjalistą w dziedzinie praw Cesarstwa, gdyż to stanowiło element inkwizytorskiego wykształcenia, ale ruskie zasady nie miały wiele wspólnego z naszymi cywilizowanymi kodeksami.

– Przecież Ludmiła mi zaprzysięgła. Musi mnie bronić.

Natasza przymknęła oczy.

– Tym gorzej, mój miły, tym gorzej – szepnęła.

Zrozumiałem, iż chodzi jej o to, że księżna będzie musiała wziąć na siebie odpowiedzialność za śmierć wołcha. Dla któregoś z wielkich książąt zabicie wołcha lub zezwolenie na jego zamordowanie byłoby zaledwie incydentem. Oczywiście staraliby się udobruchać resztę kapłanów, ale skończyłoby się na bogatych podarkach, na solidnej główszczyźnie, po której wypłaceniu wszyscy o wszystkim by zapomnieli. Ale Ludmiła nie była ani wielkim księciem, ani nawet księżną krwi, nie chlubiła się pochodzeniem z krwi Gunderyka i jego synów. A przez to jej znaczenie nie było w żaden sposób porównywalne do pozycji wielkich książąt. Peczorze mogłyby grozić wielkie kłopoty, gdyby okazało się, że rzymski pies księżnej usiekł szanowanego wołcha, a księżna w żaden sposób nie ukarała gwałciciela praw.

– Co w takim razie powinniśmy uczynić? – spytałem.

Natasza nagle poderwała się w miejscu, po czym przyskoczyła do leżącego psa.

– On żyje! – krzyknęła. – Mrugnął!

Uklęknąłem przy Dzikarze i pochyliłem się nad nim. Rzeczywiście serce zwierzęcia biło pod obrośniętą futrem skórą. Wolno i słabo, ale biło. Pierś niemal niewyczuwalnie, jednak unosiła się pod wpływem oddechu.

– On naprawdę żyje – przyznałem jej rację ze zdziwieniem. – Ale, Nataszka – przeniosłem wzrok na dziewczynę – nie łudź się, że to długo potrwa. Myślę, że czekał tylko, żeby się z tobą pożegnać.

Natasza płakała z buzią ściągniętą w grymasie prawdziwej rozpaczy. Szlochała, trzymając jedną dłoń na piersi psa, a drugą wplatając w futro na jego karku.

– Nie opuszczaj mnie, piesku, nie odchodź, jesteś mój, jesteś tylko mój, proszę cię, zostań...

Zostawiłem ją samą, gdyż ludzie potrzebują czasami samotności, by pożegnać się spokojnie z tymi, których kochali. Sam podszedłem do Nadieżdy i sprawdziłem, że bije jej puls. A więc tak jak przypuszczałem, była tylko nieprzytomna.

– Gdzie dziecko? – Podniosłem głowę.

Natasza oderwała się na chwilę od swojego pieska.

– Przyszła tylko powiedzieć, że mały śpi, bo płakał całą noc i jest zmęczony. I czy mogłaby przyjść z nim później – odpowiedziała zgaszonym, obojętnym głosem. – I wtedy ta kanalia tu wpadła.

Odszedłem od nieprzytomnej dziewczyny i ukucnąłem przy zabitym wołchu. Dziewiatko miał rozchełstaną koszulę, a jak zauważyłem, spod niej wyłaniał się rysunek na skórze. Nie widziałem na Rusi do tej pory tego obyczaju, znanego mi przecież ze świadectw historycznych mówiących o dawnych mieszkańcach Brytanii czy o normańskich wojach. Rozdarłem szatę na jego piersi, by przyjrzeć się malunkowi. I kiedy obnażyłem wołcha do pasa, obraz ukazał się w całej okazałości. Dzieło wymalowane na skórze (czy raczej wyryte pod skórą, gdyż z tego, co wiedziałem, podobnego rysunku nie dało się w żaden sposób usunąć) przedstawiało stojącego na tylnych łapach niedźwiedzia z rozdziawioną paszczą.

– A więc mieliśmy czarną panterę, a teraz mamy również niedźwiedzia – mruknąłem do siebie. – Został tylko sokół.

Zapłakana Natasza oderwała się od Dzikara i zbliżyła do mnie.

– Umarł – powiedziała z bezbrzeżnym smutkiem i kucnęła przy mnie.

Przytuliłem ją.

– Będzie na ciebie czekał, Nataszka – rzekłem. – Kiedy wyruszysz już w ostatnią podróż, oby stało się to jak najpóźniej, po drugiej stronie twój piesek będzie na ciebie czekał. Żeby cię bronić, tak jak

zawsze tego pragnął. I żeby bawić się z tobą. I żeby przytulać się do ciebie.

Znowu się rozpłakała, tym razem takim cichutkim, żałosnym płaczem niesprawiedliwie skrzywdzonego dziecka.

– Naprawdę tak myślisz? Naprawdę myślisz, że nie zniknął na zawsze? Że jeszcze kiedyś go zobaczę? – wychlipała przez łzy.

– Kiedyś zobaczymy każdego, kogo kochaliśmy – odparłem ze szczerym przekonaniem. – Kiedyś będziemy na zawsze razem, bez trosk, bez zmartwień, bez złych ludzi, bez złych myśli i złych czynów. Dzikar był dobrym pieskiem. Gdzie indziej mógłby trafić, jak nie do miejsca, w którym będzie już na zawsze ze swoją panią, którą tak mocno kochał, że aż oddał za nią życie?

Natasza płakała, mocząc mi łzami szyję i ramię, a ja tuliłem ją i kołysałem w ramionach. Kiedy się uspokoiła, spojrzała na mnie błyszczącymi od łez oczami.

– Musimy powziąć decyzję, co dalej. I musimy to zrobić szybko!

– Masz coś na myśli?

I wtedy wyjawiła mi swój plan. Który mógł mi się nie podobać, ale miał tę bezsprzeczną i bezcenną zaletę, że był jedynym, jaki mieliśmy.

Nadieżda z trudem dochodziła do przytomności, ale wreszcie, kiedy zobaczyła, że oboje kucamy przy niej, poderwała się na równe nogi. I zaraz zatoczyła się na ścianę. Podtrzymałem ją, by znowu nie upadła. Na początku spoglądała tylko pod własne stopy, więc nawet nie zobaczyła wołcha leżącego dwa kroki dalej w kałuży krwi.

– Nadieżda – powiedziała Natasza serdecznym tonem – spójrz na mnie i nie bój się niczego.

Córka Czarnego Daniły podniosła wzrok i o mało nie krzyknęła, widząc trupa. Przyłożyła sobie dłoń do ust i cofnęła się, opierając plecami o ścianę.

– To wołch Dziewiatko – wyjaśniła Natasza. – Jest martwy jak szczur w pułapce. Nie masz się już czego bać.

Przez chwilę panowała cisza.

– Pamiętam, jak wszedł. – Nadieżda zmarszczyła brwi. – Obrócił się w moją stronę i... już nie pamiętam...

– Zabił Dzikara, rzucił się na mnie – objaśniła spokojnie Natasza. – A ty byłaś bardzo dzielna, Nadiu.

– Ja, pani? – zdumiała się dziewczyna.

Natasza objęła ją serdecznie.

– Uratowałaś mnie – powiedziała. – Rzuciłaś się na niego i poderżnęłaś mu gardło. – Wyciągnęła rękę. – O tym właśnie nożem. – Pokazała broń leżącą na podłodze. – Patrz, jeszcze dłonie masz zakrwawione.

Nadieżda uniosła ręce i przyjrzała się swoim okrwawionym palcom, jakby widziała je pierwszy raz w życiu. Potem dostrzegła, że ma też skąpaną w czerwieni suknię.

– Ja, pani? – spytała bezradnie i żałośnie.

– Widzisz, Nadieżda, nie wolno zabijać wołchów, nawet jeśli ma się rację – mówiła Natasza ze spokojnym smutkiem. – Nawet jeśli broni się siebie albo kogoś innego. I dlatego właśnie mamy wielki kłopot.

– Kłopot, pani? – Nadieżda cały czas nie odrywała wzroku od własnych dłoni.

– Rzucą cię psom na pożarcie, jeśli księżna będzie łaskawa. A jeśli zechce być sroga, to zakopią cię żywcem w ziemi albo obetną ręce i nogi i zawieszą w klatce...

Teraz Nadieżda spojrzała na Nataszę, a jej ogromne z przerażenia oczy wypełniły się łzami.

– Ja nic... ja nic nie pamiętam...

– Zabiłaś wołcha, Nadia – rzekła Natasza stanowczo i wyraźnie. – Na Rusi nie puszcza się takich rzeczy płazem.

– Ja? Ja? Ja zabiłam? – Znowu spojrzała na nóż, a potem na własne dłonie i własną suknię. Na jej twarzy odmalowała się rozpacz. – I co teraz będzie?

– Nie chcę, żeby cię dręczyli – powiedziała Natasza zdecydowanym tonem. – Przecież...

– Powinniśmy ją wydać księżnej – rzekłem.

Natasza obróciła się w moją stronę.

– Nigdy! – rzekła z ogniem w oczach, po czym znowu przytuliła Nadieżdę.

– Nadia, księżna każe cię zadręczyć na śmierć. Tak żebyś była strasznym przykładem dla innych. Nie pozwolę na to!

– Dziękuję, pani, dziękuję!

– Nie mogę uratować ci życia, ale mogę ci pozwolić, żebyś odeszła sama. – Ujęła głowę Nadieżdy w dłonie i spojrzała jej prosto w oczy. – Rozumiesz? Sama. Bez bólu. Z własnej ręki.

– Jak to? A mój synek?

– Ach właśnie, twoje dziecko, Nadiu – powiedziała Natasza, a jej głos się ocieplił. – Chciałabyś, aby twój synek przeżył, prawda?

Nadieżda zaczęła bezgłośnie płakać. Łzy ciekły jej po policzkach.

– Nadia, kochana moja... – Natasza oparła lewą dłoń na ramieniu zrozpaczonej dziewczyny, a prawą zaczęła delikatnie głaskać ją po włosach. – Myśl o dziecku – mówiła dalej. – Przysięgam ci, że zaopiekuję się twoim synkiem. Będzie żył i będzie się dobrze miewał – obiecała.

Nadieżda zaszlochała rozpaczliwie i tym razem głośno.

– Nawet mówić go jeszcze nie nauczyłam – wyszeptała przez łzy. – Nawet nie widziałam jego pierwszego kroku.

– Gdyby nie inkwizytor, oboje byście już dawno nie żyli – powiedziała Natasza zimno i z naciskiem.

– On jest taki malutki, on jest mój jedyny... Pani, proszę was, zaopiekujcie się nim, nie zostawcie go samego... Nie rzućcie go psom...

Przez twarz Nataszy przebiegł bolesny skurcz.

– Nadia, co ci przyszło do głowy!? – Usłyszałem, że jest naprawdę przejęta. – Nigdy nie zrobiłabym krzywdy dziecku!

Córka Czarnego Daniły osunęła się do jej nóg i objąwszy jej kolana, przytulając twarz do sukni, płakała rzewnymi łzami.

– Proszę, nie zróbcie mu krzywdy... – powtarzała.

– Idź już – rozkazała oschle Natasza. – A zresztą poczekaj...

Podeszła do ciała wołcha, nabrała w dłonie krwi i wysmarowała nią twarz Nadieżdy. Ponieważ przedtem ubrudziłem jej suknie i dłonie, teraz wyglądała już naprawdę niczym jakaś złowroga zjawa. Potem Natasza włożyła nóż w ręce dziewczyny.

– Będziesz krzyczała, że zarżnęłaś wołcha, bo chciał cię zabić, a potem sama pchniesz się nożem – objaśniła.

– Ja? – spytała bezradnie Nadieżda. – Ale jak to ja?

– Celuj w serce i celuj dobrze. – Natasza uniosła podbródek Nadieżdy i spojrzała jej prosto w oczy. – Bo lepiej, żeby cię nie odratowali, rozumiesz? Rozumiesz? Jeśli przeżyjesz, to potem zadręczą cię na śmierć. I nie wiadomo, co zrobią dziecku – powtórzyła. – Myśl o swoim synku. Tylko twoja szybka śmierć może go uratować!

Nadieżda milczała dłuższą chwilę, aż wreszcie skinęła głową.

– Tak, rozumiem – odparła martwym głosem. – Mogłabym go chociaż jeszcze raz zobaczyć? Ostatni raz?

Natasza zerknęła na mnie, lecz pokręciłem zdecydowanie głową.

– Nie, Nadiu, nie ma na to czasu – odrzekła Natasza. – Jeśli cię złapią, będzie za późno i dla ciebie, i dla małego. Musisz być szybka, rozumiesz? Naprawdę szybka i zręczna.

Nadieżda pokiwała głową, cały czas płacząc żałośnie. Lecz potem na chwilę ożywiła się i chwyciła ręce mojej towarzyszki.

– Ale powiecie mu, że miał dobrą mamę? Powiecie, prawda? – wychlipała.

– Opowiem twojemu synkowi, że jego mama była najlepsza na świecie – obiecała uroczystym tonem Natasza. – Że poświęciła własne życie, by go uratować. Zawsze będzie o tobie pamiętał.

Nadieżda ścisnęła dłonie Nataszy.

– Dziękuję wam, pani, dziękuję wam...

Kiedy dziewczyna już wyszła, Natasza usiadła ciężko w fotelu i spojrzała na mnie zmęczonym, smutnym wzrokiem.

– Zrobi to tak, jak chcemy? – spytała.

– Matczyna miłość doda jej sił i odwagi – rzekłem. – Zresztą zaraz się upewnię, czy nie będzie trzeba jej pomóc – dodałem, po czym

skinąłem Nataszy głową, westchnąłem i wyszedłem.

Kiedy wróciłem i kiedy przekonałem się, że wszystko zostało zrobione tak, jak powinno zostać zrobione, Natasza siedziała w tym samym fotelu i w tej samej pozycji. Podniosła na mnie wzrok, a ja skinąłem tylko głową, dając jej znak, że wszystko poszło po naszej myśli. Przymknęła oczy.

– Nie pochwalasz tego, co zrobiłam, prawda? – zapytała cicho.

Usiadłem naprzeciwko niej.

– Może dlatego, żebyś właśnie mogła zrobić to, co zrobiłaś, Bóg dał mi znak tam, w zajeździe Czarnego Daniły, abym uratował tę dziewczynę.

– Tak mogło być – zgodziła się ze mną po chwili. Później pokiwała głową. – Taka jest Ruś – powiedziała cicho. – Nikomu nie zależy tu na ludzkim życiu i każdy cię sprzeda, nawet nie za własne przetrwanie, tylko za byle miedziaka. – Potem podniosła na mnie oczy. – Czy w Cesarstwie jest inaczej? – spytała z tlącą się we wzroku nadzieją.

Potrząsnąłem głową.

– Nie, Nataszka – odparłem. – W Cesarstwie jest tak samo.

Pokiwała głową, jakby usłyszała coś, czego usłyszeć nie chciała, ale czego tak naprawdę się spodziewała, a potem po prostu położyła głowę na oparciu fotela i zaczęła płakać. A kiedy wstałem i chciałem ją przytulić, dała mi znak dłonią, bym się nie zbliżał. Stałem więc dwa kroki od niej, nie wiedząc, co robić, a ona płakała długo.

Śmierć Dziewiatka ku mojemu zdziwieniu nie wywołała szczególnego wzburzenia na dworze Ludmiły. Z tego, co wiedziałem, ludzie nawet mówili, że dzielnie się spisała ta dziewczyna od Kamieńskiego i dobrze, że zarżnęła takie parszywe bydlę. Bo wołcha służącego Izjasławowi może rzeczywiście się bano, ale szanowano go tylko w Lemtybożu, nie w Peczorze. Tutaj, w fortecy księżnej Ludmiły, był zaledwie tolerowany z uwagi na niezwykły status swojej profesji, ale uważano go za złośliwego i plugawego starca.

Wiedziano przecież, że dopiero co zatłukł służącą mu dziewczynę, więc nawet nikogo nie zdziwiło, iż zaatakował kolejną.

– Byliśmy wtedy w łożu, w drugim pokoju, za zamkniętymi drzwiami – tłumaczyła ze smutkiem Natasza księżnej. – I miałam wtedy wizję. – Podniosła rozpłomieniony wzrok. – Mocną, potężną wizję przyszłości, więc w takiej chwili niewiele człowieka obchodzi i niewiele słyszy, co się dzieje wokół...

Ludmiła pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Jaką miałaś wizję, Natasza? O czym? O mnie? Coś mi grozi? – zapytała szybko i niecierpliwie.

No i tak właśnie zakończyła się Ludmiły indagacja w sprawie śmierci wołcha.

Nikogo też nie dziwiło, że do zabójstwa doszło w kwaterze Nataszy, gdyż doskonale przecież pamiętano, że Nadieżda została uratowała właśnie wizjami Nataszy i to jej miała służyć. Słyszałem nawet, że zastanawiano się, czy biała wiedźma, widząc w proroctwie własną zgubę, nie skierowała tej zguby ku innej kobiecie. Ale mówiono o tym bez niechęci czy gniewu, gdyż takie było prawo dziewczyny jak Natasza, by czynić z innymi ludźmi, co jej się spodobało. Ludmiła prawdopodobnie (a raczej na pewno, z tego, co wywnioskowałem, rozmawiając z nią) również była zadowolona ze śmierci Dziewiatka. Musiała oczywiście postąpić zgodnie z obyczajem i ceremonialnie potępić Nadieżdę oraz kazać rzucić jej ciało świniom i psom na pożarcie, ale trudno nie zauważyć, że śmierć wołcha należącego do jej wroga i niedawnego konkurenta do władzy była jej bardzo na rękę.

Zaraz po śmierci Dziewiatka i samobójstwie Nadieżdy (a dziewczyna spisała się dzielnie i sprawnie, rzeczywiście nie trzeba było nawet myśleć o tym, by poprawiać po niej robotę), kiedy trwało jeszcze zamieszanie, wpadłem na Andrzeja.

– Jak to się mogło stać? Jak to się mogło stać?

Na bladej twarzy dworzanina malowały się zarówno złość, jak i boleść. Byłem pewien, że zmuszając Nadieżdę do samobójstwa, odebraliśmy nie tylko jej życie, ale również jego przyszłość. Jak sprawy by się potoczyły, gdyby dziewczyna nie zginęła? Czy wzięliby

ślub? Czy żyliby razem po kres dni, otoczeni gromadką dzieci, a potem wnuków? Jakakolwiek byłaby ta możliwa przyszłość, nigdy niezrealizowane marzenie, to my – Natasza i ja – unicestwiliśmy ją. Cóż, lubiłem Andrzeja i wiele mu zawdzięczałem, więc miałem nadzieję, że otrząśnie się z żalu i przyhołubi sobie jakąś miłą, ładną niewiastę o szerokich biodrach, by spłodzić z nią całe stado małych Andrzejątek. Naprawdę dobrze mu życzyłem, lecz w moim świecie nie było nikogo ważniejszego niż Natasza i dlatego jakiekolwiek życzenia szczęścia wobec innych ludzi musiały zejść na dalszy plan.

– Wiem – odparłem zbolałym głosem. – To była taka dobra dziewczyna.

Pokręcił głową.

– Co za świat, co za podły świat – rzekł.

– Dobrze, że przynajmniej ten szubrawiec nie żyje – powiedziałem.

– O tak, to najparszywsza z parszywych kanalii. – Andrzej zacisnął dłonie w pięści, a blizna na twarzy nabrzmiała mu czerwienią. – Nienawidzę wołchów, powiem wam. Zawsze ich nienawidziłem. – Pokręcił głową. – No, jeszcze ten nasz, poprzedni, był szalony, ale nie tak zły. A ten Dziewiatko kurwysyn, a żeby go diabli w piekle wieczność mordowali...

Widziałem, że tego potrzebuje, więc zaprosiłem go do naszej kwatery, a tam wlałem mu wino do kubka.

– Napijcie się – rzekłem. – Chcecie, to upijemy się dzisiaj?

– Dziękuję wam. – Przyjął kubek z moich rąk. – Jesteście prawdziwym przyjacielem, wiecie? – Odwrócił wzrok i zakaszlał, chyba żeby przykryć słowa, które wymknęły mu się w chwili słabości. Wypił do dna, a ja wypiłem wraz z nim.

– Zapamiętajcie ją jako dzielną dziewczynę – rzekłem poważnie. – Dobrze ją zapamiętajcie i może kiedyś w przyszłości opowiecie jej synkowi, że miał prawdziwie odważną matkę.

– Dlaczego do mnie nie przyszła? Dlaczego nic nie powiedziała? – Andrzej potrząsnął głową w niezrozumieniu i smutku. – Wiedziała, że jestem jej więcej niż życzliwy. Wybłagałbym jej życie u księżnej...

– Nie, Andrzeju, nie wybłagalibyście – zaprzeczyłem mocno. – Zabiła wołcha, a sami wiecie, że tego się nie wybacza. Zwłaszcza że była nikim. Córką banity i kobietą buntownika. Rzucono by ją psom, jeśli nie gorzej... To, że pchnęła się nożem, to tylko lepiej dla niej. – Napełniłem znowu nasze kubki. – Niech światłość wiekuista jej świeci – rzekłem. – Chcecie zrobić dla niej coś dobrego, miejcie dla niej miejsce w modlitwie. Ona już stoi przed najsurowszym osądem naszego Pana i jeśli On tak zechce, to Nadieżda niedługo będzie śpiewać „hosanna" wraz z Aniołami.

Andrzej, nieprzekonany i z ponurą miną, wypił trunek. Odstawił kubek na stół z impetem, aż jęknęły zderzone ze sobą metal i drewno. Zmełł w ustach przekleństwo.

– A jeśli trafiła do piekła? – zaszeptał zaraz potem. – Wziąłbym na siebie jej winy, żebym tylko mógł ją uratować.

Cóż, morderczyni i samobójczyni rzeczywiście podług zasad naszej wiary miałaby pewnie niewielkie szanse na wieczność w Królestwie Niebieskim, ale kim byliśmy, by starać się przewidywać wyroki Pana? Bóg działał tak, jak sobie tego sam zażyczył, i nawet gdyby Nadieżda rzeczywiście zabiła wołcha, mógł jej to przecież wybaczyć, widząc w jej sercu coś, co Mu się spodobało.

– Bóg jest wielki – rzekłem i znowu przechyliłem butlę nad naszymi kubkami.

– I dzieciaka zostawiła – westchnął Andrzej. – Żal, co?

Wzruszyłem ramionami.

– Dzieci zawsze szkoda, bo czemu one są winne? – odparłem. – Pocieszenie tylko w tym, że jako istoty bezgrzeszne bez trudu trafiają po śmierci do Królestwa Niebieskiego.

– No ale ten mały żyje – zauważył Andrzej.

Stuknęliśmy się kubkami.

– Przysposobię smarka i wezmę go do herbu – zdecydował nagle. – A co mi tam...

– No tak, przecież jesteście szlachcicem. – Skinąłem głową. – O, i to bardzo szlachetnie z waszej strony, że zajmiecie się dzieciakiem.

– Pewnie, że jestem szlachcicem – rzekł z dumą i otarł usta z trunku. – Co prawda nigdy moi przodkowie nie dorobili się majątku – dodał ze smutkiem. – Ale herb mamy od... żebym wam nie skłamał, trzystu lat z okładem, kiedy mojego prapradziada książę Fiodor wynagrodził nobilitacją po bitwie z Mongołami. O tak, wielka to była bitwa...

– Nigdy nie widziałem żadnego Mongoła – rzekłem.

– I pewnie lepiej dla was będzie żadnego nigdy nie zobaczyć – stwierdził z przekonaniem. – Gdyby nie my, Rusini, to już by mongolskie konie piły wodę z cesarskich rzek. Jesteśmy prawdziwym murem obronnym dla chrześcijańskiego świata.

Ani z was żaden mur, ani z was żadni chrześcijanie, pomyślałem, a jakbyście się nawzajem z Mongołami wybili w pień, to pewnie byłoby lepiej dla całego świata. Oczywiście nie podzieliłem się moimi myślami z Andrzejem, bo jak mniemałem, nie poszłyby mu one w smak, a po co bezsensownie robić sobie wrogów z ludzi? Zwłaszcza z takich, z którymi łączą nas zarówno nici przysług, jak i sympatii. Lepiej dwa razy ugryźć się w język, niż powiedzieć rzecz niepotrzebną, a mogącą tylko wywołać gniew, smutek bądź rozjątrzyć rany... Poza tym lepiej, że gawędziliśmy sobie o Mongołach, niż mielibyśmy rozmawiać o śmierci Nadii.

– Kiedyś, wiecie, to Mongołowie i Moskwę zdobyli, i nawet wielki książę Nowogrodu składał im hołdy i płacił daniny. A teraz co? Ledwie ich wasalem jest Nestor z Kazania, tak sobie dobrze poradziliśmy z tymi barbarzyńcami! – rzekł z wyraźną dumą.

O dzikości Mongołów rzeczywiście krążyły legendy, a przecież pomimo że nie tylko ja, ale żaden chyba obywatel Cesarstwa na własne oczy nie widział nigdy żadnego Mongoła, to jednak sama nazwa tej nacji i przekonanie o jej okrucieństwie były powszechne. Nie tylko zresztą o okrucieństwo chodziło, lecz również o bezmyślny zapał niszczenia. Jako lud mieszkający w namiotach na stepie i poruszający się na koniach, nie mieli uznania ani dla miast, ani dla wsi, ani dla upraw roślin, ani dla hodowli i wszystko, co na swojej drodze spotkali, natychmiast niszczyli do gołej ziemi. Niczym biblijna plaga, niczym pozbawiona rozumu szarańcza pochłonięta

nie tylko samym pożeraniem, lecz i zrujnowaniem tego, czego pożreć się nie dało.

Kiedy tak rozmyślałem o Mongołach, Andrzej pociągnął smutno nosem.

– Nalejcie no jeszcze. Pijmy. Wy macie tę swoją czarownicę, ja myślałem, że też może kogoś będę miał z Boską pomocą, ale widać Pan niełaskaw...

Wyraźnie był już podpity i wyraźnie upijał się na smutno, czemu zresztą trudno było się dziwić, zważywszy na nieszczęśliwe wydarzenia. Nawet zdecydowałem się nie zwracać mu uwagi, by nie nazywał Nataszy czarownicą. Przyznam jednak, iż nie sądziłem, że śmierć Nadieżdy aż tak go dotknie. No cóż, albo rzeczywiście zależało mu na tej dziewczynie, albo tak był już spragniony jakiegokolwiek uczucia, iż zmyślił sobie przed samym sobą, że mu na niej zależy. Nie wnikając, jak działo się naprawdę, zapewne ból, jaki odczuwał po jej tragicznej śmierci, był wcale nie udawany.

– Mogła mi powiedzieć o wszystkim – powtórzył jeszcze z żałością. – Sam bym na plugawcu wywarł pomstę, a wiecie przecież, że wcale zabijać do tego nie trzeba... Wybatożyłbym go przed ludźmi, ośmieszył i pohańbił... A tak... Ech... czasu nie cofniesz. – Opróżnił kubek jednym tchem i zwiesił głowę. – Nalejcie no jeszcze, co? – poprosił niewyraźnie. Potem uniósł pełen już kubek. – Chociaż tym jej bękartem się zajmę – powtórzył. – A jak wezmę go do rodu, to już nikt nie śmie mówić, że jest z nieprawego łoża. Dobrze będzie sobie ze mną żył...

Wypiliśmy znowu, a ja pomyślałem, że dobrze, iż cała sprawa tak pomyślnie się skończyła. Oczywiście Nadieżda miałaby na temat szczęśliwego zakończenia zapewne odmienne zdanie (chociaż wcale w tym wypadku nie byłbym taki pewien, bo skoro pragnęła dobra dla własnego dziecka, to dobro to właśnie miało szanse się ziścić), ale trzeba przecież przyznać, że gdyby sprawy źle się potoczyły, to ofiar mogło być więcej, a skutki dramatyczne. Bo cóż, mili moi, jestem może spokojnym i posłusznym inkwizytorem, który stara się nikomu nie wadzić i przeżyć życie tak, by go nie zauważano, ale są pewne granice, których przekroczyć nie pozwolę. Więc nie

pozwoliłbym nikomu, czy Ludmile, czy komu innemu, by wyrządził krzywdę Nataszy. A moje niepozwolenie mogłoby już doprowadzić do dramatycznych oraz krwawych skutków. Tak więc za cenę jednego życia udało się zapewne ocalić więcej ludzkich istnień oraz, kto wie, może nawet ład i porządek w Księstwie Peczorskim. Skórka więc warta była wyprawki.

Mijał czas i wszystko toczyło się spokojnym rytmem, tak jak powinno się toczyć. Natasza przez pierwsze dni po nieszczęsnych wydarzeniach chodziła osowiała, przygnębiona i dużo bardziej milcząca niż zwykle. Nie miała nawet zapału do łóżkowych igraszek, a kiedy dwie noce po śmierci Dzikara, Nadieżdy i wołcha próbowaliśmy, aby wszystko było tak jak dawniej, okazało się, że niestety, wcale nie jest tak jak dawniej. I na razie nie będzie. A Natasza po wszystkim tylko smutno się rozpłakała. Krajało mi się serce, kiedy na nią patrzyłem. Wiedziałem, że opłakuje swojego ukochanego pieska i że za nim tęskni, wiedziałem również, iż ma wyrzuty sumienia z powodu Nadieżdy. Aby ratować nas, skazała ją na śmierć. Ale przecież Natasza miała wcześniej rację: kochanka Kamieńskiego żyła tylko dzięki nam. Mitologiczne Parki szykowały się już dawno temu, w zajeździe Czarnego Daniły, by przeciąć nić jej żywota, a ja tylko na chwilę zatrzymałem ich uzbrojone w nożyce dłonie. Jak widać, te nożyce zatrzasnęły się teraz, bo musiały się zatrzasnąć. Poprosiłem Nataszę, by chociaż raz czy dwa odwiedziła synka Nadieżdy, a ona zrobiła to nie tylko bez radości, ale po każdej wizycie była wyjątkowo zgaszona i smutna.

– Na razie nie mogę go oglądać – wyznała z twarzą stężałą z bólu. – On tak się śmieje, jak mnie widzi, tak chce do mnie na ręce, tak próbuje coś powiedzieć... A przecież to ja, nikt inny, zabiłam mu mamę.

Objąłem ją wtedy mocno.

– Nataszka, nie zrobiłaś niczego złego – powiedziałem stanowczo. – Jesteś ofiarą, a nie sprawcą. Ta kanalia Dziewiatko jest wszystkiemu winien. Przecież nigdy nie skrzywdziłabyś dziewczyny w żaden sposób, prawda? Dlaczego obwiniasz siebie za to, co zrobił przeklęty wołch?

Wtedy Natasza rozpłakała mi się w ramię, a ja miałem nadzieję, iż moje słowa chociaż w części trafią do jej serca. Bo naprawdę nie było sensu, by bolała nad zdarzeniami przeszłości i by zatruwały one jej przyszłość.

Na szczęście bękartem, tak jak obiecywał, zaopiekował się Andrzej, a raczej najęta przez niego starsza kobieta i z tego, co wiedziałem, mały miał się całkiem dobrze. No cóż, dla takiego małego dziecka strata matki nie jest czymś, co by pamiętało, a nawet rozumiało. Andrzej prędzej czy później zwiąże się z inną kobietą, a wtedy, jeśli wszystko dobrze pójdzie, oboje zastąpią bastardowi rodziców. I kto wie czy jeszcze jego życie nie ułoży się dużo lepiej niż większości otaczających nas barbarzyńców.

Rozumiałem smutek Nataszy, gdyż skrzywdziła kogoś, kogo nie chciała zniszczyć i komu tak naprawdę współczuła, ale sam uważałem, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Wyrzuty sumienia donikąd nie prowadzą, jeśli podjęliśmy przemyślaną decyzję, wcześniej dokonując rachunku zysków i strat. Więc w jakim celu potem zadręczać się skrupułami, kiedy ani czasu, ani wydarzeń nie można już cofnąć? Po co się gryźć i dusić w sobie żal? Aby zachować trzeźwość umysłu i stabilność ducha, trzeba po prostu przejść dalej. A wyrzuty sumienia? Niech zostaną za nami niczym worek pełen kamieni, który zrzuciliśmy z ramion, bo nie pozwalał nam szybko i śmiało kroczyć w przyszłość.

Oczywiście mnie też brakowało naszego pieska, chociaż rozstanie zniosłem dużo łatwiej niż Natasza. Moja towarzyszka była bowiem związana ze zwierzęciem więzią niemal mistyczną i oboje wydawali się nie tylko przepadać za sobą, lecz wręcz czytać jedno w myślach drugiego. W końcu nie przez przypadek i nie przez przejęzyczenie Natasza nazywała Dzikara rodziną. Traktowała psiaka jak dziecko, czy może jak młodszego braciszka. Nigdy się na niego nie złościła,

nigdy nie podniosła głosu, a on i tak słuchał jej bez słów i był w nią wpatrzony niczym bogobojny kapłan w święty obrazek. Mnie też brakowało jego cichej przyjacielskiej obecności, nie raz i nie dwa złapałem się na tym, że machinalnie omiatam wzrokiem pokój, szukając naszego psa. I kiedy trafiała do mnie myśl, że go nie ma i że nigdy go już nie będzie, wtedy również czułem, że została mi po nim w duszy pustka. Nie boląca i krwawiąca rana jak w sercu Nataszy, lecz po prostu przygnębiająca pustka...

Pewnej nocy, po kilkunastu dniach od tych nieprzyjemnych wydarzeń, zdecydowałem, że muszę do nich wrócić w rozmowie z Nataszą.

– Nataszka, wiem, że to może być przykre, o co spytam, ale wiesz, że nigdy nie chcę ci sprawić bólu, prawda?

– Oczywiście, mój miły, możesz pytać, o co chcesz – odparła.

– Jak mogło się stać, że to bydlę, ten Dziewiatko, potrafił cię pokonać i sparaliżować?

Nie odzywała się przez chwilę.

– Wołchowie – westchnęła wreszcie. – Po to są szkoleni, by móc opierać się naszej magii. Znają różne sztuczki. A ten był co prawda zły i obrzydliwy, ale nie da się ukryć, że stary i doświadczony.

– Zaskoczył cię?

– Zaskoczył. – Kiwnęła głową. – Nic nie poczułam, ani że się zbliża, ani że jest tuż-tuż... Ale wiesz co? – Spojrzała na mnie nagle rozjaśnionym wzrokiem. – Teraz bym sobie z nim poradziła! Teraz wiem, że to dziwne, ale wszystkie jego pułapki, wszystkie ochronne runy, jakimi się otoczył, to wszystko jest dla mnie takie jasne i oczywiste. Potrafiłabym... – pstryknęła nagle palcami – pozbyć się ich tak łatwo. – Pokręciła głową. – Że też tego wcześniej nie rozumiałam... – dodała ze zdumieniem.

A potem objęła mnie i zobaczyłem, że jej twarz promienieje. Pierwszy raz od tamtych wydarzeń wydawało się, że ich straszne piętno zaczynało być wymazywane z jej serca.

– Żaden z nich już by nie potrafił zrobić mi krzywdy, wiesz? Umiałabym się obronić. Widzę to tak dokładnie, czuję tak wyraźnie...

Cóż, inkwizytorzy również najlepiej wprawiają się w walce z siłą nieczystą i każdy, kto widział obmierzłe oblicze demona, wie, że z takiej konfrontacji wychodzi silniejszy i lepiej przygotowany do innych bitew. Wspomniałem nasze starcie z potężnym Wilkiem i pamiętałem nie tylko siłę, jaką Pan wlał w moje serce w czasie samej walki, ale również siłę, jaka w tym sercu pozostała już po unicestwieniu owej wszetecznej kreatury.

– Jestem coraz mocniejsza – dodała Natasza i przytuliła mnie z całych sił, jakby tym uściskiem chciała pokazać, jak bardzo jest mocna. – Niedługo będę mogła wszystko...

A potem roześmiała się zdrowym, radosnym śmiechem dawnej Nataszy i wskoczyła na mnie zgrabnie.

– Może spróbujemy? – Nachyliła się nade mną i otuliła nas zasłoną swych włosów. – Może teraz wreszcie się nam uda, co?

– Zawsze możemy spróbować – odrzekłem zachwycony nawet nie samym faktem, iż wracają amory, których obecności już mi wielce brakowało, ale bardziej tym, że Natasza sama pragnie wrócić do życia.

– No to próbujmy! – zakrzyknęła żywo.

Ludmiła wezwała mnie i Nataszę, a kiedy weszliśmy do komnaty, siedziała z odchyloną głową na krześle z wysokim oparciem. Nie drgnęła nawet, kiedy stanęliśmy przed nią. A to z tego powodu, że z tyłu, za oparciem, stała dworka i szerokim grzebieniem rozczesywała długie włosy księżnej. Widziałem, że stara się to robić ostrożnie i delikatnie, aż zagryzała usta ze zdenerwowania. Aha, to znaczyło, że władczyni była w złym humorze. Nie widziałem co prawda, by Ludmiła pastwiła się w jakiś szczególny sposób nad służbą. Ot, czasem ktoś dostał kilka batów na gółkę, ale też nie była to nigdy żadna z zaufanych służebnic, które zajmowały się toaletą i ubieraniem swej pani i które najczęściej jej towarzyszyły. One co najwyżej albo dostały w twarz, albo księżna je wyszczypała ze

złością. Ale to zdarzało się wtedy, kiedy była naprawdę gniewna, bo zazwyczaj co najwyżej krzyczała na nie niemal do utraty tchu i klęła je, bywało, że prawdziwie plugawymi wyzwiskami. No ale słowa nie bolą, a w każdym razie nie te rzucane w złości przez władczynię, która jak na ruskie warunki, była w zasadzie dość dobroduszna. Chociaż kiedy przypomniałem sobie, że własnego męża wystawiła w żelaznej klatce za zamkową bramę, by zmarniał z głodu, pragnienia i zimna, to pomyślałem, iż może z tezą o dobroduszności nieco przesadziłem w serdecznych myślach o księżnej. Nie byłem przecież na tyle niewdzięczny, by nie zauważyć, że ja sam w ciągu ponad roku spędzonego w Peczorze naprawdę nie miałem na co się uskarżać. Owszem, księżna wykorzystywała mnie tak, jak władca wykorzystuje poddanego, i byłem pewien, że jeszcze niedawno nie zawahałaby się poświęcić mojego życia, gdyby tylko miało jej to przynieść korzyści. Ale któż z możnych nie postępował właśnie tak w stosunku do maluczkich? W taki niebezpieczny sposób toczyły się koleje ludzkich losów i jedyne, co mogłem, to starać się w czasie tej podróży usadowić na tyle zmyślnie oraz wygodnie, by nie rozgniotły mnie na miazgę powozy beztrosko gnającej przez życie arystokracji...

Księżna syknęła boleśnie, czym przerwała mi rozmyślania.

– Jeżeli jeszcze raz mnie pociągniesz, powyrywam ci paznokcie – zagroziła służącej zimnym głosem.

– Z wyrwanymi paznokciami będzie jej trudniej Waszą Książęcą Mość czesać – zauważyła wesoło Natasza. – Wtedy dopiero będzie niezgrabna!

Ludmiła otworzyła oczy i chciała coś powiedzieć, ale w tym momencie już nie syknęła, lecz wrzasnęła.

– Idźże, cholero jedna! – Odwróciła się gwałtownie i trzasnęła dworkę otwartą dłonią w twarz, aż klasnęło.

Ta zapiszczała przeciągle, upuściła grzebień i uciekła pod samo okno, zawodząc nie tyle z bólu i strachu, lecz jak mniemałem, dla stworzenia efektu prawdziwej krzywdy. By księżnej nie przyszło do głowy srożyć się i pastwić nad nią jeszcze bardziej.

– Może ja bym pomogła, proszę waszej mości? – zapytała grzecznie Natasza.

– A umiesz chociaż? – spytała podejrzliwie Ludmiła.

– Sama mam długie i chociaż czasem on mi je bardzo poplącze – pokazała na mnie i zachichotała – to nigdy nie powyrywam ich sobie potem rozczesywaniem, ani nawet się nie poszarpię.

Ludmiła rozpogodziła się.

– No dobrze. – Znowu rozparła się wygodnie w krześle. – Próbuj w takim razie.

Natasza podeszła do krzesła, stanęła za jego oparciem i zaczęła rzeczywiście delikatnymi, posuwistymi, spokojnymi ruchami rozczesywać włosy księżnej. Ludmiła przez chwilę, jak zaobserwowałem, siedziała z napiętymi mięśniami i sztywna niczym kołek, ale widząc, że nic złego się nie dzieje, szybko się rozluźniła i nawet uśmiechnęła.

– No, Natasza, naprawdę zręczna jesteś – pochwaliła z satysfakcją. – Nie to, co ta żmija. – Łypnęła ze złością w bok.

Dworka wymamrotała coś niezrozumiale.

– Tak, tak, grzebień niedobry – burknęła Ludmiła. – Pewnie. Jak mówią: „złej tanecznicy zawadza i rąbek u spódnicy”. Masz tam, w Cesarstwie, podobne przysłowie, rzymski diable?

– Tak jest, Wasza Wysokość – odparłem. – Mówimy też: „dla niezręcznego inkwizytora drewno zawsze mokre”.

Księżna zaśmiała się rubasznie i klepnęła dłońmi w kolana.

– Dla niezręcznego inkwizytora drewno zawsze mokre – powtórzyła sobie z zadowoleniem. – U nas by się takie powiedzonko nie przyjęło, bo inkwizytorów nie ma. Dziwnie ci, że sam jeden jesteś na tysiąc mil wokół, co?

– Dziwnie, Wasza Wysokość – przyznałem szczerze. – Od kiedy pamiętam, zawsze gdzieś niedaleko, najczęściej w tym samym mieście, mogłem spotkać innych inkwizytorów. A teraz już zapominam... – zawahałem się. – O tamtym wszystkim – dokończyłem może niezbyt klarownie, jednak Ludmiła zrozumiała.

– No ale przygód ci u nas nie brakuje, co? – zapytała z taką dumą w głosie, jakby skrytobójczy zamach, wyprawa na trzęsawiska

przeciw demonom, bunt kniazia Kamieńskiego, napaść Izjasława na Peczorę, przerażająco krwawy rytuał przeprowadzony przez wiedźmę, ożywienie truchła władyki, a teraz morderstwo wołcha były przedziwnymi powodami do chluby.

– O tak, Wasza Książęca Mość – potwierdziłem, gdyż przecież nie zamierzałem sprzeczać się z władczynią. – Chociaż przyznam, że dla mnie najdonioślejszym wydarzeniem było to, że mogłem służyć waszej mości na dobre i na złe. I że dzięki waszej, Pani, łasce poznałem Nataszę.

Dziewczyna, słysząc moje słowa, uśmiechnęła się promiennie i ciepło znad głowy Ludmiły.

– No i dobrze, żeście się tak polubili – powiedziała poważnie księżna. – Ale skoro zostaniesz już z nami na zawsze, a tak pewnie będzie, to będziesz musiał jeszcze wziąć sobie jakąś dziewczynę z porządnej rodziny za żonę.

Przez twarz Nataszy przebiegł grymas, lecz poza tym nie dała nic po sobie poznać i nadal spokojnie czesała Ludmiłę.

– Za przeproszeniem Waszej Wysokości, ale jeśli wolno mi z całym szacunkiem zapytać: dlaczego miałbym uczynić coś podobnego?

– Ja cię przecież nie zmuszam – odparła księżna, wzruszając ramionami. – Zrobisz, jak zechcesz. Tak jednak myślę, że chciałbyś pewnie kiedyś, może nie dziś i nie jutro, ale kiedyś mieć dzieci, rodzinę, a z nią – ruszyła głową w tył – tego ci mieć nie wolno. Ona tylko służy tobie, byś ty mógł służyć mnie...

Natasza spokojnie i delikatnie rozczesywała włosy księżnej, tak jakby rozmowa w ogóle jej nie dotyczyła. Ale twarz miała smutną i nieruchomą.

– Słyszałem o tym ruskim prawie, Wasza Wysokość, i z całą pewnością będziemy mu posłuszni – odrzekłem.

– Spróbowalibyście nie. – Ludmiła znowu wzruszyła ramionami. – Nie w mojej mocy byłoby was wtedy uratować. – Utkwiła we mnie uważne spojrzenie. – Rozumiesz, inkwizytorze? Nie w mojej mocy. W niczyjej.

– Rozumiem, wasza miłość.

– Dzieci mieszają tylko ludziom w głowach – dodała Ludmiła z niesmakiem. – Ot, ten mój Andrzej, wydawałoby się, że myśli tylko o sobie, to nie. Przyszło mu do głowy zajmować się bękartem głupiej dziewuchy. – Księżna prychnęła z oburzeniem.

– Znudzi mu się, to gdzieś komuś go odda – powiedziałem obojętnym tonem, gdyż nie życzyłem sobie, by rozmowa zbaczała na temat dziecka Nadieżdy.

– Eeee, nie ma co oddawać – uśmiechnęła się Ludmiła.

– Czemuż to, Wasza Wysokość, jeśli wolno spytać?

– A bo kazałam przeklętego bękarta wrzucić do fosy.

– Jak to do fosy? – Natasza zastygła nagle w pół ruchu.

– A do zamkowej fosy. Jedną mamy fosę. Mało to ścierwa tam już gnije? Poszedł pod wodę jak kamień. – Roześmiała się, jakby właśnie opowiedziała zabawną anegdotę, i usta złożyła w taki kształt, jakby właśnie była wyrzuconą na brzeg rybą. Potem roześmiała się raz jeszcze.

Służka spod okna zawtórowała jej cienkim, pochlebczym śmieszkiem. Nie zdążyłem nic zrobić. Wszystko stało się tak szybko, że nawet gdybym miał zwinność i szybkość rysia, nie zdołałbym powstrzymać Nataszy. Spod jej rękawa wysunęło się ostrze i Natasza cięła równo, głęboko, przez całą szerokość szyi księżnej. Ludmiła nawet nie jęknęła, nawet nie drgnęła, tylko odepchnięta mocno przez Nataszę, stoczyła się z krzesła na rozłożony na podłodze kobierzec, bluzgając fontanną krwi z szerokiej i głębokiej rany.

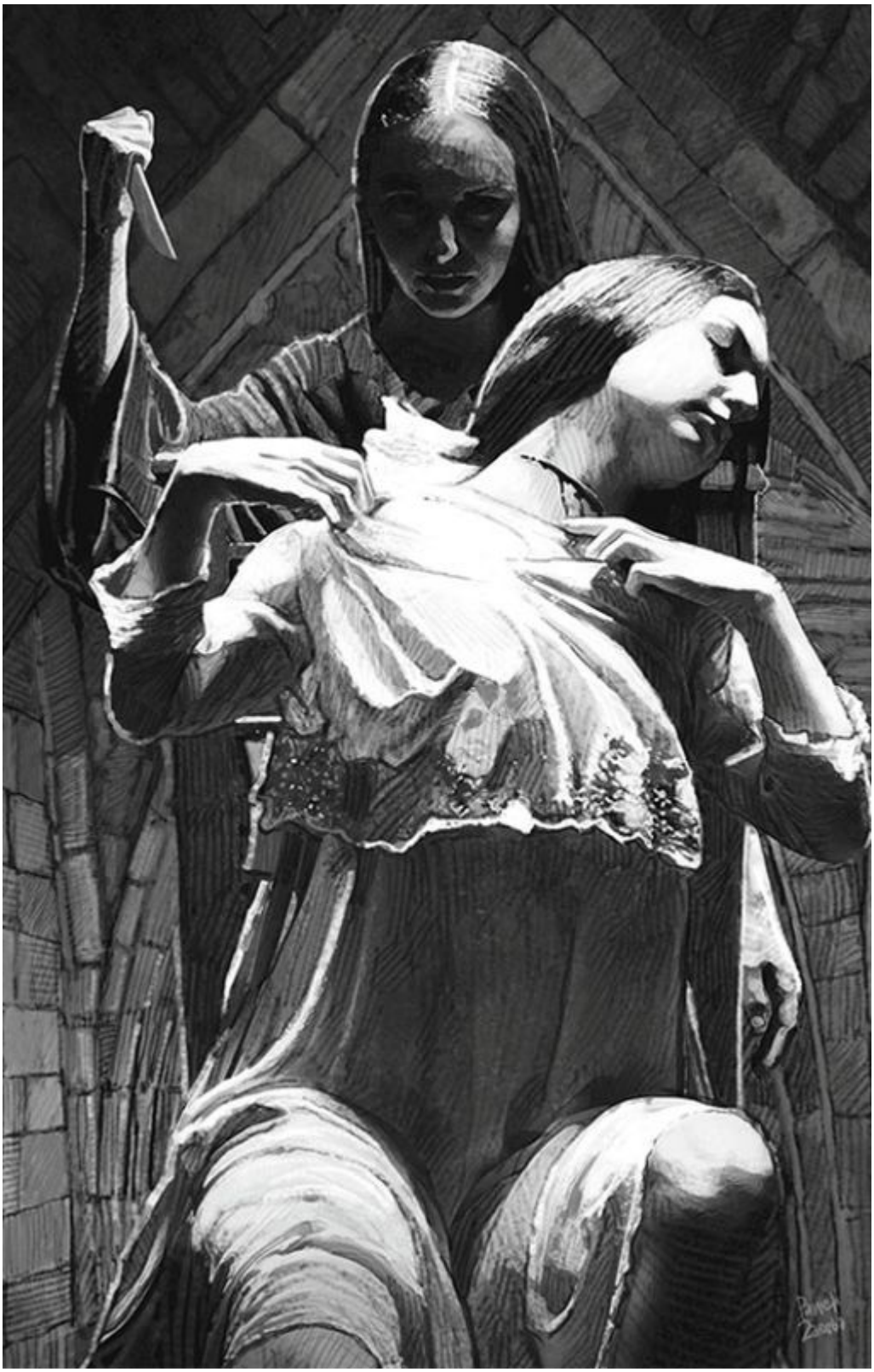

Natasza była tak szybka, że służąca Ludmiły znacznie poniewczasie dostrzegła, iż stało się coś strasznego. A chyba nawet nie zdążyła zrozumieć, iż sama znalazła się właśnie w śmiertelnym

niebezpieczeństwie. Natasza doskoczyła do niej, tnąc zręcznie, zgrabnie i celnie, a dworka zdołała tylko objąć dłońmi, palcami rozczapierzonymi niczym ptasie szpony, broczącą krwią szyję i osunęła się na podłogę, z oczami wybałuszonymi przerażeniem, niezdolna jednak wydać żadnego odgłosu poza bulgotem i charczeniem. Zresztą i one szybko umilkły...

Spoglądałem przez chwilę na ten obraz zbrodni, który zastygł przede mną, jakby zawieszony poza czasem, jakby wszystko było zaledwie zamarłą i znieruchomiałą inscenizacją greckiej tragedii. Jakimś jej finałem, po którym aktorzy, zarówno ci leżący na ziemi, jak i ci stojący, wstaną z uśmiechami na twarzach, zbliżą się do krawędzi sceny i ukłonią nisko publiczności, dziękując za oklaski nagradzające tak poruszające zakończenie. Ale nic podobnego oczywiście się nie wydarzyło. Osunąłem się ciężko na krzesło.

– Och, Nataszka – jęknąłem głucho.

Natasza odetchnęła głęboko, kucnęła i dokładnie wytarła dłonie w skraj książęcej sukni.

– Nie trzeba było zabijać dziecka – stwierdziła zimno.

Widziałem, że drży na całym ciele, jakby właśnie wyszła z lodowatej wody. Pomyślałem, że gdyby teraz miała zadać cios, to cięcie nie wyszłoby ani tak równe, ani tak precyzyjne. Co zresztą niczego nie zmieniało. Ale tak to już czasami jest, że w chwili wielkiego oszołomienia człowiekowi przychodzą do głowy najgłupsze z możliwych myśli. A ja, co tu dużo mówić, byłem oszołomiony. Milczałem dłuższą chwilę z przymkniętymi oczami. Wreszcie odchyliłem powieki, a kiedy to robiłem, czułem się tak, jakby były ciężkie niczym wieka grobowców. I Bogiem a prawdą wiedziałem, że wolałbym je trzymać zamknięte.

– Nataszka, sama mówiłaś, że dzieci umierają na całym świecie, sama się dziwiłaś, czemu ja uratowałem tego małego. Co ci przyszło do głowy? – spytałem wreszcie bezradnie.

Obrzuciłem spojrzeniem jatkę naprzeciwko mnie i przez chwilę miałem naiwną, dziecięcą nadzieję, że kiedy znowu zamknę oczy, a potem je otworzę, wszystko wróci do normalności. Ludmiła znowu będzie siedziała na krześle, moja kochanka będzie stała za jej

plecami i rozczesywała jej włosy, opowiadając coś wesołym głosem, a służąca pod oknem będzie nudziła się i grzebała palcem w zębach. Ale byłem inkwizytorem, nie dzieckiem, i wiedziałem, że co się stało, to się nie odstanie. Znaleźliśmy się w pułapce.

– Miała nas chronić – powiedziałem gorzko. – Przysięgła, że będzie nas bronić nawet za cenę własnego życia. – Przyglądałem się martwej księżnej ze smutkiem.

Wstałem, kucnąłem nad nią i zamknąłem jej powieki. Teraz, martwa, wyglądała starzej niż za życia. Starzej i brzydziej, tak jakby śmierć lub przedśmiertny lęk, ta ulotna, trwająca mgnienie oka chwila, kiedy Ludmiła wiedziała, że zaraz umrze, odcisnęły na jej twarzy piętno, które zostanie już na zawsze. Czy raczej, lepiej mówiąc, dopóki ciało nie zgnije, nie odpadnie od kości i nie stoczą go robaki, a z człowieka zostanie sam pożółkły, rozpadający się szkielet...

– Mieliśmy szansę, Nataszka. – Podniosłem oczy na dziewczynę. – Mieliśmy naszą chwilę. – Pokręciłem głową. – Jak mogłaś ją zabić? Wszystko zaprzepaścić...

Twarz Nataszy skurczyła się w żałosnym grymasie. Jej usta zadrgały. Objęła rękami ramiona, jakby chciała sama siebie przytulić, sama w siebie wtulić się z całą mocą, znaleźć schronienie we własnych objęciach, skoro nie może znaleźć go w moich.

– Nie pomyślałam – szepnęła. – Przepraszam cię, naprawdę nie pomyślałam... – Opadła na kolana obok mnie i nagle z rozpaczliwą siłą przytuliła się do mnie mocno. Jej włosy wywinęły się ze spięcia i załaskotały mnie w szyję i twarz. – Przepraszam cię, bardzo cię przepraszam – szlochała. – Naprawdę nie wiem, co mam teraz zrobić... Nie odrzucaj mnie. Proszę, nie zostawiaj mnie samej...

Otoczyłem ją ramionami.

– Cicho, Nataszka, cicho... – Pogłaskałem ją delikatnie po plecach. – Co się stało, to się nie odstanie, prawda? U nas mówią, że nie skleisz stłuczonego jajka albo że po nocy poślubnej nie znajdziesz w łożu dziewicy... – mówiłem lekkim tonem, bo jeśli chcieliśmy przeżyć, to oboje musieliśmy teraz zebrać myśli oraz siły.

– U nas też tak mówią – chlipnęła. – Znaczy z tym jajkiem, nie z tą dziewicą.

Obejmowałem ją i kołysałem się z nią w ramionach.

– Musimy pomyśleć, co teraz zrobimy, Nataszka – powiedziałem łagodnym tonem. – Zastanowić się, jak możemy uciec z tej kabały w jednym kawałku.

– Na bagna do mateczki – szepnęła Natasza. – Tam nikt nas nie dostanie, tam nas zostawią w spokoju.

Potrząsnąłem głową. Może i prawda, że nikt z Peczory nie ośmieliłby się iść po nas na bagna. Powiem nawet, że było to wręcz ogromnie prawdopodobne, iż nikt nie przekroczyłby nawet połową stopy domeny należącej do wiedźmy. I wszyscy pomyśleliby oraz powiedzieli: ściganie zabójców to sprawa wielkiego księcia. Niech on decyduje, niech one przyśle rozkazy, co nam wypada czynić dalej. Tyle że szkopuł tkwił w tym, mili moi, iż bardzo, ale to bardzo nie uśmiechało mi się znaleźć w całkowitej mocy starej czarownicy. Być w jej domu, zdanym na jej łaskę i niełaskę, nie mając nic do zaoferowania, a jedynie wiele rzeczy do wybłagania. To nie była dobra pozycja do relacji z mateczką Olgą. Pamiętałem dobrze i wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tej przedziwnej chwili na bagnach, kiedy wiedźma, wpatrzona we mnie, wydawała się jednocześnie widzieć przeze mnie, na wskroś mnie, przebijać mnie spojrzeniem na wylot, dostrzegać coś więcej... I mówiła ze złowrogim, leniwym rozmarzeniem, iż chętnie by mnie wypatroszyła i wydobyła moje tajemnice. Co takiego ujrzała? Jakież sekrety miała na myśli? Nie miałem pojęcia i wiedziałem, że byłoby lepiej, abym nie próbował tego dociekać, znajdując się całkowicie w jej mocy. Poza tym gdyby przyszło do konfliktu, Natasza z całą pewnością, bez wahania stanęłaby po mojej stronie. A to w razie przegranej oznaczałoby, iż wiedźma wywrze na niej pomstę, rozprawi się z nią tak samo okrutnie, jak to uczyniła, karząc bunt owej biednej Galiny, dawnej towarzyszki Nataszy. A nie mogłem pozwolić, by krzywda spotkała Nataszę.

– Za Kamieniami jest Zygfryd – rzekłem, mając na myśli cesarskiego oficera w służbie Ludmiły. – Cokolwiek by się stało,

Zygfryd będzie wierny Świętemu Officjum. On nam służy, nikomu innemu...

– Nie dojdziemy nawet do Kamieni, a co dopiero poza Kamienie – odparła Natasza, wzruszając ramionami. – Bez trudu nas wyśledzą i złapią albo ustrzelą... A nawet jakbyśmy doszli, to Jugrowie nas sprzedadzą.

Tak, to była prawda. Tak właśnie by się stało. W Peczorze przebywało wielu tropicieli, ale nawet najbardziej otumaniony gorzałką kupiec lub przewodnik lepiej znał szlaki prowadzące na Kamienie i za Kamienie niż ja czy Natasza. Wyśledziliby nas może nie tego samego dnia, lecz na pewno następnego.

– Tylko na bagna – powtórzyła z naciskiem Natasza. – Wyjdziemy twoim tajnym przejściem. A wcześniej powiemy, że księżna zabroniła komukolwiek wchodzić. Zanim spostrzegą, co się stało, my już będziemy na bagnach.

– Może i tak – przyznałem jej po chwili rację.

– Wiem, że się boisz – powiedziała. – Boisz się, prawda?

– Będę w jej domu, w jej mocy, pod wpływem jej zaklęć, które tkała Bóg wie ile lat. – Potrząsnąłem głową. – To nie może mi się podobać. Wiesz przecież, że ona czegoś ode mnie chce, coś we mnie zobaczyła. – Wzruszyłem ramionami. – Nie wiesz, co to jest, prawda?

Natasza potrząsnęła bezradnie głową.

– Wtedy na bagnach już myślałam, że coś się stanie – powiedziała cicho. – Jeszcze nie widziałam mateczki takiej. – Przymknęła oczy. – Jakbyś nagle wypełnił jej cały świat...

Wzdrygnąłem się, gdyż jeśli spostrzeżenie Nataszy było prawdziwe, to mogło zapowiadać jeszcze większe kłopoty, niż sądziłem. I tym bardziej nie podobała mi się perspektywa wędrówki na bagna i proszenia wiedźmy o gościnę.

– A jakbyśmy tak powiedzieli, że to nie my? – spytała nagle Natasza. – Że to ktoś inny?

– Kto niby?

– Może Andrzej? – Zmrużyła oczy.

Potrząsnąłem głową.

– To nie ma znaczenia, Nataszka. Miałem bronić Ludmiły i nie obroniłem – odparłem posępnie. – Zabiją mnie tak czy inaczej. Ale ciebie... – zawahałem się nagle – tak, ciebie by to mogło ocalić. Może jest to więc pomysł wart rozważenia – dodałem.

Prychnęła.

– Na pewno nie! – żachnęła się. – Po co niby miałabym żyć bez ciebie?

Ująłem jej rękę i pocałowałem wnętrze jej dłoni. Ku mojemu zaskoczeniu zaczęła cichutko płakać.

– Po co ja to zrobiłam? – zaszeptała przez łzy. – Po co ja to zrobiłam, mój miły? Dlaczego nie pomyślałam chociaż chwilę? Tak bardzo mi się to wydawało w tamtym momencie jedynie słuszne i właściwe, i takie, jak trzeba... – Tym razem rozszlochała się jeszcze żałośniej. – Wszystko zmarnowałam, prawda? Zniszczyłam całe nasze życie. Całą naszą przyszłość. Mogło być nam tak dobrze – chlipała mi w szyję i było w tej rozpaczy coś tak dziecięco niewinnego i rozbrajającego, i żałośnie bezbronnego, że nikt by nie uwierzył, iż przytula się do mnie zabójczyni, która właśnie zamordowała dwie kobiety, szybko i sprawnie, jakby zdusiła komary na dłoni.

Ale nie siedziałem obok niej, by ją oceniać, bo zresztą żadna już ocena nie była w tej sytuacji ani właściwa, ani potrzebna. Więc przytuliłem ją tylko mocniej i powiedziałem uspokajającym tonem:

– Wyjdziemy z tego bałaganu, Nataszka. Zobaczysz, za kilka miesięcy będziemy się z tego wszystkiego tylko śmiali.

W tej chwili mój wzrok padł na martwą księżną i jej zarżniętą dworkę, na stygnące kałuże krwi rozlewające się wokół ich ciał, na ich schlapane posoką suknie, na unurzane w czerwieni, potargane włosy Ludmiły i pomyślałem, że nie, nie będę się nigdy śmiał z tego, co tu się wydarzyło. Nie dlatego, by odstręczała mnie brutalność aktu, jaki się rozegrał, w końcu my, inkwizytorzy, nie mamy miękkich serc, lecz dlatego, że do utraty tchu oszałamiała mnie jego kompletna bezsensowność... Przypomniało mi się, jak jeszcze niedawno sam mówiłem, iż ludzie często popełniają zbrodnie nie dlatego, że wynikają one z przemyślanych planów oraz zimnych

kalkulacji, lecz dlatego, że po prostu właśnie w taki sposób, nagle i niespodziewanie dla wszystkich, potoczyły się sprawy. Zadecydowały błąd, nieporozumienie, zaślepienie, przelotna emocja... Szkoda, że efekty podobnego zdarzenia dotknęły teraz oraz tutaj nas...

– Będziemy bezpieczni, będziemy bezpieczni – gorączkowo zaszeptała Natasza. – Będę cię pilnowała na bagnach, nie dam cię nikomu...

Pytanie, czy będziesz potrafiła upilnować samą siebie, pomyślałem. I czy ja zdołam upilnować ciebie. Ale nie powiedziałem tego oczywiście na głos, gdyż przecież nie chciałem dodatkowo martwić Nataszy.

– Musimy się spieszyć – zdecydowała, odsuwając się ode mnie. Jej oczy błyszczały. – Każda chwila zwłoki może nas kosztować życie.

Miała ściągniętą, spuchniętą od płaczu twarz, ale wydawało się, że będzie potrafiła myśleć i działać tak, aby nie narazić nas na dodatkowe kłopoty. Ba, kłopoty! Jakżeż lekko brzmiało to słowo w odniesieniu do tego, co się z nami działo i co czekało nas w przyszłości. Ale musieliśmy przez to przejść. A przynajmniej postarać się tak ułożyć figury na szachownicy, by król i królowa nie tyle wygrali bitwę, ile uszli z życiem z pola tej walki.

– Nie będziemy uciekać tajnym przejściem – zdecydowałem. – Weźmiemy konie ze stajni i pojedziemy na przejażdżkę, tak jak to zazwyczaj robimy...

Spojrzała na mnie z niepewnością we wzroku.

– Pamiętasz, Nataszka, jedną ze swoich wizji sprzed tygodni? Tę o naszej ucieczce podziemiami i o tym, jak pogoń szła naszym śladem?

Skinęła głową.

– Może widziałaś właśnie to, co by się stało, gdybyśmy teraz podjęli niewłaściwą decyzję...

Myślała przez chwilę.

– Może tak... – szepnęła.

– Dlatego nie będziemy robić niczego podejrzanego – rzekłem.

– A jeśli ktoś wejdzie? – zadrżała. – A jeśli ktoś tylko uchyli drzwi i zobaczy wszystko?

– Poradzimy sobie – odparłem.

Westchnąłem i potrząsnąłem głową. Dość czasu zmarnowaliśmy. Najwyższy moment, aby zabrać się do tego, co powinno być cechą każdego porządnego inkwizytora: skutecznego działania.

– Pilnuj wejścia – rozkazałem. – A ja posprzątam.

Otworzyłem drzwi do sypialni Ludmiły, potem chwyciłem pod pachy jej ciało. Mój wzrok padł na skurczoną, zakrwawioną twarz księżnej, włosy władczyni zawinęły się wokół mojej dłoni.

– Wybacz, Ludmiło – powiedziałem cicho. – Sprawy nie miały się tak potoczyć.

Wiedziałem, że darzyła mnie pewnego rodzaju sentymentem, tak jak ulubionego psa, który pilnie strzeże, przestrasza obcych, a czasem potrafi pokazać jakąś użyteczną sztuczkę, ale miałem również świadomość, że poświęciłaby moją osobę bez wahania, bez wątpliwości i bez wyrzutów sumienia, gdyby tylko mogło jej to przynieść korzyść. Przynajmniej póki nie złożyła mi przysięgi na własne życie. Niemniej poczułem żal, gdyż widząc jej martwą twarz, zdałem sobie sprawę, iż bezpowrotnie zamknął się dla mnie ważny rozdział. Nie miałem już czego szukać na Rusi. A czy ucieknę za Kamienie, czy spróbuję przedrzeć się (choć Bóg mi świadkiem, nie miałem pojęcia, w jaki sposób!) w stronę Cesarstwa, to już nie miało większego znaczenia.

Pociągnąłem martwe ciało, które okazało się zaskakująco ciężkie, a sunąc, pozostawiało na dywanach czerwoną smugę, jakby Ludmiła była mozolnie pełznącym, wielkim, zakrwawionym ślimakiem. Potem, już w sypialni, dźwignąłem zwłoki na łóżko i ułożyłem tak, by księżna sprawiała wrażenie śpiącej. Nakryłem ją kołdrą do połowy policzka, podłożyłem poduszkę pod głowę, schowałem zakrwawione włosy. Zresztą w pomieszczeniu panował półmrok, więc nawet z odległości dwóch kroków można było pomyśleć, że Ludmiła po prostu śpi. Potem zawlokłem do sypialni ciało dworki, ale z nią już nie zadawałem sobie zbytecznego trudu i po prostu

wepchnąłem trupa pod łóżko. No cóż, nawet po śmierci te dwie kobiety miała dzielić różnica wynikająca z majątku oraz statusu.

Zamknąłem drzwi do sypialni. Zerwałem ze ściany dwa kobierce i ułożyłem je na podłodze, tak aby dokładnie zakryły kałuże krwi. Mój Boże, naprawdę dużo tej krwi się rozlało. Ale Natasza cięła w szyję, a więc punkt dający atakowi pewność śmiertelnej skuteczności. Lecz jednocześnie powodujący potem mnóstwo bałaganu.

– Wszędzie czuję krew – mruknąłem. – Tylko bym wszedł i od razu bym wiedział, że kogoś tu zabito.

Natasza siąpnęła nosem.

– Ja nic nie czuję – powiedziała. Przyjrzała się uważnie moim porządkom. – Bogu dziękować, że z Ludmiłą była tylko ta jedna... – Wzdrygnęła się.

No tak, gdyby z księżną siedziały trzy lub cztery dworki, jak czasami przecież bywało, to krwi do sprzątania byłoby teraz więcej.

Obrzuciłem Nataszę dokładnym spojrzeniem. Miała na sukni plamy, co prawda zaskakująco mało, bo najwyraźniej nie znalazła się tam, gdzie krew bluznęła najobfitszą strugą. Całe szczęście, że szata dziewczyny miała brązowy kolor, a Rusini, cóż, na co dzień często chodzili w strojach poplamionych czy pobrudzonych. Tu, w Peczorze, żyło się trudno, więc czystość ubrania nie była sprawą, na którą zwracano by wielką uwagę. Przecież nawet Ludmiła zakładała czasami postrzępione odzienie albo cały dzień paradowała w zaplamionych sukniach, których nie chciało jej się przebierać. Owszem, czasami strojono się z wielką starannością i dbano o każdy detal, ale na pewno nie działo się tak na co dzień. Wiedziałem więc, że nikogo nie zdziwią te bure plamy na ubraniu Nataszy. Ścisnąłem jej dłoń.

– Jeśli Bóg z nami, któż przeciwko nam, Nataszka? – powiedziałem poważnie i objąłem ją. – Jeśli tylko zdołamy wyjechać za peczorskie mury, nikt nas już nie złapie.

– Wiem. – Skinęła głową i wciągnęła głęboko powietrze do płuc. – Jestem gotowa. Chodźmy.

Odemknąłem drzwi i wyszliśmy na korytarz. Był pusty, ktoś tam mignął na zakręcie, ale zupełnie niezainteresowany ani nami, ani naszym wyglądem, tylko spieszący do swoich spraw. Na ławie przy korytarzu prowadzącym do apartamentów księżnej powinien siedzieć strażnik, ale oczywiście nikogo nie było. Strażnik pewnie się znudził czuwaniem i albo poszedł w kąt gdzieś się przespać, albo smalił cholewki do którejś z dziewek, albo próbował wyłudzić smakołyki od kucharzy.

– Szlag by to trafił – warknąłem.

I wtedy zobaczyłem Andrzeja, stojącego przy wyjściu na krużganek. Rozmawiał z nieznanym mi bliżej mężczyzną o długiej, skołtunionej brodzie.

– Miły mój, muszę iść do naszych pokoi... – odezwała się Natasza.

Rzeczywiście nie była może ubrana w wymarzony sposób do konnej jazdy, ale w Peczorze nikomu nie wyda się to zastanawiające. Kiedyś Natasza miała ochotę pojeździć ubrana tylko w długą koszulę nocną i zupełnie niczym się nie przejmując, tak właśnie poszła do stajni. I nawet jeśli kogoś zdziwiła amazonka w powiewającej białej sukni założonej na gołe ciało, nawet jeśli ktoś o tym później komuś opowiadał, to wszyscy wiedzieli, że Natasza po prostu robi, co chce...

– Dobrze, Nataszka. Tylko pamiętaj: szybko – powiedziałem. – Co ci jest potrzebne?

– Moja głowa – odparła.

Syknąłem. Na śmierć zapomniałem o żywej nie żywej głowie Modesta Dobrynicza, którą Natasza trzymała w skórzanym pudle na kapelusze, a pudło w kufrze wesoło malowanym w czerwone kwiaty. Wiedziałem, że nie ma najmniejszego sensu, bym ją przekonywał, że pośpiech jest ważniejszy od głowy tropiciela, bo skoro umyśliła sobie, że głowę chce zabrać, to zrobi to bez względu na to, co powiem. Zresztą i ja dzięki temu będę mógł przynajmniej zabrać zarobione u księżnej złoto. Trzymałem ten wypłacany mi co kwartał żołd pod klepkami podłogi, nakrytymi dywanem. I co jakiś czas sprawdzałem, czy nikt mi się do owego sezamu nie dobrał. Natasza podśmiewała się wtedy ze mnie.

– Miły mój – mówiła – to przecież moja kwatera. Ktoś, kto chciałby mnie okraść, ryzykowałby życie.

Ale ja wiedziałem swoje. A to „swoje” oznaczało wiedzę, że wielu ludzi jest tak głupich, iż o konsekwencjach swoich czynów myślą dopiero wtedy, kiedy już je popełnią i kiedy jest za późno, by sprawy odwrócić. Zresztą czyż moja Nataszka nie była najlepszym przykładem podobnego postępowania? To w końcu z powodu jej pochopności oraz nieumiejętności trzymania nerwów na wodzy musieliśmy się teraz salwować ucieczką. I to w dodatku ucieczką pozbawioną nadziei na szczęśliwy powrót.

– Weź mój żołd – rzekłem. – Stamtąd, gdzie wiesz, że go trzymam. Złoto może nam się przydać.

Skinęła tylko głową i odeszła, a ja szybkim krokiem podszedłem do dworzanina Ludmiły i wykrzyknąłem:

– Dobrze, że was widzę! Wybaczcie mi na chwilę, ale mam rozkazy od księżnej.

Kudłaty mężczyzna umilkł w pół zdania i z pochyloną głową odsunął się o kilka kroków, a Andrzej wyprostował się. I wyraźnie zesztywniał, jak zawsze, kiedy widział Nataszę.

– Patrzcie, znowu te łazęgi opuściły służbę – poskarżyłem mu się. – A księżna żąda, by nikogo nie wpuszczano do jej komnaty aż do wieczora. „Do zachodu słońca nikogo, bo każę obić kijami”, tak nam powiedziała. A ja i Natasza musimy... – urwałem. – No, co wam będę mówił: służba. – Wzruszyłem ramionami.

Na ustach dworzanina pojawił się porozumiewawczy uśmiech, lecz ja, widząc to, potrząsnąłem głową.

– Wybaczcie, jeśli źle się wyraziłem – powiedziałem pospiesznie. – Ale Jej Wysokość kazała nam wyjechać w pewnej sprawie za Peczorę i wrócimy przed nocą. Gdybyście jednak mogli spowodować, by ktoś pilnował do wieczora kwater księżnej i nikogo nie wpuszczał, byłbym wam stokrotnie wdzięczny.

Machnął ręką.

– Zaraz się tym zajmę. A stało się coś?

Nachyliłem się w jego stronę.

– Wzdęcia, gazy i ogólnie zły humor – wyjaśniłem cicho. – Na tyle zły, że miałem nieszczęście pokosztować jego gorzkiego smaku – westchnąłem. – No ale tak naprawdę to nic wielkiego, chociaż księżna powiedziała, że rozliczy mnie z całą surowością, jeżeli ktoś przeszkodzi jej w śnie.

– W takim wypadku rzeczywiście lepiej nie ryzykować – zgodził się ze mną Andrzej. Potem odwrócił się do towarzyszącego mu wcześniej brodacza. – Zaczekaj – nakazał. – Jeszcze później dokończymy nasze sprawy.

– Bardzo wam dziękuję – powiedziałem serdecznie.

– No tak, księżna ma ostatnio humory. – Nachylił się bardzo, bardzo blisko mnie. – Powiem wam szczerze, bo wiem, że wy nie puścicie pary z gęby. Jej Wysokości chłopa trzeba. Ot co!

Przypomniało mi się, jak układałem na łożu krwawiące zwłoki Ludmiły, i pomyślałem, że księżna teraz potrzebuje już tylko modlitwy, niczego innego.

– A tego malca szkoda, co? – zagadnąłem, żeby odwrócić uwagę od księżnej, chociaż nie widziałem przecież, by śmierć dziecka Nadieżdy napełniła dworzanina szczególnym smutkiem.

Ale właśnie tacy byli często Rusini. Przyjmowali okrutne decyzje władców czy naturalne kataklizmy ze stoickim spokojem, mówiąc: „skoro tak właśnie się dzieje, to znaczy, że tak właśnie dziać się musiało”.

– Jakiego malca? – zapytał obojętnym tonem.

– Tego bękarta. – Wzruszyłem ramionami. – Dziecka Nadieżdy i Kamieńskiego.

– Czemu niby szkoda? – Zmrużył oczy. – Nie, no pewnie, że szkoda – sprostował zaraz szybko. – Dorastać bez matki i bez ojca zawsze źle. Samemu być na świecie: smutno.

Zrozumiałem, że Andrzej jeszcze nie wie o skazującym niemowlę wyroku Ludmiły i o dokonanej egzekucji, więc przez chwilę zastanawiałem się, czy w ogóle mu o tym powiedzieć. Ale ponieważ spoglądał na mnie badawczo i pytająco, odrzekłem:

– Wybaczcie, że przynoszę złe wieści, ale księżna kazała chłopca zabić. Ja rozumiem tę decyzję. – Uniosłem dłonie. – Nikt nie chce

wychowywać mściciela. Niemniej uważam, że jest to smutne.

Dworzanin się roześmiał.

– Przecież mały jest u mnie na kwaterze. Opiekuje się nim taka stara Agafia, co sama odhodowała sześcioro dzieci i wszystko wie, co i jak z nimi robić.

Poczułem dreszcz przebiegający przez kręgosłup.

– To niemożliwe – stwierdziłem i sam słyszałem własny głos, jakby dobiegał ze studni. – Księżna przed chwilą powiedziała, że kazała bękarta utopić. Wrzucić do fosy.

Andrzej parsknął raz jeszcze.

– To tylko takie przekomarzanie się Jej Wysokości – wyjaśnił szczerze rozbawiony. – Zachodzi czasem do mnie, gilgocze malucha pod brodą i mówi: „A jakbym ci tak tę główkę ciachnęła, co?”. A dzieciak śmieje się wtedy jak głupi... – Nachylił się i obniżył głos: – Ludmiła go chyba lubi, mówię wam...

Zimny dreszcz nie był już zwykłym dreszczem, ale lodowym soplem, który mroził mój kręgosłup od szyi aż po sam krzyż.

– Mój Boże – rzekłem. – Jej Wysokość powiedziała to z takim przekonaniem...

– Nie pierwszego was nabrała – cmyknął przez zęby. – Teraz to cała służba już wie i tylko się śmieją, jak jaśnie pani mówi, że psom by go rzuciła czy coś. No ale wiecie co? Tak sobie myślę, że na początku rzeczywiście chciała dzieciaka... – Pstryknął palcami. – Ale jakoś jej się ten mały spodobał. – Znowu przyciszył głos do szeptu: – Księżna bardzo chciała mieć dziecko, jak świętej pamięci jej małżonek książę Dymitr jeszcze żył. I babki zamawiała, i do mnichów do klasztoru jeździła, i na bagna do mateczki Olgi chodziła... Nic nie pomogło. – Ściszył już głos tak, że w zasadzie tylko poruszał samymi ustami: – Jedni mówili, że to klątwa, inni gardłowali, że książę Dymitr powinien ją odesłać do klasztoru albo nawet... – urwał na chwilę. – Gdzie indziej. I wziąć sobie płodną klacz, a nie jałową.

– Czyli malec żyje? – zapytałem, a usta miałem tak zdrętwiałe, jakbym zmroził je lodem.

– Przecież cały czas mówię wam, że tak właśnie jest. – Teraz Andrzej spoglądał na mnie z wyraźnym zdziwieniem.

– No i bardzo dobrze – stwierdziłem już spokojnie, starając się powstrzymać nawet nie galopadę myśli, ale ogłuszający krzyk rozpaczy, który rodził się w moim umyśle. – Natasza się ucieszy, bo powiem wam, że kiedy wyszliśmy od księżnej, to aż się popłakała, że dziecko nie żyje – mówiłem i słyszałem sam siebie, tak jak gdyby ktoś zupełnie inny, ktoś stojący obok wypowiadał te słowa. Rozłożyłem ręce. – Wiecie, jak to jest: dziewczęca wrażliwość – dodałem. – Nie wspominajcie nic o tym, proszę, kiedy wróci. Ja sam jej powtórzę, co mi powiedzieliście.

Miałem nadzieję, że jestem na tyle przekonujący i spokojny, iż dworzanin nie poweźmie żadnych podejrzeń i nie przyjdzie mu do głowy, że Natasza mogła uczynić coś więcej, niż jedynie rozpłakać się z żalu nad odebraniem życia dziecku.

– A to już jak uważacie – odparł obojętnym tonem, najwyraźniej przyjmując moje słowa za dobrą monetę.

– Może wypijemy butelczynę dziś wieczorem? – zapytałem. – Co wy na to?

– Mam lepszy pomysł. – Uśmiechnął się szeroko i wycelował we mnie palec. – Wczoraj do Peczory zjechał pewien kupiec z Nowogrodu, mój znajomek. Ostatnio przywiózł kilka skrzynek przedniego węgrzyna dla księżnej pani i jedną flaszkę udało mi się od niego wydębić. A poza tym zawsze miło pogawędzić z kimś, kto właśnie przybył z wielkiego świata.

– Świetnie – odparłem z entuzjazmem, który starałem się, by wypadł naturalnie i przekonująco. – Jak będziecie gotowi na spotkanie, nie zapomnijcie mnie powiadomić. Z wielką radością do was dołączę.

Tymczasem zobaczyliśmy, że korytarzem idzie w naszą stronę Natasza. Ubrana w strój do konnej jazdy i z pudłem na kapelusze w dłoni. Pudło było skórzane, tłoczone w bliżej niezidentyfikowane, zatarte już wzory, ale co ważne, solidne, bo spinane żelaznymi klamrami i z żelaznym uchwytem do trzymania. To była dobra wiadomość, gdyż niespecjalnie podobała mi się wizja głowy

tropiciela wypadającej z tego pudła, a w dodatku gdyby wszystko to zdarzyło się na oczach dworzan, sług i żołnierzy. Chociaż... Któż w Peczorze ośmieliłby się zwrócić uwagę Nataszy?

– Skoro Natasza już jest, to jeśli wybaczycie – zwróciłem się do Andrzeja – musimy iść do stajni. Bo jak do wieczora nie załatwimy, co księżna pani kazała nam załatwić, to nam głowy pourywa. No, Nataszy może nie – zerknąłem na bladą Nataszę, która przyglądała nam się nieruchomym wzrokiem – ale mnie na pewno.

Dworzanin zaśmiał się.

– Nie martwcie się. Powodzenia.

– Proszę was – złożyłem jeszcze dłonie na poły żartobliwym błagalnym gestem – nie zapomnijcie o strażnikach.

– Nie bójcie się – odpowiedział pobłażliwym tonem. – Któż wie lepiej ode mnie, jak jaśnie pani potrafi dopiec człowiekowi...

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością raz jeszcze i odeszliśmy szybkim krokiem. Miałem nadzieję, że naprawdę Andrzej postawi wartę przed drzwiami księżnej albo sam dopilnuje, by nikt jej nie przeszkadzał. Niech ten spokój potrwa nawet nie do wieczora. Aby tylko tyle, byśmy zdążyli wyjechać za peczorskie mury. Więcej nam nie trzeba. Wiedziałem przecież, że nawet po odkryciu trupa nikt nie krzyknie od razu: „łapać inkwizytora” i nie wyśle za nami pościgu. Najpierw zrodzi się panika, dworzanie i słudzy będą wpadać i wypadać z komnaty, zawodzić, krzyczeć i próbować znaleźć kogoś, kto będzie wiedział, co robić. No i w końcu wreszcie kogoś takiego znajdą. Tym kimś będzie albo któryś z oficerów, albo sam Andrzej. Lecz zanim komukolwiek zaświta w głowie, że Natasza i ja możemy być nie tyle nawet odpowiedzialni za śmierć księżnej, co w jakikolwiek sposób w tę śmierć zamieszani, oboje dawno już będziemy bezpieczni pośrodku trzęsawisk. Cóż, może nie dokładnie „bezpieczni”, lecz nie do pochwycenia przez peczorskich żołnierzy lub tropicieli.

Rozdział czwarty

Śmierć w domu na bagnach

Nikt się nie dziwił, że wybieramy się na przejażdżkę, ani nikt nas oczywiście nie zatrzymywał. Ja byłem tylko rzymskim diabłem, a Natasza przerażającą „białą wiedźmą” i nawet jeśli komuś wydałoby się podejrzane, iż wyjeżdża z Peczory, to na pewno nie ośmieliłby się zwrócić jej uwagi. Zresztą czemu ktokolwiek miałby nabrać podejrzeń, skoro nasze wspólne przejażdżki ani nie były niczym rzadkim, ani niczym zaskakującym? Natasza była co prawda blada niczym wybielona chusta, milcząca i miała stężałą twarz, ale mieszkańcy Peczory, widząc ją już z daleka, zwykle od razu patrzyli pod własne stopy, by przypadkiem ich wzroku nie uznano za karygodną bezczelność. W końcu wierzono tutaj, iż wiedźma potrafi samym wzrokiem sprowadzić klątwę na zbyt ciekawych. I takie właśnie przesądy przydawały się teraz.

Zachowywaliśmy się jak zwykle przy wyjeździe: bez zbędnego pośpiechu. Ja przemawiałem do Nataszy i żartowałem w naturalny sposób, by mój swobodny głos dobrze słyszano wokół. Ale nie mówiłem ani za cicho, ani za głośno. Bo zbytnia swoboda zachowania bywa równie podejrzana jak zbytnie skrępowanie.

– A jak ktoś wejdzie do pokoju? A jak ktoś zobaczy? – zaszeptała nerwowo Natasza, kiedy przemawiałem łagodnie i spokojnie do wierzchowca, sprawdzając, czy dobrze zamocowano mu popręgi.

Zauważyłem, że spłoszony wzrok dziewczyny pobiegł w stronę bramy oraz mostu. Wiedziałem, czego się boi. Że oto zaraz zobaczymy, jak brama się zamyka, most podnosi nad fosę, a z fortecy biegną krzyczący w panice strażnicy. Wiedziałem, że jest jedynie minimalna szansa, by tak się stało, ale oczywiście rozumiałem ten niepokój.

– Wszystko będzie dobrze, Nataszka – powiedziałem i podałem jej splecione dłonie, by opierając na nich stopę, łatwiej mogła wsiąść na siodło. Potem pomyślałem przez chwilę. – Ale gdyby coś złego się jednak wydarzyło... – zacząłem ostrożnie. – Ja wiem, że się nie wydarzy, ale gdyby jednak się wydarzyło, to pamiętaj: przede wszystkim ratuj siebie. Rozumiesz? Nie patrz na nic innego.

Ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała mnie prosto w usta.

– Na pewno – odparła.

Westchnąłem tylko i zaraz pojechaliśmy wolniutko, stępa w stronę bramy, a potem równie wolno przez zwodzony most. Kopyta koni zaturkotały po drewnianych deskach. Zauważyłem ruch głowy Nataszy i powiedziałem:

– Nie oglądaj się za siebie. Nie ma po co.

Oderwała dłoń od wodzy i położyła na mojej dłoni. Miała zaciśnięte usta.

Robiliśmy to, co zazwyczaj. Przejeżdżaliśmy przez pełne błota podegrodzie, by potem wzdłuż rzeki i obok przystani skierować się w stronę lasu. Czy byliśmy teraz bezpieczni? Zapewne tak. Nawet gdyby jakimś cudem zorientowano się, że Ludmiła nie żyje, nawet gdyby jeszcze większym cudem oskarżono tak szybko o tę zbrodnię właśnie nas, i tak nikt nie ośmieli się zatrzymać białej wiedźmy i rzymskiego diabła. A kiedy wreszcie się połapią, dawno będziemy w samym sercu trzęsawisk, gdzie żaden tropiciel nie odważy się nas szukać.

– Poradzisz sobie na bagnach, Nataszka? – spytałem. – Trafisz do domu czarownicy?

Im bardziej oddalaliśmy się od fortecy, tym bardziej wydawała się spokojna. Spojrzała na mnie i jej twarz nie była już tak boleśnie napięta jak kilka chwil temu.

– To był też mój dom – zauważyła pobłażliwym tonem. – Jak miałabym nie trafić? Mateczka nie trzymała nas w więzieniu. Chodziłyśmy sobie to tu, to tam, więc nauczyłyśmy się bagien pewnie lepiej niż książęcy tropiciele...

– To dobrze. A czary?

– Z magią mateczki też sobie poradzę. – Błysnęła uśmiechem, który jednak zaraz zgasł na jej ustach. – Wszystko zrobimy, jak trzeba. Tylko konie będziemy musieli zostawić, bo z nimi nie damy rady...

Tak, tego oczywiście się spodziewałem. Miałem tylko nadzieję, że zwierzęta nie pognają gdzieś w środek mokradeł, ale wiedzione instynktem, spokojnie wrócą przed zmierzchem do domu. Cóż, może człowiek, który zostawiał za sobą istną jatkę ludzkich ofiar, nie powinien przejmować się losem bezrozumnych bydląt, lecz ja się jednak przejmowałem.

Nic już się nie wydarzyło w czasie naszej spokojnej przejażdżki. Ani nic niepokojącego, ani nic niezwykłego, ani nawet nic tak banalnego jak spotkanie myśliwego, drwala czy dzieci zbierających grzyby lub owoce. Wokół nas było cicho i pusto, oczywiście gdyby nie liczyć komarów bzyczących koło naszych głów.

Zostawiliśmy wierzchowce na podmokłej łące, na samej granicy prawdziwych bagien, które witały nas już ciemnością i zgnilizną. Tam, zaraz za linią drzew, powykręcanych niczym człowiek okaleczony torturami, rozciągała się domena peczorskiej wiedźmy. Smrodliwa, pogrążona w mroku, pełna dziwnych odgłosów dobiegających z zarośniętej zieloną rzęsą topieli. I właśnie tam, o ironio! mogliśmy czuć się całkowicie bezpiecznie. Przynajmniej bezpiecznie, jeśli chodzi o pogoń z fortecy. Nawet jeśli ta pogoń kiedykolwiek wyruszy, nawet jeśli rozpozna nasze ślady, to zatrzyma się właśnie tutaj. Tropiciele staną na granicy mroku i cuchnącego zaduchu, potem potrząsną głowami i zaklną się, że dalej nie pójdą, choćby nie wiem co. A jeśli ktoś zagrozi, może Jewsiej albo inny

oficer, to co najwyżej znikną, rozpłyną się we wrogiej gęstwinie i sami znajdą ścieżki dookoła, by wyjść z bagien. I przez kilka tygodni czy miesięcy będą wielkim łukiem omijać Peczorę, póki sprawa ich nieposłuszeństwa nie przyschnie lub nie ulegnie zapomnieniu.

– Połóż się, miły mój – poprosiła Natasza.

– Gdzie? W tym błocie? – zdziwiłem się.

– Trzeba, to trzeba. – Wzruszyła ramionami.

– Na plecach czy na brzuchu?

Parsknęła.

– Na plecach. A ja położę się na tobie.

– O, w takim razie być może nawet zapomnę o błocku chlupoczącym pod plecami...

Uśmiechnęła się, znowu jednak zmęczonym i zgaszonym uśmiechem, który szybko zniknął z jej twarzy. Nic już więc nie powiedziałem, tylko ułożyłem się w rozmiękłej ziemi, tak jak sobie tego życzyła. Od razu poczułem wilgoć i zimno oblepiające moje plecy. Tak jakby były tysiącami malutkich, mokrych i lepkich korzonków, które chciałyby we mnie wrosnąć, by potem powoli wciągać mnie w błotnistą głębinę. Co kryło się pod ruskimi bagnami? Nie metr pod ich powierzchnią, nie dwa metry pod nią, ale dziesięć i głębiej? To zapewne wiedzieli tylko ci, których ta toń wciągnęła...

Dziewczyna ułożyła się na mnie, opierając pierś na mojej piersi, brodę na mojej brodzie. Spojrzała mi prosto w oczy.

– Masz takie piękne oczy, Nataszka – powiedziałem. – Jak górskie jeziora słoneczną zimą...

Pogłaskała mnie po policzku i chłodnymi ustami dotknęła moich ust. Miałem już przed sobą tylko jej oczy, rzeczywiście tak blisko, jakby mój wzrok kąpał się w szarobłękitnej tafli. I tylko łaskoczące rzęsy przypominały mi, że to twarz żywej kobiety, a nie toń, w której można rozpłynąć się i zaginąć.

Czułem, jak jej wargi poruszają się na moich wargach, jakby Natasza coś szeptała, ale był to ruch tak subtelny, iż nie byłem pewien, czy przypadkiem nie wyobrażam sobie tego szeptu i nie jest

on zaledwie moim przywidzeniem, a usta dziewczyny zwyczajnie drżą podczas oddechu.

A potem Natasza wstała, szybko i lekko, i zobaczyłem, że jest cała otulona mgłą. Tak jakby była opleciona pajęczyną babiego lata, tylko nieco grubszą niż ta prawdziwa i bardziej nieruchomą, niereagującą drgnieniem na każdy powiew wiatru. Podniosłem się również i kiedy uniosłem rękę, ujrzałem, że wraz z nią wznosił się mętny opar. Tak jakbym i ja był źródłem wydobywania się tej mgły. Jakbym w mokrym odzieniu parował na mrozie. Ale nie czułem niczego nieprzyjemnego. Ani chłodu. Ani wilgoci. Tylko lekkość i spokój. Natasza ujęła moją dłoń.

– Chodź, mój miły. Teraz mgła nas nie uderzy, bo sami jesteśmy mgłą. – Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Wiedźma wie, że potrafisz obronić się przed jej czarami? – spytałem.

– Pewnie wie. A jeśli nie wie, to właśnie się dowiedziała. Teraz pójdziemy prosto przed siebie. – Pociągnęła mnie za sobą, w toń zarośniętą zgniłozielonym zielskiem.

Widząc, dokąd zmierzamy, powinienem wstrzymać krok, powinienem ją dopytać, czy na pewno dobrze idziemy, powinienem spytać, czy jest pewna, że trzęsawisko przed nami jest właściwą drogą. Bo widzicie, mili moi, zaklęcia zaklęciami, czarna magia czarną magią, ale przecież tutaj, na mokradłach, groźba była nie tylko ponadnaturalna, lecz również całkowicie naturalna, jak to na bagnach: wpadałeś w grzęzawisko i tonąłeś. Żadne czary nie były do tego potrzebne. Jednak nie wstrzymałem kroku i nie pytałem jej o nic. Tutaj, na tym przeklętym topielisku, to Natasza rządziła i decydowała, tutaj to jej należało zaufać, gdyż tylko ona wiedziała, jak nas bezpiecznie przeprowadzić. I na pewno nie był jej potrzebny towarzysz podający w wątpliwość jej decyzje. Tak, moi mili, każdy człowiek powinien znać swoje miejsce na ziemi w danej sytuacji i w danym czasie. Ja znałem.

– Teraz niepotrzebna nam droga – rzekła Natasza tonem objaśnienia. – Idź śmiało. I tylko trzymaj mnie za rękę. – Objęła mocniej moje palce. – Tak na pewno będzie bezpieczniej.

Jakże różniła się nasza podróż do wiedźmiej chaty od tej, którą zapamiętałem sprzed kilkunastu dni. Wtedy otaczało nas – mnie i książęcych tropicieli – zagrożenie, realne niebezpieczeństwo, nie tylko przyjmujące fizyczną postać, lecz wdzierające się w umysł, szarpiące nerwami, pobudzające stłumione czy uśpione lęki. Teraz po prostu spacerowaliśmy. Owszem, miejsce przechadzki może nie było urokliwe, może nie było pachnące, może nie mogłem zrywać mojej miłej kwiatków do wianka, a ona nie mogła karmić mnie pachnącymi malinami lub jagodami zbieranymi do dzbana. Może nie szemrały obok nas strumyki, a ptaszęta nie wyśpiewały nam miłosnych piosneczek wzbijającymi się pod niebo trelami. Jednak na pewno mogliśmy się czuć bezpiecznie. Co prawda w smrodliwym mroku, co prawda otoczeni zdegenerowanymi, wykoślawionymi drzewami i chorobliwie poskręcanymi krzewami, ale w zdumiewająco pewny sposób całkowicie bezpieczni.

Nie tak wiele minęło czasu, kiedy zza zasłony drzew wyłonił się znajomy widok domostwa czarownicy. Tym razem jednak nikogo nie zobaczyliśmy na zewnątrz. Ale poczuliśmy pod stopami twardą ziemię, a drzwi chaty otworzyły się. Za próg wyszła Tamara. Zamachała do nas wesoło.

– Wiedziałam, że to ty! – zawołała, patrząc z uśmiechem na Nataszę.

Potem podeszła w naszą stronę szybkim krokiem. Pocałowała Nataszę w policzek, a moja towarzyszka odpowiedziała jej pocałunkiem, jak mi się wydawało, szczerym i serdecznym. Mnie natomiast wiewióreczka powitała szerokim uśmiechem.

– Mateczka jest zła jak żmija, że przeszłaś po bagnie niczym Jezus po wodzie – zachichotała. – Bo teraz nie wie, czy ona jest taka słaba, czy ty jesteś taka silna.

– Albo udaje, że jest zła, by udawać, że jest słaba, i by ta pozorna słabość sprowokowała was do ataku. A raczej nie was, tylko ciebie. – Spojrzałem na Tamarę.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Bystry ten twój inkwizytor – zauważyła rozbawiona, lecz jej oczy pozostały chłodne i czujne.

– Ale nie, nie – dodała zaraz. – Teraz z mateczką jesteśmy zgodne niczym jery i wspólnie jedna drugiej spijamy sobie ptasie mleczko z dzióbków...

– A skąd taka przyjacielska komitywa? – zagadnąłem.

– Jak to skąd? – Pokręciła głową, niezadowolona moją niedomyślnością. – Zastanawiamy się, jak najlepiej sobie poradzić z cesarską czarownicą, żeby przypadkiem nas nie pokąsała. – Obróciła na mnie tym razem już szczerze rozbawione spojrzenie. – Gdyby dano tej czarnej kobiecie trzy sztylety i kazano zabić ciebie oraz dwóch innych ludzi, to w ciebie wbiłaby wszystkie trzy... I wbijałaby je tak, żeby bolało.

– Niesłusznie – odparłem. – Gdyż to, co z nią zrobiłem, wynikało jedynie z obawy przed jej wielką mocą oraz przed jej niezwykłymi umiejętnościami. Czyli wszelkie moje zabiegi, przyznam, na pierwszy rzut oka nieprzyjemne, można tak naprawdę uznać za wyraz szacunku dla jej ogromnych zdolności oraz nieokiełznanej siły.

Tym razem nawet Natasza się uśmiechnęła.

– No dobrze, chodźcie do środka – zdecydowała Tamara. – Nie wiem, po co przyszliście, w dodatku oboje, ale ostrzegam, że nie jesteście mile widzianymi gośćmi. Uważajcie, żebyście... – urwała nagle. – Po prostu uważajcie.

Cóż, z całą pewnością nie trzeba mi było ani o ostrożności przypominać, ani jej nakazywać. Jeśli wyobraziłbym sobie łososia płynącego z nurtem strumienia, na którego brzegu czekają wygłodniałe niedźwiedzie, to właśnie taka wizja oddawałaby, co sądzę o naszej sytuacji.

Kiedy weszliśmy do izby, znanej mi już z poprzednich wizyt w domostwie wiedźmy, było w niej jak zwykle jasno i czysto, ale tym razem pusto. Dopiero po dłuższej chwili zjawiła się mateczka Olga i usiadła przy stole naprzeciwko nas. Była gładko uczesana, włosy miała spięte na czubku głowy, ale na jej twarzy widziałem ślady znużenia. Może to starość? Może rzeczywiste wyczerpanie? A może zaledwie celowo mylący pozór?

– Daj im jabłecznika – rozkazała Tamarze. – Zmęczyłaś się pewnie, co? – Podniosła wzrok na Nataszę.

– Wcale – odparła Natasza.

Starucha kiwnęła głową.

– Wcale – powtórzyła i westchnęła. – Co za czasy. Wcale.

– Silna jesteś – dodała po chwili. – Zbyt silna.

Skupiłem uwagę i instynktownie napiąłem mięśnie, bo nie spodobał mi się ton czarownicy. Zerknęła na mnie przelotnie.

– Nie bój się, nie zamierzam jej skrzywdzić. Mówię po prostu, co myślę. Czy nie tak, Natasza?

Natasza skinęła głową.

– Mówisz, co myślisz, ale czy to prawda, czy nie, tego nie wie nikt.

– On wie. – Poruszyła podbródkiem w moją stronę. – Martwi się o ciebie. On już wie, że jesteś jak górska burza. Niedobrze, Natasza, niedobrze...

Moja towarzyszka wstrząsnęła głową. Chwyciła mnie za dłoń i splotła palce z moimi.

– Nigdy nie zrobię mu krzywdy – powiedziała ze złością. – Nigdy!

– Ale komuś zrobiłaś, prawda? – Wiedźma wpatrywała się w nią bacznie. – Co zmalowałaś, dziewczyno? Bo gdybyś nie wpadła w takie kłopoty, że sama nie wiesz, jak się z nich wyplątać, nie przyszłabyś do mnie, i to w dodatku ze swoim inkwizytorem. Czyli wasze kłopoty są tak wielkie, że ani ty jemu nie możesz w nich pomóc, ani on tobie.

Natasza opuściła głowę. A potem zaczęła mówić. Cały czas ze zwieszoną głową, lecz wyraźnie i jasno. I zgodnie z wszelkimi detalami. Wiedźma słuchała uważnie opowieści, nie zadając pytań, nie komentując i w żaden inny sposób nie dając poznać po sobie zdziwienia lub niezadowolenia. Kiedy Natasza skończyła, mateczka Olga westchnęła i wydało mi się, że jest to westchnienie szczerze smutne.

– Narobiłaś bałaganu, dziewczyno – stwierdziła.

– Wiem, mateczko – odparła cichutko Natasza. Splotła dłonie tak mocno, że kostki palców aż chrupnęły. Położyłem uspokajająco dłoń na jej dłoniach.

– Muszę się zastanowić, co właściwie mam z wami zrobić – dopowiedziała starucha. – Ty, Natasza, nie musisz się o nic martwić, ale co uczynić z tobą... – Zawiesiła na mnie ciężkie spojrzenie. – Tego doprawdy jeszcze nie wiem.

– On nic nie winien. – Natasza poderwała głowę. – Wszystko ja narobiłam...

– Cicho, głupia – przerwała jej wiedźma, lecz bez gniewu w głosie. – Tak jakbym tego nie wiedziała. Tylko co to ma teraz za znaczenie? – Pogrążyła się w zamyśleniu, a potem, po dłuższej chwili, uniosła głowę. – Przechowam was na razie – rzekła. – Kwatery takiej jak w Peczorze mieć nie będziecie. – Skrzywiła usta. – Ale jakiś kąt do spania się znajdzie.

– Dziękuję, mateczko – westchnęła Natasza ze szczerą, jak mi się wydawało, wdzięcznością.

Potem starucha znowu milczała przez dłuższy czas, wreszcie siorbnęła jabłecznika ze swojego kubka i zapytała:

– Wiesz, co to są wiatrołomy, inkwizytorze?

– Wiem.

– A wiesz, dlaczego nie wolno na nie wchodzić?

– Bo są niebezpieczne – odparłem. – Bo potrącenie jednego pnia, jednej gałęzi może obalić całą konstrukcję i pogrzebać ludzi pod nią. – A potem zdałem sobie sprawę, dlaczego zadała mi to pytanie. – Sądzisz, że jest aż tak źle?

– Sądzę, że może być aż tak źle – odrzekła.

– Jak źle? Że co źle? – Natasza ocknęła się z ponurego zamyślenia.

– Jeśli dobrze rozumiem, to mateczka sądzi, że do Peczory może nadejść wojna – wyjaśniłem. – Nowogrodu z Moskwą, a tak naprawdę wszystkich ze wszystkimi.

– A co nas obchodzi wojna? – Natasza wzruszyła ramionami. – Na bagnach było, jest i będzie bezpiecznie. Ludzie niech sobie wojują, ludzie niech sobie giną, nasza chata z kraja... Wojna jak przyjdzie, tak i przeminie, jak wszystkie przed nią i po niej... – słyszałem nadzieję w jej głosie.

– Oby. – Starucha wstała od stołu. – Tamara, pokaż im, gdzie będą spali. Potem niech Natasza pomoże w kuchni, a ty, inkwizytorze –

spojrzała na mnie, po czym wzruszyła ramionami – rób, co chcesz, abyś mi się nie plątał po chałupie...

Może nie było to ciepłe powitanie i może nie zapowiadało sielankowego aliansu, ale przecież nie spodziewałem się, iż będziemy sobie nawzajem spijać ptasie mleczko z dzióbków, jak to określiła Tamara. Przynajmniej pożytek był taki, że starucha nie wygnała nas z powrotem na bagna. Co zresztą wcale nie musiało wieszczyć nam najlepiej, gdyż byłem pewien, że wiedźma po prostu zastanawia się, jak nas użyć, by przyniosło jej to jak największy pożytek. Nie zapomniałem, że w czasie wojny z demonami na trzęsawiskach była gotowa poświęcić własną wychowankę, by osiągnąć cel, jaki sobie wyznaczyła. To wtedy przecież Natasza rzuciła oskarżenie, iż mateczka Olga dążyła do jej śmierci i do tego, by mnie połączyć z Tamarą, jak to podobno zostało wcześniej przepowiedziane. Teraz zresztą – po wszystkim, co się zdarzyło – owe przepowiednie, czybyśmy im ufali czy nie ufali, były już diabła warte, bo przecież na Rusi sprawy wzięły nowy obrót, a koło losu zakręciło się tak, że nawet wiedźma nie przewidywała tego w swoich majaczeniach. A zresztą kto ją tam wie, staruchę? Może i przewidywała?

Aby nikomu nie przeszkadzać, wyszedłem przed dom i usiadłem na pniu. Pomyślałem, jak zdumiewająco toczy się życie, że oto siedzę na gigantycznym głazie, który setki lat temu przyleciał z gwiazd i od tych setek lat tkwi niemal całkowicie zagrzebany w bagnie. Zastanawiałem się, jak wielki był ów głaz i z jakich otchłani pustki przyleciał. Tego zapewne nie dowie się nikt i nigdy. Ale dzięki niemu, jako zresztą jednej z tysięcy rzeczy i spraw, mogliśmy ujrzeć i zrozumieć po raz kolejny, że my, ludzie, jesteśmy zaledwie okruchem pomiędzy żarnami kosmicznych młynów. Młynów, które mogą nas zemleć na pył, nie tylko się nie zacinając się, lecz nawet nas nie zauważając.

Szczęknęły drzwi i przed dom wyszła Tamara z wiadrem w ręku.

– Możesz mi pomóc, jeśli chcesz – zawołała.

– Będzie to dla mnie zaszczyt – mruknąłem, a ona się roześmiała.

Podeszliśmy do studni, a kiedy dziewczyna odemknęła pokrywę, nie dostrzegłem za tą pokrywą nic oprócz ciemności.

– Głęboko – raczej stwierdziłem, niż spytałem.

– Kiedyś musiałyśmy kręcić kołowrotem we dwie na zmianę, tak nam słabły ręce – przyznała. – Teraz już mogę sama, ale nie żebym to lubiła...

Spuściliśmy zaczepione o sznur wiadro, usłyszeliśmy naprawdę głuchy i odległy plusk, a kiedy już kręciłem kołowrotem, by wciągnąć naczynie z powrotem, opowiedziałem Tamarze, jak Natasza nastraszyła Andrzeja, że dziewczęta wiedźmy piją wodę z bagien.

Tamara prychnęła i otrząsnęła się z teatralnym obrzydzeniem.

– Nie wiem, jak bardzo by mi się musiało chcieć pić, żebym łyknęła to świństwo – powiedziała. – Chociaż znam nie tak daleko stąd jedno źródełko, z którego bije czysta woda. Ale to cud...

Wyciągnąłem pełne wiadro i zdjąłem je ze sznura.

– Ciekawe, kto wykopał tutaj tak głęboką studnię. – Obróciłem wzrok na Tamarę. – To wymaga wielkiego nakładu sił i wielkich umiejętności.

– Mnie nie pytaj. – Machnęła ręką. – Dla mnie ta studnia zawsze tutaj była. No dobrze, pomożesz mi do progu?

– Pomogę.

– Za rok, może dwa Natasza już by nie uciekła z Peczory – rzekła nagle Tamara.

Spojrzałem na nią.

– A co to ma znaczyć?

– To przed nią by uciekali – wyjaśniła z uśmiechem, który wydał mi się złośliwy. – A ci, którzy by nie uciekli, już by jej służyli. Jej, nikomu innemu na świecie.

Przypomniało mi się, co o Nataszy mówił wołch Kosma, a także co sama Natasza twierdziła o mocy wołchów. I przypomniałem też sobie, jak po konfrontacji z Dziewiatkiem twierdziła, że teraz potrafiłaby już tę ich moc powstrzymać.

– Natasza jest zbyt delikatna – powiedziałem tylko, gdyż nie zamierzałem, rzecz jasna, dzielić się swoimi myślami z Tamarą. –

Wszystko, co się stało, to wina jej dobrego serca i wrażliwości.

Wiewióreczka roześmiała się tylko i nic już nie powiedziała. A kiedy doszliśmy do chałupy i stanęliśmy na progu, wzięła wiadro z moich rąk.

– Aniołkowie w niebie zapiszą ci ten dobry uczynek w rejestrze cnót – rzekła.

– Bardzo miło z ich strony – odparłem.

Zerknęła na mnie nagle spod rudej grzywki.

– Pamiętasz o naszej umowie, inkwizytorze? – Jej oczy zamigotały czerwienią.

– Pamiętam – odrzekłem spokojnie.

– Dotrzymaj jej, kiedy przyjdzie pora – nakazała z napięciem w głosie.

– Dotrzymam.

Spoglądała na mnie przez chwilę w milczeniu.

– Oby – powiedziała w końcu i zniknęła za drzwiami.

Miejsce, które starucha oddała nam do spania, trudno było nazwać pokojem czy nawet pokoikiem. To po prostu była ciasna komórka, ot, dwa kroki na trzy, z rzuconym na podłogę barłogiem. Natasza usiadła na środku tego barłogu i rozpłakała się.

Objąłem ją, a ona oparła się na mnie całym ciężarem.

– Nie płaczę, bo jest tu tak, jak jest – wychlipała cicho. – Płaczę nad tym, że było, jak było... Mieliśmy dom, mieliśmy pieska, który nas kochał... – Rozszlochała się na dobre.

– W Cesarstwie mówimy: fortuna kołem się toczy – powiedziałem. – Więc po prostu trzeba przeczekać jej zły obrót. Wytrzymać, Nataszka. Musimy wytrzymać!

Milczała długo i tylko płakała coraz ciszej i ciszej.

– Raz na wozie, raz pod wozem – odezwała się wreszcie. – Tak mówimy na Rusi.

Potem zwinęła się w kłębek, a kiedy nakryłem ją kocem i przytuliłem się do niej, przylgnęła do mnie bardzo, bardzo mocno. I niemalże nie słowami, ale samym oddechem wyszeptała mi do ucha coś niezwykle istotnego, coś, co miało mi bardzo, ale to bardzo mocno zapaść w pamięć. Coś, czego się spodziewałem, ale co potraktowałem tym poważniej, słysząc, z jakim napięciem i naciskiem wypowiada słowa. Później zasnęliśmy, mocno do siebie przytuleni, i jedyne dobre w tej wilgotnej, dusznej ciemności było to, że mieliśmy siebie nawzajem.

Nie wiem, dlaczego się nie obudziłem, kiedy Natasza wstawała. Inkwizytorzy mają, a w każdym razie powinni mieć sen tak czujny jak polujące drapieżniki. Nie możemy być ospali, leniwi i nieuważni, gdyż wtedy prędzej czy później (szczerze mówiąc, raczej prędzej) będziemy martwi. A jednak nie tylko się nie obudziłem, lecz nie miałem najlżejszego nawet wrażenia, że dzieje się coś, co powinno wzbudzić moją czujność. Czy byłem tak zmęczony, czy podziałał nierozpoznany urok, tego zapewne nigdy się nie dowiem. W każdym razie ocknąłem się w zupełnej ciemności i od razu poczułem zaniepokojenie, gdyż nie usłyszałem oddechu Nataszy ani nie poczułem obok ciepła jej ciała. Zerwałem się i pchnąłem drzwiczki komórki, która służyła nam za sypialnię. Było ciemno, choć oko wykol, ale Natasza, która wychowała się w tym domu, musiała znać każdą jego ścianę, każdą klepkę w podłodze i zapewne potrafiła poruszać się po nim na pamięć, nie potrzebując do tego ani światła dnia, ani blasku lampy. Ja nie byłem w podobnie szczęśliwej sytuacji. A poza tym, pomyślałem, czyż Natasza nie potrafiła radzić sobie nawet w całkowitej ciemności lochów w Peczorze?

Wyciągnąłem przed siebie dłonie i namacałem ścianę. Starałem się przypomnieć sobie, jak wyglądało wnętrze tego domostwa, dokąd prowadziły drzwi. Miałem nadzieję, że być może w głównej izbie płonie lub choćby żarzy się ogień na palenisku, może tam znajdę jeśli nie Nataszę, to przynajmniej źródło światła. Ale wtedy usłyszałem szczęknięcie i zobaczyłem maleńki płomyczek świecy, a za tym płomyczkiem skrzywioną niechęcią twarz staruchy.

– Czego tłuczesz się po nocy jak diabeł po piekle? – warknęła.

– Natasza zniknęła – odwarknąłem, gdyż wiedźma coraz bardziej działała mi na nerwy.

– Zniknęła, zniknęła – przedrzeźniła mnie złośliwie. – Pewnie poszła do izby, bo tam stoi nocnik. Gdzie niby miała zniknąć?

– Prowadź więc do tej izby – rozkazałem złym głosem, a czarownica, o dziwo, nie zaprotestowała, tylko wzruszyła ramionami i burknęła coś pod nosem.

Przecisnęła się obok mnie, a ja starałem się tak przykleić plecami do ściany, by nasze ciała zetknęły się w jak najmniejszym stopniu. Poszedłem jej śladem, a kiedy weszliśmy do głównej izby, panował w niej różowawy poblask, gdyż rzeczywiście na palenisku żarzyły się resztki zwęglonych bierwion. Nataszy jednak nie było.

– Wyszła – powiedziała wiedźma i usłyszałem w jej głosie zdziwienie oraz zaniepokojenie. – Wyszła na zewnątrz.

Po co niby miałaby to robić, chciałem od razu spytać, lecz ugryzłem się w język. Natasza była tak przygnębiona ostatnimi wydarzeniami i tak pełna posępnych myśli, iż sam już nie wiedziałem, co mogłoby jej przyjść do głowy. Może chciała pospacerować w znajomym miejscu? Może posiedzieć w samotnej ciemności? Może wypłakać się do sinego księżyca zawiniętego w bure chmury? Któż to mógł wiedzieć?

Czarownica otworzyła drzwi prowadzące na zewnątrz, a ja oczywiście domyśliłem się, dlaczego od razu wiedziała, że Nataszy nie ma w domu. Wszystkie skoble były bowiem odemknięte, a ponieważ starucha najwyraźniej wierzyła nie tylko w magię, lecz również w siłę zamków, skobli tych było kilka. Bardzo słusznie zresztą, gdyż człowiek przezorny zabezpiecza się na przeróżne sposoby.

Na zewnątrz panował półmrok, bo chociaż niebo było częściowo zachmurzone, to jednak księżyc w pełni dawał wystarczająco dużo światła, bym nie tylko nie musiał poruszać się po omacku, ale nawet całkiem dobrze widział na kilkanaście kroków.

– Nataszka! – zawołałem półgłosem. Później odchrząknąłem i zawołałem głośniej: – Nataszka!

Wilgoć, mrok i pustka połknęły moje wołanie bez echa, bez śladu i bez odzewu. Starucha stała dwa kroki dalej i z głową wzniesioną ku nocnemu niebu zdawała się węszyć w powietrzu. Był to widok nie tylko nieprzyjemny, lecz w jakimś stopniu również obrzydliwy i przyznam też, że budzący mimowolny dreszcz grozy. W tym sinoszarym mroku i w tej dziwnej pozie przypominała już nie ludzką istotę, ale jakąś obmierzłą hybrydę wynikłą z grzesznych i plugawych stosunków pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Zobaczyłem, że jej oczy żarzą się czerwienią, jakby w źrenicach pełgały płomyki rozgrzanych węgli. Nie odezwałem się i nie poruszyłem. Czekałem spokojnie, aż wreszcie wiedźma wypuściła powietrze przez usta i kiwnęła na mnie pokrzywionym palcem. Ruszyłem i nagle drgnąłem raptownie, a kiedy odstąpiłem na krok, to już ze sztyletem w dłoni. Ale obok stała tylko Tamara.

– Gdybym chciała cię zabić, już byś nie żył – stwierdziła z przyganą. – Chodź, chodź, śladem, tak jak mateczka idzie.

– Jesteś cicha – rzekłem.

– Jesteś nieuważny – odparła.

Przeszliśmy kilkadziesiąt kroków, klucząc, zbaczając i omijając przeszkody, a ja z goryczą pomyślałem, że gdyby czarownice zostawiły mnie teraz samego, to prawdopodobnie nie znalazłbym drogi powrotnej do chaty. No cóż, mokradła były wrogie cywilizowanym ludziom takim jak ja i nie sądziłem, by kiedykolwiek sprawy mogły się odmienić.

Znaleźliśmy się na podmokłej polance, na trawie otoczonej chaszczami i poskręcanymi korzeniami, ale moją uwagę natychmiast przykuła biała plama pośrodku. To leżała Natasza. Już kiedy podbiegałem do niej, zadziwiło mnie jedno: dlaczego Natasza była cała w bieli, skoro ani ona, ani ja nie rozbieraliśmy się do snu? Doskonale pamiętałem, że zasnęła w kaftanie i spódnicy, a zdjęła tylko buty. Tak, teraz zresztą leżała na trawie z bosymi stopami otulonymi mgłą. I już kiedy klęczałem przy niej i jej dotykałem, zobaczyłem, dlaczego na początku mogło się wydawać, że jest odziana w białą koszulę. Dziewczyna była bowiem spowita

mlecznym oparem. Cała. Od czubka jasnych włosów aż po palce u stóp i dłoni.

– Co to jest? Co to jest? – usłyszałem własny głos.

Miała spokojną, nieruchomą twarz i nie oddychała. Chwyciłem jej dłonie, przyłożyłem ucho do jej piersi. Nie poczułem pulsu, nie usłyszałem bicia serca. Przyłożyłem twarz do jej twarzy. Nie poczułem ani powiewu, ani ciepła tchnienia. Teraz dopiero odwróciłem się do towarzyszących mi kobiet, gdyż zdałem sobie sprawę, że nie robią zupełnie nic, żeby zbadać Nataszę czy żeby doprowadzić ją do przytomności. One po prostu stały i rozmawiały, szybko i cicho wypowiadając słowa. Były wyraźnie poruszone, lecz miałem wrażenie, że te emocje wcale nie dotyczą stanu Nataszy.

– Pomóżcie mi! – zawołałem.

Starucha nawet nie spojrzała w moją stronę, jednak Tamara zerknęła na mnie.

– Tu nie ma co pomagać – stwierdziła.

Jestem inkwizytorem, więc poznaję, kiedy ludzie są martwi, a kiedy tylko nieprzytomni. Widziałem wielu nieżywych i wielu takich, którzy zaledwie utracili świadomość. Dlatego też podejrzewałem, że Natasza jest martwa. Nie oddychała, nie biło jej serce, nie mogłem wyczuć pulsu. Ale widzicie, mili moi, każdy medyk, a my, inkwizytorzy, musimy być przecież też po trochu medykami, wie, że obok śmierci istnieje stan tak do niej podobny, iż często z nią mylony. Czyż już starożytni Grecy nie pochowali Era, syna Armeniosa, który ku ich zdumieniu powstał następnie z martwych? Czyż nie wspominano wielokrotnie w kronikach lub pamiętnikach pisanych przez dobrych chrześcijan o ludziach, których dotknęła nie śmierć prawdziwa, ale zaledwie pozorna, lecz tak przypominająca rzeczywistą, że ogłupiająca wszystkich wokół, nawet biegłych doktorów?

– Skąd wiesz? – krzyknąłem. – Nawet jej nie obejrzałaś!

Starucha rzekła coś szybko podniesionym głosem, czego nawet nie zrozumiałem, odwróciła się na pięcie i błyskawicznie zniknęła wśród chaszczy. Tamara podeszła do mnie i kucnęła obok.

– Zabierzesz ją do domu, inkwizytorze, tak? – zapytała spokojnym, wyjątkowo łagodnym głosem. – Tam przyjrzymy się wszystkiemu,

czemu trzeba się przyjrzeć. Teraz po prostu weź ją na ręce i idź za mną.

– Co się stało, na miecz Pana? – Spoglądałem na nią z niezrozumieniem. – Dlaczego to wszystko...

Chwyciła mnie za dłoń.

– Weź ją na ręce i chodź za mną – powiedziała tym razem z naciskiem, chociaż nadal bardzo spokojnie. – Nie jest dla nas bezpiecznie zostawać tu dłużej...

Są ludzie, którzy słysząc ostrzeżenie: „uciekaj!", zanim ruszą choć stopą, nie omieszkają wcześniej dopytywać, dlaczego niby mają uciekać, przed czym i dokąd. Ale są też tacy, którzy biorą larum za dobrą monetę i uznają, że czas na wyjaśnienia nadejdzie później, a na razie warto zawierzyć przestrodze. I zazwyczaj tak sprawy się mają, że ci drudzy żyją dłużej niż ci pierwsi. W związku z tym natychmiast porwałem Nataszę w ramiona i ruszyłem w ślad za idącą szybko Tamarą. Teraz bałem się tylko, by nie stracić jej z oczu, gdyż wiewióreczka pomykała naprawdę zręcznie i prędko, czego nie dało się (przynajmniej jeśli chodzi o zręczność) powiedzieć o mnie. Wreszcie jednak dotarliśmy do gospodarstwa wiedźmy, całego skąpanego w sinym blasku księżyca. Księżyc ten w całości wyłonił się zza chmur i wisiał nad domostwem niczym nieruchoma, obrzmiała od opuchlizny twarz natartego sadłem trupa.

Tamara zatrzasnęła za nami drzwi i słyszałem, jak zamyka skoble. Czego się bała?

– Zejdziemy na dół – usłyszałem rozkazujący głos staruchy. – Otwieraj przejście, Tamara.

Stojąca obok mnie wiewióreczka westchnęła ciężko.

– „Otwieraj, Tamara" – powtórzyła z przekąsem. – Zawsze ja, nie kto inny – prychnęła niezadowolona. – No dobrze, chodź za mną – rozkazała, obracając się w moją stronę.

Odemknęła drzwi i weszliśmy w całkowicie ciemny korytarz. Szedłem za nią tylko dzięki temu, że słyszałem odgłos jej kroków i czułem też otulający ją zapach świeżo rozgniecionej trawy, więc jedynie te dwa zmysły prowadziły mnie jej śladem, gdyż zmysł wzroku stał się całkowicie bezużyteczny.

– Próg – ostrzegła w pewnej chwili.

A ja potknąłem się, mało nie upadłem i ledwo utrzymałem równowagę. Dziewczyna zachichotała. Zważywszy na to, że niosłem na ramionach moją Nataszę, martwą lub przynajmniej sprawiającą wrażenie martwej, chichot ten wydał mi się wyjątkowo niestosowny. Zmilczałem jednak, gdyż potrzebowałem teraz pomocy, a nie głupich sporów o głupie zachowanie.

Wyszliśmy wreszcie z korytarza.

– Stój tu – rozkazała Tamara.

Usłyszałem jej oddalające się kroki, później szuranie, wreszcie trzask krzesiwa. Zobaczyłem iskierki, potem płomyczek, aż wreszcie chwilę później ciemność rozświetlił żółty płomień olejowej lampy. Spostrzegłem, że znajdujemy się w niewielkim pomieszczeniu bez okien. Tamara pokazała mi palcem żelazne koło wystające z podłogi.

– Podnieś klapę – rozkazała.

Ułożyłem Nataszę w kącie, opierając ją plecami o ścianę. Cały czas była otulona mgielnymi strzępami, jakby najdelikatniejszym puchem lub jakby zaplotły wokół niej swe królestwo pajączki babiego lata. Ta mgła ustępowała pod palcami, zostawiając na skórze nie rzeczywistą wilgoć, lecz zaledwie jej wrażenie, ale zaraz potem wracała na dawne miejsce, jakby pamiętała, gdzie powinna się ułożyć. Twarz Nataszy wyglądała tak łagodnie i spokojnie. Jak zwykle delikatnie, ale tym razem wygładzona w dodatku brakiem trosk.

Z trudem odsunąłem się od Nataszy i podszedłem do żelaznego koła sterczącego z podłogi. Klapa okazała się diabelnie ciężka. Udało mi się ją podnieść na jedną trzecią z wielkim wysiłkiem, jednak potem musiałem puścić. Opadła z łomotem.

– Musisz mi pomóc – stwierdziłem, obracając się do Tamary.

– Diabli – burknęła. – Jak ja tego nienawidzę. Myślałam, że masz więcej krzepy. Trzymaj lampę, przynajmniej do tego się może nadasz...

– Nie mam ciągnąć koła razem z tobą? – upewniłem się zdziwiony.

Tamara tylko machnęła ręką.

Kucnęła nad klapą i chwyciła żelazo w dłonie. Widziałem, jak żyły na jej rękach i szyi zaczynają pulsować, a twarz sinieje. Spod przymkniętych powiek dziewczyny dostrzegłem sączący się różowy blask. A potem nagle klapa niemal wystrzeliła w górę i opadła z tak donośnym hukiem na podłogę, że o mało nie drgnąłem z wrażenia. Tamara wyprostowała się i odetchnęła z ulgą. Otarła pot z czoła rękawem koszuli. Teraz znowu wyglądała jak zwyczajna dziewczyna. Ot, młoda gospodyni zmęczona pracą, z policzkami zaczerwienionymi z wysiłku.

– Nie znoszę tego, po prostu nie znoszę – powtórzyła ze złością.

– Ta klapa musi ważyć z dziesięć pudów – zauważyłem.

– Zabieraj Nataszę i schodź na dół – rozkazała.

Zajrzałem w głąb czeluści odsłoniętej przez podniesioną klapę. Cóż, wyglądało to wcale nie jak Bóg wie jaka otchłań, tylko niczym zwykłe zejście do piwnicy. Kamienne schody prowadziły w ciemność. Przyjrzałem im się uważnie.

– To nie są schody zbudowane z kamiennych bloków. To są schody wykute w litym kamieniu – stwierdziłem.

– Bardzo słusznie zauważyłeś – odparła. – A teraz zrób, o co cię prosiłam, dobrze?

Ostrożnie wziąłem Nataszę na ręce, czując, jak strzępy mgły ustępują pod moimi dłońmi. Jeżeli Tamara zatrzaśnie klapę, zostanę tu na wieki, pomyślałem. A raczej nie tyle na wieki, ile na mniej więcej tydzień, czyli dopóki nie umrę z pragnienia. Nie miałem co prawda pojęcia, w jakim celu gospodynie wiedźmiej chaty życzyłyby sobie mnie uwięzić, ale cóż: aby stać się ofiarą zbrodni, wcale nie trzeba znać motywów postępowania zbrodniarza. Wystarczy znaleźć się w towarzystwie niewłaściwych ludzi w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie.

Zacząłem schodzić, ostrożnie stawiając stopy na schodach, które były raczej wysokie i raczej wąskie, a fakt, że migoczący płomień lampy dobiegał zza moich pleców, wcale nie ułatwiał sprawy. Całe szczęście jednak, że ten blask w ogóle istniał, i całe szczęście, że usłyszałem oddech Tamary oraz szuranie podeszew jej butów.

– Przyznaj, że bałeś się, że cię tu zamknę – powiedziała. Jej głos rozbrzmiał w tej skalnej jaskini nienaturalnie mocno i wręcz posępnie, choć pewien byłem, iż ton w zamierzeniu miał być wesoły.

– Nigdy w życiu nie przyszłoby mi to do głowy – odparłem.

Schodziliśmy. Stopień za stopniem. Coraz głębiej w podziemie. Kto wykuł schody w tym kamieniu z gwiazd? Kiedy się to wydarzyło? Przecież podobne zadanie wymagało niewiarygodnie wiele wysiłku. Ale jeśli wiedźmy od wielu pokoleń mieszkały tutaj, jeśli każda miała służki czy uczennice, to przecież miały i czas, i siły, by dokonać podobnego dzieła. Zresztą czy któraś zawahałaby się przed porwaniem silnych mężczyzn, by pracowali do końca swych dni, kując schody w gwiezdnym kamieniu? Oczywiście, że nic by ich nie powstrzymało przed takim uczynkiem. Nawet w Cesarstwie, ostoi cywilizacji, życie ludzkie nie było wiele warte. Tutaj, na Rusi, nie było natomiast warte prawie nic...

Nie dopytywałem, w jakim celu schodzimy do lochów, bo nie spodziewałem się, by Tamara raczyła mi odpowiedzieć. Miałem tylko nadzieję, że tam, na dole, znajdziemy coś, co pomoże Nataszy. Co to mogło być? Magiczna pracownia pełna szaf z sekretnymi driakwiami, ziołami, miksturami? Drogocenny artefakt lub relikwia o wielkiej mocy?

Wreszcie dotarłem do końca schodów. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z faktu, że wszędzie tu, pod ziemią czy wewnątrz kamienia, czy jakkolwiek by to miejsce nazwać, było bardzo sucho. Stopnie nie były mokre ani wilgotne, woda nie spływała po ścianach i nie żłobiła w nich kanałów, nie skapywała z sufitu. Było chłodno, lecz nadzwyczajnie rześko. Nawet nie zawahałbym się powiedzieć, że dość przyjemnie, chociaż podobne określenie brzmiałoby jednak dziwnie, zważywszy na okoliczności.

– Otwórz drzwi – usłyszałem głos Tamary.

– Tu nie ma żadnych drzwi – odrzekłem, doskonale wiedząc, iż udzielam niewłaściwej odpowiedzi.

– Skaranie boże z tym inkwizytorem – westchnęła dziewczyna i przepchnęła się obok mnie.

Podeszła do ściany i oparła na niej dłonie. Zamrugałem. Na miecz Pana! Jak mogłem wcześniej nie zauważyć, że tu naprawdę znajdowały się drzwi. Potężne, z grubych, pociemniałych, ułożonych pionowo desek, wzmacnianych stalowymi klamrami.

Tamara weszła do środka i skinęła na mnie.

– Będziesz miał o czym opowiadać, jeśli kiedyś wrócisz do swoich – powiedziała lekkim tonem, ale słowa „jeśli kiedyś wrócisz" zabrzmiały w moich uszach złowrogo.

Na kamiennych postumentach stały zgaszone kandelabry i Tamara po kolei podchodziła i podpalała ogień na szerokich blaszanych talerzach koloru złota. Ale nie sama ta komnata, pomimo jej wielkości, była zdumiewająca. I nie to, że kiedy Tamara oświetliła ją blaskiem tych wielkich lamp, owa komnata zaczęła wyglądać niczym jakieś przedziwne świątynne sanktuarium wykute w węglu. Zdumiewająca była mgła snująca się w pomieszczeniu pasmami i strzępami, czasem gęstymi, czasem rzadkimi, czasem zdumiewająco szybko nabierającymi mlecznej barwy z przezroczystości i odwrotnie. A jeszcze bardziej zdumiewające było, iż pośród tych snujących się smug dostrzegałem ciała. Starych kobiet i takich w średnim wieku, i takich całkiem młodych. Tkwiły nieruchome, zawieszone nie wiadomo, czy w samej mgle, czy może w powietrzu, czy też na podporach lub linach, których nie potrafiłem dostrzec. Było tych kobiet kilkanaście, nie widziałem dokładnie, gdyż dalej w głębi komnaty mgielne pasma i strzępy tak gęstniały, że spostrzegałem jedynie kontury. Gdyby nie fakt, że w sali było co prawda chłodno, lecz nie mroźnie, pomyślałbym, iż kobiety zostały zamrożone niczym włochate słonie z opowieści Andrzeja, zwierzęta na wieki zatopione w śniegu i lodzie. Ale w pomieszczeniu było jednak na tyle ciepło, że zwłoki uległyby albo rozkładowi, albo mumifikacji. A więc kobiety musiały być pogrążone w letargu. W jakimś niezwykłym rodzaju magicznego snu. Czy w takim właśnie śnie znajdowała się Natasza? Czy tutaj będzie można ją obudzić?

– To nie dormitorium – rzekła Tamara, stając obok mnie. – To mauzoleum.

A więc nie o obudzenie chodziło. Najwyraźniej Natasza miała tu spocząć, pomiędzy owymi kobietami o nieruchomych twarzach.

– Wyglądają, jakby tylko spały – wyszeptałem.

– Nie śpią. Są martwe jak... – urwała na chwilę. – Widziałam kiedyś taką ozdobę. Liść zanurzono w roztopionej miedzi, a kiedy ona wystygła, liść wydawał się jak żywy. Widziałam każde włókno i każdą żyłkę, a jednak liść był martwy.

– Jak wypchane zwierzęta – dodałem bezwiednie.

Prychnęła niezadowolona.

– Z szacunku do nich nie chciałam używać podobnego porównania – stwierdziła z naganą.

– Pokolenia czarownic – powiedziałem, wodząc wzrokiem wokoło. – Mateczka za mateczką...

– Nie tylko. Również najzdolniejsze uczennice, które zbyt wcześnie odeszły – usłyszałem głos staruchy za plecami.

O, na gwoździe i ciernie! Jak mogłem nie usłyszeć jej kroków?! Stała teraz tuż za mną. Nie tak szkolono inkwizytorów, powiadam wam, mili moi, nie tak...

– I tu ma zostać Natasza – nie spytałem, lecz stwierdziłem.

– To wielki honor – wyjaśniła cichutko Tamara. – To jakby uznano cię za godnego pochowania w egipskiej piramidzie.

No proszę, a więc uczennica wiedźmy wiedziała nawet, czym są egipskie piramidy. Trzeba przyznać, że mateczka Olga zapewniała swoim dziewczętom naprawdę wszechstronną edukację.

– Jak długo one tu tak... leżą? – zapytałem.

– Gdybyś wszedł tam dalej, w głąb, zobaczyłbyś takie, które żyły jeszcze w czasach, kiedy nie było was, chrześcijan...

Powinienem się roześmiać, jednak tego nie uczyniłem. Nie wiem, czy wiedźma mówiła prawdę, lecz na pewno wierzyła, że ją mówi. Zresztą miałem przecież przed sobą zdumiewający przykład idealnego zachowania ciał. A jeśli można je zachować przez pokolenie, to dlaczego nie przez dziesięć pokoleń? Sto pokoleń? My, inkwizytorzy, byliśmy zbyt doświadczeni, by z góry twierdzić, że coś jest niemożliwe, tylko dlatego, iż wykraczało poza wąskie granice naszego pojmowania.

– Dobrze, a teraz chcę wreszcie wiedzieć, co się stało – rzekłem. – Dlaczego Natasza jest spowita mgłą? Dlaczego jest w tym stanie... letargu?

– Natasza nie jest w letargu, Natasza nie żyje – odpowiedziała stanowczo wiedźma. – Sam o tym dobrze wiesz, bo dotykałeś jej i ją niosłeś. Jedyne, co odróżnia ją od zwykłych umarłych, to że wygląda, jakby spała, i będzie tak wyglądała do końca świata... – Potem westchnęła: – A przynajmniej do końca tych bagien. Do końca mgły, która się nad nimi unosi...

– Dlaczego? – powtórzyłem.

– Wygląda na to, że walczyła z czarną wiedźmą – odparła z namysłem starucha.

– Jak niby Natasza mogła walczyć z Nontle?! Myślałem, że trzymasz czarną kobietę tak, by się nie wydostała. – Poczułem, jak w moim głosie wibruje gniew. – Ostrzegałem cię, że Hildegarda Reizend jest groźna jak kobra!

Mateczka Olga szarpnęła głową, a przez jej twarz przebiegł skurcz gniewu.

– Uważaj, jakim mówisz do mnie tonem, psie – warknęła.

– Ty uważaj, starucho – odparłem z lodowatą nienawiścią w głosie. – Nie daruję ci, jeśli jesteś winna śmierci Nataszy!

Na moment nasze spojrzenia się zwarły i wtedy Tamara zaklaskała donośnie.

– Zlitujcie się! – zawołała najwyraźniej do nas obojga. – Mateczko – zwróciła się już tylko do wiedźmy – niech mateczka wyjaśni inkwizytorowi, proszę. Przecież on tak tylko z głupoty...

Wiedźma prychnęła z niezadowoleniem. Potem wzruszyła ramionami.

– Twoja Natasza sama uwolniła czarną kobietę – powiedziała. – Musiała zawrzeć z nią pakt.

– Jaki pakt, na Boga? – Bardziej mnie zdumiała, niż oburzyła bezsensowność tego dziwacznego wyjaśnienia.

– Wolność w zamian za to, że czarna kobieta pomoże wam obojgu wrócić do Cesarstwa – dokończyła mateczka Olga. A potem dodała

jeszcze: – Pomysł jak pomysł. – Wzruszyła ramionami. – Gdyby się udał, wcale nie byłby taki zły.

Pokręciłem głową.

– Natasza nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła – stwierdziłem z przekonaniem. – Może ostatnio miała pewne... – szukałem przez chwilę słowa – kłopoty ze zbieraniem myśli, ale na pewno nie dałaby się nabrać inkwizytorskiej wiedźmie.

– Miłość czyni nas silnymi, miłość czyni nas też głupimi – rzekła starucha z przedziwną powagą w głosie. – Nie sądzę, by czarna kobieta zauroczyła Nataszę. Sądzę natomiast, że bardzo przekonująco ją okłamała. Cóż – wzruszyła ramionami – to również jest pewien rodzaj uroku, lecz zawdzięczamy go zręczności umysłu i wymowy, nie magii. Oraz sile, z jaką nasza ofiara pragnie nam uwierzyć...

– Nie wierzę – zaprotestowałem tak samo stanowczo jak poprzednio.

– Nie wierzysz, że tak bardzo chciała waszego szczęścia, iż była gotowa sprzymierzyć się ze służką inkwizytorów?

Nie byłem pewien, czy Nontle można nazywać „służką inkwizytorów", a raczej mówiąc dokładniej, byłem wręcz przekonany, że nazywać jej tak nie można, gdyż jej rola pełniona w strukturach Świętego Officjum była znacznie, znacznie istotniejsza.

– Natasza by bardzo uważała – odparłem.

– Tak samo jak bardzo uważała, kiedy zgniewała się na wołcha, a potem kiedy rozzłościła się na Ludmiłę? – spytała szyderczo wiedźma.

– To co innego...

– Nie, inkwizytorze, to nie co innego – przerwała mi stanowczo. – Umysł Nataszy był ostatnio niczym dziurawy statek na sztormowym morzu. Na pewno chciała dla was dobrze. – Wyciągnęła palec w moją stronę. – I tego nigdy jej nie odmówię, dziwne jednak wybierała drogi, by owo dobro osiągnąć.

– Natasza bardzo cię kochała – wtrąciła Tamara. – I mateczka ma rację, że miłość popycha ku nierozważnym czynom.

– A cóż wy możecie wiedzieć o miłości? – spytałem z szyderczą goryczą.

Tamara poczerwieniała i odwróciła się. Widziałem, że z trudem pohamowała się, by mi nie odpowiedzieć (a zapewne nie byłaby to odpowiedź przyjemna), lecz doceniłem, że jednak się powstrzymała.

– Zdziwiłbyś się, inkwizytorze – odparła natomiast spokojnie starucha. – Zresztą, żeby wiedzieć coś o miłości, wystarczyło przyglądać się, jak z miłości do ruskiej czarownicy prawy cesarski inkwizytor chce zrezygnować nie tylko ze swojego powołania, ale nawet z powrotu do Cesarstwa.

– Nataszka nie jest czarownicą – mruknąłem. – A mgła? – dopytałem po chwili.

Wiedźma spojrzała na Nataszę, wokół której cały czas unosiły się i którą otulały siwosine strzępy mgły.

– Nawet nie wiedziałam, że to potrafi – powiedziała cicho. – Ty wiedziałaś? – Obróciła się w stronę Tamary, a jej głos nieprzyjemnie się zaostrzył.

Wiewióreczka zbladła i przyłożyła dłoń do piersi.

– Mateczko, Jezu Boże, skąd ja niby miałabym wiedzieć takie rzeczy?

Starucha przyglądała jej się uważnie dłuższą chwilę, wreszcie wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Mocna była ta twoja Natasza – rzekła do mnie, ale spoglądając na leżącą nieruchomo dziewczynę. – Tak mocna, że nie przypuszczałam, że już teraz może taka być... Gdyby pożyła dłużej, mnie samą mogłaby połknąć jak jer komara.

– Co to za mgła? – powtórzyłem, bo zdziwione zachwyty wiedźmy nad mocą Nataszy niczego mi przecież nie wyjaśniały.

– To, co postrzegasz jako mgłę, to magia naszych bagien – odparła poważnie czarownica.

Zakręciła szybko kółko dłonią, a ja dostrzegłem, że spomiędzy jej palców wysnuły się nagle sine nitki. Zaraz potem zniknęły, a mateczka Olga strzepnęła dłońmi.

– I tak to właśnie jest – mruknęła.

– Widzę, że to magia – rzekłem spokojnie. – Chciałbym wiedzieć, dlaczego się pojawiła?

– Doszło do jakiejś zwady – odparła starucha. – Pewnie Natasza domyśliła się, że cesarska wiedźma nie dotrzyma przyrzeczenia. A może została zaatakowana? Może czarna kobieta chciała, zapewne wbrew umowie, dopaść ciebie, inkwizytorze? – Skierowała na mnie niechętne, przenikliwe spojrzenie.

– A czym jest w takim razie mgła?

– Tarczą, która wytrzymała uderzenie na tyle, by nie zmiażdżyło tego, kto się nią osłania, ale nie na tyle, by nie zginął od jego mocy – odparła za nią Tamara, a w jej głosie zabrzmiała ponura nuta. – Cesarska wiedźma musiała być naprawdę mocna. – Pokręciła głową.

– Głupia, szalona dziewczyna – skwitowała ze złością starucha. – Bardziej szalona, niż myślałam. Jak mogła z nią wyjść i dać się tak zaskoczyć?! Ona! Moja najlepsza uczennica! – Mateczka Olga aż zgrzytnęła zębami, a potem znowu poczułem jej wściekłe spojrzenie. – Wszystko to twoja wina, psie, tylko twoja!

– Czy nie chciałaś jej zabić jeszcze w zeszłym roku na bagnach? – warknąłem. – To ja uratowałem Nataszę, kiedy ty chciałaś, żeby rozszarpał ją demon! A może to wcale nie Nontle... – Postąpiłem krok. – Może ty ją zabiłaś? Może ciebie się nie spodziewała i tobie dała się zaskoczyć? – Zrobiłem drugi krok.

Wydawało mi się, że wiedźma urosła, a jej sylwetka pociemniała. Wokół szczytu trzymanego przez nią kostura zaczęło drgać powietrze.

– Proszę was, proszę – zajęczała naprawdę żałośnie Tamara. – Proszę, zabierzmy najpierw Nataszę, a potem możecie się choćby pozabijać, ale najpierw Natasza... Proszę...

Zerknąłem na nią. Jej delikatna piegowata buzia była teraz żałośnie wykrzywiona. Cofnąłem się o krok.

– A więc zajmijmy się Nataszą – zgodziłem się głucho.

Cały czas jednak bardzo uważnie przyglądałem się starej, cały czas też byłem skupiony i przygotowany do walki, jeśli miałaby nadejść. Nie sądziłem co prawda, bym miał szansę tę bitwę wygrać, tutaj, w samym środku wiedźmiej domeny, lecz przecież nie

zamierzałem się łatwo poddawać. Mateczka Olga machnęła ręką z nieoczekiwanie pobłażliwym wyrazem twarzy.

– Ech, młoda krew, płonie niczym lawa... – mruknęła, a powietrze wokół jej kostura przestało drżeć.

– Pożegnaj się ze swoją kobietą, inkwizytorze, jeśli chcesz – dodała, spoglądając na mnie. – Bo kiedy ty stąd wyjdziesz, ona tu zostanie. A kiedy ty będziesz stary i umrzesz, ona będzie tu leżeć niezmieniona nawet o jedną zmarszczkę...

– Skoro jej ciało nie ulegnie zniszczeniu – powiedziałem wolno – to dlaczego nie miałaby się kiedyś obudzić?

– Bo jest martwa – starucha mocno wyartykułowała ostatnie słowo. – Zrozum to wreszcie: martwa.

– Opowiadano ci na pewno, że na dalekiej lodowej Północy leżą w grobach trupy włochatych słoni – wtrąciła szybko Tamara. – One wyglądają jak żywe, ale nie są żywe. Umarły i zamarzły na wieczność. Tak jest też z Nataszą.

Nie miałem nic do powiedzenia, gdyż sam przecież doskonale wiedziałem, że mój opór przed uznaniem śmierci Nataszy wynika z nieracjonalnego uczucia, a nie medycznych podejrzeń. Na przegubie i szyi dziewczyny nie można było wyczuć pulsu, a z ust nie wydobywał się oddech. Nie biło serce, a źrenice pozostawały całkowicie nieruchome, niezależnie od tego, co działo się przed nimi. Jej ciało nie reagowało na żadne bodźce. Wiem, że medycy czasem przypalali rozgrzanym żelazem ludzi, o których śmierci chcieli się upewnić, ale ja nie musiałem posuwać się do takich metod. Zresztą kaleczenie ciała Nataszy, nawet jeśli naprawdę było ono martwe, wydawałoby mi się, najoględniej mówiąc, niewłaściwe.

– Czyli jej dusza odeszła – powiedziałem tylko, sam nie wiedząc, czy zadaję pytanie, czy tylko stwierdzam fakt, z którym musiałem się pogodzić.

Tamara spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Natasza była czarownicą – rzekła. – A czarownice nie mają duszy.

Uśmiechnąłem się tylko smutno.

– Po pierwsze, Natasza nie jest czarownicą, a po drugie, każde boskie stworzenie wywodzące się od Adama i Ewy ma duszę – rzekłem mocno. – Choćby tej duszy mieć nie chciało albo jej się wypierało. Zaręczam wam – objąłem obie wiedźmy spojrzeniem – że kiedy traficie przed najsurowszy Sąd Pański, to każda z was doskonale się przekona, że ma duszę. I że ta dusza cierpieć będzie przez wieczność...

Tamara wyraźnie się wzdrygnęła, lecz starucha tylko skrzywiła usta.

– Ty nie wydawaj wyroków za Boga, inkwizytorze – przykazała oschle. – No dobrze, zabierajmy się wreszcie do roboty...

– Co mam robić? – spytałem.

– Ty? – Wzruszyła ramionami. – Nic... Tylko patrz.

Podszedłem do Nataszy, uklęknąłem przy niej, ująłem jej dłonie i przytuliłem policzek do jej policzka.

– Nataszka – zaszeptałem – obudź się. Jeśli się nie obudzisz, pochowają cię tu żywcem na wieczność i będą myśleli, że umarłaś.

Jej policzki i dłonie były chłodne, ale to tylko dlatego, że w podziemiach było zimno, a ona sama otulona lodowatą mgłą.

– Nataszka, musisz mnie słyszeć – tchnąłem dalej w jej ucho. – Pamiętasz, obiecywałaś, że wszystko będzie dobrze i że będziemy zawsze razem. Tylko się obudź, proszę cię...

Rozcierałem delikatnie jej dłonie, cały czas mając nadzieję, że w przegubie poczuję cicho i słabo bijący puls.

– Już czas, inkwizytorze – usłyszałem za plecami głos wiedźmy, ale nie był to głos poirytowany, lecz raczej zasmucony.

– Poszedłbym twoim śladem, Nataszka, żeby wstawić się za tobą na Sądzie Pana – szeptałem dalej. – Ale przecież wierzę, że wcale nie umarłaś. Że jesteś uwięziona gdzieś w świecie pomiędzy życiem a śmiercią. – Ściskałem jej palce, wierząc, cały czas wierząc, iż poczuję, że ona oddaje mój uścisk. – Musisz wrócić, Nataszka – mówiłem dalej. – Musisz wrócić, bo jeśli każą mi cię zostawić i odejść, to już nigdy się nie spotkamy...

Teraz dotarły do mnie samego słowa brzmiące: „nigdy się nie spotkamy”. Nigdy nie usłyszę twojego śmiechu, nie zobaczę twoich

błyszczących oczu, nigdy już nie powiesz: „miły mój”, nie zarzucisz mi przez sen nogi na biodro, nie połaskoczesz mnie w nos włosami, nie usiądziesz mi na kolanach...

– Inkwizytorze... – usłyszałem nad głową ponaglający głos Tamary. – Mateczka się niecierpliwi. Otrzymałeś wielką łaskę, ale nie nadużywaj jej.

– Nataszka, jeżeli teraz cię zostawię, nigdy już cię nie odzyskam – tchnąłem prosto w jej ucho.

– Łaskoczesz, jak tak szepczesz – usłyszałem niespodziewanie jej śmiech i rozbawiony głos.

Ale to było tylko wspomnienie dobrych chwil z przeszłości. Tym bardziej bolesne, że już świetnie rozumiałem, iż te chwile miały nigdy nie wrócić. Puściłem dłonie Nataszy i oderwałem policzek od jej policzka. Podniosłem się i ostatni raz spojrzałem na nią. Jak siedzi pod ścianą, szczupła, z delikatną buzią, na której malował się spokój. Wyglądała, nawet nie jakby spała, ale jakby po prostu przycupnęła na chwilę, by odpocząć.

Odsunąłem się, a starucha i Tamara ostrożnie wzięły Nataszę pod ramiona i weszły z nią w głąb komnaty. Teraz mgła nie przypominała w niczym pasemek babiego lata, ale w większości miejsc tworzyła zbite burzowe chmury. Nie była już sina, siwa czy mleczna, lecz szara, miejscami nawet granatowa. Wszystkie trzy kobiety zniknęły w tym kłębowisku, nie odeszły jednak daleko, gdyż słyszałem monotonny głos staruchy. Czułem też erupcję, jaką odczuwają inkwizytorzy, kiedy w ich pobliżu odprawiane są zaklęcia. Ale nie obchodziło mnie to. Oparłem się o ścianę i przymknąłem oczy, starając się oczyścić i uspokoić umysł. Tęsknota i smutek zostaną w nim na długo, tego byłem pewien, ale jeśli sam chciałem żyć (a chyba chciałem), musiałem jak najprędzej dojść do pełni sił. Zwłaszcza że doskonale pamiętałem, co powiedziała mi Natasza (i przed czym mnie ostrzegała) tej nocy, jeszcze zanim zasnęliśmy.

Przez dłuższy czas w komnacie panowała cisza. I mgła snująca się to gęstszymi, to rzadszymi pasmami. Widziałem, jak opary zbliżają się do mnie, i widziałem, jak się cofają, jak plotą nad moją głową

pajęcze, gęste sieci, by nagle rozwiać się i zniknąć, by zgęstnieć w innym miejscu. Miałem wrażenie, iż mgłą kieruje coś w rodzaju nie tyle może umysłu, lecz zwierzęcego instynktu, że te chmury, smużki i strzępki potrafią we mnie spoglądać. Bywały takie chwile, kiedy patrząc na pasma wijące się w stukrotnym, powolnym tańcu, miałem wrażenie, jakbym przeniósł się ze świata realnego do nie-świata, demonicznego uniwersum, gdzie wszystko, co znane, pokazane jest w wynaturzonym, zdegenerowanym świetle, gdzie cienie stają się blaskiem, a blask przemienia się w cień.

Wreszcie czarownice wróciły, wyłaniając się z mgły. Z daleka zdawały się dziwnie spotężniałe, bez mała jakby były jakimiś powolnymi trollami, człapiącymi wśród oparów unoszących się nad mokradłami. Ale kiedy się zbliżyły, zobaczyłem, że nic się nie zmieniło. Wróciły do mnie stara kobieta o zmęczonej twarzy i wybladła rudowłosa dziewczyna o błyszczących oczach. Tyle że siwe włosy staruchy, które zwykle były spięte w kok lub koronę wokół głowy, tym razem sterczały na wszystkie strony, jakby ktoś wyrwał z nich spinki i zmierzwił je dłonią w bezsensownej, dzikiej zabawie.

– Co miało zostać uczynione, zostało uczynione – oznajmiła wiedźma uroczystym tonem.

Skinąłem głową.

– Co teraz? Czy schwytamy Nontle? – zapytałem.

Starucha wstrząsnęła ramionami.

– Pewnie, że nie cieszy mnie, iż uciekła – odparła spokojnie. – Ale kiedy już została uwolniona, jest zbyt silna, byśmy ją ścigali.

– Zbyt silna? Tu? Na twoich bagnach?

– Niech idzie precz, gdzie chce – rzekła.

Tamara spojrzała na mnie i rozłożyła ręce.

– Skórka niewarta wyprawki, inkwizytorze – powiedziała. – Za dużo można stracić.

Starucha spojrzała jeszcze raz w mgłę i otrząsnęła się.

– Chodźmy – rozkazała. – Zgłodniałam. A ty... – Spojrzała na mnie i cmyknęła przez zęby. – Będę musiała się zastanowić, co w ogóle z tobą zrobić.

Wiewióreczka zbliżyła się do mnie i zarzuciła mi ręce na szyję.

– Mateczka mi go odda na własność – powiedziała ciepło. – Już ja będę wiedziała, co z nim zrobić!

Spostrzegłem, że w jej oczach tańczą płomyki, i przygotowałem się. Starucha nie mogła tego widzieć, gdyż Tamara stała tyłem do niej. I nagle dziewczyna puściła mnie i odskoczyła na bok. Jej oczy rozbłysnęły erupcją ognia. Czerwienią jakby rodzącą się w piekielnej czeluści.

– Teraz! – krzyknęła. – Mój dług!

Byłem na to więcej niż gotowy. Doskonale wiedziałem, dokąd wszystko prowadzi. I równie doskonale wiedziałem, że w taktyce Tamary jestem zaledwie branderem wysłanym w samobójczej misji, by poczynić jak największe szkody, a potem zatonąć. Ale tak naprawdę było mi wszystko jedno. Poza tym: jeśli Bóg z nami, któż przeciwko nam? A ja przywołałem imię Pana naszego i jednym ruchem wyszarpnąłem sztylet ukryty w rękawie. Wyciągnąłem się jak struna i wbiłem ostrze w pierś wiedźmy. Już w czasie kiedy moja dłoń zmierzała w jej stronę, czułem, że coś jest nie tak. Że coś jest bardzo nie w porządku. Ból przeniknął mnie od czubków palców aż po stopy, tak jakby uderzył we mnie piorun. Osunąłem się na kolana, potem uderzyłem głową w posadzkę i znieruchomiałem. Moje ciało zostało objęte niemal całkowitym paraliżem. Jednak ostrze zdołało dojść do celu. Na tyle wystarczyło mi sił, by wrazić nóż aż po rękojeść. I z kaftana czarownicy sterczała teraz jego obła, wyprofilowana głowica niczym dziwaczna narośl, niczym chorobliwy stalowy guz, który skaził żywe ciało.

Wiedźma nawet nie jęknęła, nawet nie zarzęziła, tym bardziej nie krzyknęła. Objęła tylko zakrzywionymi palcami rękojeść i wpatrzyła się we mnie oczami pałającymi niczym rubiny lśniące w świetle lamp, niczym lustra pokazujące drogę do piekielnych otchłani. Stała spokojnie, powoli wysuwając sztylet ze swojej piersi, ułamek cala po ułamku cala. I wtedy Tamara zakrzyknęła coś wielkim głosem, coś, czego kompletnie nie rozumiałem, lecz co wstrząsnęło mną niczym uderzenie lodowej zadymki w nagie ciało. A potem prawą ręką wyszarpnęła sztylet wiedźmie, chwyciła ją lewą dłonią za włosy,

odgięła głowę staruchy do tyłu i ostrzem głęboko cięła jej odsłoniętą szyję. Bardzo głęboko, tak jakby nie podrzynała gardła, ale wręcz jakby chciała odciąć głowę od tułowia. Oczy mateczki Olgi rozjarzyły się na moment niczym krwawe słońce, zaraz potem jednak zgasły i wypaliły się. Starucha upadła na ziemię, nieruchoma i z wybałuszonymi oczami, gdzieś tam w głębi tych źrenic nawet nie tliły się, ale zaledwie przygasały brudnoczerwone cienie. I tylko spojrzenie zadyszanej Tamary przez dłuższy czas migotało czerwienią, lecz w końcu i ona uspokoiła się, nachyliła nad mateczką Olgą, coś poszeptała, dotknęła jej ciała, potem odetchnęła głęboko i zbliżyła się do mnie. Nadal byłem niemal całkowicie sparaliżowany i jak można się domyślać, głęboko zasmucony swoją całkowitą bezbronnością. Tamara nachyliła się nade mną. Miała znów zielonkawe tęczówki z orzechowymi cieniami wokół źrenic. To były ładne oczy. Pomyślałem sobie, że kto wie, może to ostatni widok, jaki przyniosę z tego świata.

– Coś takiego: przeżyłeś – stwierdziła z przychylnym zdumieniem.

– I co? Teraz zabijesz również mnie? – wyszeptałem, z trudem poruszając ustami.

– Głupi jesteś. – Wzruszyła ramionami. Potem zachichotała. – Ale cię mateczka urządziła – powiedziała rozbawiona. – Gdybyś nie był inkwizytorem, leżałbyś teraz pewnie martwy jak sprawiony królik. Albo przynajmniej nieprzytomny. A mateczka nawet nie draśnięta. No, no, dobrze zrobiłam, stawiając na ciebie... – Usiadła koło mnie i wzięła mnie za rękę. – Czujesz coś?

– Trochę. Niewiele.

Pokiwała głową.

– Niedługo przejdzie.

Widziałem, że rozciera moje dłonie, jednak naprawdę niewiele czułem. Tak jakbym miał ciało z kamienia lub drewna, lub zmarznięte na kość.

– Diablo mocna była ta twoja wiedźma – westchnąłem. – Na pewno nie żyje?

– Myślisz, że co? Że poderwie się z dziurą w piersi i z niemal oderżniętą głową? – Przyglądała mi się rozbawiona.

Ot, wyglądała teraz jak miła piegowata i rudowłosa dziewczyna, będąca w dobrym humorze i na pewno mogąca budzić ciepłe uczucia w każdym mężczyźnie. Miała w sobie właśnie taki figlarny urok zaprzyjaźnionej wiewióreczki.

– Do końca nie wiedziałam, czy dotrzymasz umowy. – Pokręciła głową.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie – odparłem z wysiłkiem. – Wiedźma zabiłaby mnie.

Tamara pokiwała głową, lecz niezgodnie z tym ruchem rzekła potem:

– Nie, nie zabiłaby cię. Chciałaby zbadać coś, co w tobie widziała i co ją bardzo ciekawiło. Co ją ciągle kłuło jak drzazga pod paznokciem. Nawet mnie o tym wspominała. No cóż, gdyby cię te badania zabiły, toby cię zabiły, ale nie zrobiłaby tego celowo.

– Natasza mi powiedziała, że tak właśnie będzie – wyjaśniłem. – Ostatniej nocy, kiedy się do mnie przytuliła, wyszeptała mi na ucho, że jeśli cokolwiek jej się stanie, że jeśli tylko jej zabraknie, to wiedźma zabierze się za mnie. Zresztą sam cały czas właśnie tego się obawiałem.

– Natasza była mądra i dzielna – powiedziała Tamara niespodziewanie uroczystym tonem. – Ja naprawdę ją kochałam.

– Natasza jest, a nie była – sprostowałem spokojnie.

Milczała chwilę.

– Natasza jest teraz tylko przeszłością – rzekła smutno i jak mi się zdawało, był to prawdziwy smutek. – Ona żyje już tylko w naszej pamięci, nigdzie indziej. Chciałabym, żeby kiedyś do nas wróciła, lecz nie wróci.

Nie zamierzałem się z nią sprzeczać, zresztą jakie miałem podstawy do podobnej kłótni?

– A co z nami? – spytałem.

Westchnęła.

– Teraz, kiedy to ja jestem mateczką, będę miała co tutaj robić. – Roześmiała się perliście. – Nie sądziłam, że tak szybko wszystko mi się powiedzie. Ale sprawy trzeba będzie poukładać na nowo. – Przyjrzała mi się uważnie. – Pomoc mogłaby mi się przydać –

dodała, mrużąc oczy. – Tu jest wiele tajemnic, do których mateczka mnie nie dopuszczała. Trzeba je będzie rozwikłać, rozplątać. A cesarska wiedźma krążąca nieopodal? Myślisz, że podoba mi się, kiedy o tym myślę?

O tak. Myśl, że Nontle żyje gdzieś niedaleko, gdzieś na wolności, wściekła i spragniona zemsty, również wcale mi się nie podobała.

– Pomoc w zamian za azyl, co ty na to? – dokończyła wiewióreczka.

Przez chwilę się nie odzywałem.

– Szczodrobliwa propozycja – odparłem wreszcie. – Zresztą powiedz, czy mam inne wyjście?

– Mogę cię wyprowadzić z bagien i chętnie to uczynię, jeśli chcesz, odwdzięczając się za pomoc. Ale... – Rozłożyła ręce. – Naprawdę nie wiem, co niby mógłbyś zrobić ze sobą dalej. Do granic Cesarstwa daleko. Sto razy zdążą cię złapać. A jak złapią – uniosła palec – to lekko nie będziesz miał. A w lesie? Przecież ty jednej zimy sam nie przeżyjesz...

Cóż, ośmielałbym się przypuszczać, że nie przeżyłbym sam w puszczy nawet tygodnia, a co dopiero mówić o całej zimie.

– Będą na ciebie polować, a pomocy nie znajdziesz nigdzie. Każdy cię wyda. Chłop, żołnierz, myśliwy, szlachcic, mnich. Każdy.

– Domyślam się – mruknąłem.

– Znasz grekę, prawda? – zagadnęła nagle.

Skinąłem głową, lecz przyznałem również szczerze:

– Nie ćwiczyłem jej od dawna. Taaak, od wielu lat nie miałem w ręku greckiej książki...

– Mateczka ma... miała – poprawiła się – wiele greckich ksiąg. Dziwnych ksiąg. Pomożesz mi, bym dowiedziała się, co w nich jest. A wydaje mi się, że są wartościowe. Pewnie nawet bardzo.

Skinąłem głową. Tak, tak, ani siedziba wiedźmy nie była zwykłą ruską chatą na bagnach, ani sama mateczka Olga nie była zwykłą pomyloną staruchą. To wiedziałem od dawna, ale miałem też wrażenie, że jeśli tylko Tamara pozwoli mi zgłębiać sekrety czarownicy, to dowiem się o tym jeszcze więcej i więcej. Może dowiem się również, jak obudzić Nataszę. Może to, czego nie

potrafiła dokonać wiedźmia magia, wypełnię ja, łącząc zaklęcia czarownic ze świętymi inkwizytorskimi modlitwami?

– Chętnie ci pomogę – odparłem.

– Nauczysz mnie greki – dodała. – Nauczysz mnie też wszystkiego, co wie inkwizytor.

Wzruszyłem ramionami, gdyż było mi wszystko jedno. Skoro ta mała wiedźma chce poznać nauki inkwizytorów, niech je poznaje... Tu, na tych ruskich bagniskach, nie zaszkodzi tym nikomu ani niczemu. A nawet jeśli miałaby zaszkodzić, co mnie to obchodziło?

– Czego sobie tylko życzysz – zgodziłem się.

Potem znowu milczeliśmy chwilę. Powoli czułem, że krążenie wraca mi do kończyn. Poruszyłem stopami. Oho, pomyślałem, za chwilę może nawet odważę się usiąść!

– Ty nic we mnie nie widzisz? Tego, co widziała starucha? Nie interesuje cię to?

Ściągnęła usta i pokręciła głową.

– Sama nie wiem, czy coś widzę, czy nie – odrzekła z zastanowieniem. Podparła mnie ramieniem i pomogła mi usiąść. – Lepiej?

Zamrugałem, bo zakręciło mi się w głowie i przez chwilę widziałem podwójnie.

– Ależ ta stara miała krzepę – przyznałem jednocześnie z niechęcią i podziwem, spoglądając na martwe ciało wiedźmy. – Przecież wydawało się, że ledwo dycha, a tyle w niej zostało siły, że o mało mnie nie zabiła...

Tamara pomogła mi przesunąć się i oprzeć plecami o ścianę.

– Minie dużo czasu, zanim jej dorównam – przyznała, jednak nie usłyszałem w jej głosie żalu, lecz raczej zdecydowane postanowienie dążenia do celu. – Powinnam poczekać... pouczyć się jeszcze. – Pokręciła głową. – Ale kto wie, kiedy by mi się trafiła podobna okazja.

– A inne dziewczęta? Nie zagrożą ci?

– A która z nich by tu chciała zostać? – prychnęła Tamara. – Tylko przebierają nogami, by uciec z tych śmierdzących bagien. Każda sobie marzy, że w wielkim świecie spotka ją coś lepszego.

– Ty nie?

Wzruszyła ramionami.

– Mnie nie ciągnie wielki świat. Ani miłość. Ani zabawa w domek z mężczyzną i pieskiem – dorzuciła ironicznie. – No cóż, mężczyzna pewnie, że się przyda. – Szturchnęła mnie w bok, jednak nawet całkiem delikatnie. – Ale ja nie jestem drugą Nataszą, inkwizytorze...

– Nie ma i nie będzie drugiej Nataszy. Nigdy – odparłem ze smutkiem.

Przez twarz Tamary przebiegł bolesny skurcz.

– Myślisz, że mnie nie żal? – powiedziała cicho i już bez ironii czy kpiny. – Nigdy nie było między nami zwady. Zawsze się rozumiałyśmy. I nawet jak się pokłóciłyśmy, to potem szczerze się godziłyśmy. – Westchnęła. – Naprawdę chciałam, żeby wam się udało. Wiesz o tym, prawda?

Skinąłem głową.

– Chociaż dla mnie tak, jak jest, też jest dobrze – dodała trzeźwo i chłodno. – Stara nie żyje i to ja znam wszystkie jej sekrety, a w domu będę miała cesarskiego inkwizytora, w dzień do pomocy, w nocy do zabawy. Sprawy udanie się dla mnie ułożyły, czyż nie?

– Chyba udanie – odpowiedziałem ze smutkiem.

Chwyciła mnie za włosy. Tym razem wcale nie delikatnie.

– Nie martw się – nakazała ostro. – Ona by nie chciała, żebyś się martwił. Pamiętaj o niej, kochaj ją we wspomnieniu, ale nie siedź mi tu jak zmoczony wróbel z przetrąconym skrzydłem. Żyj tym, co przynosi ci życie. Pomyśl, że mogło być gorzej...

Poczułem, że krążenie w nogach wróciło, więc zebrałem się, by wstać. Tamara podała mi rękę i musiałem się na niej oprzeć całym ciałem. Była zaskakująco silna, a ciało miała gibkie i sprężyste. Ale aż jęknęła pod moim jeszcze dość bezwładnym ciężarem.

– Co z trupem? – spytałem, patrząc na ciało mateczki Olgi.

– Dziewczęta posprzątają – odparła lekko. – Truchło rzucimy w bagno, bo niby co z nią zrobić?

Oparłem się o ścianę, ale i tak czułem, że gdyby nie wsparcie Tamary, to znowu wyłożyłbym się na posadzkę jak długi. Ech, naprawdę piekielną siłę miała stara czarownica. Gdyby nie było

obok Tamary i gdyby nie wykrzyczała swoich wiedźmich zaklęć, to starucha wyciągnęłaby z rany sztylet i tym moim własnym sztyletem rozpruła mnie na kawałki. Oczywiście uczyniłaby tak, gdyby miała w gniewie ochotę zakończyć sprawy szybko. A jeśliby się wcześniej uspokoiła, to moja śmierć nie nadeszłaby ani dzisiaj, ani jutro, choć zapewne z tęsknotą bym tej śmierci wyczekiwał.

– Nie chcesz z nią zrobić tego samego, co tu z tymi? – Próbowałem powieść dłonią wokół, ale niezbyt mi się to udało i ręka mi opadła.

Tym razem przez twarz Tamary przebiegł wyraźny cień. Zrozumiałem, że tego po prostu nie potrafi. Może również nie chce, lecz na pewno nie potrafi. A więc za wcześnie zabiła swoją mentorkę. Jeszcze nie uzyskała od niej wszystkiego, co mogła uzyskać. No cóż, to na pewno nie było moje zmartwienie.

Wciągnąłem głęboko powietrze w płuca, potem wypuściłem je wolno, przymykając oczy. Myślałem o tym, że wdycham życie, a wydycham śmierć, że chłonę soczystą zieleń trawy i błyszczącą żółć słońca, a wyrzucam zgniły brąz i czerń odchodów. Kiedy nabierałem tchu, pod powiekami rodziła mi się promiennie uśmiechnięta Natasza stojąca w jasnym snopie światła. Była ubrana w koszulę nocną i miała bose stopy. Wyciągała dłonie w stronę otwartego okna, za którym rysowały się peczorskie wieże i mury. Biały materiał układał się na jej piersiach i podnosił w rytm oddechu. A kiedy pozbywałem się powietrza z płuc, wtedy wyobrażałem sobie, że wraz z nim oczyszczam ciało z krwi i smutku. Z widoku Ludmiły z rozharatanym gardłem i z widoku jej martwej służki. Z widoku umierającego Dzikara zapatrzonego z bolesnym niezrozumieniem w swoją płaczącą panią. Wszystko to było i miało być poza mną, chciałem, by przestało mi krążyć w żyłach niczym żmijowy jad, by przestało zatruwać mi umysł. Chciałem znowu odzyskać siły...

Otworzyłem oczy i poczułem się rzeczywiście znacznie, ale to znacznie mocniejszy. Tamara spoglądała na mnie trochę ze zdziwieniem, a trochę z uznaniem.

– Aż mi w sercu wibrowało. – Przyłożyła dłoń do piersi. – Uh! – Potrząsnęła głową. – Naprawdę mi się przydasz...

Cóż, nie miałem nic przeciwko temu, by się jej przydać, jeśli miało mi to zapewnić bezpieczny azyl w domu, którego teraz stała się gospodynią. A byłem pewien, że i ja z tego związku i ze zgłębiania sztuki, którą ona będzie się parać, uczynię oręż, jaki przyda mi się, kiedy już powrócę do cywilizowanego świata. Jeśli w ogóle powrócę...

– Mateczka mówiła od razu, że ty i ja jesteśmy sobie pisani – powiedziała ze spokojną powagą. – I niepokoiło ją, że Natasza cię dostała, a nie ja, ale nie śmiała się sprzeciwiać...

– Czemu nie śmiała się sprzeciwiać? Ach tak – przypomniałem sobie. – Starucha mówiła, że w nie-świecie coś drgnęło, kiedy dotknęliśmy z Nataszą jedno drugiego.

Tamara skinęła głową.

– Nawet ja to poczułam – zgodziła się ze mną. – Zresztą i tak nic nie miałam do gadania, nawet gdyby mi się nie podobało, że nic z tego dla mnie nie będzie. – Obróciła na mnie spojrzenie, a w jej oczach zobaczyłem iskierki wesołości. – Spodobałam ci się, prawda? Kiedy tylko mnie zobaczyłeś pierwszy raz...

– Nawet bardzo mi się spodobałaś – odparłem zgodnie z prawdą. – Byłem pewien, że to będziesz ty.

– Rzeka wraca do źródeł – stwierdziła znów poważnie. – Może tak właśnie być miało. – Wzruszyła ramionami. – Cóż, zobaczymy, jak nam będzie, inkwizytorze, jednemu z drugim. – Potem kąciki jej ust uniosły się. – Jak mi się znudzisz albo mnie na dobre zezłościsz, nie zrobię ci krzywdy. Przez pamięć dla Nataszy. Ale z chałupy pognam. Tak więc – uniosła palec – uważaj!

Wsparłem się na niej i zrobiłem pierwszy krok. Ponieważ się nie przewróciłem, uznałem, że to świetna prognoza na następne stąpnięcia. I jakoś poczłapaliśmy na górę, a na korzyść Tamary trzeba przyznać, że nawet nie pisnęła, kiedy zatoczyłem się z nią na ścianę i kiedy przydeptałem jej stopy. Westchnęła wtedy tylko i powiedziała:

– Mam nadzieję, że w innych sprawach okażesz się zręczniejszy.

Rozdział piąty

Goście z odległego domu

Kiedy weszliśmy już na górę (co mnie przyszło z wysiłkiem oraz bólem i sądzę, że gdyby nie pomoc dziewczyny, to po prostu spadłbym z tych kamiennych schodów i sturlał się na sam dół, łamiąc sobie kości), Tamara zachęciła mnie, bym położył się na legowisku na piecu, a sama zniknęła w głębi domu. Jak sądziłem, zajęła się wydawaniem poleceń innym dziewczętom, a także poinformowaniem ich, kto od tej chwili objął rządy. Ciekaw byłem, czy przejęcie przez nią władzy potraktują jako rzecz zwyczajną, czy też którejś zaświta myśl, by wykorzystać sytuację. Bo przeprowadzić zamach na zamachowca wydawało się nie tylko łatwiejsze od ataku na legalnego władcę, ale też jakby bardziej usprawiedliwione. Byłem jednak również pewien, że nawet jeśli takie rzeczy się zadzieją, to Tamara jest na nie przygotowana i doskonale zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Mnie obchodziło to o tyle, iż wiewióreczka wydawała się do mnie życzliwie usposobiona i uważała, że jeśli pożyję dłużej, stanie się to z pożytkiem dla niej. Gdyby władzę objęła inna z dziewcząt, niekoniecznie musiałaby mieć podobne zdanie. Znowu więc okazywało się, że będę chronił czyichś interesów, by w ten sposób bronić własnego życia. Inna sprawa, że do tej pory to chronienie

udało mi się w stopniu, najdelikatniej mówiąc, niezadowalającym. Chociaż na usprawiedliwienie mogłem mieć tylko i aż tyle, że nikt chyba pod Bożym niebem nie przewidziałby tak zdumiewającego postępowania Nataszy. Kiedy wspomniałem Nataszę, kiedy stanęła mi znowu przed oczami jej delikatna, jasna, uśmiechnięta twarz, poczułem żal tak bolesny, jakby ktoś może nie tyle wyrywał mi serce, ale jakby chwycił je w dłonie i nurkował z nim w przepastną, ciemną głębinę. W dojmujący, zimny mrok, bez wyjścia, bez powrotu i bez żadnej nadziei na odmianę, w pustkę, w której w każdej chwili czuje się, iż nie można złapać tchu i człowiek chciałby już umrzeć z wielkiego bólu, lecz cały czas, niestety, żyje. A w tej przepastnej otchłani rośnie, wibruje i potężnieje tylko jedna myśl: jak i po co mam żyć bez ciebie? Zamknąłem oczy i splotłem palce dłoni, by uspokoić ich drżenie.

Nie usłyszałem kroków Tamary ani kroków jej przyjaciółek, dopiero szturchnięcie w ramię przywróciło mnie do rzeczywistości. Tamara podstawiła mi pod usta gliniany kubek napełniony czymś, co pachniało ziołami, których woni nie potrafiłem rozpoznać.

Stała nade mną z pochmurną miną, a w pokoju zauważyłem również trzy inne dziewczyny. Dwie szczupłe, jasnowłose i jasnookie, które kiedyś, dawno temu, zdawałoby się, w innym życiu, uznałem za podobne do Nataszy, oraz krępą Jugryjkę o szerokiej, śniadej twarzy.

– Pij – rozkazała Tamara. – Powinno pomóc.

Ująłem kubek w palce i wypiłem do dna chłodną wodę z domieszką nieznanego ziołowego ekstraktu. Miałem nadzieję, że wiewióreczka nie zamierza mnie zabić, bo mogła to przecież wcześniej uczynić bez najmniejszego trudu. Zabrała naczynie z moich rąk i przysiadła obok.

– Aleś blady. – Pokręciła głową. – Jak śmierć w zimie.

Kątem oka zauważyłem, że trzy dziewczyny wyszły z izby. Tamara podchwyciła moje spojrzenie.

– Wysłałam je na dół, po ścierwo staruchy, żeby je wrzuciły w bagna. – Usłyszałem zawziętość w jej głosie.

– Oby nie ożyła – rzekłem.

Tamara wzdrygnęła się, lecz potem potrząsnęła głową.

– Tak sprawy nawet tutaj nie działają – odparła. – Mateczka kiedyś dawno opowiadała mi, opowiadała nam – poprawiła się – o ludziach, którzy potrafią każdego wskrzesić chwilę po jego śmierci. Ale jeśli przyczyna śmierci pozostała, to ten ktoś i tak zaraz umrze z powrotem.

– Dlatego poderżnęłaś jej gardło – mruknąłem.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże. – Przeżegnała się zamaszyście po rusku i zgniotła w pięści ślad po krzyżu.

– A ci ludzie, o których opowiadała? Ci, co potrafią wskrzeszać? Kim niby są?

– Mateczka mówiła, że oni żyją w Cesarstwie. – Wzruszyła ramionami. – Bo musisz wiedzieć, że mateczka dużo nam opowiadała. I o Cesarstwie, i o Bizancjum, i o różnych dawnych sprawach. O tym też, jakie były Mroczne Wieki i że wtedy wiedźmy takie jak my rządziły całym światem...

Pomimo otchłani tępego smutku, w jakiej tkwiłem od śmierci Nataszy, uśmiechnąłem się, gdyż dziewczyna wypowiadała te słowa z takim przejęciem, że założyłbym się, iż marzyła, by przenieść się w czasy Mrocznych Wieków lub by znowu sprowadzić tę epokę na nasz prawowierny, chrześcijański świat.

– Było tak? – Tamara zmrużyła oczy, widząc mój uśmiech. – Czy stara kłamała?

– Może i było – odparłem. – Niewiele wiadomo o tamtych czasach, o tym, co jest bajką, co przesadą, co alegorią, co metaforą... Niektórzy pisali, że demony chadzały wtedy ulicami miast w świetle dnia, a czarownice latały po niebie i nawet możni słuchali ich rozkazów. Najdłużej takie obyczaje przetrwały w Brytanii.

Wiewióreczka pokiwała głową.

– Tak i mateczka mówiła.

– Pewnie czytała te same książki, co ja – odparłem.

– Będziemy mieli dużo czasu, żeby zbadać i książki, i wszystko. – Wyprostowała się. – Lepiej ci?

– Chyba lepiej – odrzekłem, gdyż naprawdę czułem, jakby kubek tego ziołowego napoju dodał mi może nie sił, lecz przynajmniej

poczucia świeżości i pewności siebie.

– No to leż sobie. Ja pójdę dopilnować, żeby wrzuciły ją tam, gdzie wiem, że bagno jest głębokie. – Wstała. – A może i dobrze będzie ją włożyć w worek pełen kamieni – dodała z namysłem.

Nic na to nie odpowiedziałem, pomyślałem tylko, że mateczka Olga budziła prawdziwy respekt nawet po śmierci, skoro Tamara zamierzała tak starannie dopilnować, by ciało wiedźmy zostało zatopione głęboko i na pewno nie wypłynęło. Oczywiście jako inkwizytor doskonale wiedziałem, że tak naprawdę martwi nie wstają z grobów, by nękać żyjących. A przynajmniej nie zdarza się to na tyle często, jak chcieliby bajarze straszący prosty lud.

Wydawało mi się, że przysnąłem na chwilę, a w każdym razie wpadłem w dziwny stan otępienia, na granicy jawy i snu. Może był to skutek napoju, jaki podała mi Tamara, a może nadal odczuwałem konsekwencje walki z wiedźmą. Zresztą najprawdopodobniej przysłużyły mi się obie te rzeczy. W każdym razie, kiedy ściana chaty runęła i się rozpadła, jakby wybita pięścią olbrzyma lub szarżą afrykańskiego słonia, leżałem, przyglądając się temu bez obaw, a raczej z ciekawością. Zastanawiałem się, czy to możliwe, by kilkunastu dziwnie odzianych zbrojnych wpadających do izby było zaledwie wytworem mojego majaczenia, czy też wszystko dzieje się naprawdę. Zresztą nawet jeśli zdarzało się rzeczywiście, a nie w uniwersum mojej imaginacji, i tak nieszczególnie mnie obchodziło.

Zza szeregu żołnierzy wyszedł mężczyzna w czarnym płaszczu. Był niski, przysadzisty, o policzkach tak pucułowatych, jakby chował w nich małe jabłuszka. Miał równo obciętą nad czołem grzywkę i wąsik przypominający wąski sznureczek. Wyglądał raczej pociesznie, a z całą pewnością zupełnie niegroźnie. Ale wierzcie mi, że był groźny, mili moi! Nie dla oka przeciętnego człowieka, lecz wzrok inkwizytora musi rozpoznawać zagrożenie, jeśli nie chce on ocknąć się z nożem pod żebrami. Tego człowieka otaczała aura grozy, tak jakby szedł, niosąc ciemność przed sobą, za sobą i wokół siebie. Przypomniałem sobie fragment jakiegoś wiersza, sztuki czy poematu, nie pamiętałem nawet autora, zaledwie jeden wers utkwił

mi w pamięci. Wers, który brzmiał: „O jego uczynkach, czy to podłych, czy szlachetnych, mówiło się tylko szeptem”.

Poczułem, że słabość i otumanienie się cofają. Czy znikały z lęku, czy z ostrożności, nieważne. Ważne, że odzyskiwałem zdolność jasnego myślenia i odróżniania majaków od rzeczywistości. Człowiek, który stał naprzeciwko mnie, na pewno nie był zwidem. Chociaż kto wie czy dla mnie nie byłoby jednak lepiej, gdyby się nim okazał...

Uśmiechnął się do mnie serdecznym uśmiechem dobrodusznego, poczciwego mieszczanina.

– Witajcie, inkwizytorze Madderdin – odezwał się po łacinie. Miał przyjemnie brzmiący, spokojny głos o niskiej barwie. – Czy raczej witaj, drogi Mordimerze, towarzyszu wspólnej sprawy – dodał. Zbliżył się do krzesła, dokładnie przetarł siedzisko rękawem, otrzepał ten rękaw, po czym dopiero wtedy usiadł, oparł się wygodnie i rozprostował nogi. – Nazywam się Dietrich Knabe – wyjaśnił. – I miło mi cię poznać, gdyż słyszałem o tobie wiele dobrego.

Jakże uprzejmie, wręcz zdumiewająco i rażąco uprzejmie w porównaniu z dzikim otoczeniem zabrzmiały te słowa.

– Zważywszy na sytuację – omiotłem wzrokiem izbę, rozbitą na drzazgi ścianę i przeszukujących pomieszczenie żołnierzy – i ja was witam z radością, mistrzu Knabe.

– Wystarczy: Dietrichu – odparł życzliwie.

Zbrojni, z którymi wtargnął do gospodarstwa, sprawiali niepokojące wrażenie. Byli odziani w lekkie kolczugi, a na głowach mieli kolcze kaptury ze stalową siatką spływającą do ramion. Na te kaptury nałożyli stalowe zamknięte hełmy, wyprofilowane niczym ptasie dzioby. Widziałem w życiu wiele rodzajów hełmów, należących do żołnierzy tej czy innej armii, do oddziałów możnowładców, straży miejskich czy chociażby tutaj, na Rusi, gdzie zbrojni zakładali na siebie co popadło, a to hełmy cesarskie, a to rodzime ruskie, a to zdobyczne mongolskie. Jednak na takie pancerze, jakie mieli ci napastnicy, nie natknąłem się nigdy wcześniej. A może zresztą i widziałem je kiedyś, lecz tylko na

rycinach czy ilustracjach. Na pewno wyglądali dziwacznie, ale tym rodzajem dziwaczności, który nie wzbudza wesołości, lecz niepokój, czy nawet obawę.

– Czy twoi żołnierze mogliby zdjąć hełmy? – spytałem, zanim zdążyłem pytanie przemyśleć.

Inkwizytor przyglądał mi się, uśmiechając się samymi kącikami ust.

– Nie sądzę, byś sobie tego tak naprawdę życzył – odparł wreszcie.

Milczeliśmy dłuższą chwilę, w końcu Knabe zdecydował się odezwać tonem przyjacielskiej pogawędki:

– Nie wiem, Mordimerze, czy znasz pewną legendę, która powstała w czasie rebelii Hakenkreuza? Mówiła ona, że kiedy jest już bardzo źle, kiedy wszystko się wali, kiedy życie dobrych ludzi wisi na włosku, a ludzie źli zdają się triumfować, wtedy właśnie, w takiej nadzwyczaj dramatycznej chwili zjawia się cesarska kawaleria. Gnając pod rozpostartymi na wietrze sztandarami. I od tej pory wszystko zaczyna się dziać dobrze. Szlachetni zostają wynagrodzeni, a podli ukarani...

– Piękna bajeczka – skwitowałem.

Skinął głową.

– Jednak czasami cesarska kawaleria naprawdę się pojawia. I to wtedy, kiedy nikt w okolicy się jej nie spodziewa. Ani ci źli ludzie, ani ci dobrze ludzie, zakładając oczywiście, że w ogóle istnieje takie pojęcie jak „dobrzy ludzie”. – Uśmiechnął się zgryźliwie.– Moglibyśmy powiedzieć o tym zbawiennym przybyciu, że nastąpiło deus ex machina – kontynuował. – Ale przecież byłaby to nieprawda i wierutna bzdura. Nie uwierzyłbyś nawet, ile moja misja wymagała zachodu oraz planowania. – Machnął ręką i pozwolił sobie na westchnienie. – Od jak dawna usiłowaliśmy dotrzeć do Peczory, by załatwić sprawy tak, jak powinny zostać załatwione. Ile listów, ile negocjacji, ilu posłów tajnych lub jawnych, ech, szkoda gadać... A tobie pewnie się wydaje, że spadłem niczym piorun z jasnego nieba.

Spojrzał na mnie z wyrzutem, tak jakbym był zdecydowany, by nie rozumieć lub nie doceniać starań jego i jego przyjaciół.

– Nie będę ukrywał, że naprawdę jestem więcej niż zaskoczony – odparłem całkowicie szczerze. – Tu, tysiące mil od cywilizacji, pojawia się towarzysz wspólnej sprawy. – Pokręciłem głową. – Sytuacja jest więcej niż fortunna. – Obróciłem wzrok na zdruzgotaną ścianę. – A i porównanie z piorunem wydaje się nawet trafnie obrazować wydarzenia.

– Gdzie są wiedźmy? – Jego głos nabrał nagle chłodnej barwy. A ja poczułem się tak, jakby ktoś wsadził dłoń do mojej głowy i ścisnął jej zawartość niczym miąższ dojrzałej brzoskwini.

– Na bagnach – odparłem natychmiast, a słowa wypłynęły ze mnie bezwiednie. – Poszły wrzucić zwłoki w głębinę.

– Diabli – mruknął. – Co za pech.

Wstał, odwrócił się w stronę żołnierzy i powiedział coś w języku, którego ani nie znałem, ani nie przypominał mi brzmieniem żadnej cywilizowanej mowy. Kilku jego ludzi natychmiast wybiegło na zewnątrz przejściem powstałym przez rozbicie ściany.

– No dobrze, na nic się teraz nikomu nie przydamy, możemy spokojnie pogawędzić. – Obrócił na mnie spojrzenie. – Pozwól, że zanim wyjaśnię ci dokładnie, kim jestem i dlaczego się pojawiłem – rzekł – zadam ci jedno pytanie...

– Słucham.

– Czego nienawidzi Inkwizytorium?

– Wrogów wiary – odparłem.

Skrzywił się.

– Oczywiście, że nie – odrzekł. – Gdyby na całym szerokim świecie nie istnieli wrogowie naszej świętej wiary, sądzę, że sami byśmy ich stworzyli. Aby prawość dobrych chrześcijan mogła tym silniej błyszczeć na ich tle i aby istnienie Świętego Officjum wydawało się wszystkim tym bardziej konieczne. Po cóż światu byłyby stróżujące psy, jeśli nie istniałoby zagrożenie dla stada?

– Oczywiście – odparłem, gdyż szczerze mówiąc, zaraz po udzieleniu odpowiedzi na jego pytanie zdałem sobie sprawę, iż pospieszyłem się, a moje rozpoznanie jest z całą pewnością błędne. Tym razem zastanawiałem się nieco dłużej. – Chaosu – rzekłem wreszcie. – Inkwizytorium nienawidzi chaosu.

Teatralnym gestem zaklaskał wolno i niemal bezdźwięcznie.

– Tak właśnie jest – przyznał mi rację. – Z całego serca nienawidzimy chaosu, gdyż powoduje on, że sprawy toczą się niczym rozbite kropelki żywego srebra. Na wszystkie strony i w nieprzewidywalnych kierunkach. – Westchnął. – Więc widzisz, Mordimerze, ja jestem tym, którego obowiązkiem jest przywracać porządek poprzez likwidowanie bądź chociaż należyte formowanie chaosu.

– To zaszczytne zadanie.

– Zaszczytne – powtórzył, jakby zastanawiał się nad znaczeniem tego słowa. – Raczej niewdzięczne, chociaż konieczne oraz istotne. Tak ja bym to sformułował.

– A więc jesteś członkiem Wewnętrznego Kręgu?

Znałem odpowiedź na to pytanie od samego początku, kiedy tylko Dietricha zobaczyłem, lecz z jakiegoś powodu chciałem, by sam to przyznał.

– W pewnym sensie – odparł i ta odpowiedź mnie zaskoczyła.

– Wybacz, że dopytuję, lecz byłbym wdzięczny, gdybyś sformułował swoją odpowiedź nieco jaśniej, jeśli oczywiście jest to możliwe...

Skinął głową.

– Kiedy członkowie Wewnętrznego Kręgu wywołują chaos zamiast porządku, wtedy zjawiam się, by przywrócić porządek – odrzekł.

Spoglądałem na niego przez chwilę w milczeniu.

– Istnieje Wewnętrzny Krąg wewnątrz Wewnętrznego Kręgu? – spytałem i sam usłyszałem zdumienie we własnym głosie.

Strzepnął palcami.

– Mój Boże, nie – odparł ze śmiechem. – Bo zaraz wewnątrz jednych kręgów pojawiałyby się następne i kolejne kręgi, a my w kółko zadawalibyśmy sobie pytanie: *quis custodiet ipsos custodes?* – Potrząsnął głową. – Ja tylko wykonuję rozkazy, Mordimerze. Nie prowadzę polityki, nie zadaję pytań, nie oceniam skutków, konsekwencji czy moralnych uwarunkowań. Kiedy otrzymuję zadanie, zazwyczaj sformułowane w sposób jak najbardziej klarowny, po prostu je wykonuję...

– Jakie zadanie masz wykonać tutaj?

– Nabroiliście. – Pokręcił z niezadowoleniem głową. – Oczywiście nasza afrykańska księżniczka nabroiła najbardziej, ale decyzja o konsekwencjach, jakie ją za to spotkają, nie należy do mnie.

– A więc?

– Mam was dostarczyć do Cesarstwa. Z powrotem na łono chrześcijaństwa. – Rozłożył ramiona. – To chyba dobra wiadomość?

– Znakomita – odrzekłem. – Nic mnie już nie trzyma na tej przeklętej ziemi.

– Taaak, dobiegły mnie słuchy na ten temat... Może to i lepiej, gdyż miałem zabić ruską czarownicę, z którą dzieliłeś życie. – Spoglądał na mnie uważnie.

– Za późno – odparłem. – A poza tym Natasza nie była czarownicą.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Oczywiście – odrzekł. – Opowiedz mi, co się dokładnie stało.

– Została zabita, najprawdopodobniej, jak wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, przez naszą afrykańską księżniczkę, jak ją nazwałeś...

Knabe ściągnął usta.

– Zgodnie z obyczajem panującym wśród ruskich wiedźm pochowano ją w bagiennej mgle – mówiłem dalej, starając się brzmieć tak, jakbym wcale nie próbował mówić prawdy, a po prostu opowiadał historię.

– Wrzuciły ją w bagno?

– Nie do końca rozumiem ten rytuał – odparłem. – Wydaje mi się, że one wierzą, iż każda z wiedźm lub ich uczennic, która została pochowana we mgle, zyskuje coś na kształt nieśmiertelności. – Wzruszyłem ramionami. – Jednak nie zapewniającej powrotu do życia, tak jak my byśmy to rozumieli.

Inkwizytor spoglądał na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu.

– Słyszałem o podobnych ceremoniach – rzekł wreszcie. Milczał przez chwilę. – Dziwi mnie tylko, iż twierdzisz, że zginęła z ręki Nontle. Hildegarda Reizend jest badaczką, nie morderczynią. Przynajmniej zazwyczaj – dodał.

Przez cały czas rozmowy z Dietrichem Knabem czułem się tak, jakby ktoś wsunął mi w ucho nadzwyczaj wąskie i delikatne piórko, które dotarło tak daleko, by łaskotać mnie w mózg. Kiedy się odzywałem, owo muskanie zdawało się nasilać. Nie dawałem jednak znać po sobie, iż czuję cokolwiek odbiegającego od normy.

– Być może jej złość na mnie lub na sytuację, w jakiej ją postawiono, była zbyt duża, by się pohamowała – odparłem. – Ale być może walka była jedynie nieszczęśliwym incydentem. Miałem też przez chwilę wątpliwości, czy w śmierć Nataszy nie była zamieszana jej mentorka.

– Rozumiem, że zwłoki, o których wspomniałeś, a które twoje przyjaciółki wiedźmy postanowiły zatopić, należały właśnie do mateczki Olgi?

Nie zdziwiło mnie, że wiedział, jak nazywa się gospodyni tego domostwa, gdyż wyglądał na człowieka przygotowującego się w odpowiedni sposób do zadań, jakie mu zlecono. Nie dałem również znać po sobie, czy sformułowanie „twoje przyjaciółki wiedźmy" mnie poruszyło. Bo szczerze mówiąc, było mi całkiem obojętne.

– To właśnie miałem na myśli.

– A co takiego przytrafiło się mistrzyni?

Ze zdziwieniem spostrzegłem, że określenie „mistrzyni" pojawiło się w jego ustach najzupełniej naturalnie.

– Zabiłem ją. Właściwie, ściślej mówiąc: pomogłem ją zabić.

Skinął głową z namysłem.

– Sporo tu się działo, jak widzę – stwierdził. – I jak rozumiem, ciało ciśnięto w bagno bez jakiejkolwiek ceremonii. Bardzo to smutne...

Łaskotanie w środku głowy nasiliło się, lecz udało mi się zachować kamienny wyraz twarzy.

– Piękna, przygnębiająca historia – rzekł w końcu Knabe. – A w dodatku prawdziwa. Wyznam ci – kontynuował – iż rozkaz zabicia twojego dziewczęcia uważałem od początku za błędny, jednak tak jak już mówiłem, nie przybyłem, by dokonywać ocen, lecz by wykonywać rozkazy.

Skinąłem głową bez słowa.

– Ale w zasadzie wychodzi niemalże na to samo. – Milczał dłuższą chwilę, martwo wpatrując się w jakiś punkt ponad moją głową. – Niemalże – powtórzył ciszej. – Taaak, kto wie...

Złapałem się na tym, że nie obchodzą mnie rozmyślania, decyzje i zadania tego człowieka. Oczywiście byłem mu na razie wdzięczny, że wyzwolił mnie z niekomfortowej sytuacji, lecz doskonale przecież wiedziałem, iż wcale nie jest powiedziane, że nie wpadłem właśnie z deszczu pod rynnę. Dietrich Knabe był silny, rozumny i bezwzględny, a tacy ludzie są najtrudniejszymi przeciwnikami. Mogłem się tylko pocieszać, że na razie wszystko wskazuje na to, iż wcale nie życzy sobie stać się moim wrogiem. A skoro mówił, że nakazano mu sprowadzić nas wszystkich do Cesarstwa, to miałem nadzieję, iż dodano również: „żywych i w jednym kawałku".

Knabe westchnął i obrócił na mnie spojrzenie. Miałem wrażenie, że z jakiegoś powodu jest może nie zmartwiony i nie zaniepokojony, lecz w pewien sposób, i to sposób, który mu się wcale nie podoba, poruszony.

– A więc tak, drogi Mordimerze, a więc tak... Kto mógłby przypuszczać, że nasze ścieżki się skrzyżują, i to tutaj, w tym barbarzyńskim kraju. A jednak tak właśnie się stało...

Cisnęło mi się na usta pytanie: co zamierzasz ze mną zrobić? Jednak go nie wypowiedziałem. A po chwili uzmysłowiłem sobie, że decyzja inkwizytora nawet niespecjalnie mnie obchodzi.

– Cóż, mam nadzieję, że to, co znajdziemy w tej chacie, będzie warte naszego zachodu – rzekł. – Mateczka Olga nie była zwykłą ruską wiedźmą, bełkoczącą i opętaną starowinką z bagien. Ale ty o tym świetnie wiesz, prawda?

– Oczywiście – rzekłem.

– To sabat, Mordimerze. – Spoglądał na mnie nieruchomo. – Dokładnie taki jak w Mrocznych Wiekach. Mistrzyni i dwanaście uczennic. Sześć starszych, sześć młodszych.

– Sabat – powtórzyłem.

– Chciałbym wiedzieć, dokąd ona przez wszystkie lata wysyłała te młode czarownice. – Westchnął, ale zaraz potem wstał z miejsca. –

No nic, to jednak nie moja sprawa. Mam nadzieję, że prowadziła jakieś notatki, zapiski... Wiesz coś o tym?

– Nigdy niczego takiego nie widziałem, wiem jednak, że posiadała księgi. Szukajcie.

– W jaki sposób udało ci się zabić wiedźmę?

Opisałem mu szczegółowo całe zajście, nie ukrywając udziału w nim Tamary ani tego, że bez jej pomocy na pewno bym zginął, gdyż nawet ranna starucha o mało mnie nie pokonała.

– Jedna pachnąca jak tatarak, jedna gorzka jak piołun, jedna podstępna jak szalej, jedna sprytna jak powój, jedna silna jak sosna i jedna piękna jak lilia – wyrecytował spokojnie dobrze znaną mi już wyliczankę. – Twoja przyjaciółka i wspólniczka jest tą, którą nazywano szalejem. Najgroźniejsza. Ale rzadko dożywająca pełni chwały.

– Nic mnie już to wszystko nie obchodzi – odparłem, zdając sobie sprawę, że dokładnie właśnie tak jest i że słowa te nie płyną z chwilowego rozgoryczenia, lecz z głębokiego przekonania.

– Nataszę pochowano we mgle, lecz nie na bagnisku, prawda? – zagadnął.

Znowu poczułem łaskotanie głęboko w uchu, tym razem tak nieprzyjemne i wręcz bolesne, że najchętniej rozdarłbym sobie skórę i pazurami wkręcił się w głąb głowy, rozorał wszystko w środku, aby tylko to drażnienie powstrzymać.

– Przestań! – krzyknąłem.

Łaskotanie ustało w jednej chwili.

– Czujesz to – rzekł Knabe ze zdziwieniem i nieoczekiwanym szacunkiem. – Coś takiego. Kto wie, gdyby cię poduczyć, mógłbyś się nawet temu przeciwstawić.

Tym razem połechtane zostało nie moje ucho, lecz moja próżność. Bo jednak usłyszeć takie słowa z ust kogoś takiego jak Knabe nie było zapewne zwyczajną rzeczą...

– Z całą pewnością taka zdolność przydałaby mi się w czasie przesłuchań – zgodziłem się z nim i potrząsnąłem głową. – Można by tym boleśnie zamęczyć każdego człowieka.

– Owszem – przytaknął. – Można.

Zrozumiałem, że tę magiczną zdolność zastosowano wiele razy właśnie w ten sposób, i o mało się nie wzdrygnąłem, przypominając sobie to przemożne pragnienie rozdrapania na strzępy własnego ciała, jakie mną owładnęło.

– A więc gdzie pochowano dziewczynę? – wrócił do pytania.

Natasza była martwa, a ja nigdy nie przykładałem wagi do tego, co dzieje się z ciałami umarłych, choć rozumiem tradycję nakazującą wobec nich szacunek. Wiedziałem, że szczątki doczesne człowieka, czy mówiąc brutalnie i prosto z mostu: zwłoki lub trup to zaledwie opuszczony dom, w którym nigdy już nikt nie zamieszka. To dom, który rychło przegnije, rozpadnie się w pył, więc co za różnica, co stanie się z nim w tym krótkim czasie pomiędzy zgonem a rozpadem? A jednak myśl, że Nataszę, że jej ciało spotkałoby coś złego, nawet teraz budziła we mnie opór i złość. Zresztą przecież starałem się cały czas ufać temu, że Natasza jest pogrążona w śmierci pozornej, zamknięta w pustym labiryncie, w którym zastygł czas, ale do którego ktoś kiedyś będzie mógł się przedrzeć, otworzyć drzwi prowadzące do świata żywych. Może, wyedukowany na antycznych mitach, miałem nadzieję, iż kiedyś wyruszę po nią niczym Orfeusz po Eurydykę. I nawet jeśli ta nadzieja była zupełnie bezpodstawna, głupia, płonna czy jakimikolwiek słowami by ją nazwać, to jednak istniała. Jeśli Knabe unicestwi ciało Nataszy, wtedy nawet ten cień nadziei spełgnie i zniknie.

Poza tym mauzoleum wiedźm spowijała aura utkanego wiekami dostojeństwa, nimb tajemnicy snutej poprzez pokolenia. Tam była wielka historia. Może nie moja, może nie nasza, może mi obca lub wroga, lecz jednak historia.

– Mordimerze, w końcu i tak wyznasz mi, co chcę wiedzieć, a z uwagi na łączące nas braterstwo wolałbym, abyś uczynił to z własnej i nieprzymuszonej woli – poddał łagodnym tonem Knabe.

– Och, wiem, że jesteś moim przyjacielem, i bardzo mi ulży, kiedy wyznam ci wszystko, co wiem – odparłem ironicznie.

Wiedziałem jednak, że tak naprawdę nie mam wyjścia. Może, jak mówił Knabe, byłbym teoretycznie zdolny, by kiedyś w przyszłości, po przejściu szkolenia, obronić się przed jego mocą. Ale teraz było

teraz, a nie kiedyś w przyszłości. Powiedziałem mu więc, co chciał wiedzieć, mając ponure i paskudne uczucie, że zdradzam w ten sposób Nataszę.

– Chodźmy – nakazał, kiedy już mnie wysłuchał.

Poprowadziłem go do pomieszczenia z ciężką żelazną klapą w podłodze, którą to pokrywę jeszcze niedawno pomagałem unieść Tamarze, chociaż moje wysiłki okazały się bezskuteczne. Teraz jednak z wielkim trudem, zapierając się nogami, uniosłem ją na pełną wysokość.

– Tu są schody – rzekłem, chociaż Knabe na pewno widział wszystko w świetle trzymanej w dłoni lampy.

– Prowadź więc – rozkazał.

Po raz drugi w ciągu tak krótkiego czasu szedłem po tych niezwykłych, wykutych w kamieniu stopniach. W kamieniu, który pochodził z gwiazd, z przerażającej pustki pomiędzy rozproszonymi na niebie światełkami. Skąd przyleciał? Jak długo trwała jego podróż? Co uruchomiło wydarzenia, które spowodowały, że ta wielka skała przemierzyła gwiezdną pustkę, by spaść właśnie tutaj, na ruskie bagniska? Czy jego podróż i upadek coś znaczyły, były częścią jakiegoś planu, czy też działy się mimochodem i na marginesie wydarzeń prawdziwie istotnych?

– Ktoś zadał sobie wiele trudu – zauważył Knabe. – Stopnie są starannie wykute i ładnie wyszlifowane. To kosztowało wiele czasu i wiele pracy. Wiele siły.

– Też tak od razu pomyślałem – zgodziłem się z nim. – Myślę, że wiedźma porywała mężczyzn, by jej służyli. Może nie ona, nie mateczka Olga, lecz któraś z jej poprzedniczek. Przed domem jest studnia tak głęboka, że ledwo słychać plusk wody, kiedy coś do niej wrzucisz – dodałem. – Nie mam pojęcia, jak w ogóle dali radę ją wykopać.

Schody się skończyły i stanęliśmy przed litym murem.

– Tu są drzwi. – Wskazałem na ścianę. – Ale ja nie jestem w stanie ich dostrzec. Tamara, jedna z dziewcząt wiedźmy, pokazała mi je i dopiero wtedy jakby pojawiły się przed moimi oczami. – Wzruszyłem ramionami. – Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie...

– Nie – przerwał mi. – Wcale tak nie brzmi.

Przypatrywał się ścianie z uwagą, jakby była nie zwyczajnym murem z szarego litego kamienia, lecz artystycznie zachwycającym dziełem sztuki, a stojący przed nim koneser pragnął nie tylko poznać każdy detal, lecz również rozwiązać tajemnice jego stworzenia.

Chrząknąłem, kiedy chwila się przedłużyła, a wtedy Knabe obrócił na mnie spojrzenie. Jego źrenice były teraz wielkie, całkiem czarne i zdawały się studniami prowadzącymi w otchłań. Inkwizytor wyglądał przerażająco, gdyż poza zdumiewającą zmianą oczu jego twarz pobladła i ściągnęła się, przypominając teraz jakąś groteskową maskę z białego papieru, którą nałożono na prawdziwe, ludzkie oblicze, by ukryć jego wygląd.

– Otwieraj – rozkazał.

Przeniosłem wzrok na mur i zobaczyłem, że stoję przed drzwiami. Solidnymi drewnianymi drzwiami z półokrągłych belek. Chciałem coś powiedzieć, w końcu jednak zmilczałem i nacisnąłem klamkę. W tej samej chwili przyszło mi do głowy, iż jest całkiem prawdopodobne, że wiedźma zabezpieczyła nie tylko wejście, lecz również prowadzący do mauzoleum korytarz. Na co się natkniemy? Na jakie pułapki? Czy wpadniemy w potrzask, staniemy się ofiarą podstępu? No cóż, zważywszy na to, że szedłem jako pierwszy, można bez ochyby powiedzieć, że jeśli kogokolwiek ma spotkać cokolwiek złego, to tym kimś będę właśnie ja, nie Knabe. Ale szczerze mówiąc, było mi wszystko jedno, czy przeżyję tę podróż, czy nie. Chociaż z drugiej strony pomyślałem, że przecież jest to szansa, bym zobaczył raz jeszcze Nataszę. Bym jej dotknął, bym upewnił się, czy rzeczywiście jest martwa. A może Knabe, przyszła mi nagle do głowy niezwykła myśl, może Knabe będzie umiał coś poradzić? Może z głębi swej niewątpliwej wiedzy i mocy jako członek Wewnętrznego Kręgu stwierdzi, że Natasza jest zaledwie pogrążona w uściskach Morfeusza, a nie Tanatosa? Może będzie potrafił wyrwać ją z tego stanu i powiedzieć, że to nie dziewczyna uległa prawdziwej i nieodwracalnej śmierci, a jedynie durne ruskie wiedźmy tak uznały? Tak, tak właśnie mogło się wydarzyć! Co prawda od razu przyszła mi do głowy mrożąca myśl! Knabemu

kazano zabić Nataszę. Lecz z drugiej strony przecież zdołamy go przekonać, że wiedza o rytuałach, obrzędach i magii ruskich wiedźm mogłaby się przydać, moglibyśmy skusić go myślą, że Natasza będzie wiernie służyć Świętemu Officjum... A potem? No cóż, Knabe był silny, to prawda, nawet bardzo, bardzo silny. Ale nie był przecież nieśmiertelny... Nie poradzi sobie ze mną i z Nataszą.

Knabe zdecydowanie przekroczył próg mauzoleum, a ja chciałem iść za nim, lecz poczułem, że nie mogę postąpić nawet kroku. Tak czasami bywa we śnie, kiedy chciałbyś ruszyć do walki lub uciec od niebezpieczeństwa, lecz twoje stopy nie zamierzają cię słuchać i sprawiają wrażenie, jakby przyrosły ściśle do ziemi, a nogi uginają się, jakby uczyniono je nie z ciała, kości i ścięgien, lecz z drżącej galarety.

– Knabe! – wrzasnąłem wściekłym głosem, bo przecież wiedziałem, czyja to sprawka.

Inkwizytor nawet się nie odwrócił i poszedł spokojnie dalej.

– Jeśli zrobisz jej krzywdę, przysięgam na Boga, że cię zabiję! – krzyknąłem jeszcze wścieklej i jeszcze głośniej, bo w sumie co innego mogłem uczynić, jak nie jedynie bezsilnie krzyczeć.

O dziwo, Knabe odwrócił się w moją stronę.

– Mordimerze – powiedział spokojnie – wejście tutaj byłoby dla ciebie teraz bardzo niebezpieczne. A ja bynajmniej nie zamierzam okazywać braku szacunku ani dla tego miejsca, ani dla pochowanych w nim kreatur.

Nie podobało mi się, że objął Nataszę pojęciem „kreatury”, lecz potem pomyślałem, że być może użył go nie w znaczeniu obelżywym lub pogardliwym, lecz jako określenie pewnego rodzaju istot stworzonych dzięki magii. Cóż, mogłem mu uwierzyć, bo niby jaki inny miałem wybór, a o jego dobrych intencjach świadczył chyba fakt, że w ogóle zechciał się przede mną tłumaczyć.

Trwało naprawdę dość długo, zanim wrócił, a ja czekałem na niego zarówno zaniepokojony, jak i pełen rodzącej się nadziei, że może nie wszystko jest stracone. Nadziei, którą chciałem przekonać sam siebie. Oczywiście przyszło mi też na myśl, że jeśli Knabe z jakichś powodów by nie wrócił, to ja zostanę tutaj Bóg wie jak

długo, unieruchomiony i bezradny. Ale inkwizytor wreszcie się pojawił. Widziałem, że jest poruszony i zamyślony. Przekroczył próg i położył mi dłoń na ramieniu.

– Wracajmy – nakazał.

W tej samej chwili poczułem, że odzyskuję siłę i sprawność, a paraliż, czy raczej to ohydne uczucie bezradnego zakotwiczenia, mija bez śladu. Machinalnie pochyliłem się, by spojrzeć na własne stopy, a kiedy z powrotem uniosłem głowę, nie zauważyłem już żadnych drzwi, jedynie lity mur.

– Czy Natasza naprawdę umarła? – zapytałem niecierpliwie. – Czy ją widziałeś?

– One wszystkie naprawdę umarły – odparł. – Twoja wiedźma również. I tak, widziałem ją. Była naprawdę piękna.

Przed oczami stanęła mi twarz Nataszy. W mojej wizji przeszłości z uśmiechem odgarniała kosmyk włosów z czoła i spoglądała gdzieś w dal jasnym, pogodnym wzrokiem.

– Nie możesz niczego zrobić? – spytałem z napięciem. – Jesteś pewien, że to nie tylko letarg? Może ona śpi? Może jest nieprzytomna? Sprawdziłeś to? Na pewno dobrze sprawdziłeś?

Knabe wysłuchał spokojnie moich pytań, cały czas spoglądając na mnie obojętnym wzrokiem.

– Nie, Mordimerze, nic nie ma tu do zrobienia. Ona i wszystkie inne wiedźmy są zaledwie cieniem przeszłości…

Po tych słowach nie miałem już nic do powiedzenia, zwłaszcza że doskonale zdawałem sobie sprawę, iż nawet cierpliwość tego pozbawionego emocji inkwizytora może się kiedyś skończyć.

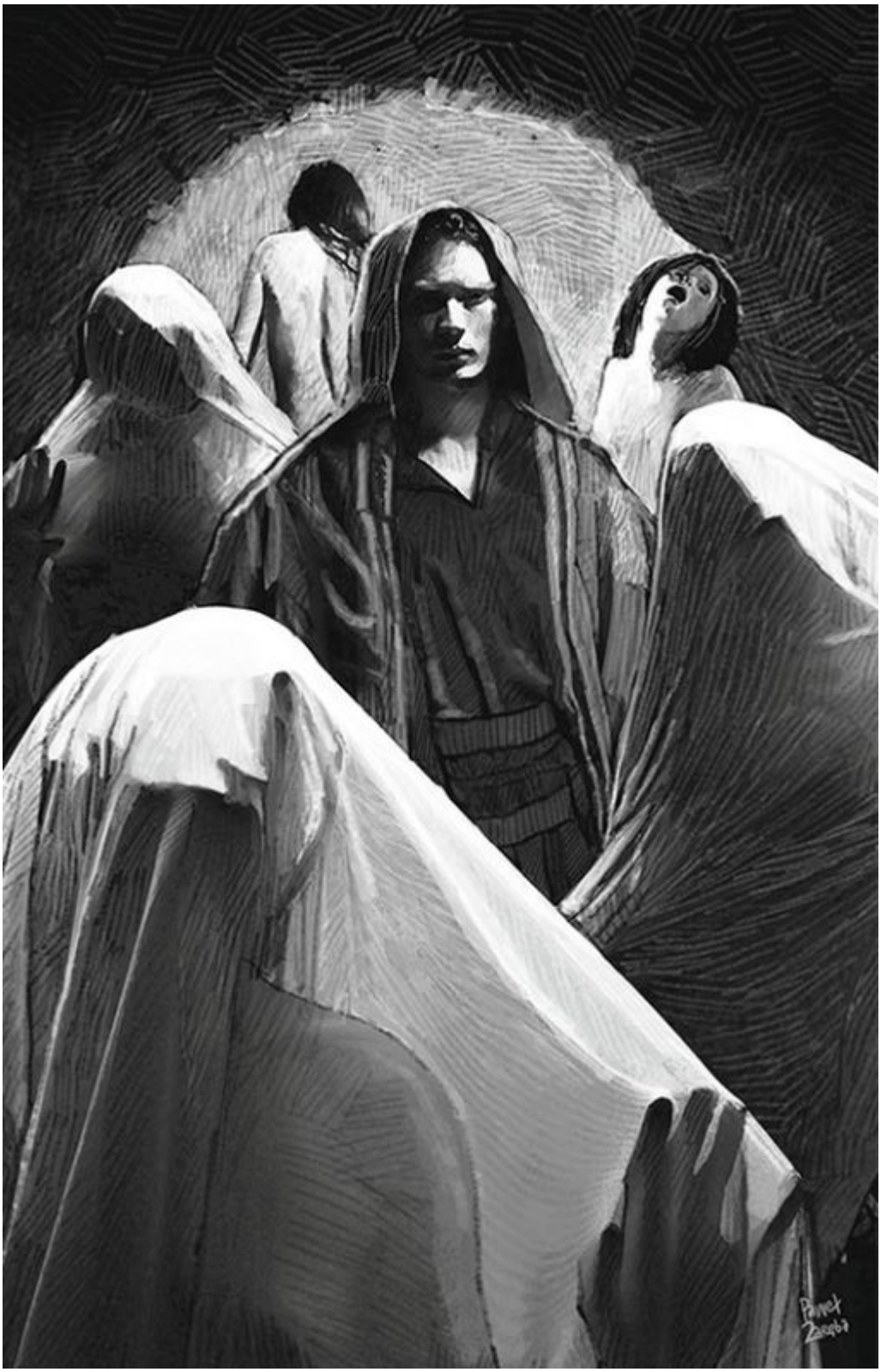

Zaczęliśmy z powrotem wychodzić na powierzchnię.

– Ciekawe, jak wielki jest ten głaz – rzekłem, spoglądając na wykuty w kamieniu szereg schodów.

– Ciekawi mnie również, skąd przyleciał – dodał Knabe. – I co ze sobą przyniósł.

Przez chwilę, naprawdę niedługą chwilę, kiedy pomyślałem o skale mknącej przez pustkę pomiędzy gwiazdami i kiedy zadawałem sobie te same pełne zdumienia pytania, co Knabe, ból po stracie Nataszy przygasł. Ale zaraz potem uderzył z potrojoną mocą.

Weszliśmy do domostwa, a ja dostrzegłem leżący na skrzyni przedmiot i pomyślałem, że może on zainteresować Knabego.

– To pudło na kapelusze, jeśli wolno... – Wskazałem dłonią w kierunku skórzanego puzdra.

– Co z tym pudłem? – Podchwycił moje spojrzenie.

– Proponowałbym je zabrać tak samo jak księgi. Jego zbadanie może być... – zawiesiłem na chwilę głos – pouczające.

Inkwizytor zbliżył się do pakunku, przyjrzał mu się uważnie, a potem położył na nim dłoń.

– Kiedy ostatni raz je otwierano, nie widziałem, by przytrafiło się w związku z tym coś złego – powiedziałem.

Knabe odsunął klamry, po czym uniósł wieko. Ostrożnie, lecz spokojnie. Przyjrzał się uważnie zawartości.

– Dlaczego ruskie wiedźmy przechowują w swoim domu ludzką głowę? – Milczał przez chwilę, cały czas przyglądając się szczątkom nieszczęsnego tropiciela. – W dodatku jest to świeżo odcięta głowa – dodał.

– Jest to głowa człowieka, którego zabito w zeszłym roku – wyjaśniłem.

– Ciekawe.

– Jeszcze ciekawsze jest to, iż ta głowa potrafi mówić.

– Tak przypuszczałem – odparł poważnie. Potem pudło zamknął i starannie zatrzasnął klamry. – Oczywiście, masz rację, że należy zabrać ten zajmujący, choć plugawy przedmiot. Znam ludzi, których niewątpliwie bardzo on zainteresuje. – Spojrzał na mnie z uznaniem. – Dobrze, że mi o tym powiedziałeś – stwierdził. – Gdybyśmy ten przedmiot spalili, byłoby to wielce niefortunne... Wiedźma potrafiła w taki sposób oporządzić człowieka?

Przez chwilę miałem ochotę skłamać, jednak potem uznałem, że przecież wszystko jedno, co powiem. Nataszy już nie było, więc mogłem nie ukrywać jej udziału w owym obrządku.

– Nie, to Natasza. – Wymawiając słowo „Natasza”, poczułem taki ból, jakby ktoś w kolczastej dłoni ścisnął mi serce.

– Bardzo zdolna młoda kobieta – rzekł Knabe z uznaniem. – Szkoda, naprawdę szkoda, że nie będę miał okazji jej poznać.

– Gdyby trafiła do Świętego Officjum, i tak byście ją spalili – odparłem z goryczą.

Inkwizytor potrząsnął głową.

– Mój Boże, cóż za niedorzeczny pomysł – rzekł z prawdziwym, jak mi się wydawało, oburzeniem.

Nontle wydawała się drobna i krucha w rękach żołnierzy Inkwizytorium. Niczym delikatny hebanowy posążek ujęty w stalowe klamry. Nie próbowała w żaden sposób się wyzwolić, wyrwać czy uciec, a ja zastanawiałem się, jak to się stało, że ci zbrojni pojmali ją z taką łatwością i prowadzili zarówno bez trudu, jak i bez lęku.

– Hildegardo! – Knabe obrócił się w jej stronę z kordialnie rozłożonymi ramionami. – Jakże miło, że jesteś.

Spoglądałem na jej piękną twarz i nienawidziłem jej. Może nie była jedyną przyczyną moich nieszczęść, ale odebrała mi jedyną osobę, dla której chciałem żyć. Nie odezwałem się, nie powiedziałem ani słowa. Każdą groźbą, zarzutem, przekleństwem, wyklinaniem sprawiłbym jej tylko satysfakcję. Zresztą byłoby to kompletnie bezcelowe. Ani los Nontle, ani mój nie zależały teraz od nas dwojga, lecz od wysłannika Świętego Officjum.

– Jak śmiesz? – wycedziła, spoglądając na niego z lodowatą złością. – Ośmieliłeś się mnie uwięzić? I to jeszcze wysyłając przeciwko mnie te piekielne monstra!

Zrozumiałem oczywiście, że mówi o żołnierzach w ptasich hełmach. Którzy teraz zresztą ją puścili, odstąpili i stanęli po obu stronach rozbitej, rozdartej ściany.

– Wypraszam sobie nazywanie piekielnymi monstrami oddanych i pokornych żołnierzy w służbie Świętego Officjum – powiedział rozbawiony Knabe.

– Po co się tu zjawiłeś? Po co cię wysłano? Wszystko poszłoby dobrze, wszystko zostałoby naprawione! – Nontle była naprawdę wściekła. I chociaż nie wiedziałem, o czym dokładnie mówi, to sprawiała wrażenie, że peroruje ze szczerą pasją.

– O tym wszystkim, co uczyniłaś i co zamierzałaś uczynić, porozmawiasz nie ze mną – zastrzegł Knabe już poważnym tonem. – Wrócisz do Amszilas i tam będziesz mogła wszystko dokładnie wyjaśnić.

Amszilas. A więc to przed nimi odpowiadała Hildegarda Reizend. Najświętsza siedziba Inkwizytorium, klasztor-zamek spoglądający na bezkresne puszcze i na zakola Renu. Założony jeszcze w czasach, kiedy chrześcijańscy cesarze z Rzymu mozolnie prowadzili dzieło zapoczątkowane przez Jezusa: podboju Europy dla wiary Chrystusowej.

– Nie mogę wrócić! – krzyknęła Nontle. – Muszę tutaj zostać. Zabierz sobie tego inkwizytora. – Jej oczy przez moment błysnęły nienawiścią, kiedy omiotła mnie spojrzeniem. – Trudno. Niedobrze się stanie, ale rozumiem ich zaniepokojenie. – Machnęła ręką. – Niech wraca. – Znowu obróciła rozpłomieniony wzrok w stronę Knabego. – Jednak to, co tutaj znalazłam, to, co się tutaj kryje, w tym przeklętym gnieździe zła i czarnej magii...

– Nie obchodzi mnie to – stwierdził zimno inkwizytor.

Mauretanka umilkła, jakby ktoś położył jej dłoń na ustach. Wpatrywała się przez chwilę w Knabego z kompletnym niezrozumieniem.

– Nie pojmujesz, o czym mówię – rzekła wreszcie spokojnym już głosem. – Pozwól mi wyjaśnić, że...

– Ależ doskonale pojmuję – odparł Knabe. – Pojmuję, że wydano mi rozkaz dostarczenia was całych i zdrowych do Amszilas. Przy

czym słowa „całych i zdrowych” opisano dodatkowo zastrzeżeniem „o ile będzie to możliwe”. – Omiótł nas lodowatym i nieruchomym wzrokiem. – Mam nadzieję, że będzie – dodał.

– Błagam cię, Dietrichu. – Nontle złożyła dłonie jak do modlitwy. – To miejsce jest niczym diabelskie sanktuarium. Nie widziałam czegoś takiego ani w Persji, ani w Tybecie, ani w Ogonie Smoka, ani w Afryce. Nie czujesz tej mocy? Nie czujesz, jak pulsuje tutaj pod ziemią, w ziemi i nad ziemią potęga samego diabła?

Knabe przyglądał jej się z obojętnym wyrazem twarzy.

– Moja droga księżniczko, czegóż ty ode mnie właściwie chcesz? Czego się spodziewasz?

– Abyś pozwolił mi zostać. Abyś pozwolił mi badać. – Oczy Nontle płonęły z ekscytacji. – Może już nigdy nie ujrzymy czegoś tak pierwotnego, czegoś tak nierozpoznanego. Przecież ten głaz pochodzi z gwiazd i upadł setki lat przed naszym urodzeniem w to piekielne bagno. Ja po prostu...

– Cokolwiek byś powiedziała, odpowiedź brzmi: nie – przerwał jej Knabe chłodno.

Czarnoskóra kobieta wpatrywała się w niego z oszołomieniem i z niezrozumieniem.

– Nie pojmujesz? – zapytała. – W tych ruskich bagnach może czaić się sekret, jakiego nie widział nikt i nigdy przed nami. Czarownice doskonale o tym wiedziały i dlatego właśnie tutaj założyły swoją siedzibę. Ale nie miały wystarczającej mocy i wiedzy. Tak naprawdę nie rozumiały, przed jaką szansą stoją, ani nie śniło im się nawet, jak można tę szansę wykorzystać. Urządziły sobie sabat, ale nie wystarczyło im mądrości na nic więcej. Ale ja wiem! Ja mam wszystko, czego one nie miały!

Knabe machnął tylko ręką.

– Szkoda strzępić języka, moja księżniczko. W Amszilas przykazali, że mam cię przywieźć, więc przywiozę cię, choćbyś miała resztę drogi spędzić zamknięta w trumnie...

Nontle aż zawyła z wściekłości. Bynajmniej nie wywołanej przypomnieniem upokarzających doświadczeń (to, wydawało się, spłynęło po niej niczym woda po kaczce), lecz spowodowanej tym,

że Dietrich Knabe postawił przed nią całkowicie nieprzenikniony mur. Spotkała człowieka, który nie tylko nie zamierzał jej ustąpić, nie tylko nie zamierzał z nią dyskutować, lecz nawet nudziło go samo słuchanie, co Nontle ma do powiedzenia...

– Jestem Hildegarda Reizend! Mam swoje prawa! – wrzasnęła, a w tej złości jej twarz nagle wydała mi się stara i odpychająca.

– O twoich prawach zadecydują w Amszilas – odrzekł obojętnie Knabe. – I wątpię, by pozostały one na takim poziomie, do jakiego się przyzwyczaiłaś. No ale to już naprawdę nie mój problem – dodał. – Więc teraz decyduj, czy idziesz po dobrej woli, czy mam cię jednak związać i zapakować do skrzynki, jak to wcześniej uczynił ów niewątpliwie pomysłowy inkwizytor?

– Błagam! – Nontle ku mojemu zdumieniu padła na kolana. – Nie rób mi tego! Nie rób tego Inkwizytorium i naszej świętej wierze. Zostań tu i pilnuj mnie, jeśli chcesz. Mogę przez cały czas, dzień w dzień chodzić w łańcuchach, jeśli tylko chcesz. Zrobię wszystko, jeśli pozwolisz mi zostać. Dietrichu! Wszystko!

Przemawiała z taką siłą i z taką rozpaczą, że zrozumiałem, iż naprawdę byłaby gotowa do wszelkich wyrzeczeń, gdyby tylko spełniono jej prośby. Co prawda obietnica „zrobię wszystko” miała w ludzkim obyczaju częstą skłonność do stawania się elementem późniejszych negocjacji, lecz byłem pewien, iż Hildegarda Reizend była naprawdę zdecydowana na bardzo wiele. A taki stronnik jak ona mógł przydać się każdemu. Knabego jednak kompletnie nie poruszyły ani emocje, ani obietnice.

– Zbierzesz się sama? – W jego głosie wyczytałem, że zadaje to pytanie po raz ostatni.

Nontle zapewne również to zrozumiała, gdyż wstała z kolan. Miała twarz ściągniętą bólem i ta twarz nie tylko nie była teraz młoda, świeża i piękna, lecz zdawała się zmęczona i odpychająca.

– Przysięgam, że zapłacisz za to w Amszilas – obiecała martwym głosem Mauretanka. – Zrobię wszystko, by cię dopaść. – Potem obróciła się w moją stronę i wycelowała we mnie palec wskazujący. – Ciebie również – dodała i tym razem w jej martwym głosie ożyły nuty nienawiści.

Uśmiechnąłem się do niej serdecznie, bo niby cóż innego mogłem uczynić?

Potem Nontle została wyprowadzona przez żołnierzy, znowu bezwolna, spokojna i krocząca między nimi niczym ciężko chory człowiek, któremu wszystko jedno, dokąd oraz z kim idzie. A może raczej powinienem powiedzieć, iż „była wyprowadzana", a nie „została wyprowadzona". Gdyż w pewnym momencie, a było to, przysięgam, zaledwie mgnienie, które umknęłoby komuś, kto akurat zmrużył powieki, Nontle odepchnęła strażników tak, że potoczyli się pod ściany niczym pieski odrzucone przez otrząsającego się lwa. Jednak potem już nawet nie wiedziałem, co stało się dalej, usłyszałem tylko huk, coś pękło mi w głowie z wielkim, oślepiającym błyskiem, a kiedy się ocknąłem, siedziałem na podłodze, natomiast kompletnie znieruchomiała Nontle spoczywała (czy raczej lepiej powiedzieć: tkwiła nieruchomo) na przypiecku. Knabe stał nade mną i przypatrywał mi się z troskliwą uwagą.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

Pomacałem głowę, gdyż czułem się tak, jakby ktoś wyrżnął mnie w nią kowalskim młotem, a potem dodatkowo wsadził ją w rozbuchane żarem palenisko.

– Co to było? – Spojrzałem na niego.

– Nasza księżniczka z rozpaczy, że nie zamierzam jej słuchać, posunęła się nieco zbyt daleko – wyjaśnił i pokręcił głową z niezadowoleniem.

– Czy ona żyje?

– Mój Boże, oczywiście, że żyje! – obruszył się Knabe i podał mi rękę. – Chodź, pomogę ci – zaoferował. – Przez chwilę jeszcze może ci się kręcić w głowie, ale to powinno szybko minąć.

Skorzystałem z jego uprzejmej propozycji i rzeczywiście, wstając, poczułem, że pomoc się przydaje, gdyż nogi znowu miałem jak ulepione z trzęsącej się galarety. Naprawdę miałem już serdecznie dość zarówno tego dnia, jak i wszystkich otaczających mnie ludzi. Zwłaszcza że potrafili rzeczy, o jakich nie tylko nie mogłem marzyć, że się ich nauczę, ale o jakich nie miałem pojęcia, że w ogóle istnieją.

Knabe poczekał, aż wygodnie się usadowię. Wyciągnął dłoń w stronę mojej głowy, lecz nie dotknął jej, tylko wykonał gest, jakby głaskał powietrze tuż przed moimi włosami.

– Twoja głowa na pewno przyda się nie raz naszej świętej sprawie – zauważył serdecznie, a mnie ta serdeczność aż zmroziła.

– Obawiam się, że zaraz usłyszę coś, co mi się nie spodoba – rzekłem.

– Czy ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Masz prawo wiedzieć, więc ci powiem, że nakazano mi oskrobać z ruskiego brudu to niewątpliwie cenne dla Inkwizytorium naczynie, jakim jest twój umysł – wyjaśnił.

Podniosłem na niego wzrok.

– Cóż to ma znaczyć?

– Nasza pamięć przypomina wino w otwartym dzbanie. Ulatnia się, paruje, traci moc. Im więcej mija czasu, tym wino jest słabsze... – powiedział. – Nie pamiętasz, co robiłeś jako dziecko, słabo pamiętasz, co robiłeś jako młodzieniec, niezbyt ważne wydarzenia z twojego dorosłego życia również z czasem zacierają się w pamięci.

– Jak ślady stóp na śniegu w czasie zadymki – rzekłem i moje porównanie wydało mi się celniejsze.

Skinął głową.

– Słusznie – rzekł. – To bardzo trafna analogia. – Skrzywił kąciki ust i pokiwał głową. – Więc teraz wyobraź sobie, że ja mam w ręku miotłę i potrafię zatrzeć wszystkie ślady dużo, dużo szybciej, zanim dałby radę przysypać je świeży śnieg.

Wstałem, chociaż jeszcze z pewnym wysiłkiem, i cofnąłem się o krok. Nie żeby miało mi to w czymkolwiek pomóc, jeśli przyjdzie co do czego, lecz nagle poczułem, że bliskość Knabego mnie przeraża. Jak obecność żmii za plecami, kiedy nie możesz się odwrócić, kiedy nic nie słyszysz, kiedy nic nie czujesz, jednak doskonale wiesz, że ona tam właśnie jest, że rozdziawia paszczę, a jej zęby ociekają jadem...

– Zapewniam cię, że ani sztylet w cholewie buta, ani shersken schowany w zanadrzu nie pomogą ci w konfrontacji ze mną – stwierdził Knabe uprzejmie.

– Nie myślałem nawet o tym – odpowiedziałem z urazą.

– Ale mógłbyś pomyśleć, a ja wolałbym, żebyśmy mieli jasność w tej kwestii.

Oparłem dłonie na udach. Cóż, po tym, co zobaczyłem (a raczej czego nie zobaczyłem) w przypadku buntu Nontle, podejrzewałem, że każda próba oporu z mojej strony skończyłaby się równie opłakanie.

– Widziałem ludzi, którzy tracili pamięć pod wpływem uderzenia w głowę lub szaleństwa – rzekłem. – Nie poznawali bliskich, czasami nawet nie wiedzieli, kim sami są...

– Nie zamierzam tłuc cię po głowie tak długo, aż wszystko zapomnisz – odparł rozbawiony. – Korzystając z twojej metafory, powiem, że zamierzam przysypać ślady, a nie stopić śnieg.

Pokręciłem głową.

– Chcesz mnie pozbawić pamięci? – spytałem, cały czas nie dowierzając. – Nie pytam już, w jaki sposób, bo domyślam się, że nawet gdybyś mi wyjaśnił, to i tak bym tego nie zrozumiał, ale wyjaw mi, proszę: po co właściwie chcesz to zrobić?

Rozłożył ręce.

– Błędnie rozumiesz sprawy, Mordimerze – odparł spokojnie. – Ja nie chcę niczego sam z siebie, a tych, którzy wydali mi polecenie, nie pytałem, jakie przyświecały im pobudki. Mówiłem ci, że moim zadaniem nie jest pytać, lecz wykonywać.

Milczałem chwilę, potem wzruszyłem ramionami.

– A właściwie może to i lepiej – odezwałem się i w swoim własnym głosie usłyszałem nawet nie rezygnację, lecz ulgę. – Jeśli mnie nie zabijesz albo co gorsza, nie zrobisz ze mnie śliniącego się idioty, to kto wie czy brak pamięci nie okaże się raczej błogosławieństwem niż przekleństwem.

– Nigdy nie przydarzyła mi się podobna niedogodność, więc nie przypuszczam, aby akurat dzisiaj miał nadejść tak dalece niefortunny dzień – odparł.

– Dlaczego kazano ci to zrobić? Co komu przeszkadza moja pamięć?

Nie byłem rozżalony ani na zwierzchników Knabego, ani na niego samego. Wiedziałem doskonale, że w imię większego dobra podejmuje się czasami decyzje powodujące mniejsze zło. A w tym wypadku zresztą wcale nie byłem przekonany, że utrata pamięci stanie się dla mnie przekleństwem, po prostu chciałem zrozumieć. Choć z drugiej strony zdałem sobie sprawę, że nawet gdybym świetnie teraz pojął motywy postępowania Świętego Officjum, to przecież i tak za chwilę niczego nie będę pamiętał. Nawet tego, że nie pamiętam.

– Widzisz, Mordimerze – odszedł na kilka kroków i przemawiając do mnie, jednocześnie spoglądał przez wybitą ścianę na to, co działo się na zewnątrz – sprawy mają się tak, iż najwyraźniej uznano, że na Rusi zobaczyłeś coś lub nauczyłeś się czegoś, czego nie powinieneś zawieźć z powrotem do Cesarstwa. Czym to jest, ja nie mam pojęcia i wcale mnie to nie obchodzi.

Skinąłem głową. To, co mówił Knabe, było dziwne, lecz logiczne. Zresztą służba w Inkwizytorium nauczyła mnie, że świat jest miejscem, w którym sekrety spowite są tajemnicami. Mogło mi się nie podobać, że dotyczyło to również mojego życia, ale cóż niby mogłem z tym uczynić? Jakie mogłem poznać na Rusi tajemnice, których obawiano się w Cesarstwie? A jeśli bano się tego, co jest w mojej głowie, to dlaczego po prostu nie kazano Knabemu, by zerwał mi ją z karku?

– Również nie wiem, w czym mógłbym komukolwiek zagrażać. – Usłyszałem we własnym głosie zarówno smutek, jak i rozgoryczenie. – Niemniej doceniam, że po prostu mnie nie usunięto – dodałem po chwili. Potem zastanowiłem się. – Co jednak również jest dosyć zagadkowe. Właśnie. – Spojrzałem prosto w twarz Knabego. – Dlaczego Inkwizytorium zaprząta sobie mną głowę? Dlaczego nie zostawiono mnie w tej głuszy na zatracenie albo nie wysłano cię z rozkazem, żebyś pozbył się mnie raz na zawsze?

– Bardzo celne pytania – odparł inkwizytor. – Niestety, nie mam pozwolenia, by udzielić na nie odpowiedzi. Niemniej mogę zapewnić cię o jednym: Święte Officjum otoczy cię opieką. Sprawy nie powinny potoczyć się tak, jak się potoczyły. Nigdy nie powinieneś

był zostawać sam na Rusi, skoro jednak tak właśnie się stało, naszym zadaniem jest wyprowadzenie cię z tego jakże nieprzyjemnego położenia.

– Zajęło wam to ponad rok, ale doceniam starania. Posłuchaj, Dietrichu – rzekłem i sam usłyszałem napięcie we własnym głosie. – Starucha, ta wiedźma, ona coś we mnie widziała. Rok temu o mało mnie nie zaatakowała, mówiła wtedy, że chciałaby mnie rozciąć, wybebeszyć, wyglądała przez chwilę, jakby straciła rozum...

Knabe skinął głową.

– Tak, to całkiem prawdopodobne.

– Nontle uknuła całą tę parszywą intrygę, sfałszowała listy z Nowogrodu, porozumiała się z Moskwiczanami, żeby mieć mnie na własność.

– Tak właśnie się stało – zgodził się ze mną.

– Co one we mnie zobaczyły? – Tym razem usłyszałem we własnym głosie nie tylko pragnienie poznania odpowiedzi, lecz również bezradność. – Kim ja jestem? Czy wiesz, kim ja jestem?

Zbliżył się do mnie, a przez króciutką chwilę zdawało mi się, że na jego twarzy widzę współczucie.

– Tak naprawdę nie jesteś nikim szczególnym – wyjaśnił spokojnie. – Jednak twój wielki pech polega na tym, iż zatopiono w tobie coś, co ma niewyobrażalną wartość. – Zastanowił się przez chwilę. – A w każdym razie coś, o czym wielu sądzi, że ma niewyobrażalną wartość – sprostował. – Nie jesteś więc skarbem, lecz skrzynką ze skarbem – ciągnął. – I niestety, nie można cię otworzyć. Bynajmniej nie dlatego, że zrobić tego nie chcemy, ale dlatego, że zrobić tego nie potrafimy...

– Nie rozumiem – rzekłem po chwili.

Potrząsnął głową.

– Nieważne. – Położył mi rękę na ramieniu zaskakująco serdecznym i jednocześnie poufałym gestem. – Naprawdę mimo wszystko powiedziałem ci za dużo.

Jego słowa zmroziły mnie do szpiku. Konkretnie: dwa ze słów, które wypowiedział. „Mimo wszystko”. One nie zapowiadały niczego dobrego.

Zagarnął mnie ramieniem i podeszliśmy do wyrwy w rozbitej ścianie. Na podworcu kręcili się żołnierze w ptasich hełmach, pilnowano sześciu dziewczynek i dwóch młodych, jasnowłosych kobiet. A więc nie wszystkie kurki trafiły jeszcze do garnka. Tamara oraz Ugryjka nie wpadły w ręce napastników. Poczułem zadowolenie na myśl o tym, że uciekły, choć przecież jako inkwizytor nie powinienem czuć satysfakcji z faktu, że mieszkanki bagien wymknęły się obławie. One były wiedźmami, a żołnierze służyli Inkwizytorium, więc to jasne, po czyjej stronie powinna lokować się moja sympatia. A jednak nie do końca tak sprawy wyglądały.

– Widzisz, Mordimerze, może nadejść prawdziwie dziwny i w tej chwili wręcz niewyobrażalny czas, kiedy to Dietrich Knabe będzie potrzebował przysługi z twojej strony – rzekł Knabe cicho, lecz bardzo poważnym tonem.

Słowa „dziwny” i „niewyobrażalny” były chyba nadzwyczajnie trafne, zważywszy na to, kim byłem ja, kim był on i w jakiej obaj byliśmy sytuacji.

– Co to znaczy? – spytałem.

– To znaczy, że sprawię, iż pewnego dnia będziesz znowu pamiętał wszystko, co przydarzyło się na Rusi. I właśnie wtedy zrozumiesz również, komu zawdzięczasz, że wspomnienia wróciły. I tego dnia – obrócił do mnie twarz – ściśle wykonasz, o co cię poproszę.

Musiałem odwrócić wzrok, gdyż jego spojrzenia nie dało się wytrzymać. To nie była propozycja handlu. To nie były negocjacje. To był warunek. Cena, jaką miałem zapłacić za nadzieję, że pamięć o Rusi, o odbytych wyprawach, o zażartych walkach i o intrygach kiedyś we mnie odżyje. Że przypomnę sobie ludzi i demony, z którymi miałem tu do czynienia. I że kiedyś znowu zobaczę pod powiekami roześmianą twarz Nataszy. Że poczuję na ustach jej pocałunki, których smak mieszał się ze słonym smakiem łez. Przypomnę sobie, że w jej oczach byłem bohaterem. I znowu ujrzę jej zatopione we mgle ciało unoszące się w wielkim mauzoleum, pośród wielu pokoleń czarownic. A choć ostatnie wspomnienie

wywoła smutek, przecież będzie to smutek składający się w poczet uczucia, którym ją darzyłem i o którym chciałem pamiętać.

– Wcale nie wiem, czy pragnę pamiętać o tej przeszłości – rzekłem, sam nie wiedząc, czy to prawda. Chciałem jednak zobaczyć, jak Knabe zareaguje na podobne wyznanie.

– Hm. – Uśmiechnął się, czy raczej lekko prychnął, unosząc kącik ust. – Pamięć pomaga czasem otworzyć drzwi do przyszłości, lecz pomaga również pokonać demony przeszłości.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Mam na myśli, że jeśli będziesz pamiętał, to kiedyś możesz tu wrócić. Na Ruś.

– Po co? – spytałem i usłyszałem zabarwioną złością gorycz we własnym głosie. – Po jakie licho miałbym wracać do tego diabelskiego, przeklętego kraju?

– Spotkało cię tu jednak wiele dobrych rzeczy, czyż nie? A przynajmniej takich, które życzliwie wspominasz.

Życzliwie, pomyślałem. To na pewno nie jest właściwe słowo. Potrząsnąłem głową i przypadkowo przeniosłem wzrok na Nontle, która wyglądała w swym znieruchomieniu niczym posąg wyrzeźbiony dłutem fantastycznie utalentowanego rzeźbiarza. Pomyślałem, jakże jej uroda, niewątpliwa i ekscytująca drapieżnością, inna jest od spokojnego, urokliwego piękna Nataszy.

– Och, Nontle, jakaż ona jest cudna. – Knabe podchwycił moje spojrzenie i przyglądał się Afrykance wzrokiem konesera zachwyconego nowo nabytym dziełem sztuki. – I pomyśleć, że jej ojciec już nie żyje, i dzieci tego ojca, i wnuki tego ojca również już nie żyją. A ona żyje nadal i wygląda tak uroczo i świeżo, jakby miała dwadzieścia lat...

Urwał i łagodnie, samymi opuszkami palców dotknął jej gładkiego policzka.

– Wiedziałem, że jest starsza, niż na to wygląda, ale nie przypuszczałem, że aż tak... – zawahałem się przez moment – leciwa.

– Ano jest – odparł.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Świat jest naszpikowany tajemnicami jak lisie futro pchłami – rzekł.

– Nie jest to żadna tajemnica z punktu widzenia inkwizytora. – Wzruszyłem ramionami.

– No cóż, a wracając do naszej sprawy, skoro nie chcesz kiedyś odzyskać pamięci, to nie nalegam – rzekł. – Twoja wola. Może...

– Nie zdecydowałem, że nie chcę – przerwałem mu. – Wybacz, że zastanawiam się dłużej niż mgnienie oka nad kwestiami, o których nigdy nawet nie pomyślałem, że są możliwe.

– Zastanawiaj się, zastanawiaj – zezwolił pobłażliwym tonem. – A w międzyczasie opowiedz mi, proszę, o wszystkim, co cię spotkało na Rusi.

– Mam ci teraz i tutaj zdać relację, co działo się przez okrągły rok? – Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. – Przez rok naszpikowany niezwykłymi wydarzeniami?

– Bardzo proszę, jeśli mógłbyś...

Uśmiechnąłem się, pokręciłem głową, wzruszyłem ramionami i cóż... zacząłem przywoływać przeszłość. Przyznam, że w obecności Knabego opowiadało mi się wręcz wyśmienicie, wszelkie wydarzenia stawały mi przed oczami, nie tylko jakby miały miejsce wczoraj, ale wręcz jakby rozgrywały się właśnie teraz przede mną i jakbym inkwizytorowi obrazował to, co właśnie widzę na teatralnej scenie, a nie to, co zamgliło się za zasłonami przeszłości. Mówiłem płynnie, jasno, szczerze i bez najmniejszego skrępowania, nie wyłączając relacji z tego, co zazwyczaj ludzie ukrywają, traktując jako intymne tajemnice. Snułem moje wspomnienia w sposób tak obrazowy i jednocześnie tak przejrzysty, jakbym podróżował do tych chwil nie jedynie duchem i myślą, lecz najzupełniej fizycznym i realnym ciałem. Wydawało mi się, że teraz w trakcie tej opowieści widzę każde poruszenie, czuję każdy zapach i słyszę każdy szelest wszystkiego, co zdarzyło się w ciągu ostatniego roku. W pewnym momencie zapomniałem w ogóle o Knabem, o tym, gdzie jesteśmy, i o wszystkich strasznych rzeczach, jakie się wydarzyły. Byliśmy tylko ja oraz moja przeszłość. Byłem sam pośród barwnej mozaiki,

sam pośród kolorowych okruchów układających się w historię mojego życia.

I wreszcie skończyłem mówić, umilkłem zdziwiony, że nie słyszę własnego głosu. Knabe podał mi kubek pełen wina, jak rozpoznałem po zapachu.

– Pij – nakazał.

Byłem mu wdzięczny, gdyż teraz dopiero poczułem, jak bolesną mam suchość w ustach, jak spierzchnięte wargi, jak trudno mi nie tylko odpowiedzieć, ale nawet pomyśleć o odpowiedzi. Wychyliłem trunek do samego końca i przechyliłem kubek, tak by uleciały z niego krople co do jednej, co do ostatniej. Oczywiście natychmiast, przy pierwszym już łyku, poczułem, że nie jest to zwyczajne, czyste wino. Coś do niego dodano, lecz nie miałem pojęcia co.

– Wywar z ziół na wzmocnienie – wyjaśnił Knabe. – Nie masz się czego obawiać.

Może i tak, gdyż rzeczywiście już po chwili poczułem, że zmęczenie ustępuje, a myśli stają się ponownie klarowne i nie kotwiczą już w portach przeszłości, lecz z powrotem wypłynęły na ocean dnia dzisiejszego. Niestety, sztormowy ocean, dodałem w myślach.

– Znakomita historia, Mordimerze – pochwalił zadowolony Knabe. – A ty znakomicie ją opowiedziałeś, a wcześniej równie znakomicie się spisywałeś.

Skinąłem głową w podziękowaniu, chociaż Bogiem a prawdą, było mi wszystko jedno, czy moja historia mu się podobała, czy nie.

– Nigdy już nie rozwikłam tajemnicy, kim był sokół o złotym dziobie, nigdy nie dowiem się, czym jest to coś, co nazywa się Czarnym Bogiem i opętało Izjasława, nigdy nie zobaczę, kim był złowrogi cień, który widziała Natasza w proroczym śnie – rzekłem i usłyszałem rozgoryczenie we własnym głosie.

Knabe uśmiechnął się zdawkowo.

– Prawda jest zazwyczaj pod samym nosem poszukującego – rzekł. – I dlatego tak trudno ją odkryć, gdyż własny nos ciągle przeszkadza – prychnął. – Naprawdę nie zorientowałeś się, że złowrogim sokołem niosącym wam zagładę nie jest żaden herbowy krewniak twojej

Nataszy, lecz ona sama? – ciągnął już poważnym głosem. – Naprawdę nie domyśliłeś się, iż cieniem podrzynającym gardło księżnej była również Natasza? I że jej proroczy sen ostrzegał was oboje przed nią samą, przed tym, do czego jest zdolna? I że to Natasza stała w tym śnie zasmucona i bezradna, ponieważ wiedziała, że nie będzie potrafiła przeciwstawić się pasji, która pcha ją do zniszczenia oraz zagłady?

Milczałem długą chwilę, potem skinąłem głową.

– To takie oczywiste – rzekłem ze smutkiem. Przymknąłem oczy. – Mój Boże, to wszystko moja wina – dodałem. – Gdybym zrozumiał sprawy tak, jak ty je od razu zrozumiałeś... Przecież powinienem!

Knabe machnął ręką.

– Nie ma co teraz gadać na próżno. Dla was obojga i tak wszystko by się źle skończyło, cokolwiek byś zrobił albo czegokolwiek byś nie zrobił.

– Labirynt z Minotaurami zamiast wyjść – mruknąłem ponuro.

– O, to, to! – Inkwizytor uniósł palec.

Stojący za nim żołnierz podał mu kolejny kubek wypełniony trunkiem, a on przekazał naczynie mnie.

– Napij się jeszcze – poradził. – Bo pewnie nie liczyłeś czasu, pochłonięty swoją arcyciekawą opowieścią, a niedługo zapadnie zmrok.

Wstałem i wyjrzałem na zewnątrz. Po niebie nad peczorskimi bagnami trudno poznać, czy jest południe, czy świt, czy zbliża się zmierzch. Zazwyczaj jest podobnie obrzydliwie szaro i smutno, a słońce skrywa się za ołowianymi obłokami lub za gałęziami drzew zarośniętych pasmami mgły. Zauważyłem, że nieopodal studni nadal siedzą wszystkie dziewczęta. I że nadal nie ma wśród nich ani Tamary, ani ciemnowłosej, skośnookiej Ugryjki.

– Co się z nimi stanie? – spytałem, choć przecież świetnie znałem odpowiedź.

Inkwizytor zbliżył się i ujął mnie pod łokieć, bym razem z nim wyszedł przed dom.

– To tylko dziewczynki, Dietrichu – powiedziałem łagodnie. – To tylko dzieci porwane z domów przez złą czarownicę. Po prostu

wypuść je, by wróciły tam, skąd je zabrano.

Knabe uśmiechnął się półgębkiem.

– Oczywiście – rzekł, a potem dał znak swoim ludziom.

Powieszono je wszystkie na drzewie, kilkadziesiąt kroków od domu wiedźmy. Na jednej gałęzi, grubej niczym ramię olbrzyma. Sześć dziewczynek, z których każda miała może siedem, może osiem lat. I dwie rówieśnice Nataszy, te jasnowłose młode kobiety o szarych oczach, które kiedyś, na samym początku, wydawały mi się nieco podobne do samej Nataszy. Wszystko poszło sprawnie i szybko. Najpierw zakładano pętle na szyję każdej dziewuszki, potem jeden z żołnierzy przeciągał linę coraz wyżej i wyżej, a kiedy ofiara majtała już nogami w powietrzu, podchodził inny żołnierz i szarpał ją tak szybko i tak mocno, że przerywał kręgi. Płakały, kiedy widziały, jak zabijane są ich siostrzyczki, a starsze dziewczęta pocieszały je z czułą powagą. Jedna z nich nawet zaczęła śpiewać im piosenkę i kołysząc, przytulała najbardziej płaczącą dziewczynkę. Spojrzała też na mnie, jednak bez gniewu lub niechęci, a tylko z nieśmiałą nadzieją, że może coś zrobię, że może coś się wydarzy, że może w jakiś sposób będę potrafił je uratować, skoro byłem mężczyzną Nataszy. Ale cóż mogłem, otoczony żołnierzami Dietricha i z samym Knabem stojącym obok? Mogłem się tylko przyglądać, dopóki nie wisiały już wszystkie obok siebie, równiutko niczym kruszejące ptaki. Jednej z dziewczynek spadły ze stóp białe buciki.

– No to jedna sprawa załatwiona – stwierdził Knabe z zadowoleniem. – Będę mógł donieść, że sabat został niemal oczyszczony. A nawet jeśli Tamara i Ayla nie wpadną w nasze ręce, to sam sabat nigdy już się nie odrodzi.

– Ayla – powtórzyłem i zdałem sobie sprawę, że do tej pory nie znałem imienia ugryjskiej wychowanki wiedźmy.

A potem odwróciłem się i po prostu odszedłem w stronę bagien. Ku mojemu zdziwieniu ani nikt za mną nie zawołał, ani nikt o nic mnie nie spytał, ani nikt nie próbował mnie zatrzymać.

Dlaczego nie utonąłem w zdradliwym trzęsawisku? Dlaczego te moczary, których nie znałem i na których terenie nie umiałem się poruszać, nie zażądały ofiary z mojego życia? Otóż stało się tak dlatego, że jeszcze kiedy żołnierze Inkwizytorium zabijali dziewczynki oraz ich starsze siostry, ja dostrzegłem siedzącego na bezlistnym konarze malutkiego jera. Przekrzywiał główkę i spoglądał na mnie uważnie. Potem kilka razy podleciał z gałęzi na gałąź, jakby dawał mi znak, że również ja powinienem się ruszyć. Że powinienem pójść za nim. Dlatego poszedłem. A ponieważ mój instynkt samozachowawczy był znacznie, ale to znacznie osłabiony, pomyślałem, że jeśli mylę się co do roli jera albo jeśli wiedzie mnie w pułapkę, to najwyżej się utopię. Myśl o tej alternatywie, raczej wstrętnej lub przerażającej dla każdego człowieka, ani mnie nie obrzydziła, ani nie przeraziła. Może wszystko stałoby się po prostu łatwiejsze. Na razie jednak szedłem, lawirując wśród konarów, korzeni, pni i gałęzi, a błocko ciężko chlupotało mi pod stopami.

I w pewnym momencie zobaczyłem Tamarę. Chociaż nie, najpierw doświadczyłem jej obecności. Poczułem jej obecność. Bynajmniej nie jako odór gnijącego mięsa, po którym rozpoznawałem staruchę, lecz jako niepokojący ucisk w czaszce i dzwonienie w uszach. Od razu wiedziałem, że to musi być ona, i nie pomyliłem się. Najpierw dostrzegłem, że stoi między poskręcanymi, okrytymi zieloną pleśnią konarami, potem ruszyła w moim kierunku. Miała ściągniętą i bladą twarz. Cóż, nie było się czemu dziwić, w końcu wszystkie jej zamiary i marzenia rozsypały się w proch. Cały jej świat został unicestwiony piorunem spadłym z jasnego nieba, w dodatku w chwili, kiedy wydawało się, że nad owym światem przejęła władanie i kontrolę. Nie wiedziałem, czy bardzo żałuje skazanych na śmierć sióstr, lecz na pewno rozpaczała, że sabat przestał istnieć. Że nawet tutaj, na najdalsze krańce Rusi, sięgnęła karząca dłoń Świętego Officjum. Cóż, kiedy pomyśleć o tym na chłodno, było to rzeczywiście zdumiewające. Gdybym był bajarzem i opowiadał zmyśloną historię, nigdy nie posunąłbym się aż tak daleko w nieprawdopodobieństwie zdarzeń. Ale takie to

właśnie stawało się czasami zwyczajne życie: bardziej zdumiewające niż gadka karczmianego gawędziarza.

– Wszystkie umarły – rzekłem.

– Wszystkie zamordowano – poprawiła mnie z nagłą złością. – Nawet dzieci! Jakie prawo każe odbierać życie małym dziewczynkom?

– Nie mogłem nic zrobić – odparłem.

Przyglądała mi się chwilę, potem skinęła głową.

– Tak, to prawda, że nie mogłeś nic zrobić – zgodziła się i wzruszyła ramionami. – Nie mam do ciebie żalu. Naprawdę.

– Dlaczego mnie wezwałaś?

– Zostań ze mną – poprosiła. – Pomóż mi. – Zbliżyła się do mnie i ujęła moje dłonie w swoje. – Nie poradzę sobie teraz sama. Inkwizytorzy odjadą, bo przecież nie mogą zostać długo na Rusi. A kiedy odjadą, to my – ścisnęła moje palce – możemy zacząć wszystko od nowa. – Podniosła ku mnie ściągniętą, zmęczoną twarz i spoglądała z napięciem we wzroku. – Proszę cię, zostań ze mną... – powtórzyła.

Czy widząc malutkiego jera i idąc za nim na bagna, spodziewałem się, że usłyszę podobną propozycję? Cóż, skłamałbym, gdybym powiedział, że podobnego rozwoju wypadków nie brałem pod uwagę. Ale czemu miałbym się zgodzić na propozycję Tamary? Co mogła mi zaoferować? No cóż, najprostsza odpowiedź brzmiała: siebie. Jako kobietę i jako wiedźmę, za której pośrednictwem mógłbym poznać tajniki czarnej magii. Mógłbym zgłębić mroczną naukę, by później stać się tym potężniejszym mieczem w dłoniach Pana. Ale czy tak naprawdę, trzeźwo myśląc, można przypuszczać, że kiedykolwiek opuściłbym bagna? W jaki niby sposób miałbym przemierzyć całą Ruś i dotrzeć do granic cywilizowanego świata? Nie mówiąc już o tym, że kto wie czy Tamara byłaby chętna, by kiedykolwiek wypuścić mnie żywego ze swoich moczarów...

– Ci inkwizytorzy to są moi ludzie, Tamaro – odparłem spokojnie. – Może nie zgadzam się z nimi w pewnych sprawach, może gdyby żyła Natasza, potrafiłbym ich porzucić, by zostać z nią, ale to oni są moim światem. I do nich muszę wrócić, niezależnie, czy na dobre,

czy na złe... – urwałem na chwilę, potem dodałem głosem, który zabrzmiał bardziej posępnie, niżbym sobie tego życzył: – Chociaż obawiam się, iż raczej na złe.

– Mordimerze... – po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu i aż dziwnie zabrzmiało to w jej ustach. Ściskała mnie cały czas mocno i wpatrywała się we mnie rozgorączkowanym wzrokiem. Jej oczy błyszczały, ale nie ognistą lub krwawą czerwienią, lecz po prostu: błyszczały. – Wiem, że teraz ci trudno, wiem, że sprawy źle wyglądają – mówiła dalej. – Dom zniszczony, skarby zabrane. Ale wszystko można odbudować, wszystko można podnieść do dawnej chwały. Pomóż mi, proszę. – Widziałem, że w jej oczach pojawiły się łzy. – Nie chcę niczego za darmo. Dam ci wszystko, co sama mam, wszystko, czego kiedykolwiek nauczyła mnie stara...

Oddałem jej uścisk, lecz jednocześnie pokręciłem głową.

– Wybacz – odrzekłem – ale ty i ja żyjemy w dwóch innych miejscach. Ty masz swoje zadanie na tym świecie, a ja swoje. Nasze ścieżki na moment się zetknęły, jednak nie po to, by połączyć się na stałe.

Przemawiałem do niej łagodnym tonem i starałem się, by mój głos brzmiał serdecznie i przyjacielsko. Przecież gdyby nie najazd inkwizytorów, naprawdę zostałbym z tą dziewczyną i z jej sabatem. Spędziłbym tutaj, na bagnach, kto wie czy nie długie lata, jeśli nie nawet całe życie. Rozumiałem więc, że dla Tamary jestem czymś w rodzaju kotwicy trzymającej ją przy wierze w spełnienie nadziei. Było mi przykro, że muszę tę kotwicę zerwać, bo przecież dziewczyna zawsze była mi życzliwa. Ale zerwać ją musiałem, gdyż cywilizowany świat i Święte Officjum mogłem poświęcić tylko dla Nataszy. A skoro Nataszy już nie było, jedynym wyjściem pozostawał powrót.

– Przykro mi. Nie mogę spełnić twojego życzenia.

Opuściła głowę, słysząc te słowa. Cały czas trzymała moje dłonie w swoich, lecz jej uścisk był coraz słabszy.

– I staraj się gdzieś ukryć, póki nie odjedziemy – dodałem.

Puściła mnie i odwróciła się, ciągle z opuszczoną głową. Wolnym krokiem odeszła w stronę poskręcanej linii drzew.

– Naprawdę dobrze ci życzę – szepnąłem, a właściwie poruszyłem tylko ustami, więc byłem pewien, że nie usłyszała mojego głosu. Ale cóż, powiedziałem to, co powiedziałem, bardziej dla siebie niż dla niej.

Dziewczyna przystanęła na chwilę na linii wykoślawionych drzew. Odwróciła się do mnie.

– To byłam ja – powiedziała.

– Co byłaś ty? – nie zrozumiałem.

– To ja zabiłam Nataszę – odparła spokojnie. – Wtedy na bagnisku to byłam ja, nie twoja czarna przyjaciółka.

– Niby dlaczego miałabyś to zrobić? – spytałem, dziwiąc się, że próbuje się na mnie zemścić w tak prostacki sposób.

– Czy w innym wypadku pomógłbyś mi rozprawić się z mateczką? – Uśmiechnęła się zimno. – Za bardzo bałbyś się o Nataszę, żeby zaryzykować. Tak samo jak ona za bardzo bałaby się o ciebie, by mi pomóc.

Pomyślałem chwilę i skinąłem głową.

– Najprawdopodobniej.

– Och, na pewno! I to, co mówię, jest najszczerszą prawdą – odparła lekko. – Czyż Natasza nie ostrzegała cię, że wszyscy chcą was oszukać i wykorzystać?

– Ostrzegała i sam też dobrze o tym wiedziałem.

– Nie próbuj wyciągnąć sztyletu z rękawa! – ostrzegła mnie, a jej oczy błysnęły czerwienią.

Jednak na wszelki wypadek postąpiła krok w tył, tak by pień drzewa i rozczapierzone gałęzie stworzyły dla niej naturalną ochronę.

– Pomogłeś mi, bo było ci wszystko jedno – ciągnęła. – Bez Nataszy nie bałeś się już ryzyka.

Skinąłem głową, gdyż mówiła prawdę.

– Jeśli to cię pocieszy, pomyśl, że dzięki mnie Natasza leży i przez wieczność będzie leżała w mauzoleum – dodała Tamara. – A w innym wypadku ci inkwizytorzy powiesiliby ją albo spalili. Zabili razem ze wszystkimi innymi. Nie uratowałbyś jej.

– Zapewne nie – zgodziłem się.

– W każdym razie szkoda, że nie zostałeś ze mną. – Uśmiechnęła się promiennie. – Byłoby dość zabawne spędzać dnie i noce z kimś, komu zabiło się ukochaną i kto nic o tym nie wie. Może nawet zakochałbyś się we mnie? – Zaśmiała się. Potem machnęła lekceważąco ręką. – Ale i tak niedługo wszystko na bagnach wróci do ładu. Po prostu będę miała więcej pracy, niż sądziłam, i zajmie mi to więcej czasu.

– Tak może się stać – znowu przyznałem jej rację. Tym razem jednak nie zgadzałem się z tym, co powiedziała. Straciła nie tylko dom i uczennice, lecz również zapiski starej wiedźmy, jej księgi, jej ogromną wiedzę. Nigdy już, a przynajmniej bardzo, bardzo nieprędko czarownice z Peczory wrócą do dawnej chwały i potęgi. Chociaż z drugiej strony Tamara jest bystra i ambitna, pomyślałem. Będzie się starała.

– Jesteś dziwnie spokojny. – Spoglądała na mnie uważnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Chciałabyś, żebym pobiegł za tobą na mokradła? Po co? Przecież wiem, że przegrałem. Ale ty też przegrałaś. – Westchnąłem. – Wszyscy przegrali. Ty, Natasza, ja, Nontle. Nie mówiąc o wszystkich, którzy umarli z naszej przyczyny. Ba, nawet Knabe przegrał, chociaż wcale jeszcze o tym nie wie i być może nigdy nie dopuści do siebie tej myśli.

Tamara milczała dłuższą chwilę, w końcu szybkim ruchem odgarnęła z czoła kosmyk włosów i otrząsnęła się.

– Cóż, więc... żegnaj – rzekła. – Szkoda, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Naprawdę sądziłam, że może być nam razem... ciekawie. – W jej głosie usłyszałem szczery żal. – Pocałowałabym cię na pożegnanie, ale pewnie byś mnie zabił, gdybym się zbliżyła, prawda?

– Prawda – odparłem.

– No właśnie...

– Powiedz mi tylko... – wiedziałem, że nie powinienem zadawać tego pytania, ale może przeważył żal, a może ciekawość – dlaczego to zrobiłaś? Czy musiałaś aż zabijać? Wydawało mi się, że naprawdę lubisz Nataszę...

Cały czas nie byłem pewien, czy jej przyznanie się do morderstwa nie jest tylko grą, czy te słowa nie padły jedynie po to, by mnie zranić, by się na mnie zemścić za odmowę pozostania na bagnach. Sądziłem, że być może dowiem się czegoś więcej, kiedy ją dopytam. Przecież chciałem wiedzieć, czy Natasza zginęła z ręki Nontle, czy Tamary. A może z winy staruchy? Sądziłem, że Tamara zadrwi ze mnie albo zaśmieje się zimno, albo powie coś szyderczego, lecz ona tylko posmutniała.

– Ja ją kochałam – wyznała. – Była moją przyjaciółką, moją siostrzyczką. Nigdy nikogo nie kochałam tak jak jej.

Potrząsnąłem głową. „Nie pojmuję" – chciałem powiedzieć, jednak nie wymówiłem tych słów, gdyż właśnie w tym momencie zrozumiałem przyczynę.

– Pojawiło się coś cenniejszego niż miłość – rzekłem.

Skinęła głową.

– Nie wiesz, że każda czarownica przejmuje moc tej, którą sama zabije? – Spoglądała na mnie tym razem wrogo i drapieżnie, tak jakby to mnie chciała unicestwić.

Wzruszyłem gwałtownie ramionami.

– Co za bzdurne bajania! – warknąłem. – Tak samo prawdziwe jak wiara, że kto zje serce pokonanego wojownika, ten odziedziczy jego siłę. Naprawdę zamordowałaś ją z powodu głupich zabobonów?

– Wierz, w co chcesz – odparła. – Natasza była jak fala na oceanie. Rosła każdego dnia. I ja chciałam dostać chociaż część tej siły.

Teraz jej uwierzyłem. To wytłumaczenie było tak głupie, a jednocześnie tak świadczące o niezmierzonej chciwości. Czyż nie z podobnej właśnie pożądliwości słynęły wiedźmy Mrocznych Wieków? Czyż nie knuły i nie intrygowały jedna przeciw drugiej, by zyskać większe wpływy? Czyż tu, na tym ruskim sabacie, nie działo się dokładnie to samo przez całe lata, a pewnie i wieki? Czego można się spodziewać po drapieżniku, jak nie tego, że zapoluje, kiedy tylko dadzą mu okazję?

Ale nie do wiary, pomyślałem, że moja ukochana zginęła z powodu bzdurnego przesądu, jakiejś fantasmagorycznej pogańskiej wiary w moc przejmowania siły pokonanego

przeciwnika. Owszem, zabijając wroga, można zabrać jego dobytek, można umocnić swoją pozycję wśród ludzi, nabrać pewności siebie. Ale nie można odziedziczyć jego wiedzy i zdolności! Chłop rozłupujący siekierą głowę fechtmistrza nie stanie się nagle znawcą szermierki!

– Nie do wiary – powtórzyłem i usłyszałem, że w moim głosie nie ma nawet gniewu, a tylko zdumienie i bezradność. Zdumienie bezsensem śmierci Nataszy i bezradność, że nic nie mogę uczynić, by ten bezsens odwrócić.

Tamara spoglądała na mnie z zaciętą miną.

– Nic na tym nie zyskałam. Nic – rzekła. – Natasza się obroniła. Umarła i niczego nie oddała. – Rudowłosa dziewczyna prychnęła ze złością. – Myślisz, że jestem zadowolona? Zabiłam przyjaciółkę i nic na tym nie zyskałam. Zupełnie nic!

– Bo nic nie dało się zyskać – odparłem ponuro.

– Rzymski diabeł, który myśli, że pozjadał wszystkie rozumy – syknęła zjadliwie. – Każda czarownica wie, że to, co ci powiedziałam, to prawda. Każda!

Pokiwałem tylko głową i odwróciłem się. Było mi wszystko jedno, czy rzuci się na mnie, czy ciśnie we mnie jakieś wiedźmie zaklęcie, jeśli w ogóle potrafiła coś takiego uczynić.

– Byłeś martwy, diable! – krzyknęła wściekłym głosem.

Zatrzymałem się na chwilę, lecz się nie odwróciłem.

– Tak, to prawda – odparłem, cały czas stojąc tyłem. – Byłem martwy, póki jej nie poznałem. Więc możesz sobie pogratulować, że udało ci się zabić za jednym zamachem i ją, i mnie.

– Nie, durniu! – zawołała rozzłoszczona. – Byłeś martwy nie w poetyckiej, głupio sentymentalnej przenośni, ale naprawdę! Umarłeś, inkwizytorze, a Natasza cię wskrzesiła.

Tym razem się odwróciłem.

– Co ty bredzisz? – warknąłem.

Stała przez chwilę nieruchomo, spoglądając na mnie oczami, w których płonęła czerwień. Potem wstrząsnęła głową, a ognisty blask spełgnął i zaraz całkiem zaniknął.

– Umarłeś w czasie rytuału z Ludmiłą – rzekła już spokojnym tonem. – Nawet mateczka nie wiedziała dlaczego, bo wcale nie powinno się tak stać. Coś poszło bardzo źle. – Wzruszyła ramionami. – Bardzo, bardzo źle...

– Straciłem przytomność.

– Umiem odróżnić nieprzytomnego od martwego – odparła z przekąsem. – A mateczka na pewno potrafiła to jeszcze lepiej ode mnie. Byłeś martwy, inkwizytorze. Martwy tak jak tamci, co wisieli na hakach...

– Nie sądzę – odrzekłem.

– Mateczka była wściekła na Nataszę – kontynuowała Tamara, nie zwracając uwagi na moje słowa. – Zdumiona, że Natasza potrafiła czegoś takiego dokonać, ale bardziej nawet wściekła niż zdumiona. Opowiadała mi potem o tym. Po co niby miałaby to robić?

– Diabli was wiedzą, przeklęte wiedźmy – rzekłem. – Może po prostu coś się jej przywidziało? – Potem prychnąłem. – Chcesz mi wmówić, że Natasza mnie wskrzesiła, tak jak starucha wskrzesiła Izjasława? – zapytałem szyderczo. – Że użyła tej przeklętej mgły, by przywrócić mnie do żywych?

– Głupcze! – warknęła Tamara. – Mgła jest związana z magią wiedźm. Z naszą magią. A Natasza użyła magii inkwizytorów. Rozumiesz? Inkwizytorów! Nikt jej tego nigdy nie uczył...

Machnąłem tylko ręką.

– Co za bzdury! Inkwizytorzy nie potrafią wskrzeszać ludzi – odparłem lekceważąco. – Świat na pewno byłby prostszy i lepszy, gdybyśmy to potrafili, ale nie, nie potrafimy...

Teraz Tamara patrzyła na mnie z wrogością i pogardą.

– Nic nie wiesz o świecie, który cię otacza – stwierdziła zjadliwie. – Ale mateczka dobrze znała różne tajemnice Officjum. Jak chcesz, to spytaj tego mordercę, który zabił moje siostry, czy mówię prawdę. Spytaj go, czy nie jest tak, że żyją inkwizytorzy potrafiący wskrzeszać. Ich moc działa, tylko kiedy zabiorą się za wskrzeszanie zaraz po śmierci kogoś, kogo chcą ożywić, naprawdę bardzo niedługo po niej... Ale potrafią. – Urwała na chwilę. – Skąd Natasza

wiedziała, co robić? Skąd Natasza wiedziała, jak to uczynić? – zapytała, akcentując z mocą słowa „co” oraz „jak”.

Oczywiście nie pytała mnie, bo co niby mogłem jej odpowiedzieć. Jej rozżalony, zdumiony głos szybował gdzieś w niebo i w bagno. Widziałem, jak dłoń dziewczyny ześlizguje się po pniu drzewa, a wbiła przedtem palce w korę tak mocno, iż powstający teraz ślad znaczyły smugi krwi. Wierzyła w to, co mówi. Wierzyła z całą pewnością. Czy jednak ja miałem dać wiarę owym opowieściom? Nie, nie sądzę. Umysł inkwizytora potrafi oddzielać ziarno prawdy od plew kłamstw czy bajań. W tym wypadku nałożyło się wiele czynników, które spowodowały, iż Tamara dała się zwieść.

– A Ludmiła? Przecież też tam była.

– Ludmiła? – prychnęła pogardliwie. – Myślała, że zwyczajnie zemdlałeś. Zresztą tak była zajęta rzyganiem i obmywaniem się z krwi, że nic innego jej nie obchodziło.

Tak, to akurat może być święta prawda, pomyślałem.

– Natasza powiedziałaby mi, gdyby coś takiego się wydarzyło – rzekłem.

– Powiedziałaby ci? – w pytaniu Tamary zabrzmiało szyderstwo. – Nigdy by ci nie powiedziała! – podniosła głos. – Chciała, żebyś ją kochał za to, jaka jest, a nie za to, że cię wskrzesiła. Chciała twojej miłości, nie twojej wdzięczności!

Przetarłem twarz, bo ze wstrząśniętych powiewem wiatru gałęzi musiały opaść na nią deszczowe krople. A potem Tamara pomachała mi ręką i śmignęła pomiędzy drzewa tak szybko i tak zręcznie, że nawet gdybym zdołał wyszarpnąć sztylet z rękawa i nim cisnąć, to z całą pewnością bym w nią nie trafił. Ale nawet nie próbowałem. Czekałem tylko, aż między krzewami i drzewami zniknie nie tylko dziewczyna, lecz nawet jej cień. Czekałem, aż potrącone przez nią gałęzie uspokoją się i znieruchomieją, i wtedy dopiero odszedłem.

Wracałem do siedziby wiedźmy tą samą drogą, a w każdym razie mając nadzieję, iż jest to ta sama droga. W pewnym momencie dostrzegłem cień przesuwający się pośród gałęzi i brodzący we mgle. Położyłem dłoń na rękojeści miecza, chwilę potem jednak

zorientowałem się, że to tylko Dietrich Knabe. Zbliżył się do mnie niespiesznie.

– Wróciłeś – stwierdził.

– A niby dokąd miałbym pójść?

Uśmiechnął się uprzejmie.

– Tak właśnie myślałem, pozwalając ci odejść.

Zza zasłony mgły wychynęli trzej żołnierze o ptasich hełmach. Zbliżyli się do nas, a jeden z nich odchylił poły płaszcza i zobaczyłem, że w dłoni trzyma za włosy zakrwawioną głowę Tamary. O dziwo, nie poczułem ani satysfakcji, ani ulgi, lecz żal. Dziwny, zważywszy na to, że gdybym sam miał stosowną okazję, zabiłbym ją na pewno. Może nienawiść do niej była ostatnią więzią, jaka łączyła mnie z Rusią? Teraz ta więź została właśnie zerwana. A więc nie miałem już tutaj nic, nawet nienawiści.

– Byłem przynętą – stwierdziłem bez zdziwienia, żalu czy złości. Po prostu obojętnie.

– Och, tak. Nie przyzwyczaiłeś się jeszcze, że wszyscy cię wykorzystują? – Knabe poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu. – Tak sądziłem, że ta mała nie odmówi sobie przyjemności ostatniej pogawędki z tobą...

– Mogę? – Sięgnąłem do odciętej głowy Tamary, pogłaskałem ją po płomieniście rudych włosach i zamknąłem jej oczy. Były zielone i nakrapiane szarymi plamkami. Zwykłe oczy miłej, piegowatej dziewczyny. Chyba umarła tak szybko, że nawet nie zdążyła się przestraszyć.

– No to teraz mamy prawdziwy koniec sabatu. – Zadowolony Knabe zatarł ręce.

– Niczym w Mrocznych Wiekach – rzekłem.

Pokiwał głową.

– Mniej więcej – odparł.

– A Ugryjka? – spytałem, myśląc o skośnookiej Ayli.

Rozłożył ręce.

– Nie będziemy sobie nią zawracać głowy – stwierdził. – Co by zdziałała sama jedna? – Uśmiechnął się. – Pewnie wróci za Kamienie, do swojego kraju. Może zostanie szamanką u Jugrów?

Skinąłem głową. Rzeczywiście, tak mogło się stać. Człowiek w chwili nieszczęścia najchętniej powraca w miejsce, z którego wyrastają jego korzenie. Tak jak ja wracałem do Cesarstwa. Do Inkwizytorium.

– A ciała? Co z ciałami tych dzieci? – zapytałem jeszcze.

– Wrzucono je do studni – odparł obojętnie.

Zrozumiałem, że fakt, iż ciała sześciu dziewczynek i ich dwóch starszych sióstr wrzucono do studni, a nie w bagienną toń czy spalono, miał wymiar symboliczny. Oto na tych przegniłych, cuchnących mokradłach niszczono i zatruwano cud natury, jakim była studnia z krystalicznie czystą, smaczną wodą. Potem spalony zostanie dom wiedźmy. I na trzęsawisku nie zostanie nic prócz śmierci oraz ruin.

– Rozmawiałem z Tamarą – rzekłem. – Wyjawiła mi... dziwne sprawy.

– Skoro używasz słowa „dziwne”, zobaczywszy wcześniej, co widziałeś, i przeżywszy, co przeżyłeś, to aż lękam się spytać. – Przyglądał mi się uważnie.

– Kłamała, jak sądzę, ale może zaciekawi cię to mimo wszystko.

– Wszystko, co wydarzyło się na Rusi, bardzo mnie ciekawi. – Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Powiedziała, że umarłem – rzekłem i zdając sobie sprawę, jak głupio to brzmi, wzruszyłem ramionami.

– Kiedy? – zapytał Knabe.

Nie takiej reakcji się spodziewałem i to chłodne, rzeczowe pytanie nagle uzmysłowiło mi, że być może w spowiedzi Tamary tkwiło ziarno prawdy.

– W czasie rytuału powiązania mnie i księżnej Ludmiły – rzekłem. – Miał być gwarancją dla przysięgi, która...

– No tak, mnóstwo krwi, bólu i chędożenia, barwnie mi o tym opowiadałeś – przerwał mi. – Tego według niej nie wytrzymałeś?

Skinąłem głową.

– Ach, te stare wiedźmie rytuały. – Skrzywił się z obrzydzeniem. – O dziwo, były i są bardzo skuteczne.

– Tak naprawdę straciłem przytomność. I potem przez kilka dni chorowałem. Ale Tamara twierdziła, że umarłem i że Natasza mnie wskrzesiła, używając... – urwałem na chwilę. – Dietrichu, ja doskonale wiem, jak dziwacznie brzmi to, co zaraz powiem, ale powtarzam tylko...

– Wskrzesiła cię, używając modlitw inkwizytorów – dokończył Knabe.

Milczałem przez chwilę, potem skinąłem głową.

– Użyła co prawda sformułowania „magii inkwizytorów", ale tak, właśnie o to chodziło... – Zamilkłem na moment. – Nie umiemy wskrzeszać ludzi, prawda? – spytałem wreszcie cicho.

– Ja nie umiem – odparł. – Ty również nie. I nie sądzę, by w przypadku któregokolwiek z nas się to zmieniło.

– A więc są tacy, którzy umieją... – powiedziałem wstrząśnięty. – Mój Boże...

Knabe zagarnął mnie ramieniem i obrócił w stronę domostwa wiedźmy. Ruszyliśmy wolnym krokiem. Widziałem, że moje wyznanie zrobiło na nim wielkie wrażenie.

– Ja w to nie wierzę – rzekłem dobitnie. – Sądzę, że Tamara powiedziała, co powiedziała, żeby mnie dodatkowo pognębić. Żeby spotęgować mój żal i moją tęsknotę. Żeby wywołać kolejne wyrzuty sumienia, że nie potrafiłem ocalić Nataszy.

– Och, pociesz się, że ocalenie kogokolwiek nie było w twojej mocy – odparł Knabe lekkim tonem, jakby wypowiadał najbardziej oczywistą oczywistość. – Od początku byliście zgubieni. – Zatrzymał się nagle i skrzyżował ze mną spojrzenie. – Sam powiedziałeś, że są takie labirynty, z których nie ma wyjścia, a na miejsce jednego zabitego Minotaura pojawiają się kolejne.

To prawda. I wszystko nadzwyczaj podobnie brzmiało do tego, co wcześniej słyszałem od mateczki Olgi, od księżnej Ludmiły, od władyki Izjasława. Że dla nas, dla mnie i dla Nataszy, nie ma miejsca pod ludzkim niebem. I niestety, proroctwa te dokładnie się wypełniły.

– Być może kiedyś staniesz się taki jak my – dodał mój towarzysz w zamyśleniu. – Spojrzysz na świat z ogromnej odległości oraz

ogromnej wysokości. I zrozumiesz wtedy, zrozumiesz doskonale, jak nieistotne są perypetie stworzeń pełzających po ziemi...

– Czy ty w to wierzysz? – zapytałem, mając na myśli oczywiście wskrzeszenie, a nie koleje naszego przeznaczenia.

– Nie – odparł. – Nie wierzę. Jednak to, co od ciebie usłyszałem, jest nie tylko zdumiewające, lecz również dające do myślenia. Będę musiał wiele rzeczy... – zawahał się przez ledwie dostrzegalny moment – sprawdzić.

Zatrzymaliśmy się kilkadziesiąt kroków od zniszczonego domostwa, a ja zrozumiałem, że nadszedł czas. Postąpiłem krok do przodu i objąłem wzrokiem stojącą na gwiezdnym głazie chatę wiedźmy. Miejsce, gdzie pogrzebano wszystko, co miało dla mnie znaczenie.

– Jaka jest twoja decyzja? – zapytał Knabe.

Rozumiałem, że wraca do naszej rozmowy. Do układu, który mi proponował. Nadzieja na powrót pamięci w zamian za przysługę. Ale jaka to miałaby być przysługa?

– Skąd będziesz wiedział, że kiedyś, jeśli ta hipotetyczna chwila w ogóle nadejdzie... – Wzruszyłem ramionami. – Skąd będziesz wtedy wiedział, że dotrzymam obietnicy?

– Po prostu złóż przysięgę. Powiedz tak... – Ujął mnie za rękę. – „Przysięgam, że jeśli Dietrich Knabe zwróci mi kiedyś pamięć, to spełnię każdą przysługę, jakiej ode mnie zażąda”.

Inkwizytorzy są ostrożnymi ludźmi, a kontakty z peczorskimi wiedźmami na pewno nauczyły mnie tej przezorności jeszcze więcej.

– Sformułowanie „każdą przysługę” brzmi tak szeroko, że aż niebezpiecznie – rzekłem. – I jak powiedziałem ci wcześniej: wcale mi nie zależy, by kupić od ciebie towar, który chcesz mi tak usilnie sprzedać. Nie wiem, czemu kazano ci zabrać moje wspomnienia, ale skoro tak właśnie się stało, to je sobie bierz... Wszystko mi jedno.

Postąpiłem dwa kroki do przodu i uniosłem głowę. Wolałbym może, by moim ostatnim widokiem nie był zrujnowany dom wiedźmy i bure, ponure niebo nad ruskimi trzęsawiskami. Ale cóż, przecież i tak niedługo nie będę o tym pamiętał. Natasza umarła,

a za chwilę umrę również ja. Nie pozostanie po nas nic poza legendą powtarzaną przez plebs, w której zamienimy się zapewne w odrażające bestie, złaknione ludzkiej krwi, w potwory, jakimi Rusinki będą straszyć dzieci oraz wnuki. Aż w końcu przeminie również przerażająca opowieść i nikt nie będzie pamiętał o dobrej i pięknej jasnowłosej Nataszy i o inkwizytorze, przed którym otworzyła bramy, o jakich istnieniu nie miał nawet pojęcia. Echo powtarzające nasze imiona zamrze, tak jak wcześniej zamarło po imionach milionów innych ludzi. I nie pozostanie po nas nic, nawet pamięć o śniegu, który przysypał ślady naszych stóp.

– Jestem gotów, Dietrichu – oznajmiłem, patrząc cały czas w niebo.

A potem zamknąłem oczy, by po raz ostatni ujrzeć pod powiekami twarz Nataszy, gdyż wiedziałem, że kiedy otworzę je znowu, nie będę nawet pamiętał, że ktoś taki kiedykolwiek istniał...

Posłowie

Jeżeli lubicie oglądać dodatkowe materiały do filmów i seriali, coś, co twórcy nazywają często *behind the scenes*, to ten rozdział jest właśnie dla Was. Oczywiście wielu widzom zupełnie wystarcza sam film i nie mają potrzeby dowiadywać się, w jaki sposób powstał, jakie towarzyszyły mu perypetie czy też jakie były alternatywne koncepcje scen, a nawet jaki i dlaczego przygotowywano inny finał. Jeżeli należycie do tej właśnie kategorii odbiorców, to poniższym posłowiem nie musicie sobie zawracać głowy. Ale wszystkich, którzy towarzyszą Mordimerowi Madderdinowi w jego przygodach, bardzo zachęcam do przeczytania chociaż pierwszego rozdziału, czyli „Przyszłości świata inkwizytorów", ponieważ odpowiadam w nim na często zadawane pytania o to, czego należy się spodziewać w ciągu najbliższych kilku lat. A więc zaczynajmy!

Rozdział 1. Przyszłość świata inkwizytorów

Opowieści o inkwizytorze Mordimerze Madderdinie w zamyśle miały być cyklem opowiadań połączonych jedynie postacią bohatera (oraz oczywiście alternatywnym do naszego światem, w którym ten bohater funkcjonuje). Na początku nie zamierzałem przedstawiać intrygi splatającej wszystkie teksty. Krótko mówiąc, historie

inkwizytorskie miały należeć do gatunku *monster of the week* – za każdym razem opowiadać broniącą się fabularnie samodzielną historię, a nie jeden z odcinków sagi. Zaletą takiego postawienia spraw było, iż czytelnik mógł (i może!) zacząć przygodę z inkwizytorem od każdej części cyklu. Wyjątkiem jest tutaj cykl „Płomień i krzyż". Wymaga on lektury dokładnie według oznaczeń: od tomu pierwszego do ostatniego, gdyż stanowi fabularną całość, a wydarzenia ustawione są w kolejności chronologicznej. Podobną sytuację mamy zresztą w „Ruskiej trylogii", gdzie „Przeklęte krainy", „Przeklęte kobiety" i „Przeklęte przeznaczenie" należy poznawać w kolejności, w jakiej je napisałem. Ale jeśli ktoś chciałby znajomość z Mordimerem rozpocząć od przeczytania „Ruskiej trylogii", to nie ma ku temu przeciwwskazań, ponieważ ten trójksiąg stanowi samodzielną całość.

Z biegiem czasu i przy entuzjazmie czytelników powstawały kolejne tomy o Mordimerze Madderdinie, w tekstach tych można było zauważyć coraz więcej łączących je nici. Nie tylko widać je było poprzez postać głównego bohatera czy jego towarzyszy, ale pojawiała się coraz wyraźniej pewna Tajemnica, dotycząca nie tylko bohatera, lecz całego świata. Tajemnica ta zresztą obrosła w sekrety, zagadki, niewiadome i niejasności, a wszystko zostało ozdobione znakami zapytania. Kilka razy mówiłem, że cykl inkwizytorski można porównać do rozbitej mozaiki. Każda nowa książka dorzuca kolejne szkiełka do kolekcji. Kiedy będą zebrane już wszystkie i kiedy wszystkie zostaną ułożone, wtedy pełny obraz pojawi się przed oczami składającego. Chciałbym jednak wyraźnie podkreślić, że kreowana przeze mnie „historia spiskowa" dotycząca świata jest tutaj bonusem. Bo cykl inkwizytorski to przede wszystkim historia konkretnych ludzi i ich losów w alternatywnym, magicznym świecie.

Czasami czytam na forach internetowych wypowiedzi czytelników, którzy irytują się, że saga o Mordimerze ciągnie się tak długo. No cóż, najprostszym sposobem wybawienia od tego kłopotu (jeśli ktoś to za kłopot uważa) jest przestać ją czytać. Bo szczerze mówiąc, kompletnie nie widzę sensu w kończeniu opowieści, które nadal podobają się ogromnej liczbie czytelników (a każda z nich

trafia na listy bestsellerów!) i nadal nie budzą również pisarskiej niechęci we mnie samym. Oczywiście, czasami piszę je z większym, a czasami z mniejszym entuzjazmem, ale nie wzdragam się przecież przed sięganiem po inne tematy. W trakcie tworzenia cyklu inkwizytorskiego, pomiędzy poszczególnymi tomami sagi, napisałem dziesięć innych książek („Necrosis", „Alicja", „Charakternik", „Szubienicznik", „Szubienicznik: Falsum et Verum", „Świat jest pełen chętnych suk", „Mój przyjaciel Kaligula", „Bestie i ludzie", „Przenajświętsza Rzeczpospolita", „Rycerz Kielichów"), a więc pozwalam sobie całkiem często na pisarski „płodozmian". Dlatego też Mordimer Madderdin będzie nam jeszcze towarzyszył, a z całą pewnością zostaniemy na dłużej w świecie inkwizytorów, chociaż niekoniecznie już z Mordimerem. Przypomnę Wam, że Terry Pratchett napisał około czterdziestu książek z uniwersum „Świata Dysku", i sądzę, że gdyby nie przedwczesna śmierć, napisałby ich znacznie więcej. Można więc powiedzieć, że wszystko zależy jedynie od wyobraźni i chęci autora oraz od życzliwości czytelników. A jeżeli one wszystkie są, to czemu kończyć tak miło układającą się współpracę?

No dobrze, a teraz do konkretów. W tej chwili (wiosna 2020) na warsztacie mam „Płomień i krzyż", tom czwarty, którego akcja zakończy się nadejściem zarazy. Od tego momentu historie Arnolda Löwefella oraz Mordimera Madderdina zaczną się toczyć jednym torem w powieści „Czarna Śmierć". Która to powieść będzie stanowiła klamrę zamykającą wszystkie wątki poruszone w poprzednich utworach oraz wyjaśni wiele tajemnic dotyczących zarówno bohaterów, jak i otaczającego ich świata. Nie będę Wam teraz i tutaj wyjawiał, czy Arnold Löwefell oraz Mordimer Madderdin przeżyją czas Czarnej Śmierci i czy definitywnie zakończymy tym tomem opowieść o ich życiu, czy też spotkamy się z nimi jeszcze przy innej okazji. Od czasu kiedy porucznik Ripley w epilogu trzeciego filmu z serii „Obcy" utonęła w surówce żelaza w piecu hutniczym, a w czwartej części pojawiła się z powrotem cała, zdrowa i żywa, stwierdziłem, że twórcy mogą wszystko. Zresztą

jeśli potrafią to „wszystko” logicznie wytłumaczyć, nie mam nic przeciwko podobnym zabiegom.

Chciałbym jednak, by „Świat inkwizytorów” nie ograniczał się do opowieści o życiu Mordimera Madderdina i Arnolda Löwefella. Stąd pomysł na zbiór opowiadań zawierający samodzielne teksty, których akcja toczyć się będzie w czasach wczesnego średniowiecza, w epoce nazywanej Mrocznymi Wiekami, o której mówi się, iż demony kroczyły w świetle dnia ulicami miast, a czarownice bezkarnie szybowały po niebie. Miejscem akcji zbioru „Mroczne Wieki” miałaby być Anglia przed X wiekiem. Kraj słaby, rozrywany wojnami domowymi, rozdzielony pomiędzy wielkich feudałów, nękany rebeliami i najazdami. A jednocześnie kraj, w którym bardzo silne są wpływy ludzi oddanych czarnej magii, gdzie wiedźmy założyły liczne sabaty, a pogańscy, heretyccy lub udający chrześcijan wielmoże służą im w zamian za praktyczne korzyści. W tym właśnie miejscu poznalibyśmy walkę pierwszych inkwizytorów o chrystianizację Anglii, z założeniem, że przez wiele lat inkwizytorzy byli tam zwierzyną łowną, a przetrwanie zawdzięczali nie tylko silnej wierze i lojalności, lecz również politycznemu sprytowi. Przypomnę Wam krótki fragment powieści, którą właśnie przeczytaliście:

– A opowiesz mi bajkę?

– Oczywiście, że opowiem.

– O czym?

Zastanowiłem się chwilę.

– Opowiem ci historię dzielnego Raghnalla de Corbeau i pięknej Morwenny. Chcesz?

– Yhm – mruknęła. – A kim on był?

– Inkwizytorem.

– A ona?

– Czarownicą.

– Och, to tak jak my. – Przytuliła się mocniej. – No dobrze, opowiadaj... Jaki ma tytuł ta bajeczka?

– Tytuł? – Zastanawiałem się przez krótką chwilę. – Niech nazywa się „Targ w Scarborough”.

– Dobrze – zgodziła się. – A kiedy oni żyli?

– Zobaczysz – odparłem. – A teraz słuchaj: bitewne pola Brytanii zasłane były trupami – zacząłem. – Nad równinami unosiły się chmary kruków i wron, wciąż kraczących, choć tak już nasyconych, że ledwo odrywających się od nasiąkniętej krwią ziemi. A wysoko, wysoko nad nimi, gdzieś hen pod głębokim, ołowianym niebem, szybowały czarownice...

I właśnie od zdania „Bitewne pola Brytanii zasłane były trupami” rozpocznie się pierwsze opowiadanie w tomie „Mroczne Wieki”. Oczywiście będzie ono zatytułowane „Targ w Scarborough”!

Jeżeli należycie do uważnych czytelników cyklu inkwizytorskiego, to dostrzeżecie, iż zostawiam w nim liczne ślady dotyczące czasów jeszcze dawniejszych, czasów, kiedy istniało Cesarstwo Rzymskie i kiedy inkwizytorami były kobiety. To właśnie inkwizytoria Valeria Flavia jest postacią, którą możemy spotkać w moich opowieściach. Pojawia się również tytuł „Siedmiu Wspaniałych Rzymian”, gdyż jest to znana historia heroiczna, w różnych wersjach opowiadana na targach czy w karczmach, wystawiana na jarmarcznych pokazach... Z całą pewnością przedstawię Wam książkę, w której rzymski trybun Decimus Kasjusz, bohater perskiej wojny, wróg chrześcijan, zostaje w wyniku intrygi wysłany wraz z garstką straceńców na samobójczą misję w najdziksze ostępy germańskich puszczy. Tam właśnie spotyka Valerię Flavię, osobistą inkwizytorię Jego Świątobliwości papieża Sykstusa, nie tylko zagorzałą chrześcijankę, lecz i najpotężniejszą kobietę Rzymu. Od razu napiszę, że jeśli ktoś, czytając tę powieść, dostrzeże silną inspirację „Jądrem ciemności” Józefa Konrada Korzeniowskiego (która była również inspiracją dla filmu „Czas Apokalipsy”), to właśnie tak miało być.

Skoro mowa o dawnej historii, cofnijmy się jeszcze dalej. Jednym z najbardziej ambitnych projektów, jakie mnie czekają (a może to projekt najambitniejszy, przynajmniej jeśli chodzi o świat inkwizytorski), jest powieść „Rzeźnik z Nazaretu”. Ma ona przenieść

czytelnika do czasów Jezusa Chrystusa i w zasadzie w całości będzie powieścią historyczno-kryminalno-obyczajową, pozbawioną elementów fantastyki czy horroru. Jej akcja bowiem toczyć się będzie w latach, kiedy nie nastąpiło jeszcze pęknięcie świata spowodowane Ukrzyżowaniem i Zejściem z Krzyża. Na łamach książki spotkamy prawdziwe postaci: Jezusa, apostołów, członków żydowskiego Sanhedrynu, prokuratora Poncjusza Piłata itd. Opowieść pokaże czasy, które znamy z ewangelii, apokryfów oraz z kart opracowań historycznych, przedstawi antyczną Judeę w całej jej złożoności obyczajowej, religijnej, politycznej, społecznej i narodowościowej (a był to piekielny tygiel nienawiści!). Głównym bohaterem „Rzeźnika z Nazaretu" będzie jednak postać fikcyjna: Marek Kwintyliusz, szpieg cesarza Tyberiusza, którego zadaniem jest informowanie władcy Rzymu o tym, co dzieje się na terenie prowincji Judei (to jej częścią była wówczas Jerozolima). A jak być może pamiętają uważni czytelnicy, Marek Kwintyliusz to bohater pojawiający się dość często we wspomnieniach inkwizytorów, gdyż uważano go za założyciela Świętego Officjum, w związku z czym pamięć o nim jest wyjątkowo honorowana.

Ze strony czytelników padają czasami pytania, czy zamierzam napisać coś o Persach, którzy w moim świecie tworzą coś na kształt magicznego Imperium Zła. Owszem, tytuł „Siedmiu wspaniałych Persów" gdzieś tam turla się w mojej głowie ;) ale nawet gdyby kiedyś przyszło do realizacji podobnego projektu, nie sądzę, by mogło to nastąpić szybko. Choćby z przyczyn czysto technicznych – poznanie Persji wymagałoby ode mnie bardzo dużo starań, naprawdę mnóstwo pracy badawczej, a też radykalnego przemodelowania narracji. Zważywszy na to, że byłby to jedynie „projekt odpryskowy", niewnoszący nic (lub bardzo mało) do głównych wątków sagi, naprawdę musiałbym się mocno zastanowić, czy mogę sobie na podobne przedsięwzięcie pozwolić czasowo, zwłaszcza w sytuacji, kiedy czytelnicy czekają na inne tytuły.

Jednak najważniejszym pytaniem, na które będę musiał odpowiedzieć, jest pytanie, czy wrócimy jeszcze na Ruś, a jeśli wrócimy, to w jakim składzie bohaterów. Przyznam bowiem, że

mnie samego zainteresowało, co mogłoby się wydarzyć na dworze wielkiego księcia Iwana z Moskwy, który każe nazywać siebie carem. Na dworze przesiąkniętym okrucieństwem, intrygami i nienawiścią, gdzie panoszy się czarna magia, a sam car i jego syn podejrzewani są o konszachty z demonami. Być może byłaby to naprawdę intrygująca opowieść i sądzę, że najbardziej mroczna ze wszystkich dotychczas przedstawionych.

Na koniec jeszcze słowo o Polsce. Pytania o Polskę i Polaków w „Świecie inkwizytorów" padają bardzo często i chociaż mamy pewne pojęcie o tym, jaka jest Polska, i poznaliśmy jednego z polskich wielmożów (wojewodę Zarembę w opowiadaniu „Łowcy dusz"), to nigdy jeszcze nie przekroczyliśmy granic Królestwa Polskiego. Może zrobimy to, jadąc do cara Iwana, do Moskwy?

Rozdział 2. Konstruowanie powieści

Pisarze dzielą się na takich, którzy uważają, że łatwiej jest napisać powieść, i na takich, którzy twierdzą, iż łatwiej jest napisać opowiadanie. W czasach kiedy zaczynałem przygodę z pisaniem, popularne było twierdzenie, że „do powieści trzeba dorosnąć". Czyli autor najpierw powinien próbować sił i ćwiczyć warsztat w krótkich formach, potem dopiero zabierać się do form dłuższych. Tak jak w pracy rzeźbiarza. Zanim zajmiemy się rzeźbieniem pomnika wielkości człowieka, może najpierw lepiej poćwiczmy, tworząc figurę wielkości dłoni.

Dzisiaj pisanie opowiadań nie jest tak popularne jak w czasach mojego literackiego debiutu. Niektórzy młodzi autorzy chętnie od razu zabierają się do powieści (a najlepiej od razu do trylogii) i niestety, ich brak technicznego przygotowania wyraźnie widać. Po prostu nie powinno się biegać maratonu bez wcześniejszego treningu, a powieść jest właśnie takim maratonem. Oczywiście zdarzają się talenty, którym niestraszny bez treningu nie tylko

maraton, ale wręcz zawody Ironman, lecz nie każdy dysponuje takimi wyjątkowymi zdolnościami.

Pisanie powieści wymaga dyscypliny fabularnej, konsekwencji w prowadzeniu akcji oraz bohaterów, odpowiedniego rozłożenia akcentów oraz, oczywiście, stosowania się do zasad logiki. Mówię tu o powieści klasycznej, nie eksperymentalnej, w której można wszystko (chociaż zauważcie, że zanim Picasso zaczął tworzyć swoje koślawe potworki ;) umiał malować perfekcyjne, nienaganne technicznie „zwyczajne" obrazy). Kiedy czasami czytam opinie na temat książek (nie tylko moich), zdarzają się tam zdania takie jak: „Widać, że autor się spieszył". Otóż warto wyjaśnić, że sprawy w ten sposób nie wyglądają. Przynajmniej w moim wypadku. Dlaczego? Ano dlatego, że nie piszę powieści w takiej kolejności, w jakiej ją czytacie. Rzecz bowiem wygląda raczej jak przy powstawaniu filmu. Na przykład jednego i tego samego dnia kręci się scenę z pierwszej minuty, z siedemnastej i ze sto czwartej. Oczywiście filmowców zmuszają do tego względy praktyczne, natomiast u mnie powody są inne. Mógłbym przecież pisać strona po stronie, jak Pan Bóg przykazał, od strony pierwszej do pięćsetnej. Zazwyczaj nie robię tego z dwóch przyczyn. Po pierwsze, są pewne wizje fabuły, które mam odmalowane co do każdego detalu, ale są również takie, które początkowo tworzą jedynie ogólny obraz. Zrozumiałe więc, że najpierw siadam do pracy nad tymi, które są bardzo wyraźne. Po drugie, nie ma co ukrywać, że w każdej książce są fragmenty, które autorowi pisze się z większą przyjemnością i swobodą, a są takie, których kreowanie przychodzi z mozołem (sztuka pisania polega też na tym, aby one się potem NIE czytały z mozołem ;) Bieda w tym, że zwykłe wygodnictwo oraz hołdowanie zasadzie przyjemności skłaniają czasami autora, by wszystkie takie trudniejsze fragmenty zostawić na sam koniec. No i naprawdę nie jest lekko, kiedy tylko one zostają! Pisał już o tym niegdyś Stephen King, również ubolewając, iż sam siebie potrafi wpuścić w podobne kłopoty. Czyli dobrze wiedzieć, że nie jestem wyjątkiem!

Tak więc jeśli macie pod koniec książki wrażenie, że autor przyspieszył akcję, bo chciał już koniecznie oddać tekst do

wydawnictwa, gdyż goniły go terminy ;) to nie będzie to podejrzenie słuszne! Nie oznacza to oczywiście, że nie popełniłem błędów konstrukcyjnych (takie błędy, niestety, mogą się zdarzyć), lecz nie zostały one spowodowane brakiem czasu, choćby z uwagi na techniczny proces konstruowania powieści, który Państwu przedstawiłem.

Jeśli chodzi o bohaterów, jestem raczej zwolennikiem tezy, że nie powinni oni pojawiać się i znikać niczym diabełki z pudełeczka. Ot, papierowi ludzie bez historii, bez przeszłości i przyszłości, wychodzący na scenę, by wygłosić jakąś tezę czy wziąć udział w jakimś wydarzeniu, i bezpowrotnie znikający. Oczywiście, wiadomo, że w każdej fabule pojawiają się postacie epizodyczne (a świetnie, jeśli te kreacje zapadają w pamięć!). Chodzi o to, by wokół głównego bohatera pojawiały się i uczestniczyły w fabule osoby, które są niczym kolumny w świątyni. To na nich trzyma się cała konstrukcja. W przypadku „Ruskiej trylogii" takimi kolumnami otaczającymi bohatera są oczywiście Natasza, księżna Ludmiła, mateczka Olga oraz Andrzej. Dlaczego w ogóle o tym piszę? Gdyż początkowe plany przewidywały występ jeszcze jednej ważnej postaci: cesarskiego oficera Zygfryda. Pamiętacie jeszcze Zygfryda? W trzecim tomie „Płomienia i krzyża" poprosił inkwizytorów, by mógł zostać na żołdzie peczorskiej księżnej. Wtedy sądziłem, że ten bohater może mi się przydać, i jego pozostanie miało zapewnić mi pewien komfort, pewne wyjście awaryjne. Gwarantowało obecność kogoś, z kim Mordimer będzie mógł w miarę szczerze porozmawiać, na kim będzie mógł się oprzeć, z kim ewentualnie będzie mógł spiskować przeciwko Rusinom. Lojalność Zygfryda wobec Świętego Officjum miała być niezachwiana, chociaż oczywiście zastanawiałem się, czy w jakiejś chwili nie poprowadzić fabuły tak, by nieco tą lojalnością zachwiać (ach, ten cudny błysk złota!). W pewnym momencie jednak zrozumiałem, iż ważnym elementem „Ruskiej trylogii" jest samotność głównego bohatera. Bo ona również tłumaczy tak silny związek z Nataszą. Oboje są samotni: inkwizytora wszyscy nienawidzą, a Nataszy wszyscy się boją. Oboje są w obcym miejscu, oderwani od ludzi i spraw towarzyszących im przez całe

dotychczasowe życie. Z tego też powodu tym łatwiej wejść im w silną wzajemną relację. Zygfryd został więc na lodzie i dlatego wysłałem go na rozkaz księżnej z misją za Kamienie, abyśmy zarówno my, jak i główny bohater całkowicie stracili go z oczu. Cóż, zapewne Zygfryd siedzi wśród Jugrów, zajmuje się sprawami Ludmiły i ma się całkiem nieźle. Oszczędzi sporo złota i jak sądzę, kiedyś wróci do Cesarstwa. Myślę, że natkniemy się na niego jeszcze jako na postać epizodyczną, choćby w powieści „Czarna Śmierć", w której Mordimer Madderdin napotka wiele osób ze swojej przeszłości, zarówno tych, które winne mu są wdzięczność, jak i tych, które darzą go nienawiścią.

Rozdział 3. Natasza – tworzenie postaci

(Na początek bardzo ważne ostrzeżenie: broń Boże, nie czytajcie tego rozdziału, jeśli jeszcze nie przeczytaliście powieści, bo aż roi się w nim od spoilerów).

Bohaterowie czasami zaczynają żyć własnym życiem. Wymykają się twórcy spod kontroli, uciekają z klatki, w której ich zamknął. Czy to dobrze, że autor nie przestrzega planów, jakie sam na początku przystąpienia do pracy przyjął? Otóż, jak w większości dyskusji o twórczości artystycznej, odpowiedź będzie brzmiała: i tak, i nie ;) Jestem gorącym zwolennikiem kontrolowanego szaleństwa, czyli radosnej improwizacji ujętej jednak w ramy pewnego porządku. Tak jak baron Münchhausen na pytanie kamerdynera, czy podać śniadanie o szóstej wieczorem, czy o szóstej rano, możemy odpowiedzieć: o szóstej w południe.

Natasza – najciekawsza na pewno kobieca postać ze świata Mordimera Madderdina (przynajmniej ja odnoszę takie wrażenie) – miała być początkowo zupełnie inną osobą. Zamierzałem zbudować tę postać jako cichą, nieszczęśliwą dziewczynę, zahukaną i bezradną, której przeznaczeniem jest mistyczna i fizyczna służba dominującemu nad nią mężczyźnie. Mordimer miał okazać jej

współczucie i sympatię, co z kolei powinno spowodować, że Nataszę można byłoby porównać do małego pieska, który spodziewa się, że będzie bity, a tymczasem nieoczekiwanie doświadcza ciepła ludzkich uczuć, w związku z czym przywiązuje się do właściciela całym sercem. No i oczywiście miała zginąć, poświęcając życie w obronie głównego bohatera. Jednak Natasza niemal natychmiast wymknęła się ze schematu, który dla niej zaplanowałem, i zapragnęła stać się postacią dużo bardziej złożoną. Właściwie można powiedzieć, że to Natasza jest w powieści postacią dominującą i złośliwe słowa Hildegardy Reizend o „pięknej i śmiertelnie groźnej Nataszy, która wzięła inkwizytora na smycz miłości i króciutko go na niej trzyma", okazują się nie tylko złośliwe, lecz w rzeczywistości całkiem prawdziwe...

Opowiem Wam teraz, jakie jeszcze przychodziły mi do głowy pomysły na postać Nataszy. Nie należy spoglądać na wszystko, co teraz przeczytacie, jako na projekty, które rozpatrywałem poważnie czy dla których starałem się budować dalszą fabułę. Mówię tylko o pewnej burzy myśli, będącej często elementem tworzenia. I autorowi przychodzą czasami do głowy koncepcje kompletnie szalone, a nawet niepasujące do klimatu powieści, a jednak w pewien sposób intrygujące. I autor wie, że z owych koncepcji nie skorzysta, lecz gdzieś zostają mu one w myślach i są wspominane czasami z rozbawieniem, a czasami z sentymentem. Jeśli jeden z tych pomysłów wyda Wam się lepszy czy bardziej atrakcyjny od fabuły, którą przeczytaliście, to oczywiście niedobrze! Będzie to oznaczało, że podążyłem (przynajmniej wedle opinii tak myślącej osoby) złą drogą.

Natasza ma jasną cerę, jasne włosy i często chodzi ubrana na biało. W Peczorze nazywają ją „białą wiedźmą", co nie podoba się zresztą ani jej samej, ani Mordimerowi. Ale miałem pomysł, by Natasza okazała się spadkobierczynią tej dziwnej rasy pogrzebanej gdzieś w wiecznej zmarzlinie dalekiej Północy. Tych ludzi, o których Rusini bają, że zostali pochowani wraz ze swymi gigantycznymi, włochatymi słoniami. Natasza miała zostać porwana przez mateczkę Olgę jako jedno z ostatnich dzieci należących do tego wymarłego

narodu. W pewien sposób można powiedzieć, że koncepcja ta nie została do końca i raz na zawsze zamknięta, gdyż przecież niewiele wiemy o koligacjach rodzinnych przodków Nataszy. Może naprawdę miała w sobie krew tych wojowników z pokrytej wiecznym lodem Północy?

Wpadł mi do głowy też naprawdę podły koncept, a mianowicie żeby okazało się, że ktoś taki jak Natasza w ogóle nie istnieje. Natasza jest jedynie fizyczną skorupą, którą w całości kontroluje stara wiedźma z mokradeł. A więc mamy do czynienia z jakąś mutacją opowieści o kosmicznym pasożycie z filmu „Coś" czy o kosmicie z opowiadania „Skóra ojca" Philipa K. Dicka. Generalnie pomysł z przejęciem ciała przez obcą świadomość i ogłupianiem w ten sposób wszystkich wokół był wykorzystywany wielokrotnie w filmach, serialach czy książkach, zarówno z gatunku horroru, jak i SF. Przyznacie sami, że nie byłoby to przyjemne dla Mordimera, gdyby pewnego dnia przekonał się, że osoba, w której się zakochał, dla której nie tylko chciał poświęcić karierę, ale był nawet gotów oddać życie, więc że ta właśnie osoba jest jedynie teatralną kreacją parszywej staruchy z mokradeł. Łagodniejszą mutacją tego rozwiązania było przedstawienie Nataszy jako z gruntu złej wiedźmy, która oczarowuje i opętuje Mordimera, natomiast jest cyniczną, pozbawioną uczuć manipulantką, jedynie odgrywającą wyznaczoną jej rolę. Wszystko to prowadziłoby nas do przygnębiającego finału, podobnego może do tego ze smutnego opowiadania „Róża dla Eklezjastesa" Rogera Zelazny'ego.

Kolejnym pomysłem, nieco innym, choć równie gorzkim, było przedstawienie Nataszy jako naprawdę brzydkiej, odstręczającej wszystkich kobiety, która tylko w oczach Mordimera jest wyjątkowo olśniewającą pięknością, gdyż taki rzucono na niego urok. A wszyscy w Peczorze pod groźbą śmierci mają zakaz wyjawienia mu prawdy. Realnym dramatem byłoby natomiast to, że Natasza szczerze i gorąco by się w naszym inkwizytorze zakochała, lecz on natychmiast i z obrzydzeniem by ją odrzucił, kiedy tylko urok zostałby usunięty i kiedy zobaczyłby, jak Natasza naprawdę wygląda. Podobny zabieg zastosowano w filmie „Płytki facet", tyle że

obraz ten był komedią romantyczną, a my mielibyśmy, rzecz jasna, do czynienia z dramatem.

Z różnych powodów nie wykorzystałem przedstawionych powyżej pomysłów (swoją drogą, ciekawe, czy się Wam spodobały takie zapętlenia akcji), ale postać Nataszy na pewno ewoluowała na kartach trzech książek. Stawała się ona bohaterką odgrywającą coraz większą rolę, widać było też coraz wyraźniej, że rola ta jest grana w antycznej tragedii, a nie w komedii romantycznej. Natasza na pewno pozwoliła również, byśmy zobaczyli ludzki rys w samym Mordimerze, który od początku darzy dziewczynę sympatią, potem również uczuciem. Zresztą jak zapewne część z Was zwróciła uwagę, Mordimer poprzez swoje godne zachowanie uratował własne życie. Ponieważ Natasza najpierw inkwizytora polubiła, a później się w nim zakochała i tylko to powstrzymało ją od zabicia go (czego wszyscy się przecież spodziewali). Myśl o Nataszy rosnącej coraz bardziej i bardziej w siłę rodziła się stopniowo, tak samo jak pomysł, iż okaże się ona, niezgodnie ze swoimi pragnieniami, tą siłą chaosu, która przeorze dość spokojny świat ruskiej prowincji i przede wszystkim zniszczy to, na czym samej Nataszy najbardziej zależało: nadzieję na inne, lepsze życie.

Do samego końca zastanawiałem się, jak rozwiązać kwestię śmierci Nataszy. Początkowo plan był taki, że dziewczyna, zatopiona w bryle lodu, miała odpłynąć na daleką Północ, by tam zostać pochowaną w wiecznej zmarzlinie, na cmentarzysku wiedźm. Napisałem nawet scenę, w której Mordimer obserwuje łódź odpływającą z ciałem Nataszy i siedzącym przy nim Dzikarem. No cóż, zapewne zakończenie takie byłoby lepsze dla pieska Nataszy. Ale jednak zdecydowałem się go uśmiercić. Dlaczego? Ponieważ ta śmierć też jest symboliczna: Natasza prędzej czy później przynosi zagładę każdemu, kto miał pecha znaleźć się blisko niej. Mordimer Madderdin przecież również ginie. I to dwa razy. Pierwszy raz w czasie krwawego rytuału, po którym zostaje wskrzeszony, drugi raz – kiedy zostaje mu zabrana pamięć (co również możemy uznać za rodzaj śmierci).

Wydaje mi się, że stworzenie mauzoleum wiedźm oraz tajemnica spadłego z gwiazd kamienia (który jest źródłem nadzwyczajnej magicznej mocy) daje mi jeszcze szansę odwiedzenia Peczory. Trudno przecież, by Inkwizytorium nie zainteresowało się kwestią sabatu oraz kamienia z gwiazd, kiedy zarządzający nim przeczytają raporty Hildegardy Reizend oraz Dietricha Knabego. No cóż, gdyby się tym nie zainteresowali, byłoby to naprawdę dziwne... Została nam również do wyjaśnienia kwestia Czarnego Boga, pojawiającego się w snach władyki Izjasława. Oczywiście mogłem ten wątek rozwiązać już w obecnej książce, lecz pomyślałem, że takie przełamanie miejsca akcji i wprowadzenie w zasadzie zupełnie nowej historii nie byłoby właściwe. Ja sam oczywiście wiem, czego chciał Czarny Bóg (a Wy możecie się domyślić ze śladów, jakie rozsiałem tu i ówdzie). Zobaczymy, kiedy oraz przy jakiej okazji na to pytanie odpowiem oraz jak dalekosiężne konsekwencje przyniesie owa odpowiedź. Jeżeli macie ochotę spojrzeć na sprawę Rusi oczami innego bohatera, to zapraszam do lektury czwartego tomu „Płomienia i krzyża”. W jednym z epizodów tej powieści spotkamy Nontle oraz Dietricha Knabego i poznamy ich relację na temat ruskich wydarzeń. Zapewniam Was, że wprowadzi ona nieco inne akcenty do opowieści znanej z historii snutej przez Mordimera.

Wróćmy jednak do tematu związku Nataszy i Mordimera. Jak zapewne zauważyliście, Mordimer nie zachowuje się w pełni racjonalnie, myśląc o Nataszy (chociażby cały czas oficjalnie neguje fakt, iż Natasza jest czarownicą, mimo że sam doskonale o tym wie). Tych dwoje jest połączonych tak silnymi więzami fizycznymi i uczuciowymi, że cały świat obok jest dla nich nieistotny. A raczej, mówiąc dokładniej, istotny tylko wtedy, kiedy można dzięki niemu budować wsparcie dla ich związku lub odwrotnie – kiedy trzeba usuwać zewnętrzne przeszkody. Inkwizytor jest w stanie wiecznego zachwytu, zauroczenia Nataszą i, co na pewno miłe, dziewczyna odpowiada mu dokładnie tym samym. Tak jak powiedziała stara wiedźma w pierwszym tomie: kiedy tych dwoje zetknęło się ze sobą, coś drgnęło w nie-świecie (czyli w świecie mistyczno-magicznym). Spotkałem się z zarzutami niektórych czytelników, że miłość tych

dwojga jest aż niestrawna – „rzyganie tęczą” ;) ale dokładnie tak miała ona wyglądać. Trawestując to uczucie na język współczesnych sentencji miłosnych, można powiedzieć tak: „Mówili mi: nie przejmuj się, przecież w tym oceanie jest pełno rybek. Nie wiedzieli, że dla mnie to ona jest oceanem”. Celowo też przedstawiam w bardzo ogólnikowy sposób kwestie seksu pomiędzy dwojgiem bohaterów, gdyż uznałem, że siła ich fizycznej miłości będzie znacznie wyrazistsza i mocniej oddziałująca na wyobraźnię, jeżeli pozostanie niedosłowna i w sferze niedopowiedzeń. Myślę, że związek Nataszy i Mordimera świetnie ukazują słowa wypowiedziane przez samą Nataszę: „Kocham cię tak bardzo, że czasami chciałabym być jednym ciałem z tobą. Jedną duszą i jednym umysłem. Nawet jak jestem tuż obok ciebie, nawet jak jesteś we mnie, to cały czas tak bardzo, tak rozpaczliwie cię pragnę”.

Mordimer znajduje świetne wytłumaczenie dla bezwzględności, z jaką on i Natasza poruszają się po świecie. Mówi: „czynimy rzeczy, które można by uznać za przerażające i odrażające, ale czynimy je w imię wyższego dobra. W imię triumfu Światła nad Ciemnością. W imię tego, by Boska układanka przybrała taki kształt, jaki wyznaczył jej nasz Pan. Jesteśmy częścią Bożego planu, Nataszka. Ty i ja. I aby ten plan przyoblekł się w materialny kształt, musimy przeżyć. Dlatego wszystko, czego dokonujemy teraz i tutaj w imię przeżycia, jest godne pochwały”. Mam nadzieję, że każdy, kto wczyta się uważnie w te słowa, zrozumie ich prawdziwy sens oraz pojmie groźne konsekwencje, jakie podobna postawa może powodować. No i cóż, w mojej opowieści zresztą spowodowała.

Mordimer już po śmierci Nataszy, szykując się do tego, że zaraz sam umrze, ma pewien przebłysk realizmu. Myśli: „Nie pozostanie po nas nic poza legendą powtarzaną przez plebs, w której zamienimy się zapewne w odrażające bestie, złaknione ludzkiej krwi, w potwory, jakimi Rusinki będą straszyć dzieci oraz wnuki”. Jeżeli policzycie liczbę ofiar, do których śmierci pośrednio lub bezpośrednio przyczynili się Natasza i Mordimer, zapewne dojdziecie do wniosku, że przewidywania inkwizytora są raczej prorocze niż chybione.

Rozdział 4. Tytuł

„Przeklęta pamięć” lub „Przeklęta mgła” – oto były moje pomysły na tytuł ostatniego tomu „Ruskiej trylogii”. Ale postanowiłem przeprowadzić ankietę na Twitterze i oto okazało się, że większość osób, które wzięły w niej udział (a było to ponad trzy tysiące uczestników, dziękuję Wam bardzo!), poradziła, bym myślał nad innym rozwiązaniem. Stąd właśnie narodził się pomysł tytułu „Przeklęte przeznaczenie”, który nie wiem, czy jest najbardziej atrakcyjny, ale na pewno najdokładniej oddający przesłanie oraz sens powieści. Bo tak naprawdę mamy w niej do czynienia z tragedią w antycznym stylu, w której od samego początku do samego końca wiemy, że wszystko musi skończyć się źle, i pozostaje tylko pytanie: jak bardzo źle? Można też mówić o fatalizmie powieści gotyckiej, której motywem przewodnim jest nieszczęśliwa, naznaczona piętnem miłość pary kochanków. A przypomnę Wam, że już w przedmowie do „Przeklętych krain” pisałem: „przyjrzyjcie się bohaterom bardzo uważnie, bo niedługo wszyscy oni zginą”. Nie mówcie więc, że nie ostrzegałem! No cóż, ocalał co prawda Andrzej – dworzanin Ludmiły i szpieg wielkiego księcia Nowogrodu, ale stanowi on wyjątek w tej smutnej masakrze.

Do tytułu „Przeklęte przeznaczenie” pasują również rozważania Mordimera na temat labiryntu oraz Minotaura i konstatacja mówiąca, że w pewnym momencie znaleźć się możemy w takim labiryncie, w którym nie ma już drogi prowadzącej do wyjścia, tylko każda prowadzi do następnego i następnego Minotaura. Dlatego przyznam, że jestem bardzo zadowolony, iż moje pierwotne pomysły zostały odrzucone (jeszcze raz dziękuję uczestnikom ankiety!), gdyż po prostu tytuł obecny jest celniejszy. Zastanawiałem się również nad merytorycznie zbliżoną (choć zupełnie inną w brzmieniu) propozycją „Przeklęte fatum”. Według Wikipedii słowo fatum oznacza: „nieuchronny, nieodwracalny los; nieodwołalną wolę bogów, na którą nikt nie ma wpływu. Fatum ciążące nad człowiekiem ogranicza ramy jego wolnej woli, kierując skutki

działań w jednym tylko, zgubnym kierunku. Jest bezpośrednią przyczyną jego końcowej klęski i tragedii”. I wszystko w porządku, tylko problem jest jeden: „fatum” z samej swojej definicji jest przeklęte, a więc tytuł „Przeklęte fatum” byłby w rzeczywistości ewidentnym pleonazmem („masło maślane”, „równe połowy” itp.). No i w ten właśnie sposób „przeznaczenie” zwyciężyło w konkursie piękności i trafiło do historii literatury ;)

Epilog

Bardzo dziękuję wszystkim, którzy dobrnęli do końca niniejszego posłowia. Mam nadzieję, że znaleźliście w nim informacje, które Was zainteresowały. Ze „Światem inkwizytorów” spotkamy się na pewno nie tylko na łamach książek. Jak niektórzy z Was zapewne wiedzą, powstaje gra komputerowa/konsolowa, przygotowywana przez kilkudziesięcioosobowy zespół wrocławskiej firmy The Dust, a premiera planowana jest na 2022 rok. Co pewien czas trafiają do mnie również sygnały ze świata filmu i optymistycznie mam nadzieję, że serial lub film kinowy oparty na cyklu inkwizytorskim to raczej kwestia pytania „kiedy?”, a nie kwestia pytania „czy?”. Na razie mogę Wam gorąco polecić audiobooki Biblioteki Akustycznej w doskonałej interpretacji Janusza Zadury, który to aktor od początku towarzyszy inkwizytorom w ich przygodach i jest głosem wszystkich książek cyklu. A od słuchaczy wiem, że w tej chwili nie wyobrażają sobie już w tej roli kogoś innego ;)

Do zobaczenia w „Płomieniu i krzyżu” oraz w „Czarnej Śmierci”. Życzę nam wszystkim dwóch rzeczy: abym ja pisał je z przyjemnością i abyście Wy z przyjemnością je czytali! I oby paskudna epidemia, która w chwili, kiedy piszę te słowa, trzęsie światem, była niedługo zaledwie wspomnieniem dramatycznej przeszłości. Oraz nauką służącą do zbudowania bezpiecznej przyszłości dla nas wszystkich.

STEEL HOG
SROGIE DODATKI DO ULUBIONYCH LEKTUR
ZAUFAJ MI JESTEM EGZORCYSTĄ
GDZIE BYŁ BÓG GDY STYGŁA KAWA?
ZAMAWIAJ NA
WWW.STEELHOG.PL

Copyright © by Jacek Piekara, 2020
Copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-7964-598-5

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt i adiustacja autorska wydania
Eryk Górski, Robert Łakuta

Ilustracja na okładce
Piotr Cieśliński

Projekt okładki
„Grafficon" Konrad Kućmiński

Ilustracje
Paweł Zaręba

Redakcja
Małgorzata Hawrylewicz-Pieńkowska

Korekta
Magdalena Byrska

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Sprzedaż internetowa
swiatksiazki.pl
DRESSLER
Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/

Opowieści ze świata Inkwizytorium

„Ruska trylogia" stanowi osobną całość i może być czytana niezależnie od innych książek o Mordimerze Madderdinie, a nawet bez wcześniejszej ich znajomości.

Ja, inkwizytor

Przeklęte przeznaczenie

Życie warto poświęcać tylko dla Boga.
Bo kiedy Bóg woła, to odpowiadam:

JESTEM!

nie zważając, czy wzywa mnie
dla chwały, czy dla męczeństwa.

Ostatni tom „Ruskiej trylogii",
zamykający wątki rozpoczęte
w „Przeklętych krainach" i „Przeklętych kobietach".
Losy bohaterów splatają się w zatruty
węzeł intryg i zdrad.

Inkwizytor walczy o ocalenie życia i miłość ukochanej kobiety. Jest gotów na wszystko, by uratować świat, który zbudował razem z Nataszą. Jest gotów również na to, by w oczach dobrych chrześcijan stać się potworem. Oto jego credo: „Czynimy rzeczy, które można by uznać za przerażające i odrażające, ale czynimy je w imię wyższego dobra. W imię triumfu Światła nad Ciemnością. Jesteśmy częścią Bożego planu. I aby ten plan przyoblekł się w materialny kształt, musimy przeżyć. Dlatego wszystko, czego dokonujemy w imię przeżycia, jest godne pochwały".

Czytałam tę książkę i się zryczałam. Dwa razy! A to, jak magiczne autor napisał zakończenie... nooo, klękajcie, narody.

Marta Sadowska (Twitter)

fabryka słów
WYDAWNICTWO
fabrykaslow.com.pl
/fabryka
/fabrykaslow